

De II 1
TOM CCLXVI.

SERYA 9.

ROK 67.

ZESZYT 797.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

M A J.

1907.

TOM II.—ZESZYT 2.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

1907.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. PAMIĘCI JÓZEFATA OHRYZKI,—przez <i>D-ra Benedykta Dybowskiego.</i>	209
2. LUNA. — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	261
3. TŁO HISTORYCZNE TRZECIEJ CZĘŚCI „DZIADÓW,—przez <i>Henryka Mościckiego</i>	285
4. O TWÓRCZOŚCI WYSPIAŃSKIEGO,—przez <i>Józefa Kolarbińskiego</i> .	312
5. UROK OCEANU, — przez <i>D-ra Józefa Nusbauma</i>	312
6. PAWEŁ VERLAINE. — przez <i>Jana Szarotę</i>	327
7. PIŚMIENNICTWO: KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI: Dwór w Ferrarze. Lwów, nakładem H. Altenberga. 1907, — przez <i>Lucyana Rydla</i>	384
8. KRONIKA MIESIĘCZNA: Polityka Koła Polskiego w Izbie rosyjskiej i wnioszek autonomiczny.— Rocznica Konstytucyi 3 maja.—25-lecie Kolonij letnich.	396
9. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE .	310

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 5.



De. II. 1.

Pamięci Józefata Ohryzki.

I.

Rządy i narody zaborecze kierują się zwykle dwoma rodzajami prawideł etycznych: jedne służą im dla celów najbliższych, więc mają je dla siebie, drugimi posługują się przy stosunkach swoich z plemionami i narodami podbitymi. Tak np. Rosya urzędowa i naród rosyjski uznają konspiratorów, którzy mieli na celu zrzucenie jarzma tatarskiego, za największych patriotów i bohaterów narodowych; przeciwnie, uważają każdego Polaka, starającego się ulżyć ciężkiej niedoli ziomków swoich, za zbrodniarza. To samo jota w jotę bywa i z obywatelami państwa „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów;“ dla Niemców np. bohaterem jest student *Götz*, ale przestępcami zbrodniczymi są dzieci polskie, nie chcące się modlić po niemiecku. Niemcy odczuwają cały ciężar rządów Napoleona, odnośnie do siebie; ale nie są zdolni zrozumieć, że ich rządy są stokroć uciążliwsze względem Polaków, niż był cały despotyzm Napoleona w stosunku do nich, nie są w stanie odczuwać hańby swego brutalnego i nieludzkiego postępowania wobec narodu polskiego.

O tej podwójnej etyce narodów drapieżnych, w stosunku do siebie samych i ludów ujarzmionych, powinniśmy stale pamiętać. Nam nie wolno bawić się mrzonkami, na których podstawie nie jeden z naiwnych przywódców partyj politycznych i społecznych szuka współczucia i pomocy dla swoich celów egoistycznych, bądź u Niemców, bądź u Rosyan. Jeżeli dzisiaj socjaliści niemieccy albo rosyjscy sprzyjają rzekomo socyalistom polskim, czynią to w tem jedynie przekonaniu, że ci ostatni wyrzekli się swej ojczyzny i swej narodowości, że radzi są wdziać na siebie skórę obcą i stać się wrogami najzaciętszymi swych braci własnych, nie hoł-

dujących zasadom „mścicieli ludu.“ To, coby uznali socjaliści niemieccy i rosyjscy za hańbę w działalności swoich towarzyszy— uważają za szczyt zasługi u socyalistów polskich, mianowicie, zdradę ojczyzny na rzecz nieprzyjaciół. Jeżeli Niemcy dają zapomogi dla wydawnictw antynarodowych polskich, czynią to w przekonaniu, że tem gotują zgubę znieprawionemu przez się narodowi. Przestępca Polak wobec swoich ziomków, jest najpożądanym sojusznikiem dla wrogów naszych. Gdy socyalista Niemiec albo Rosyanin nigdy nie przestaje być patriotą, to Polakowi-socyalistcie mają za złe, jeżeli się oświadczy za swoją narodowością. Tylko Niemiec, albo Rosyanin mają prawo mieć ojczyznę—Polak do tego nie ma prawa.

Takie i tym podobne myśli cisną się pomimowoli do umysłu każdego, kto stara się pojąć przyczyny nienawiści, wiejącej ze sprawozdań, jakie były kreślone przez Rosyan i przez Niemców, a dotyczące wypadków, zaszłych podczas naszych powstań; taką samą nienawiść widzimy ujawnioną i w biografjach, pisanych przez wrogów naszych o ludziach, którzy brali udział czynny w ruchach narodowych. Życiorysy, jakie dziś mamy, ręką nienawiści kreślone, są pełne fałszywych insynuacyj i najnikczemniejszych wymyślań. Każdy autor takiej biografii czuje się w obowiązku piórem swoim spotwarzyć, zhańbić, zbezczęścić i oplwać ofiarę przemocy brutalnej.

Jedno z takich szkalowań, odnośnie do osoby *Józefata Ohryzki*, wyszło z pod pióra członka komisji śledczej, ustanowionej przez *Murawjewa Wieszatiela* w Wilnie, mianowicie *N. B. Gogiel'a* (Gogiel pisze się po rosyjsku przez *e*, lecz czyta się jak *ie*, to też pisać muszę tę nazwę tak, jak się ona wymawia po rosyjsku, więc *Gogiel*, a nie *Gogel*). Autor rzeczony wydał broszurę, noszącą tytuł: „*Josafat Agryzko i Pietierburgskiej rewolucyjnyj Rżond*,” owa broszura cieszyła się u „prawdziwych ruskich ludzi“ wielkiem uznaniem, skoro doczekała się aż dwóch wydań; w niej stara się Gogiel zbezczęścić tych, co przeszli przez piekło komisji śledczej. Uznał on ich wszystkich za podłych i głupich. Ażeby mózdz ocenić wartość tej broszury, powinniśmy poznać samego jej autora, mianowicie jego pochodzenie i stronę jego moralną. Rozpocynam tedy od rodowodu Gogiela. Pod koniec wieku XVIII stary podczaszy *Olizar*, rodem z polesia kijowskiego, zniedołężniały i przez pół sparaliżowany, wybrał się za granicę w towarzystwie syna swego siedemnastoletniego, Gustawa i lekarza domowego, *Kossowicza*. Ten ostatni rządził ojcem i synem. Bawiąc we Włoszech, zapoznał się z rodziną awanturniczą („*Milo*“?) i z racyi bli-

żej nieznaney, ożenił nieletniego Gustawa Olizara z córką p.p. M. Wkrótce po akcie ożenienia syna, ojciec umarł za granicą; reszta towarzystwa wraz z rodzicami żony Gustawa wrócili do kraju. Kossowicz i teściowie rządzili majątnościami młodej pary i starali się niemi zawładnąć, lecz to się im ostatecznie nie udało, więc p.p. M. powrócili do swej Ojczyzny. Następnie małżonka Gustawa probowała go udusić, ale i to się nie powiodło. Nieudały zamach na życie męża dał powód do rozwodu. Córka Olizara wyszła za mąż za Chodkiewicza z Młynowa na Wołyniu, a rozwódka żona poślubiła starego i niedołężnego generała artylerji rosyjskiej, *Gogiela*. Z tej dobranej pary pochodzi autor broszury. Po matce odziedziczył on przewrotność i popędy zbrodnicze, kto był ojcem—nie wiadomo. Matka jego po śmierci drugiego męża mieszkała w Dubnie, utrzymywała stosunki z okoliczną arystokracją ziemiańską, prowadziła dom polsko-ugodowo-rosyjski i tu syn nauczył się mówić po polsku: wstąpił on do artylerji i służył w baterji, stacyonowanej w Słonimie. Należał przed powstaniem do koła liberalnych, udawał wielkiego przyjaciela Polaków, przedstawiał przeważnie z nimi, bywał w gościnie u okolicznych obywateli ziemskich, podczas obiadów uroczystych wznosił toasty wolnościowe, etc. Słowem, grał rolę liberała, sympatyzującego ze „sprawą polską“ i może nawet, gdyby powstanie miało powodzenie, byłby stanął po stronie jego; lecz spostrzegłszy, że na powodzenie liczyć nie można, zmienił raptownie swoją dotychczasową taktykę i rozpoczął pisać donosy do władzy na oficerów Polaków i na liberałów rosyjskiego pochodzenia; w ten sposób pozyskał względy „*Wieszatiela*“ i stał się jego pachołkiem, a za gorliwy patriotyzm wynagrodzony został złotodajną posadą „członka komisji śledczej w Wilnie.“ W ciągu trwania inkwizycyi zebrał spory majątek, biorąc grube łapowe, od krewnych osób więzionych, za swoje rzekome pośrednictwo. Tym, którzy mu się opłacali, pozwalał widywać się w kaźni ze współobwinionymi, dyktował im „czysto sierdiecznyje saznanja,“ a nawet sam je pisał dla nich; zwykle po takich improwizowanych zeznaniach obiecywał złagodzenie kary, ale sam przewrotnie z reguły głosował albo za karą śmierci, albo zesłaniem do robót ciężkich. Udawał przed uwięzionymi szczere współczucie dla sprawy polskiej, kłamał najbezczelniej, że dla tego tylko wstąpił do komisji, ażeby nieść ulgę męczennikom, łajał wobec więźniów *Murawjewa* i całą komisję, powiadając, że ona jest stekiem łapowników i zbrodniarzy, że pieniądze, które on bierze od Polaków, są przeznaczone na przekupienie tych łotrów, dawał listy rekomendacyjne do Petersburga, polecające petentów

wysokim dygnitarzom, zwykle *synowi Murawjewa*, zalecał jadącym z prozbami, ażeby nie szczędzili pieniędzy; raz nawet miał bezczelność radzić jednej pięknej pannie, gdy ta wybierała się do Petersburga w interesie uwiecznionego ojca swego, ażeby się oddała dygnitarzowi, a ręczy jej za pomyślny skutek starań. Antoni Jeleński, Jakób Giejsztor i wielu innych poświęcili temu zbrodniarzowi duże sumy pieniężne. Gogiel umiał tak doskonale tumanić przewrotnością ofiary swojej chciwości, iż długi czas obadwaj wyżej wspomniani krewni moi, bawiąc na Syberyi, dokąd zestani byli do ciężkich robót, mieli przekonanie, że w tym komedyancie znaleźli człowieka uczciwego i przyjaciela Polaków, i byłby może pozostał w ich sercu wdzięcznym takim na zawsze, gdyby nie wystąpił publicznie z paszkwilem i w ten sposób nie zdjął z siebie maski szlachetności, pod którą ukrywał się nikczemnik najpowszedniejszy.

Po zwinieniu komisji śledczej, Gogiel, nie licząc już na łapówki, odkrył karty. Pragnąc siebie przedstawić, jako gorącego patriotę, w oczach „prawdziwie ruskich ludzi,“ zwymyślał i oszkalował Polaków w swej broszurze. Ale zasłużona kara za niegodziwości popełnione dosięgła go prędzej, niż się spodziewał. Przyjechawszy do Petersburga oślepl i wprędce potem umarł wskutek ataku apoplektycznego. Obadwaj, i sługa, i pan jego, zeszedli z tego świata marną śmiercią opojów, gdyż obaj, jak przystało na prawdziwych patriotów, byli szczerymi hołdownikami Bachusa. Cała broszura Gogiel'a oparta jest na faktach, czerpanych z „czysto sierdiecznych saznanij,“ dyktowanych albo pisanych przez samego autora broszury dla więźniów, zastraszonych szubienicą i wierzących naiwnie w życzliwość serdeczną oprawcy. W broszurze tej prawie wszystko jest fałszem, pomimo całego pozoru prawdy, którą autor starał się opromienić swój elaborat patriotyczny.

Zebrałem o tym Gogielu ogromną ilość szczegółów; znaczną ich część zawdzięczam koledze z Dorpatu, *Stanisławowi Orzeszce*, jego to właśnie z pomiędzy wielu innych zmusił *Gogiel* podstępem do zeznań, dyktując mu niestworzone rzeczy, tak jak to czynił z *Parafjanowiczem* i porucznikiem *Władysławem Kossovskim*, którzy pletli pod jego kierownictwem wszystko to, czego tylko od nich wymagała komisja. Gdyśm spotkał chorego na tyfus Orzeszkę w Tomsku, ten mi na łożu śmierci opowiedział z całą szczerością rozstającego się z życiem człowieka, przejścia swoje w więzieniu wileńskim. Mógłbym tedy napisać cały tom o sprawkach komisji, a szczególnie o komedyancie Gogiel'u, ale sądzę, że i to wystarczy, com powiedział uprzednio, ażeby wiedzieć mógł każdy, czego wart sam autor i co warta jego broszura.

II.

Dawno już postanowiłem być podać szczegóły biograficzne, dotyczące Ohryzki, ażeby dać poznać osobistość tę, ciężko prześladowaną przez losy i podle oszkałowaną przez wrogów. Nosząc się z takim zamiarem, prosiłem przyjaciół Ohryzki o materiały faktyczny. *Włodzimierz Spasowicz* i *Michał Kossowski* przesłali swoje wspomnienia. Pierwszy postawił warunek, ażeby je w całości ogłosić, drugi tego warunku nie podał, to też skróciłem pismo M. K. znacznie, usuwając wszystko, co nie dotyczyło Józefata. Następnie przesłał Spasowicz wraz ze swoim wspomnieniem kartki, ołówkiem pisane w więzieniu przez samego Ohryzkę. Wszystkie te trzy części, dopełniając się wzajemnie, stanowią całość, którą uzupełniam wiadomościami z kąd inąd czerpanymi. Ja sam poznałem Ohryzkę już na Syberyi, spotykałem się z nim za każdą moją bytnością w Irkucku. Nieraz w rozmowie zwracaliśmy się do czasów, gdy bawił on w Mińsku litewskim, gdzie mieliśmy wspólnych znajomych. Niektórzy nauczyciele gimnazyalni Ohryzki byli następnie i moimi przełożonymi w temże gimnazyum. Na tle wspomnień dawnych opowiadaliśmy sobie wzajemnie dzieje owych czasów, które nazwać byłoby można ugodowymi, albowiem większa część inteligencji miejscowej oczekiwała łask, z góry płynących, nie licząc wcale na własne siły.

Ze wspomnień naszych, odświeżanych rozmowami, pozwolę sobie przytoczyć szereg faktów, które, jakkolwiek nie mają znaczenia historycznego, dają wszelako wyobrażenie, jak wyglądało nasze mińskie społeczeństwo ówczesne.

Mińsk w dobie, gdy Ohryzko był uczniem gimnazyalnym, żył cały przeszłością niedawną i marzeniem o przyszłości lepszej, która była obiecana przez Monarchę *Aleksandra I.* Opowiadano przy rozmowach o dworze ostatniego wojewody *Adama Chmury*, mającego swoją rezydencję w *Siemkowie*, majątności, położonej w pobliżu miasta Mińska, na trakcie, prowadzącym do Wilna. Co roku na Zielone Święta młodzież gimnazyalna odbywała potajemnie pieszą podróż do tego miejsca, pełnego wspomnień rządów polskich. W mieście trwały w pamięci mieszkańców sławne czasy gimnazyum polskiego w Mińsku. *Jaźwiński* i *Legatowicz*, nauczyciele z owego gimnazyum, żyli jeszcze, a ich osobistości szanowane powszechnie, stanowiły kontrast silny z hołotą nauczycielską, naslaną z głębi Rosyi do nowego gimnazyum rosyjskiego.

Najsympatyczniejszym z nauczycieli był dla *Ohryzki* nauczyciel rosyjskiego języka, *Siergiejewski*.

Silną jednak wadą tego człowieka było pijaństwo. Ale znał on dobrze literaturę rosyjską i umiał zachęcać młodzież do studyów nad poezją w ogólności i porównawczą gramatyką sławiańską. Inni nauczyciele stanowili miernotę, uprawiającą łapownictwo i również oddającą się pijaństwu. Za czasów mojego pobytu w gimnazjum już *Siergiejewskiego* nie było, zastąpił go *Grebieńszczykow*, były bedel z korpusu kadetów w Połocku, którego następnie wypędzono z gimnazjum mińskiego za czasów dyrektora Diesnickiego, lecz później, przy rządach *Murawjewa*, wrócił on do miasta w roli członka komisji śledczej. Gimnazjum polskie opróżnione i opuszczone, nosiło wtedy nazwę „*kamienicy Lonszona*”; bibliotekę gimnazjalną, składającą się z dzieł polskich, sprzedano; część jej znaczna dostała się do rąk Bardskiego i ztamtąd młodzież brała książki do czytania; czyniono to jednak pod wielkim sekretem przed nauczycielami Rosyanami. Mińsk miał wygląd miasta żydowsko-polskiego, na ulicach mówiono po polsku, albo po żydowsku, mowy rosyjskiej nie słyszano nigdy. Szyldy były polskie. Na przedmieściach nad traktyerniami żydowskimi, pamiętam, że wisiały szyldy z takimi np. napisami: „*Kogut z kokoszą na piwo i miód proszą*.”

Wiele ze starszych wiekiem osób miało prawo nosić ubiór polski; w otoczeniu najbliższem mojem dziadek *Benedykt Przysiecki* i sąsiedzi dziadka *Józef Puzinowski*, *Atanazy Pruszyński* nosili strój polski. Marszałek szlachty przywdziewał w dniu uroczyste mundur kawalera Maltańskiego. Żydzi mieli swój strój własny, rzekomo narodowy. Mężczyźni nosili czapy futrzane, pokryte aksamitem czarnym, z kłapami na uszy, podnoszonemi w porze letniej do góry. Chałaty czarne, długie, podpasane czarnym pasem z frendlami na końcach, stanowiły ich główną odzież, nogi ubierali w trzewiki z klamrami i w białe, lub czarne pończochy. Żydówki nosiły wielkie zawoje na głowie, „kacawejki“ na plecach i kłapiące pantofle na nogach; gdy tak ubrane spacerowały po bruku, słychać było ich kłapanie zdaleka. Mężczyźni Żydzi i kobiety ich zameżne golili głowy, pierwsi pokrywali ogoloną głowę jarmużką, wypuszczając z pod niej starannie utrzymane i zawijane na papiloty pejsy, kobiety przykrywały goloną głowę białym czepkiem, na który nakładają olbrzymi turban turecki.

Cały handel był w ręku Żydów, tak, że z wyjątkiem sklepu z bławatnym towarem *Więckowskich* z Warszawy i paru kramów kupców z Moskwy, *Muchina* i *Rukowa*, zesłanych za karę

do Mińska, wszystkie inne handele były żydowskie. Większą część rzemieślników stanowili również Żydzi. W podręcznikach geografii, przeznaczonych dla gimnazyów ówczesnych, *Mińsk stawił się „szapkami,”* czyli wyrobem czapek; całe też wozy tych ubrań na głowę, które nosiły wtedy nazwę „blinów,” wysyłano z Mińska na jarmarki w głąb Rosyi. Po za czapkami żadnego przemysłu nie było. Świece łojowe robiono po domach, stearynowe sprowadzano z Moskwy, woskowe odlewano u siebie. Zapalki były rzeczą zbytkową. Warszawę, oddzieloną komorą celną, uznawano jako „zagranicę;“ dostać pasport do Królestwa uważało się za rzecz wielce trudną, wymagającą moc zabiegów i starań. Prenumerata gazet polskich uważała się za „niebłagonadiożność.“

Był to zresztą czas niezmierniej taniości życia; tak np. na tak zwanych „ogólnych kwaterach“ płacono „Cioci *Koperskiej*“ od 30 do 50 rb. za całoroczne utrzymanie ucznia z korepetycją. Najęcie całego domu kosztowało od 50 do 100 rb. na rok. Był to czas również niezmiernie szczęśliwy dla handlu żydowskiego i dla samych Żydów; kłaniali się oni nisko wprawdzie przed urzędnikami, z Rosyi przybyłymi, ale mieli ich zato w swoich rękach. W święta uroczyste wysyłali deputacje do gubernatora, wicegubernatora, policmajstra, półkownika od inwalidów, półkownika garnizonu, do półkownika żandarmów etc. z prezentami świątecznymi i w ten sposób zyskiwali względy rządu nowego. W dni szabasowe niczego w mieście kupić nie było można, lecz też w te dni miasto wieczorem było iluminowane wspaniałe płonącemi wszędzie szabasówkami, gdy zwykle, w innym czasie, co wieczora tonęło w ciemnościach, tak, że ludzie, zmuszeni wyjść o zmierzchu z mieszkania, posługiwać się musieli latarkami. Sądny dzień, święto kuczek, bosiny i święto „mac wielkanocnych,“ stanowiły dla całego miasta uroczystość wielką. Podczas ślubu i wesela żydowskiego setki widzów towarzyszyły obrządkowi dziwacznemu, odbywającemu się na śmietniskach, których pełno było w mieście samem, a szczególnie po przedmieściach. Tańce żydowskie były wielce oryginalne. Jedną tylko z początku mieli czarną chwilę Żydzi ówczesni, mianowicie wtedy, gdy wywożono z miasta żydziaków płci męskiej, by ich wychowywać gdzieś w głębi Rosyi na tak zwanych „kantonistów.“ Wywożenie odbywało się publicznie; wozom, ochranianym przez wojsko piesze i przez kozaków, towarzyszyły setki lamentujących żydówek, płacz dzieciaków, głośnie łkania tłumu robiły przygnębiające wrażenie. Żydzi tworzyli w owe czasy w sobie zamknięte społeczeństwo, nie mające żadnej umysłowej styczności z resztą świata. Obskurantyzm i fanatyzm

religijny do najwyższego stopnia posunięty, cechowały społeczeństwo żydowskie; w każdym miasteczku był jakiś rabin cudotwórca, leczący chorych, uzdrawiający za pomocą modlitwy i przepowiadający przyszłość. Wiara w cuda była chorobą endemiczną, powszechną, więc też grasowała i na łonie społeczeństwa chrześcijańskiego.

Po za tłumem handlującym i rzemieślniczym żydowskim, gro- no t. zw. inteligencji składało się przeważnie z urzędników Polaków, pozostających jeszcze na służbie i obywateli wiejskich, przebywających w mieście dla wychowania dzieci; dwa razy do roku zjeżdżali się licznie ziemianie, mianowicie na kontrakty w czerwcu i na czas zapust, czyli na zabawy karnawałowe; w takich chwilach było rojno w mieście i gwarno, w innych czasach znowu Mińsk wyglądał tak, jak nasze litewskie miasteczka żydowskie w obecnej dobie.

Każdy mieszkaniec zabranego kraju nazywał siebie Polakiem danego województwa, nigdy wtedy separatyzm, propagowany następnie przez władze, a który znalazł grunt tak podatny w późniejszych pokoleniach — nie kłał umysłu i serca ludności. Było tak nietylko w Mińskim i Nowogródzkim, lecz mieszkańcy całej ziemi Mohylewskiej i Smoleńskiej mienili się Polakami. Nawet i dzisiaj, gdy się spotka w Nowogródzkim „siciarzy“ z ziemi Smoleńskiej i zapyta się ich, kto oni tacy?, to odpowiadają zawsze, że są Polakami; tak też nazywają ich i Rosyanie w Moskwie, gdy podczas zimy przybywają Smoleńszczanie tam dla zarobków, bądź jako woziwody, bądź jako dorożkarze. Tylko część szlachty smoleńskiej, idąc na lep łask rządowych, wyparła się swej narodowości. Duch jedności plemiennej i jedności państwowej obejmował wtedy i łączył w jedną całość wszystkich mieszkańców byłej Polski. Litwa, Żmujdz, Białolechia, Czarnolechia i Czerwonolechia, wszystko to było wówczas szczerze polskie, dopiero pod hasłem rządowym „*divide et impera*“ rwać się poczęły szmaty oddzielne do rzekomego bytu samodzielniego, a występując wrogo względem Polaków, miały nadzieję zaskarbić sobie łaski rządu i uzyskać w ten sposób prawo do samodzielności marzonej. Nadziejom takim uległa u nas młodzież uniwersytecka, kierując się najczęściej wybujałą ambycją wytworzenia jakiejś partii, chociażby ona liczyła tylko paru zwolenników, tak np. partya t. zw. Żmudzinów w Dorpacie składała się z dwóch *Daukszów* i *Kurnatowskiego*. Ale nie tylko u nas odbywało się to przeobrażenie; taki sam separatyzm objawiał się na Pomorzu bałtyckim. Byliśmy świadkami, jak sobie radzono w Liwlandyi, Estlandyi

i Kurlandyi, a następnie w Finlandyi. Taką samą bronią walczo-
no nad Bajkałem, a nawet i na Kamczatce. Dziś widzimy podob-
ną metodę działania, stosowaną i w Galicyi. A gdy gdzie nie-
ma podłoża do walk plemiennych, gdy nie ma materiału do borby
rasowej, tam się podżega do wojny klasowej, społecznej. Więc
uzbraja się lud przeciw szlachcie, tę przeciw mieszczaństwu,
socyalistów wyprowadza się do boju przeciw wszystkim; sło-
wem sieje się wszędzie nienawiść, a z nią razem niemoralność
i znikczemnienie.

Jakem już uprzednio powiedział, tradycye, z niedawnych cza-
sów pochodzące, wypełniały atmosferę duchową społeczeństwa ów-
czesnego mińskiego; to też drgało jeszcze wszędzie życie dawne,
którego się wyrzec nakazywał rząd; ten nakaz jednak był jakby
bodźcem nowym do tem większego umiłowania przeszłości, on po-
działał skutecznie na pewną część inteligencyi, która przedtem
marzyła ciągle o łaskach i obietnicach z góry płynących. Powsta-
ły bowiem wielkie nadzieje na lepszą przyszłość w chwilach, gdy
cesarz Aleksander I zwiedzał osobiście okolice Mińskie, podczas
swej podróży po kraju. Ten władca umiał delikatnością w obej-
ściu ujmować serca mieszkańców całej dzielnicy, swoich świeżych
poddanych, a wyrazy z ust jego pochodzące i zapowiadające ja-
kieś zmiany, które miały wprędce nastąpić, jak np. oczynszowa-
nie włościan, obieralność urzędników etc., dały pocho-
p do owych nadziei sięgających dalej, niż to zaznaczały same obietnice mo-
narsze.

Niektóre szczegóły opowiadane przez ludzi, którzy widzieli
przejeżdżającego cesarza i towarzyszyli mu w pewnych chwilach
jego podróży, przytoczę tutaj, ażeby dać możność ocenienia różnic,
zachodzących pomiędzy dwiema epokami, tak blizkimi w czasie,
a tak różnemi w treści, mianowicie, pomiędzy epoką panowania
Aleksandra I i Mikołaja I. Cesarz Aleksander I przemawiał do
miejscowych obywateli albo po polsku, albo po francusku, ze świ-
tą swoją rozmawiał po francusku, ze wszystkimi był uprzedzająco
grzeczny i uprzejmy, dla każdego zwracającego się z prozbą oso-
bistą do niego, miał życzliwość szczerą. Jechał bez wszelkiej pa-
rady pocztą, mając przy sobie świtę bardzo skromną; stawał na
noclegi po domach właścicieli ziemskich. Przy obiadach, albo
wieczerzach prosił, ażeby gospodarze zasiadali razem z nim do
stołu. Jeden z takich odpoczynków w podróży zdarzył się w do-
mu mego dziadka *Tadeusza Dybowskiego w Kojdanowie* (a nie Kaj-
danowie, jak to mylnie piszą). Relacyę z tego pobytu w Kojda-
nowie słyszałem opowiadaną przez stryja mego, *Leopolda*, wówczas

zastępcy marszałka powiatowego mińskiego, a więc z urzędu towarzyszącego cesarzowi. Opowieść tę, która głęboko wryła mi się w pamięć dziecięcą, kreślę poniżej.

Przed miasteczkiem Kojdanowem, gdzie klucz cały dzierżał prawem zastawu dziadek mój od Radziwiłłów, szlachta z marszałkami na czele spotykała jadącego monarchę. Trzy karety i kilka „tarantasów“ ze służbą stanowiły karawan dworski. W pierwszej karecie jechał cesarz ze swoim adjutantem i psem ulubionym. Marszałkowie wystąpili w mundurach wojewódzkich, imi w strojach polskich, wielu przybyło konno, niektórzy mieli przy sobie charty na smyczy, które prowadziła służba. Gdy się delegacya uszykowała na szerokim trakcie pocztowym w okolicy Niehorełego przed przybywającym cesarzem, ten, zrównawszy się z oczekującymi, kazał zatrzymać konie, wysiadł z pojazdu, wysłuchał stojąco przemówienia marszałka, mianego w języku polskim i z wielką życzliwością odpowiedział krótko po polsku. Następnie zapytał: jak daleko do noclegu? i czy dużo w tych okolicach zwierzyny? Odpowiedziano, że pozostało tylko kilka wiorst do Kojdanowa, a ze zwierzyny w obecnej porze roku są tylko szaraki. Zazaądał konia wierzchowego dla siebie i adjutanta, a resztę świty i psa w swej karecie odesłał do miejsca noclegowego. Dosiadłszy wierzchowca ruszył w towarzystwie, rozmawiał swobodnie, bez żadnej arogancyi. Całe obejście się jego tchnęło szczerością najzupelniejszą, to też ujął serca wszystkich obecnych i po wielu latach, gdy opowiadano o cesarzu Aleksandrze I, mówiący nie mieli dosyć słów, by oddać należycie przymioty ludzkości i delikatności w obcowaniu z ludźmi, właściwe temu monarche.

We dworze w Kojdanowie powitał cesarza gospodarz domu w otoczeniu rodziny i służby „chlebem i solą.“ Gdy zaproszono na wieczerzę, wymagał, ażeby gospodarze z rodziną zasiedli spółem do stołu. Z paniami rozmawiał najwięcej, rozpytywał się o rodzinie nieobecnej, a dowiedziawszy się, że jedna z córek jest zamężną za Turczyńskim i mieszka w Mińsku, kazał zapisać jej nazwisko. Jadł z apetytem, wychwalał kuchnię polską, szczególnie podobał mu się chleb świeży, a zapytawszy, kto go wypieka, prosił o zapas na drogę.¹⁾

¹⁾ Na odjeździe, pomimo proźby mego dziadka, ażeby za gościnność nie wynagradzał podarkami, monarcha odpowiedział, że to nie zapłata, lecz tylko pamiątki, które pozostawia po sobie. To też każdej osobie z rodziny

Przyjechawszy do Mińska, podbił cesarz serca wszystkich mieszkańców; panie uwielbiały monarchę. Mińszanki odznaczały się zawsze pięknnością i urodą klasyczną; w owe czasy słynęły z piękności i dobroci wiele z nich. Pani *Montegrandi*, pochodzenia miejscowego, żona Francuza, który miał pensyonat żeński w Mińsku, należała do rzędu najpiękniejszych, przytem mówiła po francusku bardzo biegle, zdołała więc na balu, dawany na cześć monarchy, zainteresować cesarza; miał też on ją pocałować w rękę. Pani *Montegrandi*, jak powiadają, nosiła potem stale rękawiczkę na ucałowanej ręce, okrywając ją, jako świętość, przed okiem profanów. Cała plejada pięknych kobiet zabawiała cesarza, wobec tych piękności tajało serce monarchy. Spotkawszy Turczyńskiego, który jako urzędnik był przedstawiony cesarzowi, zapytał go, dla czego żona nie przyszła na bal, ten odpowiedział, że jest po połogu i jeszcze nie opuszcza mieszkania; więc córeczkę, której chrzest miał nastąpić niebawem, polecił trzymać do chrztu w swoim imieniu, dając jej imię Anna. Ten akt łaski monarszej wpisano do metryki chrztu, a owa okoliczność posłużyła następnie tej córce chrzestnej Aleksandra I-go, Annie z Turczyńskich Sławińskiej, gdy mieszkała w Wilnie, do ułagodzenia sławnego despoty generała *Wiatkina*, komendanta fortecy i przełożonego nad więźniami, za czasów generał-gubernatorstwa *Nazimowa*. *Wiatkin*, dowiedziawszy się, że Anna Sławińska jest córką chrzestną cesarza Aleksandra I, był wobec niej z takim niewolniczym uszanowaniem, że nie odmawiał żadnej jej proźbie, mającej na celu ulżenie losu więzionych. Mówił jej jednak zawsze przy każdej proźbie, że „ja pani niczego odmówić nie jestem w stanie, ale nie nadużywaj pani swej władzy.“ Tak np. *Wiatkin* widoku Bolesława Limanowskiego, więzionego pod ów czas wspólnie z nami, znieść nie mógł i były go prześladował w więzieniu najniezawodniej, ale dowiedziawszy się od Sławińskiej, że jest jej przyjacielem, zmiękł i wobec niego. Długi czas rządziła Anna Sławińska w pawilonie 11, dzięki urokowi, jaki wywieriała na *Wiatkinie*. Tych słów kilku, wypowiedzianych przy obecnej okoliczności o kobiecie, która tyle łez otarła, tyle ulgi przyniosła więzionym ziomkom naszym, niech będą słabym wyrazem głębokiej czci, jaką winniśmy pamięci tego anioła opiekuńczego nad więźniami i skazańcami w czasie terroru wileńskiego.

dziadka dał upominek. Dotąd w naszej rodzinie pozostały dwa przedmioty, mianowicie: fermoar z ametystu i brylantów i spinka mężka z topazu, okolo-
nego dyamentami.

Przedstawiony powyżej obrazek z podróży monarchy, od którego oczekiwano i Litwa i Polska lepszej doli swojej, pozwoli zrozumieć, przyczyny ugodowości, a zarazem poznać źródło, skąd płynął ów prąd ugodowy, który przez czas dłuższy był panującym na Litwie.

Nie długo trwały marzenia, oparte na chwilowych usposobieniach monarchy. Dosyć było listu Karamzina i zastraszenia Aleksandra zemstą „prawdziwych ruskich ludzi,“ ażeby przysły wszystkie dobre zamiary Imperatora.

Za życia Cesarza Aleksandra I trwały jeszcze ciągle nadzieje zrealizowania marzeń o łaskach, to też nagła śmierć jego wywołała głęboki żal w społeczeństwie, a zarazem i przekonanie, że go otruto z racyi, iż „sprzyjał Polakom.“ Legendę o śmierci cesarza wskutek otrucia, słyszałem opowiadaną wielokrotnie, szczególnie, gdym bawił u krewnych w Mohilewskim. Kolega mój z gimnazjum mińskiego, rodem z Mohilewskiego, *Zdzisław Mikiiewicz*, ożeniony z *ks. Koczubej*, kamerjunkier J. C. M. Aleksandra II-go. bawiąc na wygnaniu w Syberyi, gdy był tam zesłany do ciężkich robót, potwierdził tę legendę, oświadczając, że znano lekarza, rzekomo wynajętego przez Kamaryllę dworską w celu otrucia, że truciznę zadano Monarsze w poziomkach i ogłoszono, iż zmarł na cholere. Doktora tego miano internować, po wykonaniu zbrodni, w jednym z miasteczek głuchych w Mohilewskim. Czy fakt otrucia był prawdziwy, tego, oczywista rzecz, nikt sprawdzić nie mógł, ale to tylko pewno, że weń wierzono najświęciej. Były to czasy, jakem już powiedział, najnaiwniejszej wiary we wszystkie baśnie, wszelkie cuda i we wszelkie łaski, z góry płynące, ale za to wiary w siebie samych nikt nie posiadał podówczas, spodziewano się zmian, ale nie skutkiem własnej pracy, lecz z łaski zewnątrz pochodzącej. Pamiętam, że kiedyś, gdyśmy młodsi pytali starszych, dlaczegoście się oddali dobrowolnie w niewolę? dlaczegoście się nie bronili? nie protestowali? dlaczegoście pozwalali w tak straszny sposób znęcać się nad ludem, gdy go nawracano na łono „jedynej, prawdziwej religii prawosławnej?“ odpowiadano zwykle, że wszelki opór był niemożliwy. Gdy nam opowiadano następnie, że kozacy opornym włościanom otwierali gwałtem usta i zęby zaciśnięte, ażeby popi wlewać mogli wino święte i wkładać hostyę, czyli ciało i krew Chrystusową, wołaliśmy, że trzeba było zbić kozaków i popów, bo cóż łatwiejszego, mając lud za sobą, jak wygnać wroga. Mówiono nam wtedy, że to byłoby szaleństwem! a czyż nie szaleństwem była owa wiara

w łaski zwycięzcy? Czyż nie lepsze było przekonanie, że „Una salus victis nullam sperare salutem“ z rąk grabieżców?

Kobiety jednak były energiczniejsze. Babka nasza, *Franciszka z Leńkiewiczów Przysiecka*, opowiadała nam, jak przechowywano rannych Francuzów podczas nieszczęsnej ich rejterady; wodziła nas do gaju, gdzie urządzony był ongi szpital dla chorych, naprędce utworzony w odrynie w tajemnicy wielkiej przed wrogiem, a nawet przed meżami; mówiła następnie, jak kozacy, przybywając do dworu w *Adam-marynie*, gdzie mieszkała babka, wypytywali, czy nie przechowuje Francuzów i grozili śmiercią pod najkami, jeżeli się okaże, iż kłanie. Kozacy zabijali rannych i chorych bez żadnego pardonu. Co dzień wysyłano ze dworu na trakt, ażeby nieszczęśliwych, leżących w śniegu, przенosić do dworu; tam ich ogrzewano, odziewano i pielęgowano. Później, w czasie prześladowań religijnych, niewiasty nasze niosły słowa pociechy do chat, ocierały łzy prześladowanym, ale pomódz, zaradzić mękom, nie były w stanie, bo mężczyźni uważali obronę ludu za szaleństwo. Dzisiaj nikt nie ma wyobrażenia o tem, jakich środków barbarzyńskich używano wtedy w celu przeprowadzenia „abrusienia“ w owych czasach, gdy po zgonie Aleksandra I-go nastąpiły czasy Mikołajewskie. Zniesienie unii i oprawostawienie nastąpiło w r. 1838. Ohryzko Józefat miał już wtedy lat 11 i dobrze pamiętał owe straszne czasy barbarzyństwa. Jeżeli pamięć o Aleksandrze przetrwała śmierć jego o wiele lat, to pamięć o Mikołaju pozostanie niezgładzoną w duszy pokoleń całych. Postępowanie jego w kraju zabranym było nawskroś barbarzyńskie, o jego przejazdach opowiadano tysiące szczegółów, z których tu kilka tylko przytoczę, ażeby wykazać, na podstawie tych legend, różnicę pomiędzy obu monarchami.

I tak: 1) W przejeździe przez kraj zabrany unikał Mikołaj jaknajstaramiej obcowania z ludnością miejscową, a jeżeli gdzie kogo spotkać musiał, obchodził się z nim w sposób najbrutalniejszy. Pędząc np. pocztą po trasie słuckim podczas roztopów wiosennych, gdy konie ugrzęzły w trzęsawisku, rozkazał urzędników powiatowych zesaść w żołdacy na Kaukaz. Gnał zwykle pocztą, a gdy który z koni padł podczas tej szalonej jazdy, odpowiadał za to posttenutor i naczelnik stacyi. Pewnego razu rozpedzone konie stanęły raptownie przed karczmą karawanserajową, budowaną według planów rządowych, gdzie na ganku zebrana była gawiedź, ciekawa widzieć, chociażby tylko pojazd przejeżdżającego Cara. Otóż gdy pojazd z pędu stanął nagle, Mikołaj myślał, że zatrzymanie koni było uplanowane i że go tutaj czekała śmierć

niechybna. Wyskoczył blady z karety i przestraszony wołał gwałtownie: „*kto zdiesz starszyj?*“ Grobowe milczenie i przestach malujący się na twarzach wszystkich, przekonał go natychmiast, że tu nie może być mowy o jakimś uplanowanym napadzie, więc ochłonął i zapytał: „*gdie isprawnik?*“ Ten pędząc przed karetą, minął szczęśliwie karczmę, ale nie widząc za sobą jadącego pojazdu carskiego, zawrócił i właśnie w owej chwili stanął przed gankiem. Rezultatem tej „katastrofy“ było zesłanie naczelnika powiatu na Sybir, zdemolowanie karczmy i rozkaz „nakazał’ prikładno“ właściciela ziemskiego, na którego gruncie stała owa karczma, obu naczelników stacyj z jednej i drugiej strony karczmy położonych i pocztylionów wiozących, a nadto kazał wpisać do rzędu „niebłagonadiożnych“ imiona tych, którzy byli podówczas w karczmie.

2) Gdy Żydzi w pewnem miasteczku na Litwie, chcąc zrobić owacyę wiernopoddańczą cesarzowi, wyszli tłumnie na jego spotkanie w nocy z latarkami i wrzeszcząc „Hurra Wasze Imperatorskoje Błahorodje,“ dawali wyraz swej lojalności, kazał cesarz zatrzymać konie i wysłał swego adjutanta, ks. Orłowa, ażeby, wzięwszy bat od pocztyliona, smagał nim tę hołotę wiernopoddańczą.

3) Mikołaj I nie cierpiał antypatycznie Żydów, szczególnie wstrętuemi były dla niego: brody, pejsy, nosy hakowate i chałaty żydowskie, to też następnie kazał Żydom golić brody, strydz pejsy, nie wdziewać chałatów, a Żydówkom zabronił nosić turbany i klapiące pantofle. Prawie wszystkie te rozporządzenia wykonać się dały; pamiętam jednak lament Żydów i sceny rozmaite golenia bród, strzyżenia pejsów i obcinania chałatów na policyi.

Gdy cesarz Aleksander I wzbudzał w sercach wszystkich, z którymi obcował, sympatyę ku swej osobie, to Mikołaj I wzniecał antypatyę i strach. Zdawało się, jak gdyby pragnął z umysłu ten monarcha być antytezą swojego poprzednika. Nowo nadsłani urzędnicy do kraju zabranego, szli po większej części w ślady panującego, nie mieli prawie żadnej styczności z ludnością miejscową, pogardzając nią, byli też w równej mierze wzajemnie pogardzani. Po nawróceniu ludu na prawosławje nahajkami, więzieniem i „sсыłką,“ zajęto się prześladowaniem języka polskiego, zreformowano gimnazya, nasłano popowiczów z różnych gubernij rodem, mieliśmy np. w Mińsku przedstawicieli z gub. Kostromskiej, Riazańskiej, Pskowskiej; szczęśliwie, że nas ominęli „Chachły,“ którzy uchodzili wszędzie za najwstrętniejszy element „abrusitelnyj.“ Rolę Czechów w Galicyi odgrywali wtedy Chachły w zabranych prowincjach, to też zostawili po sobie tę samą pamięć jak „bratuszki“ Czesi. Ani jeden z uczonych naszych nau-

czycieli-Rosyan nie znał języków europejskich, nie rozumiał ani słowa po francusku, ani po niemiecku. Nauczyciele greki i łaciny uważani byli za wielce uczonych mężów, gdyż udawali, że rozumieją Liwiusza, Cyncerona albo Homera. Nauczyciel francuskiego języka, *Jacot*, gdym był w klasie trzeciej, kazał mi się uczyć utworu poetycznego „*Jeanne d'Arc*“ po francusku, ażebym go deklamował na akcie uroczystym w gimnazyum. *Jacot* przedstawił ten poemat na sesyi i grono nauczycielskie uznało go za cenzuralny — tymczasem, gdy posłano go do rady szkolnej w Wilnie, dopiero tam znalazł się któryś z Rosyan, co rozumiał po francusku i zawyrokował, że to jest utwór, grożący spokojowi Państwa rosyjskiego; przyszedł tedy rozkaz, ażeby nie dopuścić do deklamacyi, a biedny *Jacot* dostał „wygawor“ za to, że śmiał wybrać tak „wrednyj“ utwór poetyczny francuski.

Wobec warunków tak ogłupiających, życie wszelkie społeczne zgasło ¹⁾, podczas wyborów np. milczano, bo nie wolno było

¹⁾ Oto jak opisuje jeden z Rosyan położenie ich samych w owej dobie strasznej:

„Nasze stosunki — powiada on — znajdowały się pod kontrolą najsroszą żandarmeryi. Daremnie szukać w pamięci jakiegoś ważniejszego momentu, jakiegokolwiek wydarzenia godnego wspomnienia — niema nic! w głowie i sercu pustka! pustka straszliwa! Wyobraźni przedstawiają się te przeżyte chwile, jak smutna, zimowa płaszczyzna, martwa, bezduszna i pokryta jednostajną warstwą śniegu, a śnieg nie jest wcale przenością! Życie było jak zamrożone, ale obok tego nasza zima nie miała najmniejszych barw artystycznych. Nietylko była ona poprostu smutną, ale strasznie męczącą... O przyszłości nie myślano wcale, zapomnienie było najbardziej pożądanym gościem — alkohol był środkiem sprowadzającym tego milego, a tak pożądanego gościa — w tym względzie wielu dochodziło do mistrzostwa... Czas jakby całkiem stanął dla nas. Co więcej, on dla nas zupełnie istnieć przestał. Wszyscy byliśmy jak zamrożeni. Pograżeni byliśmy w istnienie o bardzo niskim stopniu życia duchowego, przypominającego sen zimowy zwierzęc. Ustrój nerwowy nie działał wskutek braku wrażeń, a wiadomo, że ta część w organizmie, która pozostaje nieczynną, słabnie, a nareszcie niszcze.“

Jeżeli tak Rosyanin pisze o swoich i o tej niedoli powszechnej z owych czasów dla Rosyan samych, jakże być musiało z nami! Litowano się nad Grecyą, Bułgaryą, Włochami, a jednak dola tych krajów i ludów była stokroć znośniejszą od naszej. Na duszy polskiej jakby in anima vile próbowano eksperymentów najrozmaitszych, zaszczepiano na niej podłość, bezprawie, samowolę, rozpustę i pijaństwo. Epoka Bibikowych w Wilnie i Kijowie, epoka Paskiewicza Erywańskiego i Muchanowa w Warszawie, to są epoki deprawacyi najobmierzlejszej.

odzywać się po polsku, ani po białorusku, a po rosyjsku nikt mówić nie umiał. Marszałkowie czytali przemówienia swoje, pisane przez ich sekretarzy. Kiedy niekiedy któryś śmielszy z obywateli znalazł w sobie tyle odwagi cywilnej, że przemówił po polsku, lecz takiego śmiałka tchórzliwy ogół potępiał. Pamiętam jeden z takich wypadków, który zdarzył się z hr. *Eustachem Tyszkiewiczem*, on kandydował na kuratora szkół w Mińsku; kontrkandydatem był *Tomasz Jodko*. *Tyszkiewicz* przemawiał po polsku i zakończył oracyę swoją słowami: „Panowie obierajcie, a Litwa o waszym wyborze sądzić będzie.“ My gimnazyści, cośmy byli przy tych wyborach, uczeiliśmy gorącym brawem mówcę. Po nim wystąpił *Tomasz Jodko*, mówił po rosyjsku; wybrano na kuratora *Jodkę*, ażeby nie dać powodu do posądzenia o nielojalność obywateli mińskich i nie narazić się w ten sposób rządowi. Wprawdzie powiadano, że przyczyną takiej decyzji miała być ta okoliczność, iż wiedziano jakoby z góry, że władze nie zatwierdzą wyboru *Tyszkiewicza*. Czy to prawda? myśmy wówczas temu nie wierzyli, wiedzieliśmy tylko, że brak odwagi cywilnej był stałą cechą ludzi owej doby. Tradycye wolności słowa zanikały powoli, każdy bał się, jak to powiadają, własnego cienia, myślano po niewolniczemu, powiadając, że trzeba przeczekać burzę, ona trwać wieki nie może, że „liberalny“ następca tronu daje gwarancję na lepszą przyszłość. W oczekiwaniu lepszych czasów zabawiano się kartami i przyjęciami uroczystymi. Marszałkowie wyprawiali szumne zabawy. Marszałek gubernialny *Osztorp* ugaszcział w majętności swojej, *Duhorze*, całe tłumy próżniacze. Marszałkowie powiatowi szli w ich ślady. Zdawało się, że przestano myśleć najzupełniej. Atoli i w owej smutnej dobie znaleźli się ludzie serca i rozumu, nawołujący do czynu; na czele ich stał *Emil Oskierko*. Próby jednak, dotyczące podniesienia oświaty i dobrobytu wśród włościan, napotkały na stanowczy opór władzy. Gubernator Siemionow nie śmiał przyjmować memoriałów, przedstawianych mu przez szlachtę, a tem mniej mógł myśleć o przesłaniu ich do ministra, wszystkie tedy projekty pozostawały na miejscu. Zarzucają niestuszenie, że nie próbowano czynić cokolwiek odnośnie do oświaty ludu; owszem, próbowano, lecz przeciwko takim próbom, jak i przeciwko towarzystwom trzeźwości, występowały władze miejscowe i groziły karami. Prawdziwi rusey ludzie widzieli we wszystkich projektach obywateli ziemskich, mających na celu dobro kraju, nie więcej, jak tylko czynność, skierowaną przeciwko rządowi, czyli „intrygę polską“, „kramolę.“ Zwątpienie, prawie rozpacz, ogarniała umysły wszystkich. „Wy nie śmiej-

cie myśleć, za was myśli rząd"—to było dewizą ówczesnej biurokracyi, to też dziwić się nie można, że musiano szukać pociechy w bezmyślnych zabawach, pijatykach i grze w karty; gromiono takie postępowanie, ale to niewiele skutkowało. Pamiętny jest dwuwiersz *Legatowicza*, wypowiedziany z okazji tragicznej śmierci marszałka *Osztorp'a*, który, przejeżdżając z córką swą, Sianożęką, przez most istic „litewski," runął z pojazdem i końmi do rzeczki i tu utonął. *Legatowicz* o tej katastrofie wyraził się jak następuje: „Śmierć *Osztorp'a* wywoła przemianę dość znaczną. Panowie pić przestaną, chlopi zaś jeść zaczną.“

W tym zarysie, bardzo zresztą niewyczerpującym, starałem się przedstawić charakterystykę owych czasów, gdyśmy byli w gimnazjum mińskim. Społeczeństwo mińskie nie było gorszem od innych, wydało ono ze swego łona ludzi ofiarnych, rozumnych, myślących. Naszemu społeczeństwu nie można czynić zarzutu, że było zaco fanem, według pojęć dzisiejszych. Gdyby nie ucisk szalony, gdyby nie demoralizacyjny wpływ sfer rządzących, Litwa stałaby na czele postępu, to jest rzeczą pewną. Uświadomienie społeczne wczesnie tu zawitało, a zarazem obudziło się tu i sumienie wszechludzkie. Wiara w możliwość uszlachetnienia własnym przykładem instynktów barbarzyńskich narodu nam pokrewnego, a nami rządzącego, zrodziła się w umysłach młodzieży owego okresu; w gimnazjum mińskim powstało towarzystwo, którego członkowie postawili sobie za zadanie: cnotą i miłością jednać nieprzyjaciół; *Korejwa*, *Szostowski*, *Lipnicki*, *Borzobohaty* i kilku innych starszych wiekiem kolegów, uczyli nas malców, że nie nienawiścią za nienawiść, lecz miłością bratnią walczyć nam wypada. Za hasło owego towarzystwa służyła dewiza francuska: „*L'amour pour principe, l'ordre pour base, le progrès pour but.*“

Wszystkie nasze czynności były stale skierowane ku prawdzie, ku sprawiedliwości, ku szczęściu całego społeczeństwa — partyjność, obłudę, oportunistę, staraliśmy się usunąć. Gorszyły nas zawsze przysłowiowe zdania poetów, wyrażające nienawiść plemienną w rodzaju następujących:

Nie wieru czesti igroka.
Lubwi k'Rassii Palaka!

albo:

Kto mi powie, że Moskale
Są to bracia nas Lechitów,
Temu pierwszy w łeb wypalę
Przed kościołem karmelitów!

Nie nienawiścią, lecz miłością goją się rany społeczne i narodowościowe — oto prawda, która powinna leżć w podwalinach rządów rozumnych. Gdyby władze dzisiejsze mogły pojąć, na czem polegają rządy rozumne, byłoby inaczej na świecie. Przez trzeźwość i przez cnotę a prawdę, wiedzie droga ku szczęściu, przewodnikiem po tej drodze jest miłość.

III.

Józefat Ohryzko urodził się w r. 1827, w ziemi Witebskiej, powiecie Lepelskim. Rodzice byli niezamożni. O ojcu, *Piotrze Ohryzko*, nie mam żadnych wiadomości, również nie wiem, czy miał jakiegokolwiek rodzeństwo. Sam *Józefat* kształcił się początkowo w domu rodzicielskim, pod kierunkiem nauczyciela, *Pióttucha*, który go przygotował do pierwszej klasy gimnazyalnej. W Lepelu wstąpił do szkoły powiatowej w r. 1837; skończył cztery klasy w r. 1841; następnie przeniósł się do gimnazjum w Mińsku Litewskim, tu przebył trzy lata, zdał maturę w r. 1844 z prawem do rangi 14 klasy. Podczas pobytu swego w szkole lepelskiej utrzymywał się, jakkolwiek dzieciak jeszcze, z korepetycyj, a następnie był nauczycielem dzieci w domu lektora języka niemieckiego tejże szkoły *P. Berkmana*. W Mińsku uczył dzieci w domu *Bardskiego* i *Siemieńkiewicza*, pierwszy z nich był sekretarzem w zgromadzeniu mińskich deputatów, drugi „strapczym“ gubernialnym. Ukończywszy kurs gimnazyalny, postanowił Ohryzko kształcić się na Uniwersytecie w Petersburgu; nie mając atoli żadnych środków pieniężnych, musiał rok cały zajmować się jeszcze guwernerką, nauczał w domu Bardskich i Łapickich: to też dopiero w r. 1845 przybył do stolicy Państwa, odbywając podróż całą przy transporcie towarowym, najawszy się za dozorcę. Po zdaniu egzaminu wstępnego do uniwersytetu, zapisał się na wydział prawny. W r. 1849 zdał egzamin na kandydata praw, przedstawiwszy rozprawę treści historyczno-prawniczej. W r. 1850 wstąpił do służby rządowej. Cały czas studyów na uniwersytecie utrzymywał się sam, dając lekcye prywatne po rozmaitych zakładach naukowych i przygotowując do egzaminów wstępnych; słynął przytem, jako doskonały nauczyciel. Będąc obdarzony od natury niezwykłemi zdolnościami, zwrócił, zaraz po wstąpieniu na służbę, uwagę na siebie przełożonych swoich i już w r. 1852 dostał posadę urzędnika przy komisji rewizyjnej, mającej na celu kodyfikacyę

praw dla Królestwa Polskiego; w tym samym roku zatwierdzony został w randze sekretarza kolegiального. W r. 1854 podniesiono go za „wzorową służbę“ do rangi Radcy tytularnego. W r. 1856 za dalszą „wzorową służbę“ zaszczycony był rangą Asesora kolegiального. W r. 1857 przeniesiono go na własną proźbę do departamentu spraw górniczych z tytułem młodszego naczelnika biura. W r. 1859 mianowany został Radcą dworu. W r. 1860 uzyskał za „wzorową i gorliwą służbę“ premium 400 rb. W r. 1861 przeniesiono go do departamentu nieściąłych podatków i ceł, a tegoż samego roku nagrodzono go premium 500 rub. W r. 1863 nadał mu minister Finansów prawa Wicedyrektora w oddziałach departamentów: II, III i V; tego samego roku mianowany Radcą kolegialnym, poruczone miał sobie zawiadywanie czasowym oddziałem ministerjum Finansów.

Takim jest przebieg karyery służbowej Józefata Ohryzki. Gorliwszego i świątelszego urzędnika, uczciwszego i moralniejszego człowieka znaleźć chyba trudno. Przed Ohryzką otwierało się szerokie pole działalności w ministerjum Finansów i niema żadnej wątpliwości, że po tej drodze postępując, przy swojej sumienności, pracowitości i zdolnościach pierwszorzędnym, zdołałby stanąć wysoko i oddać wielkie usługi społeczeństwu i Państwu. Odnośnie do Państwa, pragnął on rządów konstytucyjnych, a dla swej Ojczyzny — autonomii.

Osobista moja znajomość z Ohryzką datuje się od czasów syberyjskich. Poznałem go już wtedy, gdy wrócił z więzienia w Wiljusk i Jakucku, a także już i po przebytej ciężkiej chorobie tyfusowej. Pomimo cierpień długich, wyglądał jeszcze czerstwo, miał jednak wzrok osłabiony, a nadto jedno oko, mianowicie prawe, bolało go silnie i z tej racji przymróżał je zwykle. Charakterystykę jego fizyognomii i postaci z owego czasu podaję w następującym krótkim zarysie. Mam kopię z fotografii, zdjętej w zakładzie ziomka naszego, Zawalskiego, w Irkucku, roku 1883. Tę fotografię zawdzięczam łaskawej uprzejmości naszego towarzysza wygnania, wspólnego nam wszystkim przyjaciela, Henryka Wohla, którego też zabiegom i staraniom winienem, że jestem w posiadaniu dwóch relacyj o Józefacie, napisanych przez *Włodzimierza Spasowicza* i adwokata *Michała Kossowskiego*, obu szczerych przyjaciół Józefata i Henryka. Ohryzko był wzrostu wysokiego, mierzył około 180 cm.; budowę ciała miał silną i muskularną; czoło wysokie i szerokie; oczy głęboko osadzone jasno niebieskie, brwi nie gęste i nie ciemne; łuki brwiowe słabo zaznaczone; twarz długa, bez wystających kości policzkowych; nos prosty, duży, na

końcu nieco nabrzmiały, siodełkowato zagłębiony: wargi wąskie: zarost na twarzy mierny, ciemno-błąd, włosy na głowie były ciemniejsze od włosów. Wyraz twarzy zawsze poważny, wyjątkowo uśmiech, nieco ironiczny rozjaśniał powagę, lica pozornie chłodne i obojętne. W rozmowach nie zapalał się nigdy, nie lubił sporów, wypowiadał zdania krótkie, prawie lakoniczne: był namiętym palaczem tytoniu, trunków alkoholowych nie znośił.

Wrażenia, jakie odbierałem w obcowaniu z Ohryzką, były zawsze dodatniej natury: widziałem w nim człowieka, w którego sercu uczucie miłości Ojczyzny brało zawsze przewagę nad innymi. Ciasny egoizm, dbałość o dobrobyt osobisty, nie był ani na chwilę celem jego życia. Co miał, tem się chętnie i po koleżeńsku dzielił z innymi. Znaczną część swego mienia oddawał na cele patryotyczne, skoro zaś nadszedł moment stanowczy, umiał poświęcić swoje stanowisko, swoją świetną karierę urzędniczą i samego siebie dla sprawy, którą uznał za słuszną i świętą.

W codziennem życiu i w zawodzie urzędniczym był uczciwości nieposzlakowanej. Wszelką korupcją, każdym kłamstwem brzydził się i prześladował je, tak na urzędzie, jak też i po za nim. Wierzył w możność wpływów dobrego przykładu na otoczenie. Uspodobienia realistycznego, a jednak był marzycielem; ale czy marzył o wpływowem stanowisku, czy pragnął odszukać bogate pokłady złota w kopalniach przez siebie eksploatowanych—zawsze celem jego jedynym było—zyskać środki potrzebne dla działalności w kierunku altruistycznym, patryotycznym i wszechczłowieczym.

IV.

Oddaję z kolei głos ś. p. Wł. Spasowiczowi, kładąc poniżej w całości skreślone przez niego w 1901 r. w Petersburgu: „Moje wspomnienie o Józefacie Ohryzko.“ Rzecz prosta, wobec zasadniczych różnic w poglądach naszych, stojąc poniekąd na przeciwnym biegunie, podaję pismo Spasowicza, według jego życzenia, w całości, jako materiał historyczny, pozostawiam mu też odpowiedzialność za podane w niem szczegóły:

„Żyliśmy ja i Ohryzko na stopie ścisłej przyjaźni, począwszy od wspólnych studyów na uniwersytecie w Petersburgu (1845—1849). Wprawdzie znaliśmy się i wcześniej, uczęszczając do jednego gimnazjum w Mińsku Litewskim, lecz nie będąc kolegami jednoklasowymi, nie zabieraliśmy bliższej ze sobą znajomości. Ojciec mój,

Daniel Spasowicz, doktor medycyny uniwersytetu wileńskiego, gdzie ukończył studia w r. 1823, gdy wrócił do miasta rodzinnego, zajął posadę w zarządzie zdrowia i był już podówczas (1841—1844) naczelnikiem tego zarządu (Naczelnik wraczebnoy uprawy ¹⁾). Rodzice moi wiedli dom otwarty i bardzo gościnny. Do rządu rodzin z nami zaprzyjaźnionych należała rodzina Bardskich. Ludwik Bardski ²⁾, głowa rodziny, pełnił czynność sekretarza przy tak zwanej „wywodowej kancelaryi szlacheckiej“ (Mińskoje depu-

¹⁾ Znałem osobiście dr. D. Spasowicza, był on naszym lekarzem oficjalnym w internacie rządowym, noszącym miano „Minskij blagorodnyj pansion,“ gdzie rok cały przebyłem, będąc uczniem trzeciej klasy. Dr. Spasowicz odwiedzał nas w czasie choroby. Jako człowiek, był lubiany, ale jako lekarz, nie miał reputacyi. Będąc urzędnikiem rządu rosyjskiego, zmuszony był utrzymywać stosunki ze światem urzędniczym, przyjmować u siebie i gościć: prokuratora, wicegubernatora, a niekiedy i samego gubernatora, półkownika żandarmów etc. Ci, którzy unikali stosunków towarzyskich z ludźmi, traktującymi z całą pogardą możebną obywateli miejscowych, nie bywali w domu dr. Spasowicza, gdzie panowała zwykle dwujęzyczność, a z nią razem i dwumyślność i nieszczerłość. Ojciec dr. Daniela był dyakonem przy cerkwi unickiej; syna zdolnego i pracowitego, po ukończeniu gimnazjum wysłane kosztem miasta na uniwersytet wileński. Zarzucali niektórzy, najzupełniej niesłusznie, że dr. Spasowicz przyjął sam dobrowolnie prawosławie, gdyż mógł pozostać katolikiem. Otóż mogę stanowczo oświadczyć, że pozostać katolikiem on nie mógł, albowiem dosyć było donieść, że ktoś był ochrzczonym przez księdza unickiego, ażeby zmusić go do przyjęcia prawosławia. Miałem kolegę, Antoniego Sankiewicza w Dorpacie, którego brat starszy pozostał katolikiem, bo go chrzczył ksiądz katolicki, zaś dwaj młodsi bracia, ponieważ ochrzcił ich ksiądz unicki, byli zmuszeni przyjąć prawosławie. Rodzinę raz zapisaną, jako prawosławną, gdyby chciała wylamać się z pod tego zapisu, zsyłano na Sybir. Kolegę dorpackiego, Pańkowskiego, zmuszano nawet na uniwersytecie do uczęszczania do cerkwi. Zarzuty tedy czynione, jak powiedziałem, dr. Spasowiczowi, były niesłuszne. Gdy dr. Spasowicz wrócił z Wilna, ożeniono go z wychowanką marszałkownstwa *Osztorpów*, neofitką, wykształconą w domu katolickim, wielce gorliwą katoliczką, dobrą i szlachetną Polką; kobieta to była bardzo zacna i patriotyczna. Żyła w ścisłej przyjaźni z domami arystokratycznymi *Horwattów*, *Sianożęckich*, *Bohdaszewskich* etc. Arystokracja miała zawsze tendencje ugodowe; jej nie raziło, że w domu Spasowiczów panowały dwie religie (córki były katolickie, synowie prawosławni), dwa języki, polski i rosyjski i dwie tendencje, jedna ugodowa, druga „czysto polska.“ ta ostatnia przemogła poczęści w dzieciach, które poszły w ślady matki.

²⁾ Ludwik Bardski miał pięciu synów, dwóch najstarszych wysłał na uniwersytet do Kijowa, dwaj średni: *Stanisław* i *Ludwik* byli w gimnazjum, gdy m przybył do 3-ej klasy. Najmłodszy uczył się w domu, nauczycielem je-

tatskoje sobranie), miał on kilku synów, z których trzech starsi uczęszczali do gimnazyum w Mińsku. Nauczycielem tych synów był *Ohryzko*, o lat parę starszy odemnie. Urodzony, o ile pamiętam, w r. 1827, pochodził on z rodziny szlacheckiej powiatu Lepelskiego, gub. Witebskiej. Ojcu jego było na imię *Piotr*. Podczas pobytu Józefata w Mińsku, mieszkał on w domu Bardskich, był niezamożny, utrzymywał się z guwernerki; gdy ukończył gimnazyum w r. 1844, nie miał środków, potrzebnych na wyjazd do Petersburga, musiał tedy pozostawać jeszcze rok cały nauczycielem, ażeby w ten sposób zapewnić sobie możność wyjazdu. O rodzinnych stosunkach Ohryzki nie mam bliższych wiadomości, wiem tylko tyle od niego samego, że rodzice byli niezamożni. W późniejszym czasie, około r. 1890, bawiąc w *Syzeraniu* nad Wołgą, w Symbirskiej gubernii, dowiedziałem się, że mieszka w okolicy właściciel ziemski, zamożny, *Ohryzko*, i że ma kredyt znaczny w miejscowej filii banku „Wołżsko-kamskiego.“ Następnie poznałem go osobiście, pochodził on, tak jak i Józefat z Lepelskiego i również, jak ten ostatni, był z domu niezamożny, lecz własną pracą doszedł do majątku znacznego, kupił dobra ziemskie nad Wołgą. Po polsku nie mówił.

„Z Józefatem spotkałem się w Petersburgu w sierpniu r. 1845, przygotowywaliśmy się razem do egzaminu wstępnego na uniwersytet. Po egzaminie zapisaliśmy się na wydział prawny. Mieszkałiśmy blisko siebie, ja na ulicy zwanej „Prospektem Angielskim“ w Kołomnie, zaś Józefat w domku drewnianym przy ulicy zwanej „Rotą trzecią pułku Izmaiłowskiego“; on miał stancję darmo, ale za to przygotowywał dzieci biednej wdowy do szkół. Pędziliśmy życie najzupelniej odosobnione, nie znaliśmy nikogo, nie zawiązywaliśmy żadnych znajomości, ale ze sobą zawarłiśmy przyjaźń na całe życie, przyjaźń opartą na wzajemnem zaufaniu. Ohryzko posiadał umysł jasny, trzeźwy, pozytywny, bez wszelkiej skłonności do marzycielstwa poetyckiego, był gorącym patriotą polskim, wszakże nie stronił od Rosyan, przeciwnie, znajdował się z nimi w późniejszych życia kolejach.

go był *Korejca*. Córka Bardskich, *Antonina*, kształciła się na artystkę, posiadała niezwykle zdolności muzyczne, umarła bardzo wczesnie. Cała rodzina Bardskich odznaczała się muzykalnością dziedziczną. Kolega mój z jednej klasy, *Ludwik*, zastąpił później jako pianista, występował z koncertami i towarzyszył wiolonczeliście, *Kossowiczowi*, przy jego podróżach koncertowych po Europie.

„Cały rok szkolny 1845/46, pracując czy to na uniwersytecie, czy w domu, żyliśmy daleko od świata. Był to czas pamiętny, bo obfity w wypadki tragiczne, rok rzezi galicyjskiej, wywołanej skutkiem szczucia chłopów na szlachtę przez rząd austriacki.

„Jesienią r. 1846 rozpoczął się wśród młodzieży uniwersyteckiej ruch nowy, przed tem nieznanym. Ruch umysłowy na tle mistyczno-patryotycznym. Inicytorem i apostołem tego ruchu był Zygmunt Sierakowski, wołyński, przybyły z gimnazjum żytomierskiego; on wstąpił jednocześnie z nami do uniwersytetu.

„Wszystcyśmy byli tego przekonania, że pierwszym naszym obowiązkiem było umoralnienie siebie, drugim z kolei obowiązkiem była praca nad usamowolnieniem i oświeceniem ludu. Chodziło nam tedy głównie o to, ażeby się połączyć wszystkim, bez względu na przekonania polityczne, pod hasłem wzniosłej idei braterstwa ludów. Sądziliśmy, że gdy nastąpi odrodzenie się inteligencji w jednym duchu — ludzi dobrej i rozumnej woli — pod wpływem młodego pokolenia, wtedy praca dalsza już będzie łatwą. Otóż mieliśmy zadanie odrodzenia i umoralnienia młodzieży, w ton pieśni wielkich naszych wieszczów z czasów romantyzmu: z pomiędzy nich wybierając, stawiliśmy na pierwszym miejscu Zygmunta Krasińskiego. Uszlachetnić siebie, podnieść się do ideału wzniosłego apostołów wolności, sprawiedliwości i miłości wszechludzkiej — było programem dla wszystkich nas.

„Sierakowski połączył w jedno koło całą młodzież polską, nie tylko uniwersytecką, lecz i wychowawców wszystkich zakładów naukowych stolicy, rozciągnął on nadto działalność swoją i na uczniów korpusów kadeckich, na klasy oficerów i inne zakłady wojenne. Naraz ustały pijatyki, hulanki, a na ich miejsce myśli wzniosłe, altruistyczne wypełniły duszę młodzieży.

„Zbieraliśmy się po osób kilkadziesiąt, nasz entuzjazm do nauki był szczery, przybierał atoli niekiedy cechę zachwytu mistycznego, ale to go czyniło właśnie podniosłym i poetycznym. Ten stan rzeczy trwał do r. 1848-go. W trakcie naszych zajęć, zmierzających ku urzeczywistnieniu marzeń, nastąpiła rewolucya lutowa, biorąca swój początek we Francyi (1848). Owa rewolucya stała się poniekąd sygnałem dla najgorętszych z nas, by wyruszyć na pole czynnej, otwartej działalności, ażeby wziąć udział w walce o wolność ludów.

„Rosya była podówczas ową martwą skalą, o którą rozbijały się fale pochodu rewolucyjnego, wszelka działalność nasza otwarta, na miejscu prowadzona, byłaby bezskuteczna, bo nawet już cięcha, pokryjoma, dała w roku 1847 powód policyi do aresztowań.

Na wiosnę 1848 r. został aresztowany Sierakowski, gdy próbował przedostać się do Galicji, w okolicach Poczajowa; sądzono go i wysłano za karę, jako prostego żołnierza, do wojska, konsystującego na wybrzeżach morza Kaspijskiego. Większa część naszego koła pozostała na miejscu, ale straciwszy przywódcę, tego genialnego organizatora, tego niezrównanego łącznika różnych elementów, rozpadliśmy na grupy już istniejące przed skupieniem. Młodzież zamożniejsza, nieco hulaszcza, stanowiła jedną grupę, drugą tworzyli t. zw. „purytanie,” trzecią osobistości, oddane nauce. Ohryzko nie brał udziału w życiu towarzyskiem; nie mając żadnych środków do życia, musiał cały czas wolny od nauki poświęcać lekcjom prywatnym. Ukończyliśmy z nim razem jednocześnie nasze studia uniwersyteckie w r. 1849, właśnie w chwili największej i najsroźszej reakcji politycznej w Rosyi. Rząd triumfujący nad pokonanym „burzycielem spokoju europejskiego“ — Węgrem, tępił u siebie w domu każde, nawet najmniejsze, objawy liberalizmu i demokratyzmu. Ten nad wyraz ciężki okres panowania Mikołaja I trwał do czasu pokoju paryskiego, do r. 1856. Objęcie rządów przez Aleksandra II nadało nowy kierunek myślom, wszyscy czuli potrzebę reform, chwycono się prawie gorączkowo do przeprowadzenia projektu uwłaszczenia włościan, ten projekt był gorąco popierany przez młodzież wszystkich grup naszego koła.

„Po ukończeniu studyów pozostaliśmy ja i Ohryzko w Petersburgu, każdy z nas jednak szedł po innej drodze, ja wstąpiłem do służby jako urzędnik sądowy, następnie jako nauczyciel w zakładach wojennych naukowych, nakoniec jako początkujący prelegent na uniwersytecie w Petersburgu. Ohryzko już w roku 1850 wstąpił do służby rządowej i szedł prędko koleją awansów na coraz wyższe stanowiska, uznawany powszechnie za zdolnego, pracowitego, sumiennego i szlachetnego człowieka. Obok służby rządowej znalazł prywatne zajęcie w zarządzie dóbr i interesów niezwykle bogatego i przemysłowego „Domu Demidowych,” mającego ogromne fabryki, liczne kopalnie na Uralu i niezmiernie obszary posiadłości ziemskich. W „Domu Demidowych“ był on nie tylko prawnym zastępcą, lecz i wysoko cenionym przyjacielem całej rodziny.

„Główną osobą w owym domu była pani *Aurora*, wdowa po *Demidowym*, matka nieletniego syna księcia „*San Donato*“ we Włoszech; poślubiła secundo voto *Karamzina*, syna historyka rosyjskiego, sławnego ze swej nieprzyjaźni do Polaków. Wychowanie swego syna nieletniego, Anatola, powierzyła p. *Aurora* utalento-

wanemu rosyjskiemu uczonemu *Kastyłowowi*, który, mieszkając u Karamzinów, zawarł ściśle przyjazne stosunki z *Ohryzką*; zmarł on przedwcześnie i można powiedzieć, że skonał na rękach *Ohryzki*. U łóża śmierci *Kastyłowa* poznał się *Ohryzko* z serdecznym przyjacielem umierającego, byłym prof. uniwersytetu moskiewskiego, *Konstantym Kawelin'em* i odtąd pozostawał z nim na stopie serdecznej przyjaźni. Moją znajomość z *Kawelin'em* zawdzięczam *Ohryzce*. Zawiązany stosunek z *Kawelin'em* wywarł wpływ ogromny na całe życie moje i życie *Ohryzki*, a zarazem i na nasz sposób myślenia. W skutek stosunku naszego wywiązało się szczerze, przyjacielskie obcowanie pomiędzy Polakami i Rosyanami postępowymi. Po raz pierwszy może od początku istnienia obu walczących ze sobą narodów, zbliżyły się stronnictwa i podały sobie rękę do wspólnej akcji, mającej na celu dobro społeczeństwa i rozpoczęły czynność, na razie w zakresie usamowolnienia włościan.

„Marzenia o możności odbudowania Polski ręką przychylnego dla nas Monarchy, marzenia, które miały miejsce za życia Cesarza *Aleksandra I-go*, musiały ustąpić wobec doświadczenia nabytego, bo przekonano się, że egoizm narodowy rosyjski na takie odbudowanie nigdy nie pozwoli. Liczyć znowu na pomoc obcych rządów, było również marzeniem nieziszczalnym. To też z marzeń tego rodzaju i z mistycznych rojeń, któreśmy przebyli w roku 1847, wyleczyć się musieliśmy radykalnie. Ani trony niebieskie, ani ziemskie nie przyjdą nam w pomoc, musimy liczyć tylko na własne siły — głównie na nasze siły duchowe; nie cudów, lecz pracy nam potrzeba. Wskutek chłodnej rozwagi i w skutek długich debatów w zakresie bratniego pojednania i zgodnego współżycia dwóch pokrewnych narodów, przyszliśmy do zasadniczych, wspólnych programów działalności.

„Jakkolwiek nie wszystkie poglądy *Kawelina* trafiały do przekonania *Ohryzki*, jednak różnica w zdaniach nie wpływała nigdy w najmniejszej mierze na zmianę przyjaznych naszych stosunków, z tym najszlachetniejszym i najzacniejszym mężem nauki.

„Poglądy *Kawelina* na stosunek Polaków do Rosyan i na program działalności ugodowej obu bratnich narodów, na które przystawał *Ohryzko*, dają się streścić w następującem: Pierwszym warunkiem zgody dwóch narodów powinno być równouprawnienie najpełniejsze we wszystkich kwestjach kulturalnych. Otóż uznanie kultury polskiej i pielegnowanie jej na równi z kulturą rosyjską powinno być pierwszym zadaniem rządu. Ze strony Polaków nie powinno się nigdy uciekać do zbrojnego powstania, każde po-

wstanie, wobec przeważającej siły fizycznej ze strony Rosyi, jest samobójczą próbą: taka próba zniewolić musi rząd i naród rosyjski do walki, w której strona fizycznie silniejsza zwycięży najniezawodniej, przy czem obie strony, wskutek barbarzyństwa samego już procesu walki, cofnąć się muszą wstecz o całe wieki. Zbliżenie nastąpić musi, ale dopiero wtedy, gdy skrajne stronnictwa reakcyjne i rewolucyjne zostaną usunięte na stronę, a to przez silny związek żywiołów umiarkowanych, kierujących się rozsądkiem, sprawiedliwością i altruizmem.

„*Kawelin*” wybrany został na prof. prawa cywilnego na uniwersytecie w Petersburgu w roku 1857. Namówił on i mnie, w roku 1858, do wejścia w skład docentów tegoż uniwersytetu a następnie poparł swoim wpływem kandydaturę moją na katedrę prawa karnego. Również ułatwił on *Ohryzce* przeniesienie się do ministerjum finansów. Za jego też poradą i namową powstał projekt założenia w Petersburgu czasopisma polskiego „*Słowa*.” Czasopismo rzeczone zaczęło wychodzić z początkiem roku 1859, regularnie dwa razy na tydzień, zaś co miesiąc wydawano jeszcze spory zeszyt dodatkowy. „*Słowo*” zyskało od samego początku znaczną ilość prenumeratorów, stąd też miało zapewnione powodzenie.

„Redaktorem, a zarazem wydawcą był *Ohryzko*, sam jednak artykułów nie pisywał, będąc ciągle zajęty pracą biórową i zastępstwem prawnem swoich klientów. Dla drukowania czasopisma założył osobną drukarnię. Ażeby objaśnić źródło, skąd czerpał *Ohryzko* środki na tak wielkie przedsięwzięcie, potrzebne dla założenia drukarni, będąc sam niezamożny, konieczną jest rzeczą przywieść tu szczegóły niektóre, odnośne do tej kwestyi:

„Podczas wojny wschodniej w roku 1854-tym mąż p. *Aurory*, dymisjonowany pułkownik *Karamzin*, wstąpił ponownie do armii czynnej, brał udział w wojennych operacjach na Wołoszczyźnie i zginął podczas jednej z potyczek, nieopodal od miejscowości zwanej „*Płoszti*” i tam był pochowany wraz z innymi Rosyanami, poległymi w tej potyczce. *Ohryzko*, uproszony przez p. *Aurorę*, podjął się podróży na Wołoszczyznę, ażeby odzyskać zwłoki zabitego *Karamzina* i sprowadzić je do Petersburga. Wyprawa *Ohryzki* uwieczniona była rezultatem pomyslnym. P. *Aurora* wdzięczna za tę usługę, wyświadczoną przez *Józefata*, podówczas pełnomocnika i prawnego doradcy domu *Demidowych*, a nadto przyjaciela rodziny całej i ś. p. pułkownika, a wiedząc przytem już z ust *Kawelina*, że *Ohryzko* nosił się z myślą wydawnictwa czasopisma, zaproponowała mu sama pożyczkę znacznej sumy pieniężnej.

„*Ohryzko* otrzymawszy środki, potrzebne dla urzeczywistnienia swoich marzeń, wyjechał w roku 1858 za granicę, zwiedził Warszawę, Kraków, Wrocław, Poznań, Berlin, Brukselę i Paryż, zapoznał się ze wszystkimi wybitniejszymi osobistościami w świecie literackim, poznał emigrantów, zawiązał stosunki obszerne, zwerbował licznych korespondentów, a wróciwszy z podróży postawił wydawnictwo na stopniu jednego z najlepszych czasopism polskich. Zdaje mi się, że do niezwykłego powodzenia „*Słowa*“ przyczyniła się i sama idea programowa, mianowicie pojednanie dwóch narodów bratnich, które idąc zgodnie ku celom wzniosłym, szlachetnym, daliby przykład zbratania wszechczłowieczego innym narodom.

„Szereg współpracowników o wybitnych talentach pisarskich i sławie europejskiej, pozyskany przez *Ohryzkę*, obiecywał świetne losy dla czasopisma: dosyć tu wspomnieć, że uczeni tacy jak *Karol Szajnocha*, *Antoni Małeckci* etc., przyrzekli swoje współpracownictwo, zresztą można powiedzieć, że *Ohryzko* nie pominął ani jednego z ludzi ówczesnej nauki, złączył ich, jakkolwiek różnych pod względem przekonań, w jedno koło, pod godłem dobra ojczyzny i wszechczłowieczeństwa. Miejscowa redakcyja liczyła w swoim składzie pracowników następujących: *A. Białeckci*, sprowadzony z Poznańskiego, *Prof. Antoni Czajkowski*, *Baltazar Kalinowski*, *Juljusz Rechinowski*, *Zygmunt Sierakowski*, przybywający z Orenburga, *Edward Zeligowski*, wracający po długim wygnaniu z Pietrozawodzka i imi. Oprócz tego do składu redakcyi wchodził i inni członkowie korespondenci, mieszkający po za obrębem miasta: mieli oni głos doradczy: w ogóle postanowił *Ohryzko* trzymać swoje czasopismo na wyżynach bezpartyjności i po za granicami fanatyzmu, czy to społecznego, czy klasowego, czy też religijnego, albo politycznego; prawda szczerą była celem redakcyi.

„Wydawnictwo, rokujące tyle dobrego dla ludzkości, dla państwa i dla naszego społeczeństwa trwało jednak nie długo; ukazał się tylko jeden zeszyt dodatkowy styczniowy i 15 N^o samej gazety. Po piętnastym numerze, z dnia 21 lutego 1859 r., na wyraźne żądanie namiestnika Królestwa Polskiego, *ks. Gorczakowa*, po skonfiskowaniu numeru rzeczzonego, zasuspendowano wydawnictwo, pod zmyślnym pretekstem, że powodem do konfiskaty było ogłoszenie pisma „byłego członka rządu narodowego z roku 1831-go, *Joachima Lelewela*,” do wydawcy. W owem inkryminowanem piśmie, czyli w kilkuwierszowym liście naszego sławnego historyka, adresowanym do redakcyi, nic więcej nie było, nad życzenie „*Szczęść Boże*“ redakcyi i króciutkie usprawiedliwienie, że

z powodu wieku podeszłego, udziału w pracach naukowych brać nie może. Wprawdzie redakcyja wypowiedziała gorącą podziękę i za tych kilka wierszy listu, którym zaszczycił czasopismo, wielbiony przez świat cały naukowy Lelewel, przyczem redakcyja wyraziła przy tej podzięce myśl, że jakkolwiek nie może się jeszcze szczyścić żadną zasługą przed narodem i ludzkością, ale bierze na siebie obowiązek zapełniać łamy czasopisma takimi pracami, które byłyby godne stać obok imienia, jednego z najbardziej zasłużonych, wielkich mężów nauki i najszlachetniejszego, najenotliwszego członka naszego społeczeństwa, następnie prosiła redakcyja o błogosławieństwo na dobrą drogę życia i pracy.

„Gdyby kto chciał zrobić zarzut i oświadczył, że redakcyja nie powinna była nazywać uczonego mianem wielkiego i zasłużonego męża nauki, albowiem policya rossyjska przed pół wiekiem miała o nim inne zdanie, to na ten zarzut odpowiedzieć musimy, że cenzura nie widziała w tej nazwie nic zdrożnego, ani w liście Lelewela nic niebezpiecznego dla spokoju Państwa, skoro podpisała 20 lutego na manuskrypcie, oddanym do cenzury „wolno drukować,“ a zaś starszy cenzor *Oberts* podpisem swoim stwierdził to pozwolenie.

„Nie tutaj też szukać należy przyczyny zawieszenia wydawnictwa; była inna racya, niemająca żadnego związku z pismem Lelewela; tę rację osłonięto dyskretnie tajemnicą, a jej to zawdzięczać winniśmy, że zniszczono bezprawnie wydawnictwo w samych jego początkach, bez żadnej zgoła winy ze strony redakcyi. Na „Słowie“ wywarto zemstę za wszystkie anormalne stosunki i powikłania społeczne w Królestwie Polskiem, będące rezultatem niedołącznych, brutalnych i barbarzyńskich rządów satrapów. Te rządy doprowadziły do katastrofy w roku 1861 i do następstw, nieszczęśliwych w swoich skutkach, w roku 1863.

„Słowo“ uśmierciła „kwestya żydowska,“ zrodzona w Warszawie i namiętnie kultywowana przez poczuwających się na siłę, dzięki niebezinteresownej protekcyi namiestnictwa „polakow moźeszowego wyznania.“ Ci mając przeciwnika w osobie *Lesznowskiiego*, redaktora „Gazety Warszawskiej,“ nie przebierającego w środkach do walki, ani liczącego się z obelżywymi wyrażeniami, szli z nim do boju krytymi drogami. Cały przebieg intrygi, w skutek której poległo „Słowo,“ podany został i opisany dokładnie ze znajomością rzeczy, przez Z. L. S., w historii dwóch lat, T. I, str. 243—260. Krótką treść tego opisu podaję poniżej:

„Siostry Neruda, Czeszki dawały koncert w Warszawie, a jakkolwiek słyneły jako biegle artystki, sala koncertowa świe-

ciła pustkami: na koncercie nie zjawił się ani jeden Polak wyznania mojżeszowego. Lesznowski dostrzegł w tej abstynencji umyślną demonstrację i obwiniał w sposób obelżywy Żydów warszawskich, powiadając, że Żydzi protegują tylko artystów Żydów. Ci słusznie obrażeni dali artykułowi Lesznowskiego, najnieśluszniej rozgłos europejski; z drugiej strony Namiesnictwo wydało rozkaz najbardziej surowy cenzorom warszawskim, ażeby o zajęciu pomiędzy Żydami i Lesznowskim nie pozwalali nic drukować. Rozkaz ten wszakże nie był zakomunikowany urzędowi cenzury po za granicami Królestwa Polskiego. Żydzi przenieśli polemikę swoją do czasopism zagranicznych, obwiniając całe społeczeństwo o nietolerancję i o prześladowanie wyznawców religii mojżeszowej. Owe czasopisma korzystając z każdej sposobności, ażeby lżyć naród przez Niemców znienawidzony, wzięły gorąco stronę Żydów w obronę i drukowano obszernie artykuły o fanatyzmie Polaków, artykuły te cenzura przepuszczała, czytano je w Warszawie. Lesznowski nie mogąc nic odpowiedzieć na zarzuty mu czynione w gazetach zagranicznych, prosił Ohryzkę o umieszczenie jego odpowiedzi w łamach „Słowa.“ Ohryzko postąpił nieogłędnie zgadzając się na umieszczenie odpowiedzi Lesznowskiego, wszakże poddał ją ocenie cenzury, która ze swej strony nie znalazła nic, coby mogło obrażać drażliwość żydowską, lub zamącić spokój państwowy. Wydrukowaniem atoli artykułu rzeczzonego wystawił Ohryzko siebie i czasopismo na złość i zemstę możnej wówczas partii żydowskiej w kraju, a szczególnie z racji, że wielkorządca Gorczakow czuł się osobiście obrażonym, sądząc że zrobiono to umyślnie na przekór jego woli. Wprawdzie Generalgubernator niebyłby wcale wiedział o artykule, gdyby nie okoliczność, że właśnie podówczas bawił on w Petersburgu i miał przy swoim boku, jako zaufanego doradcę, naczelnego prokuratora departamentów warszawskich, *Enocha*, żyda z pochodzenia, ten ostatni został powiadomiony o artykule, drukowanym w „Słowie.“ *Enoch*, dowiedziawszy się o tem strasznym przestępstwie ze strony redakcyi, pośpieszył do *Gorczakowa* z relacją, że Polacy petersburscy ufni w protekcyę miejscowe nic sobie nie robią z rozporządzeń Namiesnictwa i jakby na kpiny drukują po gazetach tutaj rzeczy zabronione przez najwyższe władze w Królestwie. Gorczakow rozwścieczony udał się natychmiast osobiście do Cesarza, przedstawił mu całą sprawę w takim świetle i w tak krzyżujących barwach, że z niej zrobił nie mniej ani więcej, jak kwestyę gabinetową, przyczem błagał Cesarza o „przykładne“ ukaranie przestępcy *Ohryzkę*, artykuł bowiem miał grozić najmniej spo-

kojowi Państwa, jeżeli nie całej Europy. Cesarz uwierzywszy w ową relację, w tejże chwili podpisał wyrok na czasopismo i na redaktora, pierwsze rozkazał zamknąć na zawsze; drugiego zamknąć na miesiąc w twierdzy Pietropawłowskiej.

„Przyjaciele Ohryzki wnieśli prośbę do Cesarza o ulaskawienie wydawcy „Słowa.” Tę prośbę podpisaliśmy wszyscy współredaktorowie czasopisma, prosiliśmy o uwolnienie Ohryzki z twierdzy, dokąd go natychmiast odwieziono i o pozwolenie wznowienia wydawnictwa. Prośbę przedstawił osobiście Najjaśniejszemu Panu generał *Jakób Bażawcow*, przyjaciel Ohryzki. Cesarz uwolnić kazał uwięzionego redaktora, ale prawa na dalsze wydawnictwo odmówiono. *Ohryzko* po uwolnieniu powziął myśl szczęśliwą, ażeby ofiarować prenumeratorom, tym mianowicie, którzy się na to zgodzą, zamiast zwrotu prenumeraty—przedruk „*Volumina legum*”. Przedruk był starannie wykonany w roku 1860 pod korektą *Antoniego Białeckiego*. Załatwiwszy się z prenumeratorami, *Ohryzko* sprzedał drukarnię swoją aptekarzowi *Ferdynandowi Suszczyńskiemu*, Polakowi wyznania prawosławnego, (dzisiaj ta sama, jakoby, drukarnia służy największemu naszemu nieprzyjacielowi, redakcyi gazety: „*Nowoje Wremia*,”) a otrzymane ze sprzedaży pieniądze zwrócił p. *Aurorze Karamzinowej*. Zamknięcie w fortecy nie pociągnęło za sobą żadnych złych skutków dla karyery służbowej *Ohryzki*.

„W latach poprzedzających jego obwinienie, którego skutkiem był areszt, następnie wywiezienie do Wilna, oddanie w ręce osobistego jego nieprzyjaciela *Murawjewa*, osądzenie na powieszenie, ulaskawienie i zsyłka do ciężkich robót w kopalniach syberyjskich, Ohryzko pełnił urząd wicedyrektora w departamencie niestałych podatków w ministerjum finansów. Byłby on niezawodnie awansował na wyższe posady, miał bowiem wszystkie kwalifikacye, konieczne na kierownika sprawami finansowemi przy opinii najpochlebniejszej, jako członek nieposzlakowanej prawości charakteru. W ciągu tych lat ostatnich nie był ani razu w Warszawie, jak to przewrotnie twierdzą jego biografowie urzędowi.

„Pozostaje mi jeszcze tylko na dokończenie przedstawić, w jaki sposób Ohryzko został obwiniony o branie czynnego udziału w sprawie ostatniego naszego powstania.

„Rewolucyjny okres w dziejach Królestwa Polskiego datuje od 15 (27) lutego 1861 roku, czyli od dnia wielkiej manifestacyi ulicznej, gdy padło pięć ofiar niewinnych od strzałów wojska rosyjskiego. Spędziłem za czasów rządów Wielopolskiego dwa miesiące w Warszawie, pierwszy raz latem 1861, po raz drugi latem 1862. W czasie ostatniego pobytu byłem obecny przy wjeździe

do Warszawy W. ks. Konstantego. Przyjrząwszy się zblizka szybkim postępowi organizacyi rewolucyjnej, przyszedłem był do przekonania, że ruch raz wszczęty wieść musi szybko do wybuchu i że powstanie nastąpić musi niechybnie. To moje przekonanie wypowiedziałem otwarcie we wrześniu 1862 roku ministrowi *Hołowninowi*, gdy się ten wypytywał o sprawy, dotyczące Królestwa Polskiego; temi sprawami zajmował się *Hołownin* bardzo żywo, raz jako przyjaciel Wielkiego ks. Konstantego, drugi raz, jako wielce życzliwy dla Polaków.

„Powstanie wybuchło w lutym 1863 roku, wskutek niefortunego rozporządzenia Wielopolskiego, mającego na celu usunięcie żywiołów rewolucyjnych z kraju, przy pomocy „branki“ rekrutkiej. Nikt z moich znajomych, również jak i ja sam, a także i Ohryzko, nie wierzyliśmy w powodzenie powstania, w skuteczność tego kroku rozpaczliwego i raczej uważaliśmy powstanie za klęskę; jakkolwiek z drugiej strony czuliśmy, że ono było koniecznym rezultatem niestosownych rządów. Pomiedzy zapatrywaniem mojem a Ohryzki na dalszy proces rozwoju powstania, zachodziła jednak różnica znaczna. Opierając się na własnych obserwacyach, poczynionych w czasie mojego pobytu w Warszawie, byłem przeświadczony o całkowitej nicości organizacyi t. zw. „białych“, następnie o fałszywej taktyce rządów ówczesnych, a zarazem o próżnych marzeniach, odnośnie do interwencyi obcych mocarstw w sprawie polskiej. Ohryzko przeciwnie, wierzył w skuteczną działalność białych i w politykę „hotelu Lambert’a“ i jego dyplomacyę, która rachowała na konieczną interwencyę trzech mocarstw: Francyi, Anglii i Austrii. Te państwa zwracały się wprawdzie dwukrotnie z notami dyplomatycznemi do rządu rosyjskiego, pierwszy raz po amnestyi z 12 kwietnia 1863 r., drugi raz w czerwcu 1863 r., lecz odpowiedź ministra Gorczakowa z 13 lipca 1863 roku, położyła koniec całej akcyi dyplomatycznej.

„W najtrudniejszym położeniu znaleźli się po wybuchu powstania oficerowie Polacy, służący w czynnej armii rosyjskiej. Rząd sam pojmował, że oficerowie Polacy walczyć przeciw swoim braciom powstańcom nie mogą, to też pobłażał tym, którzy wnosili prośbę o dymisyę, chociaż wiedział, że zamierzali wstąpić w szeregi powstańcze. W takiej fatalnej pozycyi znalazł się i Sierakowski. Inni nie wojskowi, którzy jak ja byli przeciwnikami zbrojnego powstania, mieliśmy straszny dylemat przed sobą. Wstrzymać biegu rzeczy nie byliśmy w stanie. Rzucić się natomiast dobrowolnie w otchłań zguby koniecznej, bronił wprost instynkt samozachowawczy. Tylko ci, którzy pokładali nadzieję

w interwencyę zagraniczną, albo mieli wiarę w pomoc z nieba — mieli łatwiejsze zadanie przed sobą.

„Petersburg był bezustanku zbiegowiskiem powstańców, bądź też wybierających się do szeregów zbrojnych: pierwszych trzeba było ratować, dając środki do ucieczki, drugich ekwipować i wysyłać do oddziałów. Byli ludzie, którzy posuwali ten rodzaj poświęcenia się dla sprawy, aż do bohaterstwa, jak np. *Mokrzycki* i *Michał Kossowski*.

„W owe czasy bawił w Petersburgu kolega nasz uniwersytecki, *Wacław Przybylski*, późniejszy naczelnik miasta Warszawy z ramienia rządu rewolucyjnego. Mieszkał on jakiś czas u Ohryzki, miał jakoby przybyć w celu namówienia Józefata, ażeby wstąpił do organizacji: ponieważ Przybylski nie miał żadnego wpływu na Ohryzkę, więc nie sędzę, ażeby już wtenczas ten ostatni uległ namowie.

„Wielu z nas do organizacji nie należało, a kto należał, ten się nawet przed najbliższymi przyjaciółmi z tem nie wyjawiał. Nikt się też nie wywiadywał o innych, ani badał ich czynności, tylko na mocy logicznego rodzaju wniosków przyszedłem do przekonania, że Ohryzko podjął się był pewnej akcji na rzecz organizacji rewolucyjnej, mianowicie wkrótce po 16 lutym 1863 roku właśnie wtedy, kiedy w Paryżu otrzymano wiadomość o konwencji rosyjsko-pruskiej z 8-go lutego 1863 r. Po tym akcie sprzymierzeńczym otwały się widoki na możność poparcia sprawy polskiej przez zgodne działanie trzech rządów: Francyi, Anglii i Austrii i wtedy też w Paryżu wydano rozporządzenie: przetrzymać powstanie aż do czasu, mającej niechybnie nastąpić interwencji obcych mocarstw.

„Jakiś nieznajomy mi i niewiadomy z nazwiska wysłaniec hotelu Lambert'a przyjeżdżał z Paryża do Petersburga, do *Ohryzki*, zapewniał go stanowczo o zdecydowanej interwencji i namawiał do przyjęcia nominacji na komisarza rządu narodowego w stolicy państwa; sędzę jednak, że tej nominacji nie przyjął Ohryzko, jakkolwiek i bez niej zajmował się szczerze ratowaniem ziomków i niesieniem pomocy jej potrzebującym. Wprawdzie byli już tutaj dawniej mianowani komisarze, osobiście mi nie znani, mianowicie *Władysław Kossowski*, oficer artylerji gwardyjskiej i *Opocki Witalis*, żaden z nich jednak nie posiadał takiej powagi i takiego znaczenia, jak Ohryzko i nie cieszył się taką opinią sumiennego i energicznego człowieka. Czy *Ohryzko* uległ namowie? Całą wiosnę i całe lato w roku 1863 spędziłem w Petersburgu, a raczej w okolicy miasta na górze „*Paktonnoj*,“ po drodze do „*Purgato-*

wa.“ mieszkalem w willi najętej przez rodzinę *Juliusza Rechniewskiego*. Wiem nie od Ohryzki, ale ze strony, że on wtedy wyprawił oficerów do oddziałów, pomiędzy innymi był i *Kossowski Władysław*, ten go wydał w Wilnie, będąc sam aresztowany w tem mieście.

„Czynność *Ohryzki* musiała się skończyć w czerwcu 1863 r., od-tąd już tylko mógł ułatwiać wyjazd za granicę rozbitkom i „uciekierom.“ Każdy z nas wedle sił i możności wspieraliśmy czynność humanitarną *Ohryzki*, jakkolwiek nie należeliśmy do organizacyi.

„Od jesieni roku 1863 uważano ruch powstańczy za skończony, sądziliśmy tedy, żeśmy ocaleni. Latem 1864 roku wyjechałem za granicę, byłem w Paryżu, w Rzymie, wszędzie widziałem zupełną obojętność do sprawy polskiej, co więcej, skonstatowałem pewnego rodzaju zadowolenie, że o niej już mowy niema. Za powrotem zastałem *Ohryzkę* przy urzędzie na swoim stanowisku, dopiero w listopadzie tegoż roku nastąpiło jego aresztowanie. Na żądanie *Murawjewa*, odstawiono go do Wilna. Zaczęło się długie, pełne męczarni śledztwo, o którego przebiegu spisał sam *Ohryzko* relacyę, kreśląc ją ołówkiem na skrawkach papieru. Okazuje się z tej relacyi, że skrompromitowały go tylko dwa zeznania, mianowicie *Władysława Kossowskiego* i *Awejdzy*, ten ostatni był moim uczniem, gdy studyował prawo na uniwersytecie w Petersburgu, on nie znał wcale *Ohryzki* i nie widział go nigdy na oczy.

„Wprędce po aresztowaniu *Ohryzki* uległem sam katastrofie. Piątego grudnia 1864-go roku nastąpiło wydalenie mnie ze służby rządowej w Ministerjum oświaty, ale ta okoliczność spowodowana była wcale innemi przyczynami, nie mającemi żadnego związku z aresztowaniem *Ohryzki*.

„Ponieważ część lata 1864 r. spędził *Ohryzko* za miastem, w willi wspólnie najmowanej z *Narzymyskim*, kolegą swoim, dyrektorem w departamencie podatków stałych ministerjum skarbu, a ponieważ wszystkim było wiadomem, że ja żyłem z *Ohryzką* w ścisłych i przyjacielskich stosunkach, więc czekaliśmy obadwaj przez ciąg całego roku 1865 z dnia na dzień na aresztowanie nas i wywiezienie do Wilna dla konfrontacyi z *Ohryzką*, jako jego najbliższych przyjaciół i kolegów. Stało się jednak inaczej. *Murawjew* został usunięty z Wilna. Sprawa *Ohryzki* rozpatrywaną była za rządów generała *Kaufmana* i to ocaliło *Józefata* przed szubienicą. *Ohryzkę* wysłano na Syberję. Przez cały czas gdy go więziono w Jakucku, Wilujsku i Wiercholeńsku korespondować ze sobą nie mogliśmy. Listowny nasz stosunek rozpoczął się dopiero po jego internowaniu w Irkucku.“

V.

Do pobytu Ohryzki w więzieniu wileńskim posiadałem relację spisaną przez niego własnoręcznie na skrawkach papieru ołówkiem w samym więzieniu. Ogłaszam ją poniżej w całości:

„Po przywiezieniu mnie do Wilna, zamknięto w numerze więziennym zupełnie ciemnym, wilgotnym i do tego stopnia zimnym, że we dnie i w nocy musiałem być odziany w futro i mieć ciągle na nogach buty ciepłe; całe 10 dni przemęczyłem się w tym №. Następnie zostałem przeniesiony do № 11, nieco światlejszego i cieplejszego i nie tak wilgotnego. Powietrze jednak w kaźni było nie do zniesienia, zapowietrzało je naczynie drewniane „parasza,“ nie przykryte i woniejące straszliwie, a raz tylko na dobę wypróżniane. Pobyt kilkutygodniowy w tem więzieniu doprowadził mnie do stanu chorobliwego; o lekarza jednak nie prosiłem, z obawy, ażeby mi nie zapisał środków jeszcze bardziej mnie osłabiających; potrzebowałem bowiem całej siły ducha, by móżdż stawić czoło męczarniom śledztwa.

„Pierwszych dni 10 nikogo nie widziałem z komisji, nawet dozorca więzienny nie był u mnie, jakkolwiek kilkakrotnie domagałem się jego wizyty. Po przeniesieniu do № 11, zaczęli mnie odwiedzać członkowie komisji: *Łosiew*, *Jugan* i *Gogiel*. *Jugan* wymagał, ażebym się przyznał do wszystkiego, o co mię obwiniano, całe te obwinienie przeczytał mi. *Łosiew* był mniej wymagający, on żądał, ażebym tylko słowa *Władysława Kossowskiego* potwierdził, który oskarżył o to, że byłem komisarzem rządu rewolucyjnego, powiadał mi przytem, że gdy to uczynię, będę mógł wymieniać współwinnych takich, którzy bawią za granicami państwa albo którzy umarli, lub zostali powieszoni, albo też zesłani do robót ciężkich na Syberyę; on sam *Łosiew* obiecywał dostarczyć mi takich nazw, bylebym tylko się przyznał do winy. *Jugan* wymagając zeznania, powtarzał ciągle, „że moje przewinienie jest tak wielkie, iż czekać mnie musi koniecznie kara śmierci, a to przekonanie nie tylko dzielają wszyscy członkowie komisji, ale i sam *Murawjew*. Jeżeli jednak wyznam z całą szczerością winę swoją, to *Murawjew* miał mu powiedzieć, że mi przebaczy. To same przyrzeczenie *Murawjewa* powtórzył i *Łosiew*. Prawie codziennie jeden i drugi grozili mi imieniem *Murawjewa* szubienicą i powiadali, że wyrok i wykonanie nastąpią w ciągu 24 godzin. Znając dobrze działalność *Murawjewa* i całej jego komisji, byłem przygotowany na śmierć, to też powiedziałem, że wolę um-

rzeć, niż potwierdzić fałszywe oskarżenie. Przy każdej rozmowie ze mną Łosiew przysięgał na życie i szczęście swojej żony i 5-ga dzieci swoich, że on ma jedynie na celu ratować mnie przed szubienicą i że jedynym środkiem ocalenia życia, jest potwierdzić zeznanie *Władysława Kossowskiego*. *Jugan*, myśląc, że liczę na pomoc z Petersburga, cynicznie oświadczał, że stosunki moje wszystkie nie tylko nie pomogą, lecz przeciwnie, zaszkodzą; łącał przytem bezczelnie ks. *Suworowa* i ks. *Dołgorukowa* i ze wszystkich, jak on ich nazywał, głupich liberałów, drwił w sposób najbardziej cyniczny. Tak *Jugan* jak Łosiew mówili mi ciągle, gdy się zastaniał prawem, ażeby nie myślał o prawie i sprawiedliwości; tu praw niema, powiadali, jest tylko moralne przekonanie komisji i Murawjewa, a takiego przekonania dosyć, ażeby skazać człowieka na śmierć. Przytaczali na poparcie swego opowiadania mnóstwo faktów takich, gdzie ludzie skazani zostali na szubienicę, albo do „katorgi,“ tylko na zasadzie podejrzenia i przekonania komisji, że to podejrzenie jest uzasadnione.

„Mówili mi następnie, że przekonanie komisji i Murawjewa jest takie, iż niema ani jednego Polaka, któryby nie brał udziału w obecnem powstaniu. To powiedzenie ich zmusiło mię do repliki temi słowy: „Więc pocóż w takim razie istnieją komisye i sądy, dosyć kazać łowić wszystkich Polaków i kolejną wieszac na szubienicy?“ Widząc, że ich namowy i groźby nie wywierają pożądanego skutku i że świadectwo jednego *Wł. Kossowskiego* nie wystarcza, tem bardziej, że ten odwoływał swoje zeznania, posłano *Jugana* do Warszawy, gdzie więziono wówczas *Oskara Awejdę* który miał wydawać wszystko co wiedział. Chciano w ten sposób uzyskać nowe świadectwa o mojej winie z ust owego *Awejdy*, którego nie znałem wcale i nie miałem z nim żadnych stosunków. O tej podróży *Jugana* komunikował mi *Gogiel*, grożąc, że ponieważ *Awejda* „wyśpiewał“ już wiele, więc mnie oszczędzać nie będzie.

„Podróż atoli *Jugana* do Warszawy nie przyniosła im żadnej korzyści, bo jakkolwiek *Awejda* poczynił rozmaite, rzekomo szczerze „przyznania“ i mnie oskarżył o czynny udział w organizacji, ale obwinienia odnoszące się do mojej osoby były zupełnie sprzeczne z temi, które wpieryw otrzymano z ust *Kossowskiego*. Gdy mnie owe obwinienia *Awejdy* przeczytano, wskazałem na rażące w nich sprzeczności z obwinieniem *Kossowskiego* i oświadczyłem, że jedne i drugie są kłamstwem. Po tem mojem oświadczeniu Łosiew z największem cynizmem wyłożył mi swój nowy projekt, mający mię zmusić do potwierdzenia obwinienia *Kossowskiego*. Oto projekt jego: „Jeżeli się nie zgodzę na potwierdzenie obwinienia,

to *Murawjew* każe tu przywieźć większą część moich przyjaciół i znajomych (i zaraz wymienił ich po imieniu), a kto popadnie w ręce komissyi, powiadał on, ten usprawiedliwionym być nie może, wszak wszystkim wiadomo, że z więzienia nikogo nie wypuszczamy: szubienica, katorga, albo Syberya—drogi stąd na swobodę niema.“

„Cynizm taki, mnie wtedy chorego i zdenerwowanego, strasznie zatrwożył, widziałem w wyobraźni mojej ludzi niewinnie więzionych i poniewieranych w tych cuchnących numerach, a ja byłbym przyczyną ich mąk i cierpień; to też uniosłem się gniewem i powiedziałem: „Wieszajcie mnie, podpiszę to, czego wymagacie, ale nie zniosę, ażeby z racyi mojej więziono ludzi niewinnych.“ Dnia następnego przyszedł do mnie *Gogiel* i oznajmił, że wczoraj wysłano polecenie telegraficzne, ażeby aresztować *Michała Kossowskiego* i dostawić go do Wilna, a następnie w razie, jeżeli ja będę zaprzeczał obwinieniu, każe *Murawjew* aresztować 9 osób, z pomiędzy moich znajomych, których nazwiska wymienił.

„Co do *Gogiela* to rola, którą odgrywał przedemną była następująca. Bywając w mej kaźni bardzo często, zapewniał, przysięgając na swój honor, na imię Boga, na wszystko, co jest świętem na ziemi, że przychodzi do mnie nie jako członek komisji, ale jako osoba prywatna, że wstąpił do komisji jedynie tylko po to, ażeby ratować nieszczęśliwych; widząc, że w komisji dzieją się rzeczy potworne, podłe, nikczemne, postanowił jakkolwiek nie wiele może, ale tyle dobrego zrobić, ile tylko na to sił mu starczy. Nazywał *Murawjewa* katem, a członków komisji „swołoczą i izwiergami.“ O mojej sprawie powiadał, że nie wie, czy ja winien jestem czy nie, bo *Władysław Kossowski* odwołał swoje pierwotne zeznanie, oświadczając, że mu podyktowano oskarżenie, obiecując wolność; relacye *Awejdy* nie mają znaczenia, bo są sprzeczne ze słowami *Kossowskiego*; pomimo to jedynak przysięgał, że nie uniknę szubienicy, jeżeli nie potwierdzą zeznań *Wł. Kossowskiego*, a to dla tego, że w mojej sprawie tak się zaawansował *Murawjew*, iż czułby siebie skompromitowanym w obec Cesarza, gdyby mnie komisya usprawiedliwiła. Opowiadał dalej, że sprawę moją wytoczono jedynie wskutek kłótni która miała miejsce pomiędzy *Murawjewem* a *Suworowym*; otóż gdy dowiedzie teraz rację swoją skazując mnie na powieszenie, to już przez to samo kompromituje *Suworowa*, który sprzeciwiać się miał mojemu uwięzieniu i wogóle był przeciwny całej taktyce postępowania *Murawjewa*. *Suworow* jest uczciwy, mówił *Gogiel*, szlachetny, jak są uczciwi wszyscy liberali: *Gołownin*, *Dolgorukow* i inni. *Murawjew*

jest „podlec, nikczemnik, łapownik,“ ale cóż tu począć, wszak on pozyskał zaufanie Cesarza i chce dowieść, że ma rację, wieszając i niszcząc, bo tylko w taki sposób można zbawić Rossyę, a nie tą drogą, której się trzymał radził *Suworów*.

„Wszystko co mówił *Gogiel* zdawało się mnie, wówczas choremu, wielce prawdopodobnem. Przy takim postawieniu kwestyi, trudno było myśleć o możliwości uniknięcia szubienicy, tem bardziej, że jak mówił *Gogiel* i powiadali *Jugan* i *Łosiew*, dla osądzenia na śmierć człowieka, niema potrzeby stosować się do przepisów prawa, dosyć jest przekonania *Murawjewa* i komisyi, że ów człowiek zawinił. Jaki miał cel *Gogiel* oświadczając, że mi dostarczy wina i wódki do więzienia? chyba że chciał mi odjąć przytomność umysłu. Odrzuciłem propozycyę z oburzeniem. Znając charakter *Murawjewa* i jego ówczesną władzę, wywieraną nawet po za granicami Wilna, uwierzyłem w możność nowych aresztowań, w celu skompromitowania jak można najwięcej ludzi w Petersburgu, by w ten sposób dowieść, jak był groźnym i niebezpiecznym liberalizm chwilowy. Aresztowaniem grożono i miano aresztować osoby najbliższe sercu memu, a wszak sam wiedziałem i jak mi *Gogiel* opowiadał, że *Władysław Kossowski*, *Oskar Awejdą* i *Parafjanowicz* są każdej chwili gotowi złożyć fałszywe świadectwa na każdego z aresztowanych. Jak fałszywemi są zeznania, odnośnie do mojej osoby, to dosyć przytoczyć fakt, że *Parafjanowicz* wpierał we mnie, iż drukowano proklamacye jakieś w mojej drukarni w roku 1864, wtedy kiedy ta drukarnia sprzedaną została *Suszczyńskiemu* wprędce po wydaniu „*Volumina legum*,“ a zatem cztery lata przed datą wskazaną przez *Parafjanowicza*. Nie lepsze było świadectwo *W. Kos.* który dowodził, że był u mnie z dwoma oficerami, rozstrzelanymi z rozkazu *Murawjewa*, a o których przekonano się, że nie tylko wówczas nie byli w Petersburgu, ale wogóle nie byli nigdy w stolicy. Oficjalnie mnie komisya pokazała tylko zeznania *Awejdy* i *Wł. Kos.*, o innych komunikował mi *Gogiel* oświadczając przytem, że wszystkie zeznania były wymuszone, bądź groźbą, bądź obietnicą uwolnienia, albo zmniejszenia kary. Tak np. *Wł. Kos.* obiecano wysłać tylko na mieszkanie i pozwolić ożenić się w więzieniu z osobą aresztowaną.

„O wszystkich tych szczegółach, tutaj podanych i o wielu innych komunikował mi *Gogiel* nie prosząc nawet o dyskrecyę.

„Dopóki sprawa dotyczyła mnie samego, dopóki szło o moje życie tylko, postanowiłem być nie potwierdzać zeznań *Wł. Kos.*, lecz iść śmiało pod stryczek, lecz gdy mi postawiono ultimatum, albo potwierdzić, albo narazić losy przyjaciół i znajomych—wahać

się zacząłem. Może ta słabość była złą, niech mi ona będzie wybaczoną, ale przezwyteńczyć siebie na tym punkcie nie potrafiłem w owej chwili.

„Gogiel widząc, że jestem silnie wzruszony, objął mnie serdecznie, po bratersku, i mając łzy w oczach obiecał mi napisać zeznanie, przynieść do więzienia i przeczytać wspólnie, poczem mam je przepisać sam i podać. Wierząc mi pan, powiedział, ja nie pierwszego pana ratuję, wiem, że więzienie czyni człowieka drażliwym, skupić się na chłodno nikt z więźniów nie potrafi, więc piszę za nich zeznania; mógłbym do pana sprowadzić kilku tutaj więzionych, oni zaświadczyć byliby mogli, że mną kieruje nie inne uczucie, jak szczerzej litości i życzliwości dla Polaków; jeszcze raz powtarzam panu, że wstąpiłem do komisji po to tylko, ażeby mieć pomoc nieszczęściu.

„Gogiel obiecał mi najsolemniej, że skoro tylko zgodzę się na podanie zeznania, on swoją głową ręczy:

- 1) Że nikt nowy w tej sprawie aresztowany nie będzie.
- 2) Że materiały do napisania podania on mi do więzienia przyniesie i dowiedzie przy ich pomocy, że zeznaniami swemi nikogo nie skompromituje.
- 3) Że na współwinnych wybierzemy wspólnie bądź umarłych, bądź też zesłanych do robót ciężkich, lub też bawiących za granicą.
- 4) Że w ten sposób postępując, uratujemy wszystkich Polaków, mieszkających w Petersburgu, odwracając w ten sposób od nich podejrzenie wszelkie.
- 5) Że weźmie sam w swoje ręce całą sprawę Petersburską, że będzie się radził mnie jak ma postąpić w każdym najdrobniejszym szczególe, a w razie potrzeby ułatwi mi widzenie się z aresztowanymi współwięźniami, mianowicie z Władysławem Kossowskim.

„Spisawszy te przyrzeczenia ołówkiem, ażebym mógł je rozważyć dokładnie, powiedział mi, że w podobny sposób postąpił w sprawie Giejsztor, Jeleńskiego, Oskierki i wielu, wielu innych, że wskutek takiego postępowania, jakkolwiek Giejsztor wskazał aż 52 osoby współwinne, nikogo jednak nie skompromitował; to samo uczynili Jeleński i Oskierko. Objaśniał Gogiel następnie, że Murawjew, gdy się zadość uczyni jego miłości własnej, będzie łaskawszy i na innych, którym grozi obecnie jego zły humor i że dla samego siebie uzyskam względniejsze postępowanie, tak np. zostaną przeniesiony do N-u 18-go, z którego porozumiewać się można z tymi, co są zamknięci w N-rze 19 i że N-r 18 jest ciepły i suchy, więc będę mógł zdjąć futro z siebie i pozbyć się ciepłych

butów, ostatecznie będę się mógł widywać z tymi, których widzieć pragnę.

„Obiecując to wszystko i wiele innych rzeczy i sądząc, że mnie ostatecznie przekonał, pożegnał najserdeczniej i odszedł.

„Pozostawszy sam, straszne przeżyłem chwile — myśl jedna panująca nad wszystkimi innymi mną zawładnęła. Żle postąpiłem, myślałem, zdradziwszy się, że byłbym zdolny przystać na warunki podane, bo kto wie, czy warunki dotrzymane być mogą. Tą myślą trapiiony, zrobiłem mocne postanowienie cofnięcia się na dawne stanowisko.

„Nazajutrz rano zjawił się *Gogiel*. Po bezsennej nocy byłem mocno osłabiony, podniósłszy się z posłania, na którym leżałem owinięty w futro oświadczyłem, że gotów jestem przyznać się do tego, w czym zawiniłem t. j. że mnie były robione propozycje przyjęcia udziału w organizacyi tajemnej, lecz że ja tej propozycji nie przyjąłem. Do niczego więcej przyznać się nie mogę.

„Tak, zawołał *Gogiel*, więc Pan w moją szczerłość i życzliwość nie wierzysz, więc Pan sądzisz, że ja kłamałem przed Panem; zresztą takie przyznanie do niczego nie prowadzi, a teraz to tylko mogę powiedzieć, że porucznik *Kossowski* na wczorajszej indagacyi ponownej uczynił dodatkowe zeznanie tej treści: „*że cofnął był swoje uprzednie zeznanie chcąc przez to ulżyć losom Ohryzki,*“ a więc pierwsze zeznanie pozostaje w całej mocy, tem bardziej, że ci oficerowie, na których świadectwo powołuje się obecnie, są przy życiu i są więzieni, więc lada chwila mogą być tu sprowadzeni. Jeżeli Pan będziesz dalej obstawał przy swoim, to oprócz 9 osób, które wczoraj wymieniłem, będą aresztowani i inni, gdyż komisya zmusi porucznika *Kos.* do nowych zeznań; ja mam to przekonanie, że por. *K.* nie będzie oszczędzał, bo chodzi o jego głowę, a on życie ceni, skoro zamyśla się zenić tu w więzieniu. Wczoraj mu wskazano, że zeznania jego nie zgadzają się ze świadectwem *Awejdy*, niech się więc zastanowi dobrze i zechce pogodzić jedno z drugimi. Podczas naszej rozmowy z *Gogielem* przyszedł *Łosiew* i obadwaj napierali na mnie, ażebym postanowienie swoje dzisiejsze zmienił. Pod tą pressyą prosiłem, ażeby mię dzisiaj pozostawili w spokoju, bo chory jestem, a dopiero jutro dam im odpowiedź. *Łosiew* długo na to przystać nie chciał, ale ostatecznie uległ prośbom *Gogiela*. Dnia następnego przyszedł *Gogiel* sam. Gdy mu oświadczyłem, że trwam przy wczorajszym postanowieniu, wyszedł natychmiast i po krótkiej chwili wrócił przyprawiając do mnie *Giejsztora* i prosił go, ażeby zaręczył, że on, *Gogiel* jest człowiekiem uczciwym, sprzyjającym z całego serca

Polakom, że jemu zawierzyć można. *Giejsztor* powiedział to, co w obecności świadka *Gogiela* powiedzieć było można, mianowicie, że *Gogiel* w sprawie *Giejsztor*a i *Jeleńskiego* postępował uczciwie. To potwierdzenie przez *Giejsztor*a słów *Gogiela*, tak podziało na mnie, że zgodziłem się uznać oskarżenie porucznika *Kos.* za prawdziwe. Nie dano mi chwili namysłu i tuż zaraz stawiono przed komisją, gdzie złożył krótkie zeznanie, przedwstępne.

„Gdy wrócił do kaźni rozpacz mną ogarnęła. Myśl, że dałem się wywieźć w pole, jak dziecko, tak mię dręczyła, że nie mogłem znaleźć spokoju, ani na chwilę. Projekta najrozmaitsze cisnęły mi się do głowy, a jak dziś widzę, jeden głupszy od drugiego; nakoniec wpadłem na pomysł mający na celu wypróbowanie *Gogiela* a zarazem i przewleczenie sprawy. Wyznaję najszczerzej, że ten pomysł był głupi, ale co może wymyśleć mózg rozgorączkowany w ciele osłabionem i chorem?

„Żądałem ażeby *Gogiel* przyszedł do mnie; gdy się zjawił, prosiłem o sekret najściślejszy, dał mi słowo honoru i przysiągł, biorąc za świadka *Boga*, że to, co mu powiem, zachowa w największej tajemnicy. Otrzymaawszy takie solenne przyrzeczenie, powiadam do niego, że *Opocki*, który teraz bawi za granicą, oświadczał mnie w Petersburgu, iż ktoś z Rosyan proponował mu pozbawić życia *Murawjewa*. Mówiąc to miałem myśl taką: Jeżeli *Gogiel* nikomu z członków komisji o tem zmyślonem przyznaniu się do winy nie powie, to znaczyć będzie, że jemu wierzyć można, jeżeli powie i komisya weźmie na seryo tę sprawę, to w ten sposób przewlecze się proces cały, a tymczasem może zmienią się okoliczności, a wtedy sądy będą inne niż obecnie. Był to jak powiedziałem, pomysł nie tylko głupi, ale i niebezpieczny; wstydzić się go muszę dzisiaj rozważając go na chłodno, przy zdrowych zmysłach, on był jedynie możebny przy tym stanie, w jakim się znajdowałem wówczas. Spowiadałem się przed wami z całą szczerością, bo nie chcę, ażeby cośkolwiek w tej sprawie pozostało dla nas tajemnicą.

„*Gogiel* nie dotrzymał przyrzeczenia, jak mi o tem *Łosiew* zakomunikował; opowiedział przed komisją wszystko, ale ta uznała wyznanie moje za „*duraczestwo*;“ miałem więc dowód i głupoty mojego pomysłu i uczciwości *Gogiela*. Czy *Łosiew* był lepszy? lecz wtedy wiarę moją przeniósłem na niego i on mi obiecał, że nikogo aresztować nie będą.

„Wszystkie moje myśli i pragnienia skupiły się w jedno chcenie, przewlec sprawę, by doczekać się lepszych chwil dla niej; byłem bowiem przeświadczony o możliwości nastania lepszych cza-

sów, gdyż Łosiew zwierzył się przedemną z tem, iż wpływy *Murawjewa* w Petersburgu maleją i jest nadzieja, że go z Wilna odwołają. W celu przewleczenia sprawy napisałem projekt cofnięcia krótkiego zeznania mojego. Obok tego nakreśliłem ostrzeżenie, rzekomo do moich przyjaciół, wypisawszy na każdym z nich jako adres literę wielkiego alfabetu; liter wszystkich nie pamiętam, pomiędzy niemi były L i Ł. Chciałem te kartki i projekt cofnięcia zeznania przesłać tak, ażeby one dostały się do rąk komisji, wszakże gdy przyszedł *Gogiel* i zaczął mnie upewniać o swojej ku mnie życzliwości, o swoim poświęceniu dla sprawy polskiej, gdy mi opowiedział szczegółowo o wszystkim, co się działo w komisji, gdy mi objaśnił z jakich powodów on ową tajemnicę zakomunikował członkom komisji, gdy nareszcie przyniósł mi materiały wzięte z komisji i przedstawił mi projekt zeznania, który miałem opracować szczegółowiej — wtedy wróciła dawna wiara w jego uczciwość i ja miałem tę naiwność zwierzenia się przed nim z mojego projektu, wyżej przedstawionego, a na dowód że mu wierzę, całkowicie dałem do rąk jego owe kartki na pamiętkę. Miałem jeszcze list długi, pisany niyby do mojego znajomego Rossyanina, w tym liście najszczegółowiej przedstawiłem wszystkie łajdactwa członków komisji i z otoczenia *Murawjewa* i jego samego, ale tego listu nie dałem *Gogielowi*, lecz podarłszy, wrzuciłem do naczynia w jego obecności. *Gogiel* jakim się później dowiedział, list ten dostał z naczynia i odczytał w obec członków komisji, a litery na kartkach spisane użył w celu rozpoczęcia śledztwa w Petersburgu. Tak np. uznano że litera *L* ma oznaczać *Ludwika Januszkiewicza* i jakoby wytoczono mu proces o wydanie broszurki, noszącej tytuł: „O leczeniu ran.“ Czy inne litery posłużyły również komisji do śledztw dalszych, nie wiem. O Ludwiku komunikował mi Michał. Skorom się ponownie przekonał o podłości *Gogiela*, postanowiłem zerwać wszelkie z nim stosunki i wypowiedzieć, że do zeznania zmuszono mnie środkami, na które żadna komisya pozwolić sobie nie może i nie powinna. Nowe postanowienie moje wykonywać rozpocząłem złażawszy *Gogiela*, nazywając go „padlecom,“ a *Łosiewowi* i *Siemionowi* powiedziałem, że komisya ich jest szajką rozbójników i łapowników. *Juganowi* oświadczyłem, że sąd i komisya stanowią jedną zbójcką bandę. Jakaś wściekłość mię ogarnęła, jedyne pragnienie wówczas wylania na to gniazdo łotrów, całych potoków złości, nagromadzonej we mnie z racji oszustw, bezwstydu i cynizmu ze strony tych ludzi, w rękach których spoczywały losy tylu nieszczęśliwych. Dopiero teraz uczułem, co więzienie

z człowieka uczynić może. Że nie zwaryowałem, temu się sam dziwię dzisiaj.

„W sądzie przedstawiłem całą sprawę szczegółowo, tak, jaką ona była w istocie, nie ujmując nic, ani dodając. Dowiodłem, że zeznania moje napisałem z bruljonu *Gogiel*, opierając się na materyale, który mi dostarczył *Gogiel* do więzienia; objaśniłem przychyny, dla których byłem zmuszony pisać fałsze, które mi dyktował członek komisji, przyjąłem tedy winę na siebie podstępem mi wpartą. Powiedziałem, że gdyby mi była dana taka władza, jaką ma komisya i pozwolono było uciekać się do środków, jakie ma w swoim rozporządzeniu komisya, to każdy z członków tu obecnych, złożyłby po paru tygodniach na piśmie i stwierdziłby zeznanie swym własnym podpisem, że trudnił się kradzieżą, że rozbijał po drogach. Następnie przedstawiłem, czem zawiniłem. I tak: 1) *Dąbrowski* prosił wprawdzie mnie o czcionki, czy z polecenia komitetu, tego niewiem, ale ja mu odmówiłem. 2) Wiedziałem o zamiarze *Z. Sierakowskiego*, ale go do tego nie namawiałem. 3) Nie przyjąłem obowiązków komisarza i nie miałem żadnej nominacyi. Przybylskiemu odpowiedziałem stanowczo, że tego urzędu przyjąć nie mogę. Zarzut mi uczyniony, że nie denuncyowałem *Przybylskiego* i *Sierakowskiego*, odpieram wprost faktem, że nie należę do korpusu żandarmów. 4) Nie przyznałem się od razu do tego, że wiedziałem o istnieniu organizacyi, o zamiarze *Sierakowskiego*, dla tego, że członkowie komisji z całym cynizmem oświadczyli, iż komisya, sąd i generał-gubernator są po nad prawem. Bezczelność członków komisji może udowodnić fakt, że prosiłem *Jugana*, ażeby zakomunikował *Łosiewowi*, że jeżeli jeszcze raz ośmieli się w obec mnie lżyć Polskę i Polaków, to mu łeb rozbije.

„Jakkolwiek z powodu, że mi kazano spieszyć z komunikatem piśmiennym, że mi nie pozwolono przepisać na czysto, że nie miałem unysłu swobodnego, a do tego, że byłem wciąż cierpiącym, pomimo to wszystko powiadam, sądę, że to com napisał przekonać może każdego, iż zeznania moje uprzednie były wymuszone, że nie mają najmniejszego znaczenia; również i zeznania innych oskarżonych są także wymuszone. Członkowie komisji używali najrozmaitszych środków, ażeby ludzi zmusić do świadczenia, tak jak sami tego chcieli, np. zeznania *Parafjanowicza*, *Władysława Kossowskiego*, wszak mi sam *Gogiel* powiedział, że na poruczniku wymódz możemy wszystko, czego tylko chcemy.

„Oficyalnie komisya pokazała mi tylko oskarżenie *Awejdy* i porucznika *Kossowskiego*, o innych zeznaniach dowiedziałem się

od *Gogiela*, od *Łosiewa* i *Jugana*; wiedząc tedy o nich wszystkich i czytając je sam w materiałach dostarczonych mi do kaźni, mogłem każde obwinienie osobno rozważyć i ich dowodowe znaczenie przedstawić; uczyniwszy to pismiemnie wskazałem, że tylko dwa zeznania, mianowicie *Awejdy* i porucznika *K.* mają jakie takie znaczenie, ale oba one są niezgodne ze sobą, więc albo jedno jest fałszywe, albo drugie, a według mnie oba są fałszywe. Porucznik *K.* opowiada, że mi sam osobiście zdał swój urząd komisarza. Otóż powiedziałem, że to świadectwo jest niedorzeczne i fałszywe i że to dowiodę, jeżeli mi pozwolą być skonfrontowanym z oskarżycielem; konfrontacyi mam prawo się domagać i tego żądam koniecznie. Następnie *Awejda* zeznał, że ja przyjąłem urząd agenta, a więc nie komisarza, i że spełniłem kilka poruczeń komitetu. Ale *Awejda* oświadcza, że się o tem dowiedział od *Wacława Przybylskiego*, więc sam tego nie wie. Żadne z tych dwóch obwinień nie mają prawomocnych dowodów. Objąsniwszy wszystko szczegółowo, prosiłem sąd, ażeby zażądano objaśnień od komisji śledczej odnośnie do sposobu postępowania, z więźniami a jeżeli *Łosiew*, *Jugan* albo *Gogiel* zaprzeczą, to proszę o konfrontacyę z nimi. Prosiłem ostatecznie, ażeby mi wyznaczono inny № niż ten 11, w którym byłem więziony dotychczas.

„Audytor przeczytawszy moje podanie, powiedział mi, że wszystko, o co prosiłem, spełnione zostanie, a prezydujący w sądzie potwierdził i przyrzekł, że konfrontacya z porucznikiem *K.* będzie miała miejsce, bo żądanie moje jest słuszne. Tymczasem sprawę moją osadzili, odpowiedzi na moje podanie nie dali. Oberaudytor i *Palkow Buszyn* byli u mnie i przyrzekli, że komisya wykona polecenie dane ze strony sądu, lecz przyrzeczenia wszelkie okazały się kłamstwem. Nie dano mi papieru, ani książek. Nie mogłem napisać prośby do nowego generał-gubernatora Kaufmana. Całe cztery miesiące nie pozwolono wychodzić na tak zwany spacer i aż do końca przesiedziałem w № 11-tym.

„Nie powieszono mnie, dzięki tylko zmianie generał-gubernatora. Zsyłają mnie natomiast do robót ciężkich na Syberyę—czuję że już stamtąd nie wrócę. Te wieści o sobie kreślę na skrawkach papieru, pozostałych u mnie. Piszę ołówkiem nieczytelnie, może nie będziecie mieli cierpliwości tego, com tu napisał, przeczytać — kończę, żegnając was na wieki.“

J. O.

VI.

Udzielone powyżej przyczynki biograficzne uzupełnia referat, nadesłany mi przez adwokata *Michała Kossowskiego*, przyjaciela Ohryzki i Spasowicza. M. Kossowski był skazany na „katorgę“ na Syberyę; pozostawał on w ciągłych, serdecznych stosunkach z Ohryzką, mieszkali razem w Irkucku. Ponieważ referat M. Kossowskiego jest zbyt długi i mieści w sobie wiele rzeczy nie mających bezpośredniego związku z osobą Ohryzki, postanowiłem skrócić go, mając do tego upoważnienie ze strony samego autora. W tej skróconej formie podaję go niżej:

„Aresztowanie Ohryzki miało dwojakie przyczyny 1-o rzekomo polityczne; 2-o z osobistej zemsty Murawjewa. Co do pierwszych, to nic tu od siebie powiedzieć nie mogę; co się zaś tyczy drugich, to one wymagają objaśnienia.

„Ohryzko zajmował wysokie stanowisko urzędowe, miał stosunki obszerne, zbliżony był z rozmaitemi osobistościami, należącymi do tak zwanego „*koła liberalnego*“, które było w ciągłej walce z osobistościami, „*koła konserwatywnego*“, czyli towarzystwa „prawdziwych Rossyan.“ Na czele liberałów stali wówczas Generał-gubernator wojenny Petersburga, ulubieniec Cesarza książę *Aleksander Suwarów* i szef żandarmów książę *Bazyli Dolhoruków*. Partya liberalna nienawidziła *Murawjewa* należącego do tow. konserwatywnego i starała się jemu szkodzić na każdym kroku. Gdy wszakże reakcja wzięła górę i *Murawjew* przyrzekł „*usmiryt bunt*“, pod warunkiem, że będzie mu dana władza najwyższa, rozpoczęła się era odwetu. Aresztując *Ohryzkę*, *Murawjew* miał nadzieję skompromitować niejednego z liberałów Rossyan, a do tego całą masę Polaków, mieszkających w Petersburgu, zresztą miał jeszcze i inny powód, mianowicie nienawiść swoją do Ohryzki, a to z racji, że on parę razy stanął w poprzek jego zamiarom i nie dopuszczał do systematycznego ograbiania skarbu.

„Znaną była wszystkim chciwość tego satrapy. Jego nazywano powszechnie „*trochpragonnym ministrom*“, albowiem pełniąc urząd ministra dóbr państwa, kazał sobie wypłacać potrójne „*profony*“, gdy rzekomo objeżdżał w interesie rządu, całą Rosyję. Na to naduzycie zwrócił był uwagę ministra finansów Ohryzko i to rozsierzdziło chciwca. Drugą przyczyną nienawiści była okoliczność następująca: Syn *Michała Murawjewa*, ministra dóbr państwa, *Mikołaj*—skutkiem protekcji ojca, dostał posadę wice-guber-

natora w Petersburgu, lecz płaca na tym urzędzie pobierana nie wystarczała na życie w wielkim świecie i na gry hazardowe, którym się namiętnie oddawał, trzeba się więc było starać o jakąś zyskowną synekurę. Po śmierci bogacza *ks. Demidowa*, odkryła się posada opiekuna nad małoletnim jego synem *ks. San Donato Anatolem Demidowem*, którego matka wyszła powtórnie zamąż za półkownika *Karamzina*. Ażeby uzyskać posadę opiekuna trzeba było mieć zezwolenie ze strony pani *Karamzinowej*, a do tego i generała *Zakrewskiego*, ówczesnego generał-gubernatora wojennego w Moskwie, a wielkiego przyjaciela całej rodziny *Demidowych*. *Mikołaj Murawjew*łożył wszelkie możebne starania, przy pomocy stosunków ojca swego, ażeby uzyskać przyzwolenie obu wyżej wymienionych osób. W owe czasy Ohryzko był urzędowym plenipotentem domu Demidowych, nadto był osobistym przyjacielem całej rodziny; wiedząc o tem *Mikołaj Murawjew*, udał się do *Ohryzki* z prośbą o protekcję, ten ostatni znając obu Murawjewów ze strony ich niekzemności, nadto obrażony niewłaściwością propozycji, wypowiedział bez wszelkich ogródek, że potent wybrał złą drogę dla swoich starań o posadę opiekuna i prosił, ażeby go uwolnił na przyszłość od podobnych próżb i propozycji. Dowiedziawszy się następnie, że M. M. wybiera się do Moskwy, do generała *Zakrewskiego* i wioząc list od swego ojca ma nadzieję uzyskać od g. Z. przyzwolenie tak upragnione—przesłał *Ohryzko* na ręce generała Z. obszernie wyjaśnienie, dla czego uważa *Mikołaja Murawjewa* za osobistość niestosowną na opiekuna, wskazał na jego hulaszczcze życie i na chciwość jego. *G. Zakrewskij* uprzedzony o próżbie Murawjewów, odmówił swego zezwolenia. Nie zważając jednak na odmowę, robiono starania dalsze i skutkiem protekcji „opieka dworzańska“ petersburska zamianowała *Mikołaja Murawjewa* na urząd opiekuna. Gdy się o tem postanowieniu opieki dowiedział *Ohryzko*, wniósł jako plenipotent domu Demidowych skargę na „opiekę dworzańską“, do I departamentu izby cywilnej. Motywy, które przedstawił *Ohryzko* były uwzględnione, to też postanowienie „opieki dworzańskiej“ uznano za niesłuszne i M. Murawjewa usunięto z urzędu opiekuna. To zwycięstwo słuszności i sprawiedliwości nad podłością i chciwością, ciężko zaważyło na losach Ohryzki.

„Po aresztowaniu *Ohryzki* Minister finansów *Rejtern* i szef żandarmów *ks. Dothoruki* byli osobiście u Cesarza z prośbą, ażeby Ohryzkę wrócono z Wilna na mocy kardynalnego prawa, które głosi, że każde przestępstwo powinno być badane na miejscu jego popełnienia, zwracając przytem uwagę, że *Ohryzko* miał z *Mura-*

wjewym osobiste zajście, które wpływać musi na niekorzyść bezstronności sądu. Prośba ta jednak nie została uwzględniona.

„Dostawszy *Ohryzkę* w swoje ręce, musiał starać się *Murawjew* o jego potępienie, bo gdyby było inaczej, to nie zaniechanoby przedstawić całej sprawy, jako wywołanej pragnieniem zemsty osobistej.

„Pomijając całe barbarzyństwo z jakim mściwość satrapy pastwiła się nad uwięzionym, o tem tylko tu wspomnieć muszę, że jedynym powodem do obwinienia, było zeznanie *Władysława Kossowskiego*, z którym w żadnym stosunku pokrewieństwa nie pozostaje. Opinia komisyy śledczej o tym świadku była tego rodzaju, że członkowie jej powiadali iż od niego można było uzyskać wszystko, czego tylko chciano, zresztą sam oskarżyciel cofnął następnie swoje zeznanie, ale zastraszony śmiercią na szubienicy, powtórnie świadczył przeciw *Ohryzce*, przytem był chory obłożnie tak, że przed komisją stawać nie mógł. Jedyne to świadectwo porucznika *K.* dało podstawę do wyroku śmierci, który złagodzony był przez generał-gubernatora Kaufmana w ten sposób, że zamieniony na 20 lat ciężkich robót na Syberyi. Wyrok ogłoszony został 30 grudnia 1865, nietylko odnośnie do *Ohryzki* samego, lecz i do wszystkich innych, pociągniętych przed sąd z racyi sprawy t. z. „petersburskiej.“ Dnia następnego t. j. 31 grudnia wszyscy, z wyjątkiem *Ohryzki* i porucznika *K.*, zostali wysłani na miejsce kary, drogą zwyczajnych etapów na Petersburg. Zaraz po przybyciu partyi zesłanych do stolicy, przyjechał do więzienia *ks. Suwarów* i wszedłszy do sali więziennej, gdzieśmy byli pomieszczeni, zapytał, czy jest tu *Ohryzko*, odpowiedzieliśmy że zatrzymano go w więzieniu wileńskim. „*Udiwitielno*“ wyrzekł *Suwarów*. Jak się później okazało, *Ohryzkę* wywieziono w asystencyi dwóch żandarmów, koleją do Pskowa, stamtąd pocztą do stacyi *Czudowo* na kolei petersbursko-moskiewskiej, następnie wieziono go na Tobolsk, Irkuck, aż do miejsca kary, do *Akatui* w okręgu Nerczynskim. Powodem do takiego niezwykłego „transportu“ *Ohryzki*, była ta okoliczność, że obawiano się, ażeby nie zakomunikował bądź ustnie, bądź pismiemnie o tem, co przeżył i co widział w więzieniu wileńskim. W *Akatui* *Ohryzko* był pomieszczony wspólnie z innymi więźniami. Tu widząc nędzę wśród kolegów więzienia, on sam tak, jak i *Dr. Dworzaczek* gdzieindziej, starali się zaprowadzić ład, ucząc jakimi środkami, przy wspólnej pracy można byłoby podnieść dobrobyt więzienny, a nadto i poziom wiedzy wśród osób niewykształconych, skazanych do robót ciężkich. Postępując w ten sposób z towarzyszami więziennymi obadwaj

pozyskali zaufanie ogólne; urządzono warsztaty, gdzie uczono rzemiosł, miewano odczyty i pogadanki w zakresie historii, higieny i literatury polskiej. Naraz przytransportowano do Akatui *Pawła Landowskiego* i kilku innych, złowionych podczas ucieczki z więzienia. Ci będąc inicjatorami powstania Bajkalskiego, mieli cel inny, aniżeli *Ohryzko*, albo *Dworzaczek* bo zaczęli namawiać do nowego powstania, obiecując, że wyprowadzą powstańców przez Chiny do kraju rodzinnego.

„W czasie ich pobytu w Akatui wybuchło powstanie na drodze dokoła Bajkału. Zychliński, znany łotr, denuncyował Landowskiego, oskarżając go, że bawiąc jeszcze w Irkucku formował tam kadry powstańcze, a że Ohryzko miał jakoby stosunki z Landowskim, a do tego, że pozyskał zaufanie wszystkich więźniów, więc posadzono go, że zamierza wywołać powstanie w Akatui.

„Po nieszczęsnej katastrofie na drodze dokoła-bajkalskiej, rozpoczęła się akcja terroryzmu więziennego. Otóż na mocy rozporządzenia przysłanego z Irkucka „ażeby wpływowe osoby usuwać z więzień wspólnych i trzymać ich w odosobnieniu,“ raptem, bez żadnego powodu, wywieziono *Ohryzkę* z Akatui i osadzono pod najściślejszym dozorem osobno w więzieniu Aleksandrowskiem, położonem w tymże samym okręgu Nerczyńskim. Stąd tylko raz wywieziono go na śledztwo, gdzie był badany przez naczelnika powiatowego *Kozaczenkę*. Kazano mu objaśnić powody powstania „bajkalskiego.“ Ponieważ nie o tem powstaniu nie wiedział, nie mógł też dać żadnych objaśnień. Na tej jedynej indagacji i jedynem zapytaniu skończono śledztwo, ale trzymano dalej *Ohryzkę* w więzieniu osobno, nie wypuszczano go nawet na spacer. 12 listopada 1866 roku, prawie w ten sam dzień, kiedy wykonywano wyrok nad powstańcami bajkalskimi w Irkucku, wywieziono *Ohryzkę* w nocy, w największej tajemnicy, przez Irkuck do Jakucka. Odtąd nazywano go № 9-tym. Wieść o nim zaginęła, nikt zgoła nie wiedział, co się z nim stało. Pobyt w Jakucku był tylko chwilowy. Gubernator Jakucki dostał rozporządzenie wybudować osobny domek, czyli więzienie całkiem odosobnione w którymkolwiek z powiatów ziemi Jakuckiej i tam osadzić № 9-ty pod strażą dziesięciu kozaków i podoficera. Gubernator zaważwał naczelników powiatowych, zapytując, który z nich może skutecznie rozkaz generał-gubernatora. Naczelnik powiatu Wilujskiego przyjął na siebie ten obowiązek, odmówili zaś naczelnicy Wierchniekołymska i Niżniekołymska z racyi, że nie mają dostatecznej ilości kozaków dla pilnowania więźnia. Po przeniesieniu do samotnego więzienia, zbudowanego w okręgu wilujskim,

żył w niem Ohryzko odosobniony od świata w otoczeniu strażników, aż do roku 1871. W roku 1870 gubernator Jakucki *Witte*, bawiąc w Petersburgu, był na audyencji u Cesarza, po oficjalnej audyencji Cesarz zaważwał *Witte'go* do swego gabinetu i zapytał go jak się zachowuje w więzieniu *Ohryzko*. Gubernator pochwalił zachowywanie się więźnia i prosił o ulgi dla niego. Cesarz odesłał *Witte'go* do *Szuwałowa*, ówczesnego szefa żandarmerji, któremu wydano rozkaz, by wrócono nazwisko Ohryzce i osadzono w Jakucku pod dozorem policyi.

„Zamieszkawszy w Jakucku, *Ohryzko* zajął się gospodarką rolną i chowem bydła, wybudował sobie chatę, zachęcał Jakutów do rolnictwa, dając z siebie przykład i zyskał ogólny dla siebie szacunek. Tak przeszły lata do roku 1874.

„Staraniem prywatnym Prof. *Kawelina*, przyjaciela Ohryzki, udało się uzyskać pozwolenie na przeniesienie jego do *Wiercholeńska*, miasta powiatowego, czyli raczej miłośnicy nędznej w gubernii Irkuckiej. Ówczesny naczelnik powiatu rzeczonoego *Izmailow*, człowiek uczciwy i szlachetny, starał się wedle możliwości swojej uczynić więźniowi pobyt w tem mieście znośnym. Następnie za wstawieniem się *Izmailowa* do władzy, *Ohryzko* otrzymał z polecenia generał-gubernatora Irkuckiego paszport do Irkucka z terminem czteromiesięcznym, w celu zasięgnięcia porady lekarskiej i leczenia się tu od choroby ocznej i reumatyzmu w stawach. Do Irkucka przybył pod koniec r. 1874 i zamieszkał u mnie. Po upływie czterech miesięcy, gdy dalsze leczenie okazało się niezbędnem, Ohryzko podał prośbę o pozwolenie pozostania nadal w Irkucku. Lekarz przyboczny generał-gubernatora *Fredrichs'a*, Dr. *Mikołaj Reichman*, wstawieniem się swoim u g. g. F., wyrobił mu to pozwolenie, uzyskawszy je miał nadzieję Ohryzko, że dłuższy czas będzie mógł pozostać na miejscu, wśród licznej gromady zesłanych ziemaków, atoli najzupełniej nieprzewidzianie w styczniu 1875 został na rozkaz g. g. F. aresztowany i osadzony w podziemnym więzieniu przy pierwszym cyrkule policyi Irkuckiej. Zrozumieć powodów aresztowania nikt nie był w stanie; pełno było domysłów, ale pewności, dotyczącej przyczyny owego uwięzienia nie mieliśmy, ani wtedy, ani później. Posądzano pułkownika *Kupeńkę*, intryganta i człowieka niemoralnego, o chęć dokuczenia *Ohryzce*, ażeby sobie w ten sposób zjednać opinię gorącego patrioty rosyjskiego. Pułkownik żandarmerji *Jankowski*, z którym byłem na stopie towarzyskiej zażyłości, odmówił mi wyjaśnienia tej zagadki, powiadając, że to sekret stanu. Sprawa ta cała, tem się skończyła, że kazano Ohryzce natychmiast opuścić

Irkuck i udać się do Wiercholeńska. Tu przebywał aż do roku 1876. Dopiero po długich staraniach Prof. *Kawelina* przyszło rozporządzenie z Petersburga, na mocy którego pozwolono Ohryzce zamieszkać stale w Irkucku.

„Po raz pierwszy od czasu zesłania, czyli po 12 latach ciągłych przerzucania z miejsca na miejsce, Ohryzko mógł pomyśleć o jakimś stałym zajęciu. Jego energiczna natura wymagała pracy, a jakkolwiek przebył ciężką chorobę tyfusu, jakkolwiek cierpiał na reumatyzm i choroba oczu mocno mu dolegała, tak że czytać często nie mógł i pisanie było dlań uciążliwym zajęciem — pomimo to wszystko rwał się do pracy. Mając stosunki osobiste z domem handlowym *Barona Ginsburga Ewse'a* w Petersburgu i pełniąc urząd jego adwokata w Irkucku, miałem nadzieję wyrobić dla Ohryzki stanowisko na kopalniach złota, które eksploatowano na rzecz firmy *Ginsburga*. Sam naczelnik firmy, *Baron Günsberg*, pisał z Petersburga do głównego zarządcy kopalniami, p. *Tajurskiego*, ażeby dał Ohryzce posadę kontrolera, bo znając, jak pisał *Ginsburg*, prawość charakteru tego człowieka, jego sumiennosc i pracowitość, nie może życzyć lepszego obrońcę dla swoich interesów; atoli tu półkownik *Kupeńko* stanął na przeszkodzie; porzucawszy służbę rządową, wstąpił on do służby w kopalniach, a nie życząc sobie kontrolera sumiennego, użył wszelkich możebnych środków, ażeby udaremnąć starania nasze w kierunku uzyskania zajęcia dla Ohryzki. O tych staraniach jednak nic nie mówiliśmy jemu; sam on zaś szukał dla siebie pola pracy gdzieindziej i po długich poszukiwaniach postanowił zająć się gospodarką rolną. Na ten cel wybrał fermę „*Ankudinówkę*“, czyli inaczej zwaną „*Piwowarychę*“ położoną w pobliżu miasta Irkucka. Podziwiano energię, z jaką się zabrał i tę niepożytą siłę woli, z jaką walczył z przeciwnościami różnego rodzaju. Pracował bez przerwy, nie dosypiał w nocy, cały dzień był w polu, słota go nie powstrzymywała; ale pomimo to wszystko, cały plon z tej pracy nie wart był energii zatraconej.

„Baron *Frederichs*, generał-gubernator ówczesny, odnosił się do Ohryzki z całą życzliwością: po tej dziwnej katastrofie aresztowania, starał się, jak gdyby w chęci załagodzenia sprawy, o wszelkie możebne ulgi dla niego. Dowiedziawszy się o potrzebie operacji oka, sam z własnej inicjatywy prosił u władzy najwyższej w Petersburgu o pozwolenie na wyjazd Ohryzce do Kazania, do tamecznego okulisty. Starania jego wszakże nie odniosły skutku, gdyż jeszcze w ową porę obawiano się Ohryzki dla spokoju Rosyi, nie mogąc zapomnieć o tem wszystkim, co Kat-

kow wymyślił na niego. Choroba oczu zmusiła nareszcie Ohryzkę do porzucenia fermy, co stało się w r. 1878.

„Rozstawszy się z pracą około roli, objął urząd plenipotentą u *Chaminowych*. Środki, które mu te zajęcia dostarczały, zaspakajały aż nadto jego potrzeby życiowe, lecz zajęcia same nie zaspakajały jego energii. Postanowił tedy rozpocząć inny zawód, mając nadzieję, że na tem polu nowej działalności będzie mógł przynajmniej zadość uczynić potrzebie swej natury, rwącej się do pracy. Od r. 1879 rozpoczyna się peryod pracy Ohryzki na polu poszukiwania złota. Odtąd pędził, można powiedzieć, życie koczownicze, wyjeżdżał na całe miesiące do „tajgi,“ znosił chłody i trudy podróży po bezdrożach. Polegając ciągle na swoim dotąd żelaznem zdrowiu, ryzykował je nieustannie i w swych ówczesnych zajęciach okazywał zdumiewającą energię i wolę niezłomną.

„Wielką przeszkodą dla jego czynności, była ta okoliczność że jako pozbawiony wszelkich praw stanu, nie mógł zawierać kontraktów, ani zaciągać prawnie zobowiązań. Na podstawie manifestu koronacyjnego z dn. 15 maja 1883 r. rząd gubernialny w Irkucku wydał Ohryzce świadectwo, że się mu wraca prawa stanu wraz z prawem do służby rządowej i do wolnego przebywania na całej przestrzeni państwa rosyjskiego. Gdy takie rozporządzenie rządu gubernialnego doszło do wiadomości generał-gubernatora *Anuczyna*, który zastąpił Barona *Fredrichs'a*, natychmiast rozkazano odebrać świadectwo, wydane Ohryzce, zaś całą sprawę stosowania manifestu do osoby jego, oddać pod decyzję rady głównej zarządu Syberji Wschodniej. Rada oświadczyła, że niema żadnej racji nie stosować manifestu do osoby Ohryzki, gdyż mu nie dowiedziono żadnego nowego przestępstwa, że go jednak pomimo to wywieziono do Jakucka, bez sądu i śledztwa, to jest nadużycie władzy, jest bezprawiem, które wprawdzie zdarzało się często uprzednio, ale my, oświadczyła rada rzeczona, tego bezprawia prawem nazwać nie możemy. Protokoły rady były przesłane generał-gubernatorowi. Niezważając na orzeczenie rady, *Anuczyn* telegraficznie zapytał ministra spraw wewnętrznych: czy można stosować manifest do osoby Ohryzki. Minister odpowiedział piśmieniem, że wobec zesłania Ohryzki do Jakucka, wątpliwą jest możliwość zaliczenia go do kategorii osób, mogących korzystać z manifestu cesarskiego, to też w tej sprawie może tylko rozstrzygać senat.

„Przy ministeryum spraw wewnętrznych była podówczas utworzona komisya, pod prezydencją towarzysza ministra, gene-

rała *Orzewskiego*, zawiadującego wydziałem policji i żandarmeryi, komisya rzeczona miała na celu rozstrzygać wszelkie wątpliwości, któreby mogły powstać przy stosowaniu manifestu do osób zesłanych różnych kategorii. Do tej to komisji odwołał się minister w kwestyi, dotyczącej Ohryzki; wszyscy członkowie komisji, z wyjątkiem prezesa, osławionego w późniejszym czasie satrapy w Wilnie, *Orzewskiego*—oświadczyli się na korzyść Ohryzki. Przewodniczący *Orzewski* zawyrokował, że oddać trzeba tę sprawę do rozstrzygnięcia pełnemu posiedzeniu senatu. Senat w wydziale departamentu pierwszego uznał decyzję komisji za słuszną, jednak *Orzewski* nie przyjął tej decyzji senatu, lecz żądał, ażeby sprawa rozpatrywana była na pełnym zebraniu członków senatu i trzymał ją przez rok cały bez wszelkiej decyzji. Dopiero, gdy wszyscy członkowie senatu oświadczyli, że niema powodu odsądzać Ohryzkę od prawa korzystania z ulg mu przynależnych na mocy manifestu, musiał się poddać *Orzewski* i wyrok senatu podpisał, przyczem, jako czasowy zastępca ministra, telegrafował do generał-gubernatora Irkuckiego, że wysłany zostanie ukaz senatu, a wraz z nim i specjalny rozkaz Cesarski, na mocy których zostają Ohryzce wrócone wszystkie prawa stanu, jakie posiadał przed uwięzieniem i pozwala się jemu zamieszkać, bądź w gubernii Irkuckiej, bądź Samarskiej. Ohryzko wybrał gub. Irkucką.

Wyczekując z dnia na dzień przez półtora roku na rozstrzygnięcie losów swoich i pozostając w ciągłej niepewności, martwił się i nie mógł rozpocząć żadnego zajęcia; jednocześnie zdrowie jego słabło widocznie, szczególnie choroba oczu go trapiła, kazano mu poświęcić jedno oko, jak mówiono w celu ratowania drugiego, zdrowszego. Walczył z chorobami mężnie i ze stoicyzmem niezwykłym. W początku r. 1889 wyruszył do „tajgi“ na daleką północ, do swoich świeżo założonych kopalń złota, wrócił stamtąd na początku zimy. Ta ostatnia wyprawa pogorszyła w znacznej mierze stan jego zdrowia, ale sam on miał ciągle przekonanie, że z wiosną jeszcze raz pojedzie do „tajgi.“ Zima przeszła wśród zajęć przygotowawczych do projektowanej wyprawy, ale wiosna nie przyniosła żadnego polepszenia. 17-go marca starego st. 1890 r. przesłał wiadomość telegraficzną do mnie, mieszkającego podówczas w Petersburgu, tej treści: „Żadnej już nie mam nadziei, daj Boże dociągnąć do świąt Wielkiejnocy. Postaram się do Was napisać, jeżeli będę mógł. Obecnie szlę zapewnienia mojej szczerzej, serdecznej miłości ku Wam, żegnám Was.“ W kilka godzin po odebraniu owego telegramu, otrzymałem od mego ple-

nipotenta w Irkucku *Cymerskiego*, taką krótką depeszę: „*Józefat Ohryzko skonał o 12 godzinie w nocy z 17 na 18 marca* starego stylu.“

Przy śmierci Ohryzki byli obecni Dr. *Kiernożycki*, *Katusowski* i *Cymerski*. Siedząc w krzesle, rozmawiał z obecnymi, aż do ostatniego tchnienia. Nie mając już nadziei ujrzeć ojczystych łąnów i ziomeków, polecał otaczającym, ażeby przestali w jego imieniu znajomym i przyjaciółom ostatnie pożegnanie.

Tak zginął marnie człowiek tej energii, tej prawości charakteru, tej silnej woli i tego jasnego umysłu, jakie posiadał nieboszczyk.

Pogrzeb odbył się przy bardzo licznym udziale miejscowej ludności, która chciała zaświadczyć swoje żywe, serdeczne współczucie dla ofiar despotyzmu.

.....

DR. BENEDYKT DYBOWSKI.

ŁUNA.

XIV.

Na jednym końcu długiego stołu palił się „Primus,” na drugim buchał parą samowar, pośrodku piętrzył się stos bułek obok talerzy z kielbasą i baterji butelek piwa, łózka uginały się pod kupą szynelów i palt, u drzwi kalosze, zda się pułk piechoty, rozsypany w nieładzie, wrzawa taka, że ginęło w niej huczenie maszynki, upał, tłok, rozgrzane, ożywione, wesole twarze niby po tańcu, który dopiero co skończył się. W tym ścisku Hanka nie mogła odnaleźć Orkiszowej, do której przyszła z interesem. Nieśmiała i spłoszona zatrzymała się na progu — i już miała cofnąć się, ale Orkisz chwycił ją bez ceremonii za rękę, przywitał rozpromieniony i mimo oporu gwałtem zaprowadził do kanapy, gdzie usadowił między jakimś panem w okularach i niemłodą panią o białych włosach i miłej twarzy.

— Odbywa się tu taka sobie herbatka a zarazem „orgia ideowa.“ Zabawiamy się przed niepewnym jutrem, pókiśmy wszyscy jeszcze żywi — powiedział i zaraz znikł w tłumie.

Hanka rozejrzała się. Nie знаła tu nikogo oprócz obojga gospodarstwa. Orkisz aż tam pod piecem, gdzie palono papierosy, rozprawiał z kilku młodzieńcami, Jóźka, także zajęta rozmową, nawet jej nie zauważyła.

Co chwila ktoś podchodził do stołu, jadł i pił i znowu szedł w stronę pieca, gdzie najgorętsze toczyły się spory. Nie było nic słyhać, jakkolwiek każdy zrywał sobie płuca, bo wszyscy mówili i wszyscy krzyczeli jednocześnie. Gwar niby szum rzeki zagłuszał głosy pojedyncze. Wybuchały śmiechy, ktoś gwizdnał, ktoś machał ponad głowami gazetą, może prosząc o ciszę. Daremnie.

Czasami wpadał do uszu Hanki urywek rozmowy, prowadzonej koło kanapy, kilka zdań bez początku i końca, bez treści i związku, które wnet zalewał nurt wrzawy. Jakiś pan pisał coś szybko ołówkiem na skrawkach papieru i odczytywał ciekawym, którzy się pochylali nad nim. Koło okna dumał samotny, milczący starzec, dziwnie piękny patriarcha ze srebrną brodą, o młodem, radosnem, marzącem wejrzeniu. Oczami, które cieszyły się, wodził po zebranych.

Czyniło się coraz goręcej, powietrze od dymu stało się ciężkiem i gęstem, jak opar. A wciąż jeszcze przybywało osób. Ci, dla których zabrakło miejsc stojących, usiedli na łózkach — złamało się jedno łóżko, potem i drugie. Burza śmiechu towarzyszyła tym katastrofom.

— Może pani herbaty? — zwróciła się do Hanki jej sąsiadka — tu każdy dla siebie i sam o sobie.

— Dziękuję pani.

...ta świnia, wypasiona w burżuazyjnym chlewie, wylewała łzy nad ojczyzną — doleciało od stołu.

— Szkoda, że nie obrano przewodniczącego. W tym gwarze nie słychać nic — odezwała się znowu pani.

...fabryka perkalików, służba Boża i Boże wzbogacanie się na koszt robociarzy...

— Istotnie nic nie słychać — uprzejmie odparła Hanka.

— Pani tu obca. Może pierwszy raz?

— Nie znam prawie nikogo.

...Zasięką nahajkami ale my ich...

— A ja już z drugim pokoleniem obcuje — mówiła pani.

Tak rozmawiały, jak mogły najgłośniejszy, mimo, że wciąż przeszkadzały im urywki gawęd, prowadzonych przy stole. Urywały co chwila, czekając, żeby uciszył się śmiech, w którym było coś z rżenia i coś z łoskotu pędzących po złym bruku wozów, gawędziły znowu. Pani z miłą twarzą opowiedziała Hance o swoim synu — jedynaku, który służył tej samej idei i tu w tem mieście powieszony... zginął jako jeden z pierwszych męczenników.

— Pozwolili mi go zobaczyć — wspominała — po długich miesiącach. Nie wiedziałam, co to ma znaczyć, że to jest ostatnia „łaska“ dla niego przed śmiercią. Poszłam. Wprowadzili mnie, a ja, patrząc na niego, myślałam sobie, kto jest ten więzień, taki nędzny, taki biedny. Dopiero, gdy spojrział — poznałam. Ach, i na końcu świata te oczy jego... Krzyknęłam i rozplakałam się... My kobiety... pani rozumie, matka, co matka... Posadził mnie koło siebie, objął... ręce mizerne, białe... nie mogłam, nie mogłam...

Uśmiechał się i gładząc mnie po włosach powtarzał: było nie było... I uśmiech na twarzy jego był ten sam, co niegdyś w dzieciństwie — łagodny, dobry dla mnie. Bo wyznam pani, że przed uwiecznieniem żyliśmy w ciągłej wojnie... moja była wina nie jego... O śmierci nie mówił nic. Dał kilka poleceń, zapytał, czy sprzedają już na ulicach fiołki, czy zazieleniły się trawniki — potem o drzewa w ogrodzie. Pocieszałam go, że wypuszczą go rychło, że sam zobaczy tę wiosnę... „chciałbym widzieć obłoki wiosenne, które płyną przez całe niebo daleko — z daleka“ powiedział. A potem dodał: było nie było... Pocieszałam go płacząc — płacząc wyszłam. Obejrzałam się: stał spokojny, obojętny — przeciągnął się. Nad ranem skończyli z nim. Posłałam mu fiołki... Włosy, które on gładził, zbiały... Tyle lat przeszło, a mnie się wydaje, że on jest, że oni go męczą jeszcze...

Zamyśliła się, i Hanka patrzyła w jej słodką twarz, która stała się surową, szukając łez. Ale łez nie było.

— Pani — zaczęła po chwili — oni nie zwyciężą nas nigdy. Każnie nie pomogą. Gdyby ich wszystkich tu powieszono, my matki... Gdy syn jeszcze żył, spierałam się z nim, wrywałam mu książki, wypędzałam za drzwi kolegów, byłam wrogiem idei, która odebrała mi syna, zabiła w nim religię i uczucie, która zaprawiła mu serce goryczą i nienawiścią — a teraz oto już z drugim pokoleniem... Z bólu, z miłości, z chęci zemsty pokochałam sprawę, ich wszystkich, jego książki, jego myśli... Oni nie złamią nas! Jeszcze pokolenie męczenników, może jeszcze jedno, a potem...

Huczny śmiech zagłuszył resztę jej słów. To wszedł do pokoju gość, który udawał znakomicie znanego, znienawidzonego w tem mieście pułkownika żandarmeryi. Tak samo utykał, jak ów, tak samo sepleniał, tak samo bił się w pierś i brał groźną pozę. Długo ku powszechnemu zadowoleniu odbywała się ta scena.

— Bawią się chłopcy — odezwała się pani — to mi młodość! Jutro może niejeden pożegna się — dziś ani dbają...

— Pani przypuszcza rozlew krwi? — trwożnie spytała Hanka.

— Któż zgadnie, proszę pani! Ma być pokojowa manifestacja, ale tamci zechcą prowokować i, jeśli im się uda, nie pozostają nahańców, pałaszów, kul...

— Po co to, pani, po co! — wyrwało się Hance, która wnet została zgromioną przez pana w okularach.

— Po co! — powtórzył z przekąsem — pani zapytuje, czy też pani wątpi?! Więc dlaczego pani znajduje się tu? Proszę panią, jeśli pani ma zbyt tkliwe serce, to my... a może pani chce wy-

śpiewać na nutę patryotyczną trelik żałosny o narodzie cierpiącym, o lekkomyślnych, o wrogu wewnętrznym... w tkliwych sercach brzmi zawsze ta sama piosnka... wiemy, słyszeliśmy — mówił pan w okularach i patrzył na Hankę gniewnymi oczami.

Ona nie próbowała bronić się — pokornie słuchała.

— Strach obleciał panią — napadał dalej sąsiad — pani ma „pietra...“ To bardzo pospolity nastrój. Nazywa się inaczej rozwagą. Rozum polityczny i praktyczna trzeźwość nauczają, iż wystarczy, jeżeli każdy w swym kółku... Duch Boży zstąpi i zrobi resztę. Czekaj tatka latka. To także przysłowie — mądrość narodów. My bo mądrzy jesteśmy — i bardzo. Co kto otworzy usta — nastaw uszu: wielki polityk mówi, wielki brzuchomówca. Pracujmy, powiada, oszczędzajmy się, powiada, wzbogacajmy się, powiada... Ojczyzna, jak każda dobra matka, nie chce przyjmować ofiar od dzieciętek. Dziecieczki wesołe i bogate, rozumne dziecieczki kochają tę swoją matkę. Cierpieliśmy tak długo, że teraz już czas spodleć...

Hance przypomniwały się słowa Rzyżniewskiego o socyalistach.

„Trzymam z nimi, bo znam ich od X lat, ze szkolnej ławy, z dobrych lat młodości, w których człowiek kocha siebie nie au naturel ale pod dwu postaciami: ludzkości i ideału i wciąż odprawia samolubną mszę przed ołtarzem idei... wspomnienia wiążą. Powtóre, cenię ich prawość. Ktoś wielki nazwał ich najuczciwszymi i najgłupszymi wśród ludzi. Takimi też są. Bezwzględni fanatycy, okrutni despoci. Stają rzekomo w obronie życia, a są jego niebezpiecznymi gnębiicielami, jak wszelki tłum. Dążą do tego, by wśród żywnych równin przechadzały się wytuczony woły...“

Pamiętała każdą swoją rozmowę z powieściopisarzem i teraz to zdanie było dla niej niby laską, na której opiera się człowiek, gdy idzie w ciemną noc drogą nieznaną. Miała oddawna mimo gorliwego „oddziaływania“ Orkiszów wyraźną odrazę do tego obozu — dziś z przerażeniem, z jakimś nieświadomym niepokojem patrzyła, słuchała, podziwiała; widziała ludzi silnych, dzielnych, wesołych, bezczelnie odważnych i bezczelnie oddanych jednej idei, brutalnie bezwzględnych, wmawiała w siebie szacunek dla nich, ale odrazy przezwyciężyć nie mogła. Sąd Rzyżniewskiego, w porę wydobyty z pamięci, usprawiedliwiał to uczucie niechętnie, które wydawało się jej nieładnem.

Nie odpowiadała na zaczepki wojowniczego sąsiada — przestała go słuchać.

Z drugiej strony pod ścianą gawędziło kilku młodych, i urywki tej rozmowy dochodziły ją od czasu do czasu, w chwilach, gdy na mgnięcie ustawał gwar.

...powiadam wam, katuja, znęcają się. Orłowski wie. Głodzą albo karmią śledziami i nie dają nic pić. Sieką—ocuca i znowu sieką.

...pan pułkownik palił papierosa, przyglądał się, papierosem dla zabawy piekł to tu, to tam...

...każdej nocy z wyjątkiem niedzieli... są specjaliści i różne rodzaje...

— Nieprawda! nie może to być! — chciała wykrzyknąć Hanka, którą przebiegły dreszcze.

...był szpiclem napewno. Zakradał się, podsłuchiwał... złapano raz i drugi. Namawiał do wszystkiego, a sam krył się. „Kozła“ wzięli... potem znowu ta „wsypa.“

...tak... wybrali się z nim na walne, szedł wesoly, podśpiewywał, spodziewał się, że obłowi się.. a z mostu — dokończył ruchem rąk.

...ale i tu są jakieś figury, których jeszcze nigdy...

Oczy obu towarzyszków przez chwilę podejrzliwie badały Hankę.

Zmieszła się i przyszło jej na myśl, że ktoś może wziąć ją za szpiega, że zapadnie wyrok i czyjeś ręce zepchną ją do zimnych nurtów.. Rozmawiała z sąsiadką.

Koło stołu dopijano resztki piwa i zmiatano resztki jadła. Znikały stosy bułek, kiełbasa, chleb, wypróżniały się butelki, których cała bateria, ustawiona na podłodze, brzęczała nieustannie. Jakiś mężczyzna olbrzymiego wzrostu, niezmiernie chudy z twarzą zczerniałą i wyniszczoną, jadł szybko chciwie i dużo, i Hanka wciąż widziała jego brudne ręce i brudne mankiety nad stołem. Patrzała w niego z litością, którą tłumiała trwoga, patrzała niby na groźny, ogromny symbol głodu, gniewu, nędzy i prawa zgłodniałych.. Nasyciwszy głód, robotnik odszedł, stanął wśród tych, co rozprawiali, i słuchał tak samo chciwie, ćmiąc papierosa. Wysocki sterczał ponad wszystkimi.

Potem rzuciła się Hance w oczy—postać chłopaka. On także nie mówił nic i tylko słuchał uważnie. Co chwila przez usta, nad którymi zaledwie wysypywał się jasny wąs, przewijał się uśmiech wesoly, prawie szczęśliwy, i tyle było w tej twarzy jasnej, pięknej i zdrowej—młodej radości życia, że radość udzielała się innym, że z radością odpoczywało na niej spojrzenie. Przyszedł tu ubrany odświętnie w śnieżnie białym kołnierzyku, w jaskrawym krawacie, z jaskrawą szpilką, „przy zegarku,“ wymyty, ogolony, starannie uczesany, niby na jaką zabawę, niby do dziewczyny — pierwszej kochanki, stał w zgiełku sporów namiętnych, wśród

wrzawy schrypniętych głosów z tym swoim bezwiednym uśmiechem szczęścia, wiosennej nadziei, młodocianej radości...

Hanka chciałaby wziąć go za rękę i wyprowadzić z tego pokoju. Przypadła mu się, dopóki go ktoś nie zasłonił, potem znowu odnalazła go w tłumie i znowu oczami pieściła tę głowę chłopięcą o ślicznych, lnianych, kędzierzawych włosach. Przypomniła się jej opowieść sąsiadki o synu — ogarnął ją żal...

Tymczasem wśród obecnych rosła wesołość. Pod piecem toczyły się jeszcze gorące, krzykliwe, gniewne spory ideowe, ale coraz częściej inne grupy wybuchały śmiechem. Opowiadano sobie różne „kawały“ o burżujach, kryjących się na widok sztandaru, o „fiolach“, o facetach, którzy co roku przed pierwszym maja, to jest przed samą manifestacją występowali z partyi i przenosili się do innych obozów, więcej bezpiecznych, o wypróbowanych sposobach naciągania publiki, to i owo...

Hanka nie umiała śmiać się z nimi. Myślą odbiegała daleko. Błąkała się po szlakach niepewnych przyszłości — szukała, utrapiona, znużona, szukając gdzieś „mogła głowę skłonić“, szukała schronienia, a także drogi wyraźnej i celu.

— Pójdziecie jutro? — huknął ktoś nad samem uchem.

Podniosła spłoszone spojrzenie na młodego człowieka o krzywych ustach, który pochylił się ku niej i zapytywał ją niecierpliwie.

— Nie wiem jeszcze — odparła cicho, wahając się.

W oczach młodego człowieka o krzywych ustach była chłodna pogarda. Poszedł dalej — i wszyscy odpowiadali mu twierdząco, niekiedy tylko kiwnięciem głowy.

Hanka zrozumiała, że najwznioślejsze czyny, najcudniejsze poematy, anielska świętość nie ochroniłyby jej tu na tem zebraniu wśród tych ludzi od pogardy, gdyby ona nie zechciała stanąć z nimi razem.

— To pani sobie tak... od sympaty — znowu szorstko zaczęła ją sąsiad w okularach.

Wolała milczeć.

— Sympatyę ofiarować najłatwiej — drwił dalej — bo nie kosztuje nic i nie zobowiązuje do niczego. Można dziś tu, jutro tam — i djabłu i panu Bogu... Niech sobie ludziska rozbijają łby o skałę, ja na wygodnem krzeselku z życzliwym uśmiechem, z robotką na bazar dobroczynny dla otarcia łez...

— Czy wy pojmujecie to — zapalił się naraz — że to jest ostatnia walka, że tu rozstrzyga się los wieków. My to powiemy zgrzybiałym starcom — minionym stuleciom, że nie na marne obrócił się ich trud, my na szalę dziejów rzucimy ostatnie słowo —

naszą ideę, my pierwsi i jedyjni staniemy u mety. Kończy się niewola, bitwa rozpoczęta — będą zwycięscy i będą polegli, biernych niema, każdy winien iść w szeregi walczących...

Powielekroć miał słuszość. Czynów potrzeba, bo czynów godzina wybiła. Słowa, tęsknoty, smutki są jak liście, które wędzną i opadają—po owocach poznanem będzie drzewo. Chciałaby być dębem wysokim, krzepkim, odważnym, a czuła, iż dusza jej jest jak mgła. I znowu w zadumie nisko pochyliła głowę. Próbowwała wziąć myśli swoje do garści niby cugle—nie udawało się jej to. Pierzeł wniosek, który wysnuła, którym usprawiedliwiała siebie, pierzeły wszystkie myśli. A, unykając, pokrajały jej serce w głębokie bruzdy, które krwawiły. W jej organizacyi myśli przetapiały się zwykle w uczucia, uczucia stawały się bólem. Cierpiała teraz. Cierpieniem było pokorne poczucie nicości i słabości własnej, poczucie, iż ona jest niezdolna do czynu, do ofiar, do męczeństwa, że wśród tych dzielnych, męźnych i wesołych ona jest tak różna, tak niepodobna, tak samotna i niepotrzebna, że budzi pogardę, że tłum wojowniczy zdepce ją w swoim hucznym pochodzie, że niema dla niej miejsca na ziemi, że ona jest jakimś echem spóźnionem, słabem, bezużytecznem czasów minionych, że nie może płynąć z prądem a niema sił do walki, do utorowania sobie własnej drogi...

Ludzie, od których stroniła z niechęcią, któremi do niedawna pogardzała, stanęli dziś przed nią w świetle bohaterstwa, i powiedziała sobie, że nie jest ich godną. Dlatego tak nisko pochyliła głowę. Dumne słowa Rzyźniewskiego nie zawierały już dla niej pociechy—zbladły, i nie było go tu, żeby jak zwykle usiadł koło niej blisko i, podnosząc na nią od czasu do czasu swoje zgaszone, a niepokojące oczy, szeptał ustami o braterstwie dusz na wysokich szczytach a spojrzeniem nagląco, uporczywie, natrętnie mówił o szczęściu gorącym i szkarłatnym... Nie było go tu... Może żałowała...

Patrząc ku drzwiom, szukała, kędyby najlepiej wymknąć się nieznacznie. Miała już wstać i wysłiznąć się. Ale w tej właśnie chwili dotarła do niej Józka Orkiszowa.

— Jesteś Hanko... to dobrze! oddawna? Nie widziałam ciebie—mówiła szybko, jakby zdyszana—zebraliśmy się przed jutrem i jaka wesołość! Słyszałaś, co mówił Toporek? Pękałam od śmiechu. Ale prawda, ty tu w najgorszym miejscu... chodźmy pod piec. Tam Dyabeł czubi się z Polipem. Polip staje w obronie burżujów—taki idealista! Mnie się wydawało zawsze, że to faryzeusz,

ze on niepewny—i pokazało się. Chodź pod piec—posłuchasz!—ciągnęła Józka.

— Zmęczona jestem i wolę siedzieć... zostanę...

— Zostań sobie, ale ja pójdę i skoczę temu słodkiemu do oczu. Dali Bóg nie wytrzymam...

Orkiszowa dała nurka i, malutka, przepychała się zręcznie przez tłum. Po chwili wróciła.

— Wyobraź sobie!—mówiła jeszcze prędzej, zdyszczanym głosem—przygotowałam sztandar na jutro—a tu Djabeł dowodzi, że potrzebne są dwa. Skąd ja teraz dostanę, co ja teraz!—wzięła się za głowę—może ty co masz w domu, jaką szmatę?

— Wiesz co, już mam—gadała, nie doczekawszy odpowiedzi—już mam!—skoczyła w górę—i dobrze, że jesteś tu, bo mi dopomożesz. Doskonała myśl! Są przecież poduszki... popruc, zszyć, raz dwa...—i znowu dała nurka.

Rzeczywiście przyniosła dwie poduszki, nożyczki, igłę. Poprosiła pana w okularach o miejsce, usiadła koło Hanki, zabrała się do roboty. Połeciało pierze, lekkie puchy unosiły się w powietrzu, niby płatki śniegu. Hanka pomagała niedołącznie.

Tymczasem rozpoczęły się mowy. Uciszone gwar za pomocą dzwonięcia łyżeczką o szklanki, tłum odsunął się trochę ku drzwiom, mówca stanął przy stole na krześle. Hanka widziała już gdzieś tę twarz starca, twarz łagodną o marzycielskiem wejrzeniu, tę białą głowę patryarchy. Szyjąc słuchała.

— Przychodzę do was ze słowem miłości—cicho i niewyraźnie zaczął starzec—bo wy jesteście pracownikami miłości. W winnicy, do której was powołano, zakwitną radość i błogosławieństwo—niech pasą się pospołu lwy i baranki. Kto ma miecz, schowa go do pochwy. Przed wiekami marzył mąż pewien o takim dniu pojednania—to marzenie stanie się za waszą przyczyną. Wy pracownicy miłości. Jak sen daleki ukazywała się ludzkości sprawiedliwość—a blisko już. Odmieńcie dusze wasze, odmieńcie duszę człowieka. Dobrą, czystą, jasną, pełną miłości jest dusza człowieka—mówię wam—widziałem, znużone oczy moje kochały tę duszę w każdym. Jeśli jest złe, to niby pleśń ze smutku czasów... Dobrym pragnie być każdy... Usuńcie nędzę, ucisk, zbierzcie wszystkie złoto, które wędruje po ziemi, i wrzucie je w morze, i ujrzyte duszę człowieka, że jak słodkie dziecko radować się będzie w winnicy błogosławieństwa. Bóg chciał, aby tak było, ludzie w ślepotcie wzroku... Odmieńcie mocą miłości... Nazywają was burzycielami, siewcami nienawiści. Nie tak jest. Alboż nie znają krzywdy i ucisku, nędzy i hańby ci, co kalają was i usta

własne tem oskarżeniem. Niech każdy z was weźmie za rękę dziecię zaniedbane, urodzone w wilgotnej piwnicy, niech głodne matki głodnych dzieci idą za wami—to będzie wasz pochód. Któż rzuci kamieniem?! Ludzie opamiętają się, jak niegdyś — słowo miłości przemówi. Bądźcie rybakami ludzi, a sieć wasza — siecią miłości. Przecież idea wasza od wieków była słodkiem wezgłowiem, na którem spoczywały strudzone głowy nieszczęsnych i śniły swój sen o dalekiej zatoce sprawiedliwości — niedołęźnie, płacząc się, cicho i niewyraźnie mówił starzec.

Hanka patrzała mu w oczy i czytała z nich cudne wyrazy niewysłowionych marzeń, prześliczną pieśń duszy.

Zebrańnię wysłuchało go zimno. Cofnął się w cień.

— Kto to taki? — spytała Hanka szeptem.

— Nie znasz go! — zdziwiła się Orkiszowa — wszyscy w mieście znają tego nudziarza. Rankami wysiaduje w ogrodzie, gdzie ma swoją ławkę, zaczepia przechodniów i naucza, chodzi na zebrańnię i także naucza. Wszędzie powtarza to samo. Jakiś mistyk, podobno towiańczyk. Nawraca endeków i nas, szczególnie zaś wziął się na nas... Apostołuje i chce, żebyśmy wszyscy zostali apostołami. Na jakimś zebrańnię namawiał do zakupienia mszy i komunii. Nikt go nie słucha, a on zawsze swoje. Podobno on i panujących zasypuje swemi listami i u każdego gubernatora, ile ich tylko przesunęło się przez to miasto, był z wizytą... wykladał swoją miłość wszystkim — ale słuchajmy.

Teraz wystąpił sąsiad Hanki, pan w okularach. Spoglądając gniewnie i groźnie przez swoje szkła, zbijał i wyszydzał cichego starca.

— Podsuwają wam pod głowę odurzające wezgłowie mistycznych snów, usypiają was bałamutnym trunkiem marzeń — wołał donośnie. Niech marzą poeci, którym burżuazya płaci od wiersza za to, że wylewają łzy nad przeszłością, że mile łechcą im serca piórem, umaczaniem w patryotycznym bagnie, że roztkliwiają i okłamują was, towarzysze. Minął czas pieśni, płaczów żałosnych, wzruszeń — czynów potrzeba — dziś jest nieubłagana walka na śmierć i życie. Nie dajcie się od niej odwieść, towarzysze, strzeżcie się fałszywych nauczycieli, co mają miód na faryzeuszowskich wargach, a wodę zamiast krwi w żyłach. Miecze schować do pochew, lwy obok baranków — kłamstwo! Niema baranków i na cóż są miecze, jeśli mają rdzewieć? Jesteście wy, towarzysze, proletaryat, wojsko robotnicze — i jest wróg. Kto nie z nami, ten wróg — ogłaszamy wojnę. Nie wchodźcie w przymierze... Wyciągną do was rękę — nie bierzcie jej. Waszym trudem, za cenę

waszego męstwa, waszej krwi oni chcą zdobyć dla siebie korzyści. Wy pójdziecie do walki, wy zwyciężycie, oni zagarną dla siebie władzę. To wszystko już było... Będą wam mówili o rodzinie narodowej, o ojczyźnie, o wspólnych ideałach—nie słuchajcie. Naród — to wy, i jeden jest ideał — na sztandarze naszym. Oni tę ojczyznę zhańbili i sprzedali już dawno. Nie mają prawa... strzeżcie się — krzyczał.

Był długi szereg mówców. Rozgrzani, podnieceni wskakiwali na krzesło i ochryplym głosem, trzęsąc pięścią, miotając błyskawice z gorejących oczu i gromy przekleństw ze spieczonych gorączką ust, nawoływali do walki. Czasami wtórowano im okrzykiem „hańba,“ czasami zrywały się oklaski, jednych słuchano z upodobaniem, innych — lekceważąco. Kotłowało się w głowach i w sercach, błyszczały oczy, pot spływał po twarzach. Z płonących słów powstał płomień, i zdawało się, że pali się powietrze, że tu jest krater, z którego bucha ogień. Niezmierna wiara i niezmierna nienawiść spotykały się tu i stały, wpatrzone w siebie zdumionem spojrzeniem, trzymając się za ręce, niby dwie siostry, a pełne odrazy dla siebie, jedna wzniosła jaskrawą chorągiew, druga—topór katowski. Powiewała nad głowami zebranych chorągiew, świeciło złowrogie ostrze. Był upał i zaduch...

O wielkiem bractwie proletaryatu, ogarniającem cały świat, o krzywdzie, starej jak dzieje, o bohaterskiej męce, o świętych prawach proletaryatu, podeptanych a nieprzedawnionych, o wrogu zewnętrznym i wewnętrznym, najbardziej niebezpiecznym, o milio nowej armii robotniczej, o bliskim zwycięstwie, o dniu sądu i pomsty, o zapadających się tronach i rządach, o wszechwładztwie ludu, zapracowanem przez wiekowe trudy w wiekowym pochodzie, krzyczały schrypnięte głosy, znienawidzonym groziły zaciśnięte pięści.

Groźny pomruk szedł po zgromadzonych, burzyły się serca, coś wzbierało w nich, rosło, rozżarzało się, coś rozsadzało dyszące szybko piersi i rwało się z nich — może ryk nienawiści, może jęk rozpaczny, może dumny pozew... Aż wybuchło. Huknęła pieśń. Siedzący powstał z swoich miejsc.

Nie była to skarga niewolników i nie był to beznadziejny płacz słabych. Jak szybkie ciosy niezmiernego młota, jak tętent pędzących rumaków i tupot niezliczonych rzesz, idących do boju, jak warczenie bębnow przed bitwą narodów, jak łoskot walących się murów zdobytej twierdzy, jak gędzba dzwonów, targanych ręką szalonego—brzmiały strofy. Młodość i męstwo, szaf pijanych zwycięstwem i radość wyzwolonego, śmiech zemsty i krzyk nie-

nawiści, duma i moc, ochota udałych i gniew zawziętych, krew i upojenie, niszczenie i pęd, pycha zdobywcy i żądza nienasyconego — były w tej pieśni złowrogiej, ogromnej...

Hance, którą przeleciał dreszcz, wydało się, iż w mrokach pokoju niezmierny tygrys przygotowuje się do skoku i patrzy straszniemi ślepiami.

Śpiewali wszyscy, i pieśń rozsadzała ściany izdebki, wydierała się przez okna, płynęła nad domami miasta, niosąc wyrok i groźbę, pozew i hasło...

Była już późna godzina. Świece dopaliły się oddawna, gaśły lampy. W pokoju uczyniło się ciemno.

Oni śpiewali dalej.

I nagle na tle mroku za oknami ukazał się krwawy drgający blask. Czerwona jasność rosła szybko na niebie.

— Brzask nowego dnia — zawołał ktoś, gdy ucichła pieśń.

— Łuna — były inne głosy.

XV.

Poszła do kościoła o umówionej godzinie, gdyż coś wypychało ją z domu, jakiś niepokój, jakaś śmiertelna trwoga, jakiś wstyd, ale nie chciała przyłączyć się do nich i stanęła w ukryciu między filarem a ławą. Melodya organów, śpiewy, tłum modlących się, ksiądz, głos dzwonka podczas podniesienia, wspomnienia wsi i lat dziecięcych, lat wiary — to wszystko oddziaływało na nią tak jak wigilia, gdy opuściła zebranie z krzykliwą pieśnią w uszach, ze zgiełkiem w głowie i cierpieniem w sercu, widok nocy zimowej. Długo stała przed domem swoim, zapatrzona w niebiosy, i długo dumiała. Dokoła była święta cisza, i miasto spało, otulone w miesięczną poświatę. Wydawało się, że jaśniejące od ukrytego za powłoką chmur księżycy niebo, że to słodkie i cudne niebo czuwa troskliwie nad śpiącą ziemią i roztacza nad nią łagodną opiekę.

„A ludzie, co uczynili ludzie — myślała Hanka — i po co, po co? kłótnie i wrzawa, krew i nienawiść, krzywdy i walki... innym mogłoby być życie — pięknem i dobrem...”

I zrywał się w jej sercu płacz niezmierny a jednocześnie podnosiła się modlitwa dziękczynna do tej ziemi, że usnęła w pokoju, do cichych niebios, do ich łagodnej opieki... Płacz zrywał się i teraz w kościele. Schowała twarz w dłoniach, słuchała śpie-

wów, unosiły ją wspomnienia, czar schodził na nią, kołta ją cisza modlitwy, od gorejącego ołtarza, od krzyża, od Umęczonego Oblicza spływała na nią myśl litościwa i opiekuńcza. I zdało się jej, że stała się dzieckiem, że biała z białym kwiatem w ręce idzie przez jakieś łąki jasne ku jakimś wodom, rozlanym w dali szeroko, i ukazywał się jej oczom świat pokoju i miłości, świat zapomnienia, i dusza, skąpana w cudownym zdroju, brała skrzydła gołębiczy i lot gołębiczy, szła kędyś w przestworza, roztopiała się, olśniona blaskiem przedziwnym, w zachwyceniu i w szczęściu.

Ale w śnieżnych piersiach duszy-gołębiczy tkwił ostry grot ziemskiej troski — budziła się świadomość, powracał ból, bolesne myśli szarpały serce, i męka daremnych zapytań...

„Że wielka jest krzywda na ziemi, że niezmierna niedola, Ty wiesz—w modlitwę zamieniały się myśli bolesne — czemu Ty, co czuwasz i kochasz, Ty, do którego garną się te biedne tłumy, woli Swojej nie czynisz? Odmień Ty serca, daj ciszę i ukojenie... wielka jest niedola, wielkie cierpienie na ziemi...”

Kłęcząca i biła się w piersi, jak gdyby odzyskała na nowo wiarę pokornych, wiarę wiedzących. Ciszy łaknęła jej dusza...

Ale wątpienie tłumilo modlitwę tak jak rozmowa dorosłych zagłusza skargę dziecka, i niepokojem oczu wciąż szukała tych, którzy przyszli tu, żeby pójść... Nie patrząc nawet widziała ich. Zebrała się już duża gromada. Stali w bocznej nawie, wszyscy razem, stłoczeni w kupę. Szepty i śmiechy krążyły wśród nich, co chwila ktoś odrywał się od ich grona i wychodził z kościoła, żeby wnet wrócić z jakąś wieścią. Karcili ich zdziwione albo gniewne spojrzenia modlących się, a oni niecierpliwili się coraz to bardziej, coraz głośniejsze rozmawiali i śmiali się. To „djabeł“ dla zabicia czasu opowiadał zabawne historie o klekach...

Gdy ksiądz w kazaniu, które trwało długo, ostrzegał wiernych przed „szatańską“ nauką bezbożnych i burzycieli, poczęli stukać nogami, chrząkać, kaszlać. Hanka bała się, że wyjdą na środek świątyni, że stanie się coś niezwykłego. Ukryła się jeszcze staranniejsze za filarem.

Ale szpiegowskie oczy Józki Orkiszowej dostrzegły ją i tak natarczywie przywoływały, że poszła.

— A co! i ty! — szeptała Józka — a miałaś nie być. Ja byłam pewna, że przyjdiesz po wczorajszem. Cudowna była biba. Orkisz nazywa to orgią ideową... taki wieczór, to rozkosz! I dziś będzie frajda... sztandar mam w kieszeni...

Hanka przyglądała się tym twarzom zuchwałym, szorstkim, śmiejącym się w tej chwili i wesółym.

Teraz na wezwanie kaznodziei tłum padł na kolana i bił się w piersi — oni stali i patrzali urągliwie.

„Od szatana i pychy jego obroń nas, Panie — wołał ksiądz — daj nam łaskę skruchy i mądrość pokory, daj nam pokój Twój...”

Usta Hanki mimowoli powtarzały to błaganie. „Mądrość pokory, szczęście posłuszeństwa woli Twojej.”

— Rozkaz taki — trzepała dalej Józka — iść kupa, od kościoła pierwszą ulicą na lewo, zaśpiewać na komendę... Kiedyż już ten skończy swoje brednie! Jaka ty blada, Hanko! co ty czujesz w tej chwili? Ja mam w sercu lodowiec i czuję, że płomienie zaczynają lizać tę bryłę lodu — rozkosz — mróz, który roztapia się w ogniu... Jeszcze nie byłam na takiej frajdzie! To symboliczne. Z kościoła wprost, przed kościołem nasz sztandar... Czerwony wicher przeleci nad miastem. Uważasz, jak gniewnie oglądają się na nas te faryzeuszki w sobolach... Ty musisz to wszystko opisać...

Hanka wyszła przed końcem. Plac był jeszcze pusty. Z dzięczynną radością, która gościła w niej niedługo, powitała błękitne, zimowe niebo, słońce, śniegi na dachach, powiewne kolumny dymów. Z brzękiem przelatywały sanie. Stójkowy stał pod latarnią w białych rękawiczkach i poziewał rozgłośnie. Szła wolno.

Bezwiednie skręciła w pierwszą ulicę na lewo, dotarła do następnego placu. W tej chwili ozwały się dzwony kościoła. Postąpiła jeszcze kilka kroków — i opuściły ją siły. Z trudem cofnęła się do bramy, oparła się o ścianę, przytuliła się. Było cicho — tylko jej serce łopotąło...

Nagle niby pierwszy zziąjany goniec doleciał ją odgłos znanej pieśni. Tętniące dźwięki leciały w podskokach, jak gdyby groźnie szeregi do ataku — i zdawało się, że zadrżały wysokie, milczące domy...

Ulica, prowadząca do kościoła, zapełniła się w tamtym wylocie mrowiem ludzi, powiewał czerwony sztandar. Grzmiąca pieśń grała w powietrzu... szli, posuwali się, zbliżali się — wysoko ponad głowami kwitła krwawa szmata, wysoko, odbita od murów, łamała się na szydercze, urągliwe, chichoczące echa bojowa pobudka... szli...

Ulica zamarta, znikli przechodnie. Za to tu na placu zaroilo się. Ukazały się konne i piesze szeregi, zwały się w milczeniu, zamknęły wyloty ulic, stanęły w szyku, czekały. Świeciły w słońcu guziki, połyskiwała broń, parskwały konie.

— Zdrada i zasadzka... Skądby wiedzieli? — przemknęło Hance przez myśl — i chciała biedz na spotkanie śpiewającego

tłumu, ostrzedz, zmusić do cofnięcia się, albo zastonić. Ale opuściły ją siły — podniosła tylko rękę do góry — patrzała.

Byli już tak blisko, że rozpoznawała twarze. Oto w pierwszym szeregu „Djabęł,” oto tamten wczorajszy zgłodniały, ogromny i chudy ze sztandarem, oto pan w okularach, pani o białych włosach z twarzą, która wydaje się natchnioną, oto płonące oczy Orkiszowej, Orkisz wyprostowany i uroczysty, oto ten niemłody, bezradnie uśmiechnięty.

Mijały ją pierwsze szeregi — szli... Wlokła się za nimi, chwytając się murów, żeby nie upaść. Grzmiące strofy biły w nią, pchały ją naprzód, płąsały w jej sercu i płąsały wokół skocznym korowodem, brzmiały piekielnem szyderstwem, hulaszczą odwagą straceńców. Tam spokojna i milcząca czekała śmierć — do oczu skakały jej huczne, radosne strofy...

Od wojskowych szeregów ktoś rzucił tłumowi rozkaz raz i drugi... Tłum płynął dalej i pieśń płynęła, zuchwała, zwycięska, bezczelna, chwiał się wysoko czerwony sztandar i urągał...

Hanka zauważyła, iż jakby śmiech zakradł się między tę upojoną rzeszę i zatrząsał idącymi — twarze zmieniły się w jednym mgnieniu, pieśń umilkła nagle, rzekłbyś ptak ugodzony strzałą padł na ziemię nieżywy, tłum złamał się i zachwiał, ktoś gwizdnął, posypały się kamienie — potem krótki, suchy trzask strzałów, tak krótki, że nie obudził nawet echa, znowu kamienie i gwizd jak gdyby jakiś dziwny śmiech, znowu salwa...

Powstało zamieszanie, rzucono się do ucieczki w boczny zaułek, do bran, przerażonych ścigano...

Hanka słyszała i widziała wszystko, złowrogą zasadzkę, okrutne żniwo, strach zuchwałych. Z ręką wzniesioną do góry chciała krzyknąć — głos zamarł na jej wargach, chciała także biedz — została na miejscu przytulona do ściany. Zimny pot trwoگی wystąpił jej na czoło, ale o niebezpieczeństwie nie myślała.

Spostrzegła, że dym ponad domem złocił się w słońcu, że na balkonie przeciwległej kamienicy w otwartych drzwiach stało dwu panów, jeden podobny do Pawła, drugi rudy, że w oknie, na wyższym piętrze do szyb przykleiły się twarze ciekawych, że szyld zabrzęczał i złamał się od kuli...

Świadomość błyskawicznie chwytła najdrobniejsze szczegóły, każde wrażenie wyrzyło się na zawsze w pamięci.

Ze zbitej gromady spojrzwały ku niej czyjeś przerażone, obłąkane oczy, bezradny uśmiech na twarzy pana w wysokiej barankowej czapie, jakaś pochylona głowa, podniesiony kołnierz z firmą magazynu, palto koloru czekolady, sine dziwnie szepczące coś

usta starej kobiety, ręce czerwone, kurczowo ściskające kamień, wyteżony wzrok z pod zmarszczonych brwi, młoda stratowana dziewczyna, dwu gwiżdżących żydów, połysk szabli, siwy prześliczny koń...

Pierwsze szeregi pierzchły, zostawiwszy kilka trupów i czerwoną płachtę sztandaru. W ostatnich, które nadchodziły, wypychane z ulicy przez wojsko, trzepotał się jeszcze śmiech. Szli buńczucznie i hardo — zatrzymali się... nagle zgasł śmiech... na widok poległych zapalił się gniew w tej garstce, nienawiść przeleciała przez oblicza, marszcząc czoła, wykrzywiając usta. Z zaciśniętymi pięściami, z wściekłością rozpaczy już mieli rzucić się naprzód — i znowu krótki, ślepy wyrok salwy.

Hanka widziała, że padł jasny chłopak, którego wigilią pieściła oczami, runęli dwaj żydzi z ustami złożonemi do gwizdania, ktoś jęknął...

O Chryste! Ratuście! — były głosy.

Przerażeni ratowali się ucieczką. Chwilę trwała wrzawa, za zmykającymi zarządzono pościg, zgiełk i popłoch w zaułku — i nastąpiła cisza. Plac był prawie pusty. Na śniegu leżały ciała zabitych. Jakaś kobieta klęczała, krzycząc nieprzytomnie, ramy trzepała nogami i bił ziemię, jakiś wątyły jęk ozwał się w dali i pełzł cichy, tu i owdzie kilka plam krwawych jak gdyby od dużych, krwawych łez. Martwe i nieme domy spoglądały szeregami okien...

Hanka pożegnała cudną, kędzierzawą głowę, leżącą na śniegu, cudną za życia, radosną i jasną twarz, teraz złośliwie wykrzywioną w fałszywym uśmiechu, który ukazał zaciśnięte zęby, i poszła nie śpiesząc w głąb podwórza do jakichś drzwi, które otwarły się przed nią, do jakiegoś mieszkania...

XVI.

O zmroku, gdy minęło niebezpieczeństwo, Hanka wróciła do domu. Machinalnie zdjęła kapelusz i okrycie, machinalnie zaświeciła lampę, jak gdyby miała zabrać się do zwykłych zajęć, usiadła, patrzyła nieruchomo.

W mieszkaniu płynęło codzienne życie: odzywały się dzwonki, lokatorzy wracali, młody uczeń aptekarski nucił wesołe melodie, w sąsiednim pokoju grali w karty, gospodyni głośno, powtarzając po wiele razy to samo, dawała służącej wskazówki, jakie

ma przynieść ciastka z cukierni: trzy ptysiowe, cztery jabłeczne, dwa kremowe, dwa makaroniki...

Hanka była daleko. Wracła na pusty plac, tu i owdzie splamiony krwią jak gdyby od dużych, krwawych łez, i szła od zwłok do zwłok i pochylała się nad nimi i całowała te chłodne czoła pocałunkiem skruchy; z nieskończoną miłością, z żalem bezmiernym spoglądała na cudną, jasną, kędzierzawą głowę, żywą wczoraj, dziś wykrzywioną w nieszczerym uśmiechu śmierci, zgryźliwie szczerzącą do niej zęby, pytała ich wszystkich o coś, szeptała każdemu jakiś cichy wyraz...

Ale i to widocznie przepadało i zostawała pustka, w której męczyła się myśl i płakało serce.

Na górę Synai, na wysoki szczyt, na którym nigdy jeszcze nie była, kazano jej wejść, stamtąd spoglądać, sądzić, rozstrzygać, trzymać szalę dziejów, słuchać głosu ojczyzny, patrzeć w jej zbolące oblicze, a nie mogły widoku tego znieść jej oczy, nieoswojone, niezwykcyjne; musiała dać sobie wyraźną odpowiedź: tak czy nie, i spojrzeć w siebie i siebie samą zmierzyć miarą tej chwili ogromnej... Zjawiła się trwoga.

Po wczorajszym zebraniu gotowa była rzucić wyrok potępienia tym, którzy wydali się jej wichrem zemsty, płomieniem nienawiści, burzą gniewu — teraz krwawe lzy dnia, który się kończył, przelane na śniegach, ciche twarze, okrutne żniwo tkwiły w jej pamięci, jak straszny wyrzut. Nie mogła potępiać tych, co płacili śmiercią, co szli ginąć.

Bo jeśli ojczyzna wymaga ofiar, to oni jedni niosą ofiarę życia, i ta idea jest żywą i z nimi trzeba stanąć.

Drżała. Stanowczej odpowiedzi, sądu wymaga od niej ta chwila ogromna. Albo osądzić naród i siebie, albo osądzić tych... Na szczycie Synai bólu stoi przed ojczyzną i wdryga się wziąć tablicę przykazania, tablicę kamienną, na której wyryte surowe i zimne, jak kamień, przykazanie poświęcenia i śmierci...

Broniła się pokorą.

Myślała dotychczas o sobie, o szczęściu, o cierpieniach swojej doli — czemże to jest? i czemże jest ona ze swoją wątłą pieśnią na ustach, gdy ta godzina dziejów żąda czynu, krwi, życia?

Ona jest słabem dźbłem, ptaszyną, która świergocąc polatuje nad morzem, płatkami śniegu na polu bitwy, kwiatem w domu, który się pali — i mniej jeszcze...

Odbywają się wielkie zaciągi rycerskie, waży się los narodu, ci, na których patrzyła z wierzchołka wyższości, których w dumie swojej nazywała tłumem zgiełkliwym, gawiedzią polityczną,

idą posłusznie w ogień — ona zostanie na ścieżce tchórzliwej ze swoim nikłym życiem, z nikłą pieśnią na ustach, niepotrzebna, słaba, smutna... Gdy wybiła wielka godzina, poznała siebie...

Jakże gorąco zazdrościła tym, którzy polegli. Pocałunkiem skruchy całowała ich chłodne czoła, szeptała cudnej, chłopięcej głowie najdroższe wyrazy do ucha...

Pokora stawiała się piekącym poczuciem wstydu — i ciężka była ta męka. Ale nie próbowała już usprawiedliwiać siebie. W jej organizacyi nie myśl, lecz uczucie było sędzią najwyższym, więc aureolą takiej jasności otoczyła cierpiących, iż cienie mroku zakryły przed jej oczami i resztę narodu i wszelkie inne życie i każdą pracę. Dokonała bezwzględne podziału: w garstce uczciła bohaterstwo, cały ogół wydał się jej nikczemnym. I siebie samą postawiła pod pręgierz. Rozumiała niemoc swoją, brzydziła się wątłą wolą, lękliwem sercem, uznała, iż jest niezdolną do walki i męki, korzyła się w poczuciu nicości własnej przed ojczyzną, którą utożsamiała z tamtymi i nie widziała dla siebie ratunku. W krótkim sądzie polowym, który zarządziła, nie wystąpił żaden wielomowny, przewrotny, usłużny obrońca, wyrok był krótki, jasny nieubłagany. Skazała siebie na karę najsroższą — na pogardę. Sama była sędzią i oprawcą — spełniła wszystko. Potem znużona niby po pracy niezmierniej, zniechęcona raz na zawsze, zdruzgotana, zeszła z wysokiego szczytu cierpienia, na którym dłużej wytrwać nie mogła, rozbiła kamienną tablicę przykazania, którego wyrzekła się na wszystkie czasy, wróciła do życia. Było jej już wszystko jedno. Straciła wszystko — i nie ma nic do stracenia, ten dzień, dzień próby i grozy, zepchnął ją w nicość, z której nie powstanie... Cierpieć, żałować, dręczyć siebie — nie warto...

Opuściły ją siły moralne, płomień duszy wygaś i sama dusza zasnęła martwym suem na dnie błotnej sadzawki zniechęcenia, myśl błąkała się bez celu i bez kierunku, niby ptak, oderwany od górnego klucza, skaleczony, śmiertelnie zmęczony trudem skrzydeł, podniosły nastrój, zakończony zgrzytem starganych strun, umilkł bez echa, i były w niej gnuśna cisza, bezgraniczna obojętność. Bładym i leniwym strumieniem sączyła się jeno świadomość fizycznego istnienia, świadomość odrębności od otoczenia.. Przyglądała się sprzętom, kwiatom na obiciu, własnej sukni, książkom, lampie i świetlanemu kołu na suficie, słuchała. Po korytarzu mieszkania ktoś chodził, w pokoju naprzeciw grali w karty, sprzeczała się, w kuchni ktoś śmiał się, gdzieś zapłakało dziecko... Odbierała te wrażenia tak bezstronnie i biernie, jak bezstronnie

i biernie lustro odbija przedmioty. Gdyby ktoś krzyknął: gore! nie poruszyłaby się ze swego krzesła.

Siedzieć było wygodnie... Czas upływał. Długi jak wieki dzień dobiegał do końca, minie — i życie będzie spokojnym, leniwym snem... Patrzała, słuchała... która też jest godzina? Wieczór czy noc? Sąsiad, uczeń aptekarski przestał nucić. Czyżby spał? Przez drzwi, zastawione szafą, dochodzi szept... szmer... pocałunki.. tak... ta pani o brzydkich, rudych włosach z bukietem sztucznych fiołków na zarękawku, którą spotyka często na schodach... pocałunki... Odwróciła myśl i uwagę, chciała chwycić każdy inny dźwięk, który zagłuszał: płacz dziecka, stuknięcie drzwi, brzęk sanek, ale co chwila czyniła się cisza dokoła a w niej próżnia i wówczas wyraźnie słyszała... Oblał ją rumieniec... Sięgnęła po jakąś książkę, wyteżęła wzrok, usilnie czytała, wymawiając każdy wyraz... I już nie tyle posłuszna była dziewiczemu zawstydzeniu, ile bała się, że w niej samej odezwie się głos, który znała, że zjawi się bezwzględny przybysz i weźmie ją za rękę i pchnie na posłanie tęsknoty...

Tamci wyszli śmiejąc się. W przedpokoju on podawał jej futro, przekomarzali się, mówiąc do siebie po imieniu, jej głos był niemłody, piersiowy...

Odetchnęła z ulgą, jak gdyby minęło niebezpieczeństwo... Na mgnienie zaniepokoił ją zakazany obraz, zaniepokoił zakazany poufny szept do ucha o szczęściu szkarłatnem — czytała znowu...

W tej chwili wpadł do pokoju Rzyźniewski. Był zdyszany.

— Pani jest... miałem taką trwogę... mówili mi, że pani także...

Hanka zaśmiała się.

— Pan bał się, że ja... ależ mnie nic nie groziło...

— Przecież pani była?!

Tak. Jako widz. Ukryta roztropnie, gapiłam się — szyderstwo było w jej głosie.

Rzyźniewski zdjął palto, usiadł blisko.

— Dwudziestu siedmiu zabitych — opowiadał gładząc swoje obwisłe wąsy — dwunastu rannych. Miasto wzburzone i przerażone, w tamtej dzielnicy ruch ustał, każdy, kto mógł, zamknął się w domu i drży. Obliczają manifestantów na kilkanaście tysięcy. Jutrzejsze pisma zadadzą im porządnie, będzie znana śpiewka o pruskich pieniądzech...

Hanka nie słuchała go zupełnie. Rzyźniewski odezwał się jeszcze kilka razy bezskutecznie i także-umilkł. Zdawało się, że

oboje przysłuchują się jęczącemu wołaniu parowozów, które co jakiś czas rozlegało się nad miastem.

— Pani coś jest — cicho zaczął pisarz — panią coś ogarnęło niewypowiedzianego. Odczuwam ten dziwny nastrój... — I swoim zwyczajem patrzył w nią długo, przenikliwie, natrętnie.

— Pani drży! Zbyt ciężkie brzemie ciśnie panią do ziemi. Surowy nakaz przejechał duszę pani, niby wóz z kamieniami łąkę. Co to jest? Niech pani powie! Zresztą ja zaraz wyczytam.

— Wyrывa się pani do czynu — mówił dalej monotownie, jak gdyby istotnie czytał — który jest ponad siły pani. Chciałaby pani być inną, przestać być sobą. Cudza wola złamała panią niebacznie...

— Rozumieć, pani, i wiem. Niech pani podniesie głowę dumnie i zuchwale, niech pani powie: jestem, ja chcę... wola życia, pani, radosna wola — to jedno! Użyteczność — ocena rynku, towar gawiedzi... I kto wie, co ważniejsze na ziemi: rycerz, pędzący na bój i chwałę, czy kwiaty łąki, które on depce w swoim pędzie? Cudną tkaninę chce pani pociąć nożycami obowiązku na drobne szmaty, przywileje monarsze sprzedać za poklask niewolników? Chce pani pójść z tymi, którzy czynią zgiełk znikomy, walcząc o gnuśny dobrobyt jednej godziny, chce pani szukać prawdy z tymi, którzy szukają jej w kłamstwie, chce pani uznać nad sobą władcę, który gminny jest i bezczelny i nadewszystko głupi, strzedz będzie pani pustego gmachu, w którym nic niema?...

Przenośnie, klejnoty porównań, szydercze pytania padały mu z ust. Ożywił się i, targając swój wąs obwisły, czasami wpatrując się w jej bladą twarz, czasami na długo spuszczać wzrok, mówił. Szedł do celu swego. Urywał i szukał jej oczu, i zdawało się, że wstanie i weźmie ją jak swoją rzecz albo rzuci się jej do nóg... Podawał jej lekarstwo.. Rzucił cudne pióra, które mogła brać, a urosłyby z nich skrzydła — i nie obudził w niej wiary.

— Wola życia — szepnęła raz — a jeśli tej woli niema? I dusza nie jest jakąś łąką kwietną, chyba w szczęściu. Dziś, panie, jakież może być szczęście? ojczyzna... — płynęły blade słowa.

Nauczał ją znowu. Ukazywał jej znowu szczyty radosne, jasne południe życia, potęgę silnych, rozkosz wolnych, nazywał poświęcenie usiłowaniami słabych, sumienie — najemnikiem kłamstwa, miłość ludzi — złudzeniem samotnych, ostrzegał ją przed pokusą niewolnictwa, przed grzechem wyrzeczenia się.

Przestała go słuchać, bo przestała rozumieć. Gdy tylko wszedł do pokoju, ogarnął ją niedobry niepokój, którego bała się, i ten niepokój wzrastał. Chwilami drżała... Pomimowoli spoj-

rzenia szły ku niemu, cofały się złknięte i znowu biegły. Siedział blisko... Było mgnienie, że wziął jej rękę nieznacznie — odebrała mu ją, ale zostało poczucie, niebezpieczne, już znane, że oni oboje, odcieci od reszty świata, że ktoś rozpiął nad nimi namiot szkarłatny i płomienny, że zamknął ich, i w uszach był szept zakazany pragnienia, szept o szczęściu ust... Tłumiła go w sobie... próbowała myśleć o czemś dalekiem, o grozie dnia, o smutku życia, o domu rodzinnym... Gdzież szczęście? — niema szczęścia! — powtarzała sobie. Szept powracał, namiot szkarłatny otaczał ze wszystkich stron... Patrzała w pisarza, spotkały się oczy — bała się...

Mówił jej wciąż o szczęściu ustami i wzrokiem... Nie o takim szczęściu marzyła, nie o takim... Ale dobrze... Ona nie ma już nic do stracenia... Poczóż tedy ta męka? Kwiatem jest — on tego chce — dobrze — będzie kwiatem szczęśliwym — szczęście zaświeci jak kropla rosy w kielichu — kwiat kichnie i strząśnie tę kroplę — dobrze... szydziła jeszcze. A jednocześnie czuła, iż zapanaowała w niej cudza wola, że jakaś ręka pcha ją kędyś, że ona leci, że przewrót nagły dokonał się w niej, że ktoś obcy zamieszkał w niej, że obcym odzywa się głosem, cudze powtarza wyrazy, że cudzym jest ten płomień...

— Pan ma słuszność — przerwała mu. Trzeba być sobą, choćby się było niczem... wola życia, skrzydła wiejące ku szczęściu... dary bogactwa... skarb przetopiony na puhar... my równi, panie... przetopiam skarb...

Błyszczącymi oczami spoglądała w pisarza, rozdymały się jej nozdrza, rumieńce zakwitły na twarzy.

Ten zaś, nie spostrzegłszy zmiany, siedział z ukrytym w dłoniach obliczem.

— Gdy inni krew... my pijmy wino z puharu, a wino czerwone, jak krew. Nie było we mnie woli, dziś mam wolę... pan wciąż głosił o szczytach słonecznych — oto ja, panie, na szczycie słonecznym biorę puhar...

Rzyźniewski podniósł głowę.

— Pani tak dziwnie — rzekł zmienionym głosem.

Zbliżył się do niej na palcach, jak duch.

— Dusza odezwała się w pani, dusza królewska... ja ją znam, przeczulem oddawna...

— Pani — ujął jej rękę.

I naraz chwycił ją w ramiona, jak dziecko, przycisnął do piersi, poszukał ust... Hanka zaśmiała się dziwnym śmiechem, jak gdyby ją nagle połaskotano... Umilkła w pocałunku...

XVII.

Hanka zbudziła się wśród nocy. Przez chwilę myśl tak jak oczy błądziła w ciemności—potem pamięć uprzytomniła wszystko. Zerwała się z posłania, usiadła, patrzyła w mrok i, jak tonący ostatnim wysiłkiem odgarnia nurty, które go zalewają, tak ona walczyła z pamięcią, ze zmorą, z prawdą...

Nie mogła temu wierzyć. Ale odżyły na twarzy, na czole, na ustach jego pocałunki, i widziała ohydne spojrzenie jego oczu, patrzących zbliska, błyszczących w onej chwili, bezmyślnych, zwyczajskich, jakby rozszerzonych...

Pamiętała... I jęła targać na sobie gieżło, jak gdyby chciała i samą siebie poszarpać, podrzeć na szmaty szatę hańby, zniszczyć myśl i pamięć. Uspokoiła się rychło. Zmartwiła w jakimś dziwnym zeszytwnieniu wszystkich władz i osłupiałym wzrokiem człowieka, którego śmierć zaskoczyła w momencie przerażenia, spoglądała w mrok. I spłynęło na nią niespodziane ukojenie w przeświadczeniu, które było zupełnie wyraźnym i pewnym, iż po tem, co zaszło, może być tylko koniec, że życie jej złamało się i dobiegło kresu swego, że ona stoi na progu, a za tym progiem — nicość. Życie minęło... Więc nie szukała pociechy, nie wzywała ratunku, nie gnębiła sobie duszy obelgą, nie próbowała kłamać... Zapomniała. Hańbiące brzemie grzechu zsunęło się samo, jaskrawa plama winy zatarta się w oddaleniu. To wszystko było przeszłością...

A jak przed śmiercią nawiedzały ją wspomnienia, ostatnia radość i ostatni żal tego, który odchodzi.

Widziała daleki dom, cudny ogród, jesienne złoto liści, smętne i słodkie lipy, w których cieniu pływała w swojej błękitnej łodzi marzeń — i tamto niezmierne szczęście dzieciństwa.

Widziała chwilę odjazdu, dziewczą świetlicę, którą żegnała—oto matka zaszywa jej do flanelowego woreczka dwie ubogie setki, wkłada na nią szkaplerz, błogosławi, mrużąc oczy, biedne, stroskane, zasmucone oczy, oto siostry skaczą koło niej i, skubiąc suknię, proszą o pocztówki, o album widoków, o książki — widziała tę łzawą, tę dobrą godzinę nadziei.

Ukazywał się jej ten, którego kochała niegdyś, daleki, od dawna jej obcy a teraz znowu drogi, czysty i silny, ten, z którym kochała dobro i górne zasługi, z którym chciała dźwigać trudy wyniosłe, i szła z nim pod drzewa alei, gdzie niegdyś, nie-

gdyś serce wyplakało płacz rozłąki — widziała dalekie szczęście cierpienia...

Przychodził Andrzej, dobry, prosty, przyjazny, spoglądał w nią śmiejącemi się oczami, mówił o jasnem szczęściu prostych ludzi i cichego życia, odstaniał przed nią spokojne piękno swojej duszy niby obraz, a ona brała jego ręce i ścisnęła je mocno jak ten, który się żegna...

Podziwiała oczami ulicę grozy, plac śmierci, gdzie w śniegu śniły martwe głowy i krwawe łzy tego dnia, który straszny był, wypiekły krwawe plamy, i jeszcze raz ujrzała godzinę przerażenia, a potem wstawaly przed nią znowu wspomnienia dawne, wspomnienia drobnych chwil i prostych rzeczy — cichy widok przeszłości. Pojawiały się, witały ją smutnem kiwnięciem głowy, krótkim uśmiechem przyjaciół i mijały niby grono znajomych, którzy kędyś śpieszą. Zatrzymywała je, żeby nacieszyć się niemi, a także przez bezwiedne wyrachowanie gospodarza, który nie chce zostać sam w pustym domu, gdzie popełnił zbrodnię, — umykały... Minęły, a wówczas zerwał się w niej, jak wichler, niezmierny żal za szczęściem, które było. I żal minął. Została rzeczywistość, znora, prawda, i leżał na piersiach głaz. Cierpienie miało z czasem przyjść i wstyd i rozpacz i rumieniec winy, trwoga i hańba — teraz był tylko głaz. Przytłaczał ją i czuła się bezsilną, był obojętny, obcy, martwy, z zewnątrz narzucony, i znowu ogarnęła ją obojętność dla siebie, obcość w stosunku do siebie, zimna martwota.

Mogłaby sama być głazem, gdyby nie świadomość, niema i bezwładna, ale przebłykująca od czasu do czasu. Chwilami myślała o sobie, jak o kimś trzecim: „biedna Hanka!“ z powierzchownem współczuciem i przechodziła nad „biedną Hanką“ do porządku, dążąc wysiłkiem uwagi ku czemuś naprawdę doniosłemu, docierała do owej rzeczy doniosłej, i pokazywało się, że jest nią Hanka i pamięć tego, co się stało. Wówczas gasła myśl — i zapadała w martwotę — głaz...

Uływały nocne godziny. Wpatrzona w ciemność, bezwiednie szeptała ustami: Boże mój, Boże mój... Czekwała. Zdawało się, iż zaraz za chwilę przyjdzie tu do niej śmierć i zdejmie głaz, który ją przytłacza, a jednocześnie w tem nieprzytomnem osłupieniu zdawało się jej, iż ona już umarła i że ta wielka męka trwać będzie wieki. Więc powtarzała: Boże mój, skarżąc się bezradnie, prosząc kornie, litując się nad sobą.

Zegar wybił godzinę — i naraz zrozumiała prostą prawdę, iż ta noc się skończy, że ona żyje, że nastanie nowy dzień, że spo-

tka ludzi, że będzie musiała spojrzeć im w twarz, że ludzie będą w niej szperać oczami, że służąca przyjdzie jak zwykle z herbatą, że może wpaść Orkiszowa... że po tem wszystkim szereg dni... życie... Nie będzie tego, nie może to być...

Skoczyła z łóżka i jęła pośpiesznie w ciemności wdziewać na siebie ubranie, potem wyszła ostrożnie. Na szczęście w tem nowem mieszkaniu, do którego wniosła się przed miesiącem, drzwi były od ulicy, więc mogła nie budzić stróża. Bała się każdego żywego człowieka, oczu ludzkich, głosu ludzkiego... Brnęła środkiem pustej ulicy. Szereg zamysłonych, świecących w pustce latarni, szeregi okien ciemnych, obojętnych, wysokie uśpione domy...

Niemiała określonego zamiaru, a tylko nieprzepartą tęsknotę do rzeki, która biegnie w dal, umyka, unosi, ucieka, płynie od lat, przez lata, płynie do morza, gwarzy niestrudzenie o rzeczach dawnych, spokojnych, tęsknotę do świętej wody, która zmywa, do chłodnych nurtów, które kołyszą, do dalekiego głębokiego dna, gdzie jest cisza i niepamięć... Gnana tą tęsknotą szła. Bezwiednie wybierała najkrótszą drogę, najbardziej głuche zaułki. Przez chwilę padał rzadki, drobny śnieg, i ciche płatki muskały czasami jej twarz.

Pochyliła się, nabrała do ręki nieskazitelnego śniegu, obmyła nim usta, czoło, oczy. Nie wiedziała, że on przed kilku dniami uczynił to samo... Szła dalej. Wkrótce ukazały się jej szeroka, biała u brzegów wstęga rzeki i zadumana zamiejska dal. Zbiegła po stromem zboczach — stanęła na chwilę. Pod stopami jej był błam nieskalanego śniegu, dalej lód i czarne chłodne oblicze wody. Surowo patrzyła stamtąd głębia... Może doznała trwogi, bo nie posunęła się naprzód. Złożyła ręce, jak do modlitwy, spojrzała ku rzece, spojrzała w górę. Niebiosy były te same, co onegdaj, jasne, miesięczne, łagodne, opiekuńcze, czuwające, dokoła była cisza jak wówczas. Ziemia usnęła w tej słodkiej ciszy, w tem cudnem jaśnieniu czuwających niebios, i zdało się jej, że te niebiosy spoglądają ku niej, uśmiechają się do niej dobrotliwie, przebaczą jej i że ta cisza tuli ją ku sobie, ogarnia i zagarnia, koi przedziwną pieśczęcią. Schodził na nią sen niewysłowiony, dobroczynne zapamiętanie się, zupełne zapomnienie, śniąc zapadła w niezgłębioną, w najśłodsza zadumę, a podczas tej zadumy dusza, wyzwolona z więzów myśli, ze skorupy cierpienia, wolna od ciężaru grzechu uleciała wysoko na szlaki świetlane, do krainy niedostępnej, do źródła Mądrości...

I Hanka zatraciła zgoła świadomość, poczucie osobowości i odrębności, znikł rozdzźwięk między nią, zbolalą, zhańbioną, po-

szarpaną na strzępy nieszczęścia a światem, pełnym ciszy i pokoju. Dalekie, zadumane, jaśniejące miesięcznie przez oponę chmur niebo, ziemia, słodko uszpięta, otulona w księżycową poświatę, niepokalana pod śnieżnym kobiercem i ona stanowiły jedno, w nią zstąpiły niebiosa, ona była tem niebem, tem światłem miesięcznym, tą ciszą kojącą, tą jaśniejącą bielą, tym błogim snem... Ni przeszerzeni ni czasu — w tem mgnieniu wieczność, byt...

Ale jak błyskawica rozdziera chmurę, świadomość przerwała to zachwycenie...

Ja — człowiek — grzech — ból...

I oto pod bezmiarom dalekiego, świetlanego nieba, wśród uszpiętych obszarów ziemi znowu była istota samotna, wątła, znikoma z cierpieniem, z myślą nieukojoną, z hańbą...

Objęła myślą całą rzeczywistość, widziała drogę życia twarzą, samotną, bolesną, grzeszną, lichotę, próżnię i omam życia, widziała szczęście, które jej danem było zaznać na chwilę, które było tak bliskiem...

Spojrzała ku czarnej głębinie zimnych nurtów, w surowe, złowrogie oblicze wody.

Człowiek chciał przestać być.

— Byłeś, jesteś, będziesz — przez wieki — usłyszała w sobie.

Więc, jeśli trzeba trwać i niemasz śmierci, alboż nie wolno potargać kruchych więzów ziemskiego istnienia, wyzwolić się z niewoli ciała i życia, zedrzeć z siebie szatę grzechu, zła, niedoli — i odejść w dal świetlaną, w ciszę wiekiustą, w sen niezmacony, w zadumę i szczęście prabytu?... — tęskniła.

Ale ze szlaków zaświatowych, z krainy niedostępnej, od Źródła Mądrości dusza przyniosła słowo wiedzy, rozkaz niezłomny, moc i pokój.

Zyć będziesz w cierpieniu — przez cierpienie.

Pojęła prawo istnienia. Z tęsknotą patrzyła w niebiosa dalekie, wysokie, jasne, łagodne, opiekuńcze. Czemże jest ona? To niebo dalekie, Dobro niezgłębione — krótki sen życia... Już wiedziała, że musi, że rozkaz jest...

Minie krótki sen życia pod wysokiem niebem — minie w cierpieniu, ale czemże to jest?

Uklękała, pochyliła się, zanurzyła głowę w śniegu, całowała ziemię...

TŁO HISTORYCZNE

trzeciej części „Dziadów.”

III.

Nowa komisya śledcza rozpoczęła czynności 13 (25) lipca 1823 r. Pociągano oskarżonych do ponownych zeznań, lecz żadnych nowych okoliczności nie wyjaśniono prócz tych, jakie wykryło śledztwo pierwotne.

„Najściślejsze śledzenie nasze, — pisze Twardowski do Czar-toryskiego dn. 5 (17) sierpnia ¹⁾ — zabrane przez policję papiery i sexterna u czterdziestu uczniów i u większej części nauczycieli, indagacye wielkiej liczby uczniów, których część z odległych stron rodzinnych przez policję porwaną i przywiezioną została, zachowanie wszelkiej ostrożności w niepozwoleniu komunikowania się między sobą badanym przez nas uczniom, wszystko to prze-konało najmocniej, że w zdarzeniu gimnazyalnem nie było żadnego obcego wpływu.“ Uczniowie przyznali się do poczynienia napisów w szkole.

Nowosilcow, któremu całą sprawę oddano do decyzji, nie dostrzegł w działaniach uczniów przestępstwa zdrady stanu i ra-dził jedynie wydalić ich z gimnazjum, profesorów zaś usunąć ²⁾. Powyższy atoli pogląd senatora nie zyskał, wbrew ogólnym oczeki-waniom, aprobaty Cesarzewicza, który na mocy udzielonej sobie

¹⁾ „Roczn. Tow. prz. Nauk pozń.“ XXVI, 337. Por. l. c. 328, 332.

²⁾ Nowosilcow do W. księcia z Wilna dn. 11 (23) sierpnia 1823. № 1060.

władzy najwyższej rozkazał czterech uczniów i dozorcę Maksiewicza umieścić w korpusie litewskim, jako zwykłych szeregowców ¹⁾.

Sledztwo jednak Nowosilcowa pociągnęło za sobą wykrycie *Towarzystwa Filaretów* wśród studentów uniwersytetu. Już podczas badań warszawskich, na początku lipca 1823 r., Czechowicz wspomniał o „Sekcie Promienistych“, obecnie w Wilnie potwierdzono powyższe zeznanie. Wprawdzie była tu mowa o nieistniejącem już „Towarzystwie przyjaciół pożytecznej zabawy“ (*Promienistych*), zawiązanem w r. 1820 za zezwoleniem ówczesnego rektora Malewskiego i w następstwie, po przeprowadzeniu śledztwa, z rozkazu tegoż rektora rozwiązaniem, jednakowoż Nowosilcowa postanowił dojść do źródła związków młodzieży. Pomocą była następująca okoliczność. Dnia 10 (22) czerwca 1823 r. do wileńskiego policmajstra Szłykowa, przyszedł student uniwersytetu, Józef Massalski i zażądał rozmowy z nim na osobności. Wprowadzony do drugiego pokoju, oświadczył co następuje: „Jestem konstytucjonalistą, przeciwnikiem władzy monarchicznej, mam sprawę niesłychanie ważną, której tu odkryć nie mogę, żądam odesłania mnie do W. księcia. Ostrzegam przytem Pana, jako naczelnika miasta, że obowiązkiem jego jest wziąć mnie niezwłocznie pod straż i niedozwolić na widzenie się kogokolwiek ze mną.“ Słowa swe potwierdził na piśmie ²⁾. Niezwykłe to oświadczenie poczytane mu zostało na razie za objaw pomieszania zmysłów, lecz gdy uporczywie obstawał przy swoim, zdecydowano żądaniu jego zadośćuczynić. Wysłano go do Warszawy wraz z papierami, które znaleziono w jego mieszkaniu. Po upływie dwóch tygodni nadeszła wiadomość, że Massalski stawiony przed W. księciem, oświadczył, iż chwycił się tego sposobu, aby bez kosztów dostać się do Warszawy, wstąpić do wojska pod

¹⁾ W. ks. Konstanty do Nowosilcowa. Sekretnie z Warszawy 18 (30) sierpnia 1823 r. № 1000.

O dalszych losach dwudziestoletniego Józefa Kułakowskiego, Jana Czechowicza (17 lat), Benedykta Kościalkowskiego (16 lat), Michała Zabięły (16 lat) i Kajetana Maksiewicza (19 lat) — bliższych wiadomości nie posiadamy. Michał Plater, najmłodszy, urodzony bowiem 25 października 1807 r., służył w wojsku do r. 1830; zmarł w 1835. Był synem Tadeusza hr. Broel-Platera, asesora sądu głównego gub. wileńskiej, następnie marszałka szlachty (zmarł w Wilnie r. 1822) oraz Racheli Kościuszkówny, herbu Korczak. (Akta komisji śledczej). Por. Żychliński „Złota księga szlachty polskiej“ III, 201.

²⁾ Sekretny raport Szłykowa do Rinskawo-Korsakowa z dn. 11 (23) czerwca 1823.

rozkazy Jego Wysokości i zarazem mieć sposobność zbliżyć się doń osobiście. Zapytany, kto mu doradził uciec się do tego pomysłu, wyznał otwarcie, iż powziął ten zamiar od jakiegoś pamiętnikarza francuskiego, który dzięki temu fortelowi odbył bezpłatną podróż do Paryża i posłuchanie u króla sobie wyjednał.

W ks. Konstanty rozkazał Massalskiego wysłać do dywizyi generała Dowre (właściwie d'Auvray), do pułku żytomierskiego piechoty, lecz w stopniu prostego żołnierza i surowy rozciągnąć nad nim nadzór. Jednocześnie w instrukcyi z dn. 28 czerwca, st. st. danej Nowosilcowowi udającym się do Wilna w sprawie zejść w gimnazyum, polecał „wziąć pod uwagę obok głównego przedmiotu śledztwa, również okoliczności dotyczące Massalskiego, o którym doniosłem oddzielnie N. Panu“¹⁾.

¹⁾ Józef Massalski urodził się w r. 1800 w Bieliczanach, gubernii Mińskiej, powiatu Ihumeńskiego. Ojciec jego Onufry, b. major wojsk polskich, był pisarzem ziemskim powiatu Ihumeńskiego. Znaczny majątek stracił na nieskończone procesy sądowe. Józef kształcił się w konwiktie jezuickim w Mohylewie, gdzie przebył trzy lata, następnie studyował 2 i pół roku fizykę w akademii połockiej i otrzymał tamże stopień kandydata filozofii. W r. 1818 powrócił do majątku rodzinnego. Po upływie czterech lat, w październiku 1822, zapisał się na uniwersytet wileński, na wydział literatury i sztuk wyzwolonych. Na wykłady jednak, prócz wymowy, prawie nie uczęszczał, tłumacząc się tem, że nie miał za co kupić sobie przepisane uniformu studenckiego. W Wilnie otrzymał w domu państwa Becu posadę korepetytora do dwóch młodzieńców — Juliusza Słowackiego, podówczas ucznia klasy trzeciej gimnazyum wileńskiego, oraz Dymitra Włodka, syna generała i dowódcy korpusu litewskiego. Massalski, wesoły, uprzejmy, dowcipny, przyjemnej przytem powierzchowności, rozrywany był przez ówczesne towarzystwo wileńskie. Jako student wstąpił do błękitnego (literackiego) grona Filaretów, ponieważ był nie tylko miłośnikiem poezyi, ale i posiadał wcale wybitny do niej talent. Obdarzony wielką fantazją, entuzyasta nieraz, celował szczególnie w pisaniu bajek w guście Lafontaine'a. Bajkami temi zyskał w Wilnie niemały rozgłos. Była to natura niezwykle subtelna i nadwrażliwa, skłonna obok wybuchów nadmiernej wesołości, do ponurej melancholii i rozpaczy niezem nie uzasadnionej. Nigdy się nikomu, nawet braciom również w Wilnie przebywającym, nie zwierzał ze swych zamysłów. Opowiadano, że tego dnia, w którym udał się do policmajstra, otrzymał był od ojca list z wiadomością, że ostatni proces został przegrany i że cały ich majątek przypadł. Po wyjściu z wojska, gdzie dosłużył się po kilku latach rangi oficerskiej, został plenipotentem możnej rodziny Dolskich na Podolu; ożenił się tamże i umarł w r. 1850, otoczony szacunkiem i życzliwością przyjaciół, których wszędzie umiał sobie pozyskać. O istotnych pobudkach swego dziwaczne go postępku nigdy nie mówił i tajemnicę tę uniósł ze sobą do grobu.

Sprawa z Massalskim sprowadziła zgół nieoczekiwane dla młodzieży litewskiej następstwa. Badano brata Massalskiego, Tomasza, który zeznał, że Józef pozostawał w ścisłych stosunkach ze studentami uniwersytetu, Janem Jankowskim, Edwardem Odyńcem, Janem Wiernikowskim i innymi. W zebranych przez policję papierach tych ostatnich znaleziono wiersze patryotyczne, rozprawy literackie, wreszcie protokoły istniejących w latach 1819—20 uczniowskich towarzystw świsłockich. Nowosilcow natrafiał na ślad „groźnych sprzysiężeń.“ Już nie drobna sprawa gimnazjalna, lecz szeroko rozgałęziony „spisek“ widział senator w ujawnionych przez siebie działaniach młodzieży.

Okres wakacyjny i wyjazd wielu studentów z Wilna nie był dogodny do prowadzenia śledztwa. Poleciwszy przeto dalsze dochodzenia zaufanej komisji, złożonej z policmajstra Szykowa i radcy Ławrynowicza, Nowosilcow wyjechał 15 (27) sierpnia do Słonima i Warszawy.

Sprawa świsłocka na seryo zaniepokoiła dbałego o losy powierzonych sobie zakładów naukowych rektora Twardowskiego. Zdanie senatora, „iż mało być może uniwersytetów, mało zakładów szkolnych, w którychby z większą zręcznością starano zły duch rozszerzać i w którychby dalej w tej mierze postąpiono“ niżeli w Wilnie; po raz pierwszy kategorycznie z ust Nowosilcowa usłyszane słowa, iż tenże nie uważałby za krok zbyt dobry, zamknięcie dziś istniejących zakładów szkolnych; sposób prowadzenia śledztwa oraz indagacye nauczycieli i uniwersytetu w sprawie wykładania „szkodliwej“ nauki prawa politycznego—wszystko to doprowadzało Twardowskiego do wniosku, że w takim rzeczy widzeniu senator „musi mieć inne zamiary, których niechce wydawać;“ widząc „wszędzie plan jakiś, wszędzie intrygi i skryty kierunek... szkodliwe zamiary... ułożył sobie *un système d'enquêtes*, który rozwija... w celu zawsze nie w przychylnym ani dla zakładu, ani dla kraju, ani dla rządu.“ Przyczepia się, „nie przebijając w środkach...“ i do Uniwersytetu i do księcia kuratora.

Błaga przeto Twardowski ks. Adama o przyjazd do Wilna a następnie o przedstawienie całej sprawy W. księciu i cesarzowi,

Powyższą wiadomość o Massalskim skreśliliśmy na podstawie aktów wileńskiej komisji śledczej z r. 1823 (tom p. t. *Dielo o Massalskom*) oraz „Wspomnień z przeszłości“ Odyńca. Wiadomość o Massalskim i o wzniesieniu jakoby przezeń ruchu wojskowo-rewolucyjnego w Białymstoku, podana przez p. Brensztejna w artykule p. t. „Bracia czarni“ („Bibl. warsz.“ 1906. II, 550—1), jest błędna.

którzy wiedzieli dotychczas o wszystkim jedynie z jednostronnych raportów Nowosilcowa.

Dn. 11 (23) sierpnia przesyła ks. kuratorowi obszerną notę z umotywowaniem wprost naglącej potrzeby przyjazdu ks. Adama dla zbadania stanu rzeczy na miejscu oraz rozpatrzenia projektu reform, dotyczących urządzenia policji uniwersyteckiej na wzór opracowanych przez Nowosilcowa dla wszechnicy warszawskiej a teraz proponowanych uniwersytetowi wileńskiemu. Dalej w tejże nocy Twardowski uzasadnia konieczność widzenia się ks. kuratora z Aleksandrem I, do czego daje sposobność zapowiedziana w tym czasie bytność monarchy oraz W. ks. Konstantego w Brześciu. W listach swych rektor nie może opanować ogarniającego go zniechęcenia „już nie ręczę — pisze w liście z 11 (23) sierpnia — czy przykości, których doświadczam, mnożąc się, nie skłonią mnie do rzucenia wszystkiego i usunięcia się na wieś, zostawiając wszystko w odmęcie i przyspieszając mimowolnie zgubę. Sambym potem tego żałował, sambym może i wstydził się, ale nie zaręczam, czy zawsze zdołam dźwignąć to brzemień cierpień, na jakie jestem niewinnie skazany.“

Zauważyć musimy, że Twardowski wogóle nie umiał odpowiedzieć potrzebie czasu. Wyniesiony nietyle swemi zdolnościami, ile protekcją ks. Adama, który widział w nim życzliwego sprzymierzeńca w podejmowanych przez siebie dla dobra szkolnictwa polskiego reformach, — Twardowski objął berło rektorskie po bojaźliwym Szymonie Malewskim, typowym przedstawicielu starego porządku w uniwersytecie, niedołężnym już starcu wysługującym się przedstawicielom administracji rosyjskiej w kraju, zwłaszcza zaś Nowosilcowowi.

Następca Malewskiego rozpoczął urzędowanie w czasie jaknajbardziej nieprzyjawnym dla przeprowadzenia reform. Podczas śledztw uczniów i studentów, spotkał się ze sprytnym i obłudnym Nowosilcowem, którego równie jak księżę kurator narazie nie odgadł. Znosił upokorzenia i zniewagi, nawet więzienie, starał się być uprzedzającym dla cesarzewiczowskiego wysłannika, w szlachetnej intencji, że w ten sposób uratuje zagrożony byt instytucji. Tu była omyłka.

Nowosilcow przy całej podłości swego charakteru był tchórzem i w zetknięciu z energicznym odparowaniem ulegał; jak się to stało np. wówczas, gdy naprzeciw komisarza cesarskiego w Królestwie, stanął nieugięty minister skarbu, książe Ksawery Lubecki.

I teraz w Wilnie, gdyby na czele uniwersytetu stał człowiek równy charakterem Janowi Sniadeckiemu — nie tak łatwo zdołał-

by Nowosilcow złamać powagę rektorską i ustalić kierunek reakcyjny.

Twardowski ulegał prawie bez oporu, jedyną ucieczką widząc w Czartoryskim, do którego raz po raz słał żałośliwe listy, pełne trwogi i błagań o przybycie do Wilna ¹⁾.

Ks. Adam rozumiał wprawdzie potrzebę swego przyjazdu, zajęty jednak ważnemi sprawami familijnemi na Wołyniu, nie mógł przybyć niezwłocznie; czekał przytem aż stosunki w Wilnie jakoś się naprawią, wierzył jeszcze w uczciwość prowadzenia śledztwa przez domniemanie życzliwego sobie i Polsce Nowosilcowa, sądził wreszcie, iż „sam z siebie nie powinien teraz jechać,“ pamiętając o tych trudnościach, jakie napotykał ze strony W. księcia za bytności swej w maju w Warszawie. Natarczywością swą niechciał może sprawy pogarszać. Cekał, przypuszczając, iż on, jako kurator będzie przecie wezwany. Obecnie atoli dłużej nie można było i nie należało zwlekać. Dn. 25 sierpnia (6 września) ks. Adam zawiadomił Nowosilcowa, że jedzie do Wilna w celu porozumienia się co do nowych zarządzeń dotyczących administracyi uniwersytetu.

Senator nie omieszkiał niezwłocznie powiadomić W. księcia o powyższem postanowieniu Czartoryskiego. Konstancy w piśmie sekretne do Nowosilcowa z dn. 12 (25) września odpowiedział,

¹⁾ Twardowski na stanowisku rektora hańbą się nie splamił; nie stać go jednak było na tyle cywilnej odwagi, aby odrzucić order cesarski, ofiarowany przy pośrednictwie Nowosilcowa za „gorliwą służbę“ z chwilą ustąpienia z rektorstwa. A tak był uczynił nawet lękliwy ksiądz Stanisław Jundziłł, profesor botaniki, gdy nadesłano mu krzyż spiżowy na pamiątkę „oswobodzenia Rosyi w r. 1812.“ jako pochodzący od „obcej zwierzchności.“ (Pamiętniki ks. Stan. Jundzilla. Kraków, 1905. str. 89).

Nowosilcow mając za naczelne zadanie skrompromitowanie Czartoryskiego i sparaliżowanie jego działalności edukacyjnej na Litwie,—Twardowskiego w swych raportach do W. księcia nazywa zawsze „człowiekiem dobrej woli i z dobrimi zasadami;“ Twardowski, zdaniem senatora, działał nie z własnej woli, lecz był jedynie „wykonawcą wyższych rozkazów,“ t. j. ks. Adama.

Najobszerniejszy życiorys Twardowskiego skreślił dr. Szeliga (Józef Bieliński) w „Arch. dla dziejów lit. i ośw. w Polsce.“ (Kraków 1888), t. VI. i w „Uniwersytecie wileńskim“ (Kraków 1900), por. Reforma uniw. wileńskiego i szkół jemu podwładnych za rektoratu Twardowskiego („Arch. dla dz. lit. i ośw.“ t. IX. Kraków 1895). Wiele stroną i w znacznej części niesprawiedliwą charakterystykę rektora daje St. Jundziłł w powołanych wyżej pamiętnikach (str. 112 — 113).

że bytność kuratora w Wilnie w niczem nie powinna zmieniać zarządzeń Nowosilcowa. „...Jeżeli na skutek bytności w Wilnie ks. Czartoryskiego okaże się choćby najmniejsza przeszkoda lub niedogodność dla Pańskich rozporządzeń—pisał—proszę nie zaniedbać powiadomienia mnie o tem, w celu przedsięwzięcia z mej strony właściwych środków do usunięcia powyższych trudności.“

Pobyt Czartoryskiego w Wilnie trwał od 6 do 13 września st. st. Zapoznał się on w tym czasie dokładnie ze stosunkami; jadąc miał jeszcze nadzieję, że zarówno w sprawie gimnazjalnej, jak w stosunku do „innych, starych, odegrzanych pasztetów, które od 1819 roku były umorzony i pogrzebione,“ nie okaże się nic zdroźnego ani groźnego dla państwa. Teraz przekonywał się, że stan rzeczy jest o wiele gorszy, aniżeli przypuszczał. Zarządzenia policyjne Nowosilcowa najostrzej potępił. Wyłożywszy swe spostrzeżenia i wnioski w piśmie do ministra oświaty, Golicyna, niebawem podążył do Brześcia dla widzenia się z Aleksandrem.

Zastał tu już W. Księcia oraz Nowosilcowa zajętego w tej chwili przedstawieniem cesarzowi konieczności ustanowienia wyjątkowego sądu wojennego dla osądzenia sprawy Łukasińskiego i towarzyszy, oskarżonych o utworzenie związków tajnych w Królestwie.

Aleksander z góry nieprzychylnie usposobiony (przez W. Księcia i Nowosilcowa) dla spraw wileńskich, przyjął Czartoryskiego obojętnie, „niezadowolony swoje oświadczył i prawie się od niego odwrócił.“ Rozgoryczony książę kurator opuścił Brześć, pozostawiając pismo do cesarza, w którym wyrażał obawę „zgubnych skutków ze sposobu, w jaki się miał wyrazić pan Nowosilcow, po bytności w Wilnie, o uniwersytecie i zależnych od niego szkołach. Obawiam się—pisał—czy sprawozdanie jego nie zawiera ważnych oskarżeń i szkodliwych dla szkolnictwa polskiego wniosków... błagam najpokorniej W. C. Mość, by nie wydawał wyroku przed wysłuchaniem mnie.“¹⁾

Dn. 1 października wrócił Nowosilcow do Wilna z poleceniem jaknajprędzszego zakończenia śledztwa. Tymczasem na skutek rewelacji, spowodowanych przez wystąpienie Massalskiego, aresztowano wielu uczniów uniwersytetu. W sierpniu i wrześniu ściągano ze wszystkich stron kraju podejrzanych o udział bądź w związkach świstockich, bądź też w organizacjach studenckich.

¹⁾ Arch. ks. Czart. por. Askemazy „Łukasiński,“ Bibl. warsz., 1906. II, 286. Koźmian. Pam. III, 113. Smolka. Polityka Lubieckiego (Kraków, 1907), I, 309, 517, 545. Czartoryski, Pamiętniki. Kraków 1906. II, 226.

Sprowadzony w sierpniu z Warszawy Jan Jankowski, poczynił jaknajdalej idące zeznania, dotyczące Świsłoczy i Filaretów ¹⁾).

Następstwem odkryć Jankowskiego z dn. 22 i 23 października st. st. było aresztowanie Zana, Kułakowskiego, Kowalewskiego, Mickiewicza i innych.

Obraz działań komisji śledczej z tego czasu stanowi nieprzerwany łańcuch bezprawii i gwałtów, dokonywanych nad młodzieżą litewską, której jedną tylko w rzeczy samej przypisywano winę: „*miłość narodowości*, nie mówiąc nigdy, jakim sposobem i dlaczego jest ona zakazana.“ Aresztowano na mocy najłżejszych podejrzeń ludzi, którzy oddawna przestali brać udział w tajnych stowarzyszeniach. Podczas rewizji najmniejszy świstek zabierano, aby na podstawie tak kruchych dowodów wytaczać następnie najsurowsze oskarżenia, zdrady stanu i t. p. Inaczej przytem postępowano z Rosyanami, inaczej z Polakami. „Wiersze rosyjskie (znalezione podczas rewizji) lub przez Rosyan pisane, palą się, drą lub usuwają, a polskie starannie chowają się i zbierają — pisał Twardowski do ks. Czartoryskiego dn. 8 (20) października 1823 r. ²⁾“. „Jednakże jest to faktum niezawodne, — czytamy tamże — bo mi przez p. Szłykowa przypadkiem zakomunikowane, iż wiersze ro-

¹⁾ Jan Jankowski wprowadzony był przez Adama Suzina do błękitnego (literackiego) grona Filaretów w dn. 2 stycznia st. st. 1821 r. Suzin nie mógł sobie później darować, że to on właśnie przyjął do stowarzyszenia przyszłego zdrajcę. „Zasłużyłem za to na karę większą, niż ta która została mi naznaczoną“ — powiedział, wsiadając do kibitki, mającej go wieźć na wygnanie.

Jankowski syn księdza unickiego urodził się w 1804 r. w powiecie Brzeskim, gub. Grodzieńskiej. Po ukończeniu szkoły świsłockiej słuchał filozofii w uniwersytecie wileńskim. Zdrada Jankowskiego znaną była w Wilnie powszechnie i o los jego nikt się nie troszczył. Wyrok na Filaretów, z 14 (26 sierpnia) 1824 r. w stosunku do Jankowskiego opiewał, iż „choćby powinienby on uleść tejże karze, jaka się naznacza dla Jana Czeczota i Adama Suzina, jednak z uwagi, że on pierwszy odkrył istnienie *Towarzystwa Filaretów* i szczerze żałował, że do niego należał, policzyć mu jako karę 10-miesięczne trzymanie pod aresztem i wysłać z polskich gubernii.“ Wysłano go dn. 11 października st. st. 1824 r. do Wologdy. Na podróż opatrzony został „dobroczyzną ręką“ policmajstra Szłykowa; nie mając żadnych środków do życia „błagał najpokorniej wsparcia rządu,“ czego nikt z Filaretów skazanych na wygnanie, pomimo szczupłości funduszów, a nawet zupełnego niedostatku, nie uczynił. (Własnoręczna nota Jankowskiego do Szłykowa z 9 października st. st. 1824. *Arch. Kancel. Gen.-Gub. wileńskiego*, akta 1824 r.). W Wologdzie otrzymał posadę policyjną „kwartalnego.“ Data jego śmierci niewiadoma.

²⁾ „Roczn. Tow. P. N. pozn.“ XXVI, 363.

syjskie znalezione u jednego z uczniów, przez oficera gwardyj-skiego pisane na familię cesarską, spalił, by, jak mówił, więcej nie płać osób, ja zaś teraz widzę, że wszystkie polskie szpar-gały są zachowane.“ Niezależnie od związków tajnych wśród młodzieży polskiej istniało w Wilnie stowarzyszenie, utworzone przez Rosyan pod nazwą *Wolnych Sadowników*. Nie posiadamy bliższych wiadomości o tem towarzystwie, cieszyć się jednak mu-siało szczególną protekcyą rządu, skoro wzmianki o *Wolnych Sa-downikach* w piśmiennych zeznaniach studentów uniwersytetu na-kazywano usuwać pod najsurowszą groźbą policyi ¹⁾.

Odrywano młodzieńców od rodzin, nieraz od łoża chorych ojców, by wieść ich pod eskortą kozacką na śledztwo do Wilna. Straszne, nieraz przesadzone wieści, obiegały Litwę całą:

„...Widać było kibitki latające czwalem,
I co noc nas przerażał poczty dźwięk złowrogi.
Nieraz, gdyśmy wieczorem do stołu zasiedli
I ktoś zartem uderzył w szklankę noża trzonkiem.
Drżały kobiety nasze, staruszkowie bledli,
Mysząc, że już zajeżdża feldjegier ze dzwonkiem...“

Sprowadzano podejrzanych, nawet z Petersburga (Ignacego i Brunona Szemiotów, Dominika Orlickiego, Józefa Szestkiewicza i Wincentego Bobińskiego) i z zagranicy. Syna b. rektora uni-wersytetu, Franciszka Malewskiego, przebywającego w Berlinie na studiach, „wzięto chorego z łóżka“ i pod surowym konwojem odesłano do Warszawy, a następnie do Wilna.

Powiadomiony o zeznaniach Jankowskiego W. ks. Konstan-ty, ²⁾ wyraził Nowosilcowowi w imieniu własnem i cesarza gorące uznanie za dotychczasową działalność, zarazem zaś polecał postę-pować nadal energicznie, aresztować wszystkie osoby podejrzane, „nie wyłączając i kobiet;“ w razie braku miejsca w więzieniu zająć klasztory i osadzić w nich więźniów pod surową strażą. ³⁾

Ogółem 85 ludzi sprowadzono do Wilna i osadzono w kla-sztorach: dominikańskim, pijarskim, franciszkańskim, bazylian-skim, karmelickim i bernardyńskim. Do każdego klasztoru wy-

¹⁾ „Roczn. Tow. P. N. pozn.“ XXVI, 339 i „Arch. dla dz. lit.“ VI, 235--37, 248.

²⁾ Raportem Nowosilcowa z 24 października st. st. 1823. № 1401.

³⁾ Odezwa W. księcia do Nowosilcowa z Warszawy 27 października st. st. 1823 r. № 1338.

znaczono osobną straż złożoną z dwóch stróżów i sześciu żołnierzy pod wodzą podoficera.¹⁾

Zeznania wymuszano za pomocą gróźb i obostrzenia więzienia celkowego. Stale odmawiającego wszelkich wyjaśnień Adama Suzina, W. ks. Konstanty polecił wziąć pod najsurowszy areszt i zagrozić, iż w razie dalszej z jego strony uporczywości, będzie on pozbawiony szlachectwa, „albo i surowiej jeszcze ukarany.“²⁾

Najbezwzględniej postępowano narazie z Tomaszem Zanem; aresztowanego w nocy z dnia 23 na 24 października (st. st.) i okutego w kajdany, osadzono w więzieniu kryminalnem. Czynione niezwłocznie zabiegi ze strony jego brata, Stefana, w celu dostarczenia więźniowi lepszej pościeli i pokarmu, spotkały się ze stanowczą odmową organów policyjnych. Szłykow zaś oświadczył, że „nie wie, gdzie jest Tomasz Zan, może nawet wywieziony został.“³⁾

Niepewność i troska o los uwięzionych, budziły powszechną trwogę w mieście. Raz po raz widywano na ulicach prowadzonych pod strażą studentów, każdy dzień niemal przynosił nowe, niejednokrotnie przesadne, wieści o aresztowaniach i rewizjach. Opowiadano o katowaniu dzieci i samobójstwach w więzieniach.

Należy pamiętać, że naówczas tego rodzaju wyjątkowe represye nieznanne były jeszcze mieszkańcom Litwy i z natury rzeczy wywoływać musiały przerażenie, a nawet popłoch ogólny.

Wierny a przejmujący obraz tych czasów, kreśli mistrzowskie pióro Mickiewicza.

¹⁾ Odezwa Rymskiego-Korsakowa do policmajstra Szłykowa z dn. 3 (15) listopada 1823 r. № 3908 (*Akty wileńskiej policji miejskiej*). Następnie zajęto jeszcze klasztory: Lazarystów, Misyonarzy i Wszystkich Świętych. Zan trzymany był nasamprzód w więzieniu zamkowym, Jankowski w pałacu, gdzie odbywały się posiedzenia komisji śledczej (dziś general-gubernatorskim). Potem więziono niektórych studentów w prywatnych mieszkaniach członków komisji.

²⁾ W. ks. Konstanty do Nowosilcowa 16 (28) listopada 1823 r. № 103.

³⁾ „Prośba ucznia uniwersytetu Stefana Zana do rektora wileńskiego uniwersytetu, dnia 31 października (st. st.) 1823 roku podana.“ („Arch. dla dz. lit. i ośw.“ VI, 247).

IV.

Miejscem pierwszych trzech scen dramatu filareckiego jest klasztor ks. Bazylianów przerobiony na więzienie stanu, „w Wilnie przy ulicy Ostrobramskiej.“ Osadzono tu Mickiewicza w dniu 23 października (4 listopada) 1823 r. Zastał on już kilku więźniów, aresztowanych przedtem, nowi wciąż przybywali.

W klasztorze zawrzało ponownie silnem tętnem życie filareckie, obudzone wspomnieniami chwil niedawno ubiegłych.

„Północ — pisze Domejko ¹⁾ — była dla nas wschodem słońca, zbieraliśmy się w celi Adama i aż do świtu przepędzaliśmy nocę na rozmowie cichej, ale nie smutnej. Frejend przyrządzał herbatę i nas rozśmieszał. Kto dniem pierwęj był zawołany na śledztwo, przynosił nowiny, jakie uzbierał w sali i na ulicy... W tejsze celi na Nowy Rok czytał nam Adam swój piękny wiersz „*Skonał rok stary*“, a z jutrzni w dzień Bożego Narodzenia, dochodziła nas przy wtórowaniu dalekiego organu przytłumiona pieśń: *Przybieżeli pastuszkowie* — która to pieśń przenosiła nas w progi domowe, gdzie po nas siostry i matki płakały.“

Cela Mickiewicza (Konrada w *Dziadach*) była „najdalsza, przytykająca do muru kościoła,“ mieściła się najprawdopodobniej na piętrze, od strony ogrodu bazylikańskiego, oznaczona była № 4, obok pod № 3 siedział Antoni Frejend, pod № 2 Karśnicki (?), pod № 5 Dyonizy Szłajewski, uczeń gimnazyum świsłockiego, pod № 6 Eliasz Ostaszewski ²⁾.

Nie wszyscy wprowadzeni przez Mickiewicza do poematu brali udział w tych pierwszych schadzkach. W klasztorze bazylikańskim osadzeni byli z wymienionych w *Dziadach*: Jakób Jagiełło, Ignacy Domejko (Żegota), Antoni Frejend, Adam Suzin, Jan Sobolewski, ks. Kalasanty Lwowicz. Później dopiero w czerwcu 1824 r. przeniesiono tam z klasztoru Franciszkanów — Jana Cze-

¹⁾ Filareci i Filomaci, 25.

²⁾ Por. relację Eliasza Ostaszewskiego w „Wspomnieniach polskich“ E. Heleniusza. Lwów, 1894, t. II, 239.

Ostatnimi czasy w sprawie — gdzie była „cela Konrada,“ toczyła się interesująca polemika w „Kuryerze Litewskim“ (z r. 1906 — №№ 268, 270, 278 i 285, por. również „Świat“ z r. 1907 № 10). Wynik polemiki, ujawniającej sporo ciekawych szczegółów, nie doprowadził jednak do ostatecznych wniosków. Podana przez nas informacja oparta jest na świadectwie współczesnem.

czota, z twierdzy—Tomasza Zana i z pałacu, w którym odbywały się sesje komisji śledczej—Jana Jankowskiego¹⁾.

Rzecz charakterystyczna, że poeta, wprowadzając do poematu paru mniej wybitnych Filaretów (np. Jagiełłę, nieznanego bliżej Jacka), pominał sympatyczną postać Józefa Jeżowskiego, ukochanego przez młodzież przewodnika Filomatów. Brak również Cze-czota, Onufrego Pietraszkiewicza, Franciszka Malewskiego, Teo-dora Łozińskiego i in.

W opisie schadzki, odbytej w dzień Wigilii Bożego Narodze-nia, Mickiewicz skojarzył wspomnienia pierwszych zebrań więzien-nych, urządzanych w „celi Konrada“ przy końcu r. 1823, z później-szymi zgromadzeniami koleżeńskimi z lata r. 1824, odbywanymi u Zana, gdy tenże przebywał już u Bazylianów. Mamy na to do-wód w samym poemacie:

„Wolałbym być pod ziemią, w głodzie i chorobie“ — mówi Zan —
Znosić kije i gorsze niżli kije—śledztwo:
Niż tu w lepszym więzieniu, mieć was za sąsiedztwo—
Lotry! wszystkich nas w jednym chcą zakopać grobie.“

Nawiasowo zauważyć należy, że pobyt u Bazylianów był stokroć znośniejszy od udręczeń moralnych i fizycznych, jakie Zan przechodził w osamotnieniu fortecznem.

Popiera nasze twierdzenie Odyniec, uczestnik tych ostatnich zebrań²⁾, najważniejszem atoli jest świadectwo samego Zana w li-ście pisanym do Zofii Malewskiej: „Koledzy i przyjaciele nas nie zapominają. Dostyc często bywały synody, wszystkie mają duch rozrzewniającego rozweselenia. Adam improwizuje.“³⁾

1) Dn. 25 maja 1824 r. Zan przebywał jeszcze w twierdzy. Por. raport Nowosilcowa do W. Ks. Konstantego z dn. 13 (25) maja t. r. Wierzbowski: „K istorii tajnych obszczestw.“ 19.

O tem, że Zan i Jankowski przebywali w więzieniu bazylikańskiem i stantąd zostali wywiezieni, wiemy z listów Twardowskiego do Czartory-skiego. „Roczn. T. P. N. Pozn.“ (1900) XXVI, 449 i 464. (Urywek pierwszego z tych listów ogłoszony był jeszcze dawniej w „Korespondencyi“ A. Mickie-wicza. Paryż, 1885. IV, 54-5). Por. *Pamiętniki Ottona Słiżnia* w „Pam. Tow. lit. im. A. M-a.“ Łwów, 1888. II, 235 sq. Temsamem upadła dotychczasowe mniemanie, jakoby Zan i Jankowski w schadzkiach u Bazylianów nie brali udziału.

2) „Wspomnienia z przeszłości.“ 284 sq.

3) Wl. Mickiewicz: *T. Zan w więzieniu*. „Przewodn. nauk. i lit.“ 1898, str. 330. Podana tamże data listu—9 października—jest błędna.

Postacie Domejki i Zana nakreślił poeta najwyraziściej. Żegota, „zawołany gospodarz“ w majątku swego stryja, Józefa, w Zapolu, powiatu lidzkiego, nagle aresztowany i przywieziony do Wilna w połowie listopada r. 1823, nie wiedział jeszcze dokładnie o wypadkach wileńskich.¹⁾ Nieświadomego informują koledzy. Jako powód śledztwa podaje Zan usiłowanie Nowosilcowa powrotu do łaski cesarskiej i pożądanie nowego źródła dochodów, stąd więc senator „musi z towarzystw naszych wielką rzecz wysnować.“

Jak wiemy, przypuszczenie Zana najzupełniej zgadza się z prawdą. Głównym powodem, dla którego Nowosilcow ujął śledztwa litewskie w swoje ręce, była żądza pozyskania nowych tytułów do zasługi, nadewszystko zaś zasilenie wiecznie chudej kieszeni senatorskiej.

Zan, by bronić swych towarzyszy, przyjął całą winę na siebie. „Ja stałem — mówi — na waszego towarzystwa czele. Mam obowiązek cierpieć za was, przyjaciele.“ Ten szlachetny postępek Arcypromienistego, powszechnie zresztą znany, potwierdzają wszystkie jego zeznania przed komisją śledczą, potwierdzają w wyższym jeszcze stopniu listy pisane z więzienia do przyjaciół²⁾. W parę lat potem przypominał Mickiewicz „jakim był Tomasz *w zamku zaczarowanym*. Zaprawdę... kilkomiesięczne życie Tomasza więcej warte, niż dziesięć lat naszej teraźniejszej stałości. Dał on próbę kochania“³⁾.

W listach więziennych Zana znać ustawiczną troskę o bezpieczeństwo najdroższych, bliższych od rodziny nawet, przyjaciół⁴⁾.

¹⁾ Zwracamy tu uwagę, że moment obrany dla sceny więziennej jest dniem przybycia Domejki do więzienia, zarazem jest to dzień wigilii Bożego Narodzenia, zachodzi tu przeto drobna nieścisłość chronologiczna, popelniona przez Mickiewicza z całą świadomością swego prawa, jako poety. Por. Tretiak: Mickiewicz i Domejko. „Bibl. war.“ 1906. II, 245 sq.

²⁾ Otto Słizien pisze w swych pamiętnikach („Pam. Tow. lit. im. A. M-a“, t. II, 232), że Zan wydał odezwę (!) do kolegów, w której donosząc o wzięciu całej odpowiedzialności na siebie, nie tylko uwalniał ich od danej przysięgi, lecz zobowiązywał do wyznania szczerą prawdę.

³⁾ List do Czeczota i Zana, z Moskwy, 5 stycznia 1827 r. „Kor. A. Mickiewicza“, I, 21.

⁴⁾ „Lubo oglądanie rodziny najwięcej ma powabów, jednak porzucenie najmilszych przyjaciół zawsze jest najboleśniejszem“ — powtarzał. Gawalewicz: *Druh Mickiewicza*. „Tygodnik polski“, 1898 r., str. 261.

Ulubioną maksymą Zana był przykład z gramatyki Kopeczyńskiego: „My urodziliśmy się nie dla siebie tylko; część nas Ojczyzna przywłaszcza, część przyjaciele.“

Pośredniczką w przesyłaniu korespondencji była Zofia Malewska, siostra Franciszka. Ona nie tylko doręczała listy, lecz sama od siebie udzielała wskazówek Filaretom, jak się mają zachować na wypadek aresztowania ¹⁾. Franciszek Malewski taką np. otrzymał instrukcję od Zana (d. 16 grudnia 1823): „Lubo nie serdecznie znajomy, jednakże byłeś frerem, biore śmiałość pozdrawiać cię. Co chciałem mieć w sekrecie, aby chlubą nie odebrać wdzięku cności, to stało się jawnem. Jako jedyna przyczyna zachęty, jako zawiązujący i rozwiązujący, sam dałem szczegółowe objaśnienie tego wszystkiego, com przedsiębrał dla obudzenia ochoty korzystania z nauk, aby być światłym i wiernym poddanym kochanego monarchy naszego przez wzajemną pomoc. Nie zataiłem, żem napisał organizację i instrukcję, którą z własnych powodów życia ułożyłem, że lekcy wykladać rozkazałem, treści podawałem i t. d. Ty, lubo już zupełnie nie należący od wyjazdu wedle organizacyi, która wyrzuca wszystkich wyjeżdżających i nie akademików, możesz atoli być pytany. A zatem nic nie taj, co widziałeś, *żem ja robił*. Tym bardziej, kiedy niektórzy nieświadomi rzeczy wyjaśnili, że ty to zrobiłeś, co *moim* dziełem, fałsz ich okażę. Spodziewam się, że ty powodów wszystkich czynności wiedzieć nie możesz, a zatem to tylko wskaż, co czyniłeś z rozkazania mojego, jako dobry akademik. Tym bardziej drobnych rzeczy, które były wypadkiem okoliczności, rozumiem, że nie pamiętasz. Bądź dobrej myśli, a tak postąp, jak ja Cię proszę, zrobisz mnie przyjemność.“ ²⁾

W innym liście z dn. 30 grudnia 1823 r. prosi Zofię Malewską: „Franusia, Zosiu, ostrzeżcie, aby przyjaźnią umiesiony, nic na

¹⁾ Pewne skazówki w listach Zana z tego czasu nasuwają przypuszczenie, że i niektóre z kobiet były bliżej wtajemniczone w sprawy organizacyjne młodzieży uniwersyteckiej. Do takich mogły należeć: panny Malewskie, Ludwika Kostrowicka, Felicja Micewiczówna (ubóstwiana przez Zana *Boska Felia*) i inne. W liście z dn. 26 grudnia 1823 r. do Zofii Malewskiej pisze Zan między innemi co następuje: „Dziś nawet jakżeś wysoko podniosła sprawę naszą, wszyscy nasi przez ciebie błogosławią chwilę czynności i czystych chęci wieku młodzieńczego, *wielkiż nadal uczyniłaś kochankami zamiarów naszych i zazdrośnikami więzienia naszego*.“ Wśród listów, w mowie będących, znajduje się *Pieśń Filaretek*. Wiersz ten, pisany ręką kobiecą, poprzedzony jest następującą uwagą: „Zdrowie *Filaretek*. Improwizacya Adama. 1824 r. 8 września. Pieśń improwizowana na nutę marsza promienistych.“ Wł Mickiewicz: *T. Zan w więzieniu*. „Prz. n. i lit.“ 1898, str. 336, 340—41.

²⁾ L. c. str. 332. Zan pisał ogólnie, obawiając się, aby list jego nie dostał się w niepowołane ręce.

siebie nie przyjął i mojego planu nie pomieszał, bo ja wszystko zrobiłem.“

Tymczasem pobyt w więzieniu odbijał się niekorzystnie na zdrowiu Zana. Pisał on wprawdzie, iż „poznaję się bliżej z sercem i umysłem“, że „serca doskonale wypróbuję“, jednakże niepewność jutra, przymusowa bezczynność i troska o los współwięźniów wtrąciła go w stan niezwyklego rozdrażnienia. „...Każdy brzęk kajdanka ze snu najmilszego co chwila przebudza...“ Z początku pełen otuchy, „...tak szczęśliwy w turmie, że nigdzie sobie większego szczęścia, czerstwości umysłu, zapału pięknego w sercu“ nie życzył; sądził nawet, iż tak już do wszystkiego przywykł, „że go i budawa nie zabiją“—wpadał teraz coraz częściej w stan melancholii i nienaturalnej egzaltacji. „Kuchnia nadto żołnierska“, o której mówi Frejend, iż „dość było taką strawą w pokoju zakadzić, ażeby myszy wytruć i świerszcze wygładzić“, również dotkliwie dawała się więźniom we znaki.

(Zan) „Tydzień nie jadłem.

Potem jeść próbowałem, potem z sił opadłem.

Potem, jak po truciźnie, czułem bóle, klucia,

Potem kilka tygodni leżałem bez czucia.“

Męką też dla wszystkich były cele więzienne. Niektórzy mieli łózka, „na których nie było nietylko słomy, ale ani nawet desek, ale tylko trzy cienkie poprzeczki na deski.“¹⁾ Mickiewicz aresztowany w czasie choroby, „mimo trzaskającego mrozu, umieszczony został w dużej, nieogrzanej wcale sali. Zimno było tak przejmujące, że żołdat, stojący przy drzwiach na warcie, drżał i płakał, chuchając w skostniałe palce, choć płaszczem był otulony.“ Poeta w lekkim tylko ubraniu ziałł strasznie, przekupił wreszcie żołnierza i napalono w piecu, cóż kiedy piec był zepsuty i dym niemożliwy rozszedł się po celi, okna zaś zabite były naглуcho.²⁾

Więści o położeniu więźniów szeroko rozchodziły się po mieście i budziły powszechne współczucie dla aresztowanej młodzie. Przekupowano dozorców, aby dostarczyć nieco lepszego pożywienia i bielizny. Naprzeciw okien więziennych, po drugiej stronie ulicy, w domu pułkownika Benderskiego mieszkały panny Szostowickie, córki kasyera uniwersyteckiego. Ponieważ ulica była wąska i z okien cel doskonale było widać, co się dzieje po drugiej stro-

¹⁾ *Pamiętniki Ottona Śliźnia*. „Pam. tow. lit. im. A. M.“ II, 227.

²⁾ Marya Gorecka: „Ze wspomnień o moim ojcu.“ Tamże, II, 239.

nie, za pośrednictwem przeto panien Szostowickich, dowiadywali się więźniowie o nowinach miejskich, wypisywanych węglem na dużych arkuszach i wystawianych w oknach¹⁾.

Po ukończeniu śledztwa, z wiosną roku 1824, los uwięzionych uległ znacznej zmianie na lepsze; odpieczętowano w celach okna, pozwolono więźniom spacerować w ogrodzie klasztornym, a nawet wychodzić niekiedy do miasta. Nudy więzienne osładzano coraz częściej schadzками i odwiedzinami znajomych i kolegów, których klerycy bazylikańscy wpuszczali do refektarza. „Za pomocą sznurka — pisze Ostaszewski — komunikowali nam gazety, książki i nowiny miejskie. Moim pocieszycielem i orędownikiem był ks. Bazylianin Szmigielski z Inflant, dostarczał mi papieru do rozmowy z moimi pocieszającymi aniołami, pamami Szostowickimi, udzielał książek, jedwabiu do robienia sznureczków na widelkach, które osładzałem nędzne chwile więzienia... Odwiedzał nas doktor Gutt (Ferdynand), opatrywał wybornymi święconymi babami... Co tydzień odwiedzał więzienie pułkownik, komenderujący pułkiem litewskim.“

Prawdziwie ofiarniemi były panie wileńskie, nie szcędzące starań celem polepszenia losu więźniom. Generałowa Apolonia Pągowska i córka jej Ludwika Kostrowicka, pani Guttowa, żona aptekarza, Antoniowa Gorecka, „sławna z zapamiętałego patriotyzmu“, Anna Kościalkowska, Marya Puttkamerowa, wreszcie Zofia i Marya Malewskie, córki rektora, „śmiały więźniom posyłać pociechę i wsparcie,“ były prawdziwemi „posłankami niebios,“ jak ich nazywa Zan i Mickiewicz. Dzięki im dochodziły więźniów echa z miasta, nadsyłano konfitury, znalazło się też i „kilka butelek“ w ów wieczór „świętej Wigilii.“ Przy szklance zapominano o troskach, dopiero ponure opowiadanie Sobolewskiego o wywiezieniu „studentów ze Żmudzi“ budzi w kole filareckiem smutne refleksye²⁾; ks. Lwowicz, przedstawiciel pobożności i silnej wiary, wzywa do modlitwy za zmarłych współkolegów³⁾.

¹⁾ *Wspomnienia Ostaszewskiego*. Helleniusz, t. c. II, 239—40.

²⁾ „Pamiętam też — pisze Domejko („Filareci i Filomaci,“ 25) — jak nas bolało, kiedyśmy się dowiedzieli o wywiezieniu studentów: spędziliśmy tę noc, jakby oniemieli, smutnie, nie uważając nawet na żarty Frejenda i pocieszne uwagi Jagielly.“

³⁾ *Ksawery*, który według słów Adolfa (Januszkiewicza) pozbawił się dobrowolnie życia, to zapewne Kajetan Przeciszewski, Filareta; zastrzelił się dn. 26 października (7 listop.) 1823 r. z obawy aresztowania w majątku ojca swego Gruzdziszkach, w powiecie Rosieńskim. Wierzbowski: „K istorii tajnych obszczestw,“ 194. Por. Leleweł: *Nowosilcow w Wilnie*. „Polska,“ VII, 267.

Domejko dla pocieszenia więźniów opowiada im bajkę Goreckiego o *Dyable i zbożu*, Frejend chce szukać ulgi w winie i wesołych pieśniach Feliksa Kułakowskiego. Feliksa uprzedza Jankowski i, drwiąc z wiary ks. Lwowicza, śpiewa pieśń bluźnierczą:

Mówcie, jeśli wola czyja,
 Jezus Maryja:
 Nim uwierzę, że nam sprzyja
 Jezus Maryja,
 Niech wprzód lotrów powybijają
 Jezus Maryja! i t. d. ¹⁾

Zdaniem prof. Tretiaka ²⁾ Mickiewicz tę bezbożną pieśń włożył w usta Jankowskiego, aby niejako w ten sposób wymierzyć mu poetycką karę za zdradzenie kolegów. Warto jednak zaznaczyć, że w rzeczach wiary Filareci naogół byli obojętni; ten ich indyferentyzm religijny da się wytłómaczyć wpływem literatury francuskiej wieku oświeconego i niedawnych jeszcze wspomnień Wielkiej Rewolucyi, wreszcie teoryom wolnomularskim, które w znacznym stopniu oddziały na formowanie tajnych towarzystw wśród ówczesnej młodzieży ³⁾. Odyniec, którego wszak o bezbożność żadną miarą posądzać nie można, pisze, że „między ówczesną filarecką młodzieżą, atmosfera religijna w ogólności była ani gorącą, ani zimną, ale letnią“ ⁴⁾. Byli wprawdzie w gronie filareckim i księża (Ka-

¹⁾ Jest to podobno pieśń oryginalnie napisana przez Jankowskiego. (Ch. Ostrowski: „Oeuvres poétiques complètes de A. Mickiewicz. Paris, 1845. Tome I, 342), charakter jej odpowiada innym jego wierszom. „Jankowski — pisze w swych pamiętnikach Otto Ślizień — przy łatwości pisania kostycznych wierszy, był pełen gorączkowego jadu i złośliwej żółci, a wszystkiemu w sobie dawał pozór patryotycznego zapału; lubił swą deklamacyą się popisywać; na posiedzeniach czytywał lub deklamował burzliwe i jadowite swe prace, tak że w końcu rada filarecka zabroniła mu stanowczo ze swemi odczytami na posiedzeniach występować.“ Pam. Tow. lit. im. A. M-a. (Lwów 1888) II, 226.

²⁾ „Cześć Mickiewicza dla Najświętszej Panny.“ Pam. tow. lit. im. A. M-a. (Lwów, 1898) VI, 14. „Mickiewicz i Domejko.“ Bibl. war. 1906. II, 247.

³⁾ Por. Domejko: „*Filar. i Filom.*“ 19 sq. Ultrakatolicki Ostaszewski czyni również Filaretom zarzut obojętności w rzeczach wiary. Helleniusz: „Wspomnienia.“ II, 243-4.

Z papierów, zabranych podczas śledztw od uczniów szkół litewskich, widzimy, że zapatrywania młodzieży ówczesnej na kwestye religijne, już nawet w szkołach średnich były niezmiernie wolnomysłne.

⁴⁾ List Odynca do Lucyana Siemińskiego z dn. 20 kwietnia 1871 r. „Religijność i mistyka w życiu i poezyach A. M-a.“ Kraków, 1871, str. 134-5.

lasanty Lwowicz i Maciej Brodowicz), ci jednak głównie dlatego zostali przyjęci, aby za ich pośrednictwem oddziaływać na duchowieństwo i oddane im szkoły¹⁾.

Być również może, iż Mickiewicz dlatego jedynie umieścił pieśń Jankowskiego w *Dziadach*, aby jej przeciwstawić stan własnych uczuć religijnych, w szczególności zaś zaznaczyć, „iż pomimo zupełnego rozluźnienia się i ostygnięcia w nim wiary, cześć dla Matki-dziewicy, tego najwyższego ideału niewieściego, najsilniej zrosnięta z jego duszą, pozostała w nim dotąd utajona.“²⁾ Zbyt brutalne sponiewieranie „imienia Maryi“ budzi protest Konrada:

 Słuchaj ty!—tych mnie imion przy kielichach wara!
 Dawno nie wiem, gdzie moja podziła się wiara,
 Nie mieszam się do wszystkich świętych z litanii:
 Lecz nie dozwolę bluźnić imienia Maryi.

Powyższe słowa gorąco podtrzymuje dobroduszny kapral, dawny legionista i *Sodalis marianus*, opowiadając niewyszukanym żołnierskim językiem, jak mu cześć dla imienia Maryi uratowała życie, gdy był w Hiszpanii, w sławnym pułku Sobolewskiego³⁾.

1) Ustawa Filaretów nie wzbraniała przyjmowania do stowarzyszenia niekatolików a nawet niepolaków. Wstępujący do związku członek narodowości niepolskiej, według zeznania Zana, składał przysięgę w imieniu tej narodowości, do której należał. Wierzbowski: „K istorji tajnych obszczestw.“ 26. W rzeczy samej, prócz wielu studentów wyznania grecko-katolickiego i ewangelickiego do *Towarzystwa Promienistych* w r. 1819 należał Rosyjanin, Małafiejew, który jednak przez komisję śledczą wzywany nie był. Odezwy: generała Dybicza do W. Ks. Konstantego z dn. 13 (25) sierpnia 1826 r. № 1370; Konstantego do Nowosileowa (sekretnie) z Moskwy dn. 15 (25) t. m.; Nowosileowa do Pelikana (sekr.) dn. 7 (19) września t. r. № 895 i raport sekr. Pelikana do Nowosileowa dn. 16 (28) t. m., № 1026.

2) Tretiak: „Cześć M-a dla N. P.“ Pam. tow. lit. VI, 15.

3) Maciej Sobolewski, brat Filomaty („To mój brat!“—mówi Sobolewski w *Dziadach*) ur. 1781 r., syn Walentego, kasztelana czerskiego i szambelana przy Stanisławie Augustcie oraz Kunegundy z Nowickich, kształcił się naprzód w korpusie kadetów w Warszawie, potem w Akademii Wileńskiej; gdzie przykładał się z wielką pilnością do nauk fizyczno-matematycznych i oddał się im całkowicie podczas pobytu w Paryżu, dokąd w tym celu pojechał po odbytej podróży do Konstantynopola. Za powrotem do kraju wstąpił do pospolitego ruszenia i w dn. 6 marca 1807 r. mianowany został pułkownikiem pułku 7-go piechoty. Uczestniczył w kampanii zimowej 1809 r. we Włoszech. Odznaczył się szczególnie przy ataku mostu na rzece Tagu dn. 25 grudnia 1808 r. Brał udział w walkach pod Ciudad-Real, Talavera, Toledo, Almonacid,—w tej osta-

Gdy raz na popasie jego podpici towarzysze zaczęli „bredzić na świętych,“ a potem „błuźnić na Pannę Najświętszą,“ kazał im „stulić pysk,“ za to też jemu jednemu w nocy nie ucieli Hiszpanie głowy:

Patrzę: więc moja głowa została na karku!
W czapce kartka lacińska, pismo nie wiem czyje:
„Vivat Polonus, unus defensor Mariae.“

Jak widzimy, postać kaprała, wprowadzona przez Mickiewicza do poematu, odegrywa w nim nader ważną rolę. Wprawdzie prof. Kallenbach twierdzi na podstawie ustnej relacji Domejki, iż jest to osoba fikcyjna¹⁾, sądzymy jednak, że w tym wypadku, jak zresztą w wielu innych, pamięć nie dopisała Domejce. Zbyt ścisłym jest Mickiewicz w odtwarzaniu sceny więziennej, zbyt szczegółowo opowiada o kaprale-legioniście, wziętym następnie w rekruty do wojska rosyjskiego, przypuszczać przeto można, że postać ta nie jest zmyślona. Niektóre skazówki w listach więziennych Zana nasuwają przypuszczenie, że kapral ten istniał naprawdę. Niejednokrotnie wspomina Zan o „staruszkuzołnierzu,“ który przynosił mu wieści z miasta i był pośrednikiem pomiędzy więźniem a przyjaciółmi²⁾.

Opowiadanie kaprała osnuł Mickiewicz najprawdopodobniej na powieści Adama Amilkara Kosińskiego p. t. *Vivat Polonus unus defensor Mariae*, w wielu punktach zgodnej ze zdarzeniem podanym w *Dziadach*. Wprawdzie rzecz Kosińskiego ogłoszona była drukiem dopiero w październiku 1834 r., już więc po napisaniu

tniej bitwie, dnia 11 sierpnia 1809 r. zginął, ugodzony kulą w piersi. Gembarzewski: *Wojsko Polskie. Księstwo Warsz. Warszawa, 1905. Str. 94-5. Por. Helleniusz: Wspomnienia, II, 240.*

¹⁾ „Ad. Mickiewicz“ (Kraków, 1897) I, 14. *Dziela A. M-a, ed. kryt. (Lwów, 1905) IV, 402.*

²⁾ Np. w liście do Zofii Malewskiej z dn. 30 grudnia czytamy między innymi co następuje: „Cudem lub czarami pierwszy raz bez dykeyonarza przeczytałem i zrozumiałem Zauberer... Tam znalazłem z największym mojem podziwieniem twoje Zosiu i Maryniu wyrazy: doskonałe opisanie inkwizycyi. Właśnie wszedł wówczas do mojej jaskini, cały dzień zamkniętej, komisarz, który trzy razy mnie na dzień odmyka; nie mogłem utaić mojego aż do szaleństwa uniesienia z cudownego kartek odkrycia, płakałem, śmiałem się, podskakiwałem, całowałem, do serca przyciskałem, tak, że *mój stary żołnierz* pierwszy raz łzy płynące na swoim obliczu ocierać zaczął...“ Wł. Mickiewicz: *T. Zan w więzieniu*. „Prz. n. i lit.“ 1898, str. 337-38.

Dziadów, mogła jednakowoż być znaną poecie przedtem, bodaj nawet jako zdarzenie prawdziwe, które słyszał, bądź od Antoniego Goreckiego, uczestnika kampanii napoleońskich, bądź od któregośkolwiek z oficerów polskich, b. legionistów, emigrujących po rewolucyi listopadowej w Poznańskie, gdzie podówczas przebywał Mickiewicz.

Nastrój, wywołany opowiadaniem Sobolewskiego i kaprała, usiłują Filareci zagłuszyć wesołym śpiewem: „Chociaż serce pęka, Feliks (Kułakowski) będzie wesoły i będzie piosenka.“ Pieśń Kułakowskiego „Nie dbam jaka spadnie kara,“ utrzymana w tonie bardziej łagodnym, choć również tętnąca zemstą, osnuta jest na niedawnej tradycyi o śmierci Pawła I, której szczegóły dobrze znane były Filaretom. Pod wpływem słów Kułakowskiego, Konrad zaczyna nucić przy wtórze fletu Frejenda. Pieśń jego „w grobie poczęta“ nabiera stopniowo coraz silniejszych tonów, aż wreszcie wybucha bluźnierstwem:

„Tak! zemsta, zemsta na wroga,
Z Bogiem—i choćby mimo Boga.“¹⁾

Wtem słychać kroki runtu. „Zdarzyło się też, — pisze Domejko — że jednej nocy, o pierwszej godzinie przyszło policmajstrowi zwiedzić nasze więzienie; szyldwachy spały, my skupieni w izbie Adama, piliśmy spokojnie herbatę; wtem rozruch na korytarzu, szezęk kluczy i karabinów; przestraszony podoficer (*kapral?*) zdobył się na koncept, że odrazu nie mógł trafić na klucz do drzwi, które wiodły do naszego korytarza; policmajster pękał ze złości, ale zyskaliśmy minutę czasu i w momencie, kiedy wysadził drzwi, już każdy z nas był w swoim łóżku i zagasił świecę, a przy każdym drzwiach stał szyldwach z karabinem, wyprostowany, jakby przed cesarzem.“

Na tem kończy Mickiewicz scenę pierwszą poematu.

¹⁾ W armii Skrzyneckiego, podczas rewolucyi 1831 r., śpiewano piosnkę: *Z Bogiem, czy bez Boga, byle na wroga*. Kalinka: *Królestwo Kongresowe i związki tajne*. „Przegląd Polski“ z r. 1895. IV, 320—21. W „pogańskiej“ pieśni Konrada motyw ten się powtarza i najprawdopodobniej został zapożyczony z owego śpiewu obozowego.

V.

Po za sprawą uniwersytecką równocześnie rozpoczęte zostały prześladowania młodzieży w szkołach średnich. Pierwsze śledztwa przeciw Jankowskiemu ujawniły nasamprzód istniejące przed paru laty towarzystwa uczniowskie w Świsłoczy.

Szkoła świsłocka (w gub. Grodzieńskiej, pow. Wołkowyskim) przed r. 1823 należała do najlepszych średnich zakładów naukowych na Litwie. Do powodzenia i jej wziętości przyczyniały się wzorowe urządzenia i pomoce naukowe oraz niezwykle staranny dobór profesorów.

Jeden z wychowawców, dr. Adam Buckiewicz, kreśli w swych pamiętnikach¹⁾ ciepły i serdeczny obraz ówczesnych stosunków szkolnych. Tematy wypracowań, dawanych uczniom klas wyższych, obudzały w nich zapał do nauk i dążność do samodzielnego myślenia. W szkole był zwyczaj, że co tydzień odbywano sesye t. zw. „dozorców domowych“ pod prezydencją kierownika zakładu. Posiedzenia te, na których bywali również starsi uczniowie, poświęcone były czytaniu i omawianiu przepisów, ułożonych dla „dozorców“ przez Komisję edukacyjną. Każda klasa, poczynając od trzeciej, miała osobną księgę, w której zapisywano wzorowe wypracowania uczniów. Pozatem istniała jeszcze t. zw. „Księga dziejów“ do notowania ważniejszych wydarzeń szkolnych, wreszcie rodzaj *Silva rerum*, gdzie uczniowie wpisywali własnego utworu poezye, dramaty, rozprawy naukowe i t. p.²⁾

Tego rodzaju urządzenia szkolne nie mogły pozostawać bez wpływu na młodzież. Na przygotowany grunt padły słowa serdecznej zachęty do dalszego kształcenia się w specjalnie utworzo-

¹⁾ „Obrazki Litwy w XIX w.“ Rkps. krak. Akad. Um. № 1204, str. 31 — 43.

²⁾ Leon Zienkowiec: „Wieczory Lacha z Lachów.“ Lipsk, 1864, str. 149—175. Opis szkoły świsłockiej podają „Kłosa“ z r. 1879, №№ 744—47 oraz stroma i błędna broszura O. E. F. M.: „Świsłocz wołkowyskaja.“ Istoriczeskij ocerk. Grodno, 1895.

Szkoła w Świsłoczy wykształciła cały zastęp dzielnych patriotów i oddanych ojczyźnie obywateli, między innymi do wychowawców tego zakładu należeli: Wiktor Heltman, Leon Zienkowiec, Rajnold Suchodolski, Józef Paszkowski, Stanisław Batys Górski, Józef Ignacy Kraszewski; Filomaci: Józef Kowalewski, Adam Suzin, Feliks Kulakowski i in.

nem towarzystwie. Inicytywa wyszła od Wiktora Heltmana, członka tajnego stowarzyszenia *Wolnych Polaków* w Warszawie. Za jego poradą i wskazaniem, wyrażonemi w liście z 1819 r. do brata Józefa, ucznia szkoły świstockiej, ten ostatni zawiązał *Towarzystwo miłośników literatury ojczystej* czyli *Towarzystwo naukowe*. Członkami byli wyłącznie uczniowie klasy szóstej: Dyonizy Szałajewski, prezes, Grzegorz Woszczełowicz, sekretarz, Jan Jankowski (późniejszy Filareta i delator związków świstockich i wileńskich), Franciszek Eychler, Antoni Konachowicz, Paweł Ciepłiński, Józef Heltman, Tomasz Kraskowski, Ludwik i Kazimierz Małachowscy, Aloizy Kiernożycki, Seweryn Rajuniec, Erazm Pochruszyński, Józef Przybylski i Zygmunt Kryński¹⁾.

Dn. 26 grudnia 1819 r. Wiktor Heltman nadesłał bratu z Warszawy obszerny list, w którym między innymi pisał: „Przyjemnie widzieć mi te źródła przyszłego oświecenia narodu, te dążenia i zapał do nauk, które jedynie mogą powrócić nam szczęście, wolność i swobodę. Jeżeli kiedy, to jedynie dziś, w tak trudnych dla naszego narodu chwilach, połączyć się winny oddzielne części narodu węzłem wzajemnej przyjaźni, nauki i dobra ogólnego. Niech wszystkich obywateli jednej ojczyzny, choć nie jednej prowincyi, ożywia ten sam duch; a w razie potrzeby połączą oni swe usiłowania, jak złączyli swe serca i umysły. Na tych, pozornie wątplych, podstawach może się podźwignąć istnienie szczęścia narodu i żadna siła nie będzie wstanie go obalić. Nie było jeszcze takiego tyrana, któryby mógł zwyciężyć stałość zasad i ducha narodowego pozbawić. Obowiązkiem naszym jest dołożyć wszelkich sił dla wpojenia zasad jednomyślności, miłości ojczyzny i oświaty, które tyle dobrego i miłego przynoszą społeczności.“²⁾

Do listu dołączony był projekt ustawy Towarzystwa, obejmujący 7 rozdziałów i 30 artykułów.

„Cel Towarzystwa polega na wzajemnem kształceniu.“ Członkowie dzielą się na rzeczywistych, korespondentów, honorowych i kandydatów. Obowiązkiem członków było pisanie wypracowań i odczytywanie ich na posiedzeniach, odbywanych co tydzień. Prze-

¹⁾ Zeznanie Jana Jankowskiego przed komisją śledczą, złożoną ze Szłykowska i Ławrynowicza, z dn. 3 i 4 września st. st. 1823 r. (rkps.), por. raport Nowosilcowa do W. Ks. Konstantego z 13 (25) maja 1824 r. Wierzbowski: „K istorji tajnych obszczestw i kruzkow sredi litowsko-polskoj molodziezi w 1819—1823 g.“ Warszawa, 1898, str. 4—11.

²⁾ Wierzbowski: „K istorji tajnych obszczestw,“ 5.

wodniczący, obierany co dwa miesiące, obowiązany był w myśl Ustawy przy objęciu godności wygłosić mowę, w której kładłby szczególny nacisk na miłość ojczyzny i zachowanie ducha narodowego. Posiedzenia odbywano co wtorek w szkole, na pół godziny przed lekcją wymowy. Wypracowania w liczbie ośmiu zapisano do oddzielnej księgi. Brak w tych utworach młodzieńczych rozważań i ścisłej wiedzy, jest natomiast dużo zapału i szczerego uczucia patriotycznego, jest też sporo młodocianej poży i silenia się na ozdobność i obrazowość stylu.

Towarzystwo naukowe trwało zaledwie trzy miesiące, do końca r. 1819. Nierównie poważniejszym było *Towarzystwo moralne*, założone przez abiturientów szkoły świsłockiej, dn. 17 (29) listopada 1819 r.

Według ustaw ówczesnych zakładów edukacyjnych, podległych zarządowi uniwersytetu wileńskiego, wyznaczano ze zdolniejszych uczniów klas wyższych t. zw. „dozorców“ nad młodszymi kolegami. Dozorcy ci po ukończeniu szkoły, mogli pełnić nadal też same obowiązki z warunkiem uczęszczania na niektóre lekcje i uległości dla władzy szkolnej.

W 1819-20 w Świsłoczy było pięciu takich „dozorców domowych.“ Jakób Abramowicz, Ignacy Koczalski, Tadeusz Zieliński, Andrzej Korhanowicz i Mikołaj Zabiełło. Postanowili oni założyć Towarzystwo, nasamprzód dla wspólnej zabawy, która — według słów prezesa Abramowicza, wypowiedzianych na posiedzeniu dn. 18 lutego st. st. 1820 r. — „ściągała się albo do uwielbiania Wenera, albo pochwał Bachusa, albo do przezierania ksiąg rozmaitych królów(?). Lecz, jak wszystko na świecie—mówił dalej Abramowicz—ulega różnym okolicznościom i przeciwnym zdarzeniom, tak i my, stając się im uległymi, byliśmy przymuszeni na czas jakiś zawiesić nasze urzędowanie, czekając sposobnej pory na odbywanie obrad naszych. Dopiero, kiedy znowu pomyślniejsza wraca się dla nas chwila, kiedy ożywione umysły nasze nadzieją prędkiej pomocy, potrzebnej do naszych zatrudnień, przyzwolita jest rzeczą, abyśmy obrad naszych w niepamięć nie puszczali...“

Aluzya, którą czyni Abramowicz do spodziewanej „prędkiej pomocy,“ dotyczy niewątpliwie obietnic, przesyłanych z Wilna przez byłego ucznia szkoły świsłockiej, Adama Suzina, który w liście bez daty do Koczalskiego, sekretarza *Towarzystwa moralnego*, zawiadamia go, że w Wilnie założono towarzystwo wyłącznie z akademików pod nazwą *Literackie czyli P....*, i że głównym przedmiotem tego towarzystwa jest, jak pisze: „*pogarda tego wszyst-*

*kiego, cokolwiek, nie będąc narodowem, tchnie duchem cudzoziem-
szczyzny“¹⁾.*

Dalsze ustępy z mowy Abramowicza wskazują na wyraźny wpływ w danym wypadku Wilna.

„Každy z was aż nadto przekonany być powinien—zwracał się mówca do kolegów — że nie to jest prawdziwem szczęściem człowieka, co tylko *zaczynym zmysłom przynosi uciechę, lecz to, co umysł bawi i zasila*. Tą prawdą przejęty, ośmielał się podać projekt, abyśmy złożyli Towarzystwo uczone pod nazwiskiem *Moralne*. Obowiązkiem członka tego zgromadzenia będzie, aby co tydzień odbywać jedno posiedzenie, na którym każdy z członków czytać będzie rozprawę, a najczęściej mowę w materji przez siebie obranej. Poczem każdy będzie miał prawo dać o niej swe zdanie, miejsca potrzebne do poprawy wytknąć, a nakoniec wpisana będzie do księgi, którą zacny nasz pisarz utrzymywać będzie. Materje do takowych rozpraw być mogą wesołe, żartobliwe, poważne i uczone, nigdy zaś płocze i grubiańskie, jako z naszym sposobem myślenia i z naszym stanem nie zgodne.

„Zacni Koledzy! przekonani jesteście zapewne, że żaden z nas nie jest tak biegłym w sztuce pisania, iżby to mu z łatwością przychodziło, gdy więc tym sposobem, złożywszy Towarzystwo, ćwiczyć się będziemy w pisaniu, nietylko będziemy mogli łatwo pisać, lecz pisać dobrze i poprawnie. Jesteśmy już w tym wieku, w którym łatwo rozeznac możemy zdanie dobre od fałszywego, możemy więc i w naszych rozprawach poznać błędy i one poprawić. Lecz, że jak zwykle bywa, łatwiej jest widzieć błędy cudze jak swoje, łatwiej je w kim wytknąć, jak swoje poprawić, nie podobna więc, aby nie będąc dobrze poprawionym, pomimo najuważniejszego pisania, nie zostawił jakiego błędu lub fałszywego zdania nie wtrącił, — przeto poddając każdego z nas swe dzieło rozsądnej krytyce całego zgromadzenia, nie tylko sam starać się będzie, aby jak najmniej wyszło błędów z pod jego pióra, ale i te, których nie widział, mając zawsze wytykane, przyuczy się lepiej sądzić siebie samego i tę dwoistą odniesie korzyść, że się wprawi w prędkie poznanie szacunku jakiego dzieła obcego i w pisaniu własnego wydoskonali się.

„Takowe przyczyny podanego teraz projektu, wprzód rozważywszy w mej myśli, przełożyłem Wam teraz, Zacni Koledzy, spo-

¹⁾ Urywek z tego listu przytoczony jest w raporcie Szłykowa do Nowosiłcowa z dn. 31 sierpnia (12 września) 1823 r. № 1386 („Arch. dla dz. lit. i ośw.“ IX. 165).

dziewając się, że wy, będąc czcicielami nauk, nie tylko go nie odrzucicie, lecz z chęcią największą przyjąć raczycie, pamiętni na to, będąc niegdyś duszą tutejszego zgromadzenia i teraz w bezczynności zostawać nie będziemy. Tak jest, koledzy, łączmy się z chęcią w ten chlubny dla nas związek i tak wielce nam potrzebny, bo władze umysłu rozpraszający. Zyjmy w ścisłej z sobą przyjaźni. Niech niezgoda wadliwa nazawsze od nas oddaloną będzie. A tak nie tylko utrzymamy naszą sławę i powagę, które nieżyczliwe nam osoby wydrzeć usiłują, lecz nadto zostawim po sobie pamiętny przykład zgody i jedności, które w tutejszem zgromadzeniu rzadko widzieć można. O! gdyby Najwyższa Istota, kierująca wszystkimi naszymi sprawami, natchnąć nas raczyła potrzebnym do naszego zamiaru geniuszem, abyśmy tak chwalebnemu postanowieniu godnie odpowiedzieć mogli.“

W myśl zasad powyższych odbywano co tydzień posiedzenia, na których członkowie, odziani w czarne ubrania, odczytywali swe prace¹⁾. Dn. 7 kwietnia 1820 r. Abramowicz, najczynniejszy w Towarzystwie, miał mowę, „w której wyłożył przyczyny, dla jakich rządcy narodów najusilniej starać się powinni o rozszerzenie i utrzymanie w dobrym stanie rolnictwa w krajach do siebie leżących, oraz dowiódł, jak wielce rolnictwo wpływa na uszczęśliwienie społeczności całego świata.“ 12 maja tenże dowodził w rozprawie o „konieczności nabywania cnót towarzyskich i sprawiedliwości jednych wobec drugich.“ Na innych posiedzeniach czytano rozprawy o „odrodzeniu literatury pod rządami Aleksandra I“ (Koczalski, w lutym 1820 r.); o „opieszłości członków w zbieraniu się na posiedzenia“ (tenże, 13 grudnia 1819 r.); o „moralności i wpływ jaki ma i mieć może na życie cywilne i prywatne śmiertelnych“ (tenże, 11 lutego 1820 r.); o „przewadze męstwa duszy nad męstwem fizycznym“ (tenże, 5 maja); o „wolności handlu“ (Zabiełło, 2 czerwca); o „obowiązku nauczycieli, pracujących dla dobra młodych obywatelów“ (Koczalski, 9 czerwca). Wreszcie na posiedzeniu 14 czerwca wniesiony został przez Abramowicza projekt „artykułów prawa“, określających obowiązki członków Towarzystwa.

Artykuł I rzeczonyj ustawy zalecał, aby „wszyscy bez wyłączenia członkowie znajdowali się na posiedzeniach skromnie i obyczajnie, jak samo miejsce i cel zebrania wymaga.“

¹⁾ Członkowie *Towarzystwa Moralnego* otrzymywali patenty z pieczęciami i podpisami oraz dewizą *Virtus amicitiam, gignit et continet.*

Art. II obowiązywał każdego członka do przygotowania rozprawy lub mowy „w jakiegokolwiek materji, która przynajmniej z arkusza składać się powinna.“

Art. III, IV i VIII obowiązywały członków do systematycznego uczęszczania na posiedzenia.

Art. V i VI określały czas i miejsce zebrań.

Art. VII polecał sekretarzowi zapisywanie odczytanych i poprawionych na posiedzeniach rozpraw do osobnej księgi.

Art. IX głosił: „Nadto każdego z członków Towarzystwa moralnego składających, obowiązkiem będzie, aby w każdym miejscu zachowywał się przystojnie, obyczajnie, trzeźwo, aby po obowiązkach na siebie przyjętych w tymże Towarzystwie był pilnym, albowiem opieszałość postrzeżona karana będzie...“

Ostatni wreszcie art. X ustanawiał sąd koleżeński na wyłamujących się z pod powyższych prawideł.

Zbliżające się ferie wakacyjne przerwały prace Towarzystwa. Już dn. 16 czerwca żegnał Abramowicz kolegów, raz jeszcze przypominając, „co jest prawdziwem szczęściem człowieka,“ oraz dziękując kolegom, „że swoją pilnością, stałością i pracą utrzymywali do końca z chwałą w tak chlubnem złożone celu Towarzystwo.“

Projektowano rozpocząć nanowo czynności jesienią, jednakże posiedzenie pożegnalne z dn. 23 czerwca 1820 r., na którym przemawiał Koczalski, było już ostatnim aktem, zamykającym krótkotrwałą, bądź co bądź jednak pożyteczną, działalność *Towarzystwa moralnego uczniów świsłockich*¹⁾.

Dalsze losy członków towarzystw świsłockich splatają się z procesem filareckim. Rewizye u Jankowskiego i jego zeznania ujawniły istniejące w latach 1819-20 towarzystwa uczniowskie w Świsłoczy. Rozpoczęły się aresztowania. Osadzono w więzieniach wileńskich: Szajewskiego (31 lipca 1823 r.), Eychlera, Kraszkowskiego, Heltmana Józefa, Jankowskiego, Abramowicza (20 września 1823 r.), Zielińskiego i Koczalskiego. W zeznaniach swych, członkowie towarzystw świsłockich, szczerze przyznali się do wszystkiego. Na zarzut, uczyniony przez komisję śledczą, że w rozprawach poruszano kwestye polityczne, Zieliński odpowiedział z prostotą: „W żadnem z pism moich nie znajduje się wzmianka

¹⁾ Zeznania Abramowicza (21 września i 5 października st. st. 1823 r.), Koczalskiego i Zielińskiego. Oryginały rozpraw i przemówień dołączone do aktów komisji śledczej. Por. Wierzbowski: „K istorji tajnych obszczestw,“ str. 11-14.

bezpotrzebna o zapale do miłości Ojczyzny, gdyż każdy jest przekonany, że nikt swej Ojczyźnie życzyć źle nie może.“

Wyrok ostateczny na Filaretów z dn. 11 (23) sierpnia wspominał również o uczniach świsłockich. Policzone im za karę dostateczną pobyt w więzieniu śledczym, pozatem polecono zwierzchności gubernialnej dać obu przewodniczącym: Dyonizemu Szłajewskiemu i Jakóbowi Abramowiczowi, surowe napomnienie, zwierzchności zaś uniwersyteckiej zabroniono udzielanie im posad. Pozostali członkowie zwolnieni zostali od odpowiedzialności z warunkiem ściągnięcia od nich wydatków, poniesionych przez rząd podczas śledztwa ¹⁾.

HENRYK MOŚCICKI.

¹⁾ W r. 1825 ponowily się prześladowania uczniów w szkole świsłockiej. Za przekreślenie wyrazu „Cesarz“ w modlitwie za Monarchę, wypisanej na tablicy, uczniowie piątej klasy: piętnastoletni Paweł Zienkowiec (młodszy brat Leona) i Antoni Glazer skazani zostali na chłostę i umieszczenie w korpusie litewskim, jako zwykłych szeregowców. (O wypadkach tych szczegółowo opowiada dr. A. Buckiewicz w swych „Obrazkach Litwy w XIX w.“ oraz syn Pawła Zienkowieca, Feliks, w rękopiśmiennych „Wspomnieniach rodzinnych.“ Lelewel niesłusznie zalicza Zienkowieca do uczniów krożskich. Por. „Nowosilcow w Wilnie.“ Polska, dzieje i rzeczy jej. VII, 269, 309). Wkrótce po zajściach, wspomnianych wyżej, przybył do Świsłoczy na wizytację Nowosilcow. Dr. A. Buckiewicz, podówczas uczeń szkoły świsłockiej, kreśli następujący ciekawy opis tej wizyty senatorskiej: „W r. 1825 Nowosilcow wizytował szkoły; jakby dziesiętnastego wieku Herostrat jeździ przypatrywać się, jak wałą się świątynie litewskie i jak prędko zamieniają się w ruinę. Odwiedził też i Świsłocz. Była to postać dosyć tuczna z twarzą zeszepeconą wyrostkiem, rysów ostrych, niemilych. W klasie czwartej kazał uczniowi mówić o Cezarze. Wymowa uczni ruskich wyrazów bez akcentu ruskiego rozgniewała kuratora. Prefekt chciał uniewinnić uczniów, ale Nowosilcow, podnosząc się z krzesła, z całą srogością wyrzekł: „Wsio nieblagonadiożnyje!“ Obejście się, wyraz twarzy groźny i odzywianie się srogie przedstawiały nie ojczyzna dzieciom, ale jakiegoś assauę z katorgi, któremu dano nahajkę w ręce i zrobiono panem życia i śmierci dzieci litewskich do katorgi przeznaczonych.“ Rkps. Krak. Ak. Um. № 1204, str. 43.

O twórczości Wyspiańskiego.

IX.

„Bolesław Śmiały.“ — „Piast.“

W drugiej połowie 1903 roku poeta tworzył gorączkowo, jakby nie chciał czasu tracić na mozolne cyzelowanie nowych utworów. Trzyaktowy dramat „Bolesław Śmiały“ ukazał się w trzy miesiące po premierze „Wyzwolenia“, które nie miało na scenie długiego żywota.

Walka króla Bolesława z biskupem krakowskim, która dnia 8 maja 1078 roku skończyła się tragedią na Skalce, jest jednym z najdramatyczniejszych momentów dziejów piastowskich. Szkielec historycznej prawdy trudny dzisiaj do wydobycia na jaw, albowiem oplotło go listowie legendy kościelnej.

Ciekawem jest zestawienie utworu Wyspiańskiego z napisanymi na ten sam temat dramataми Adama Bełcikowskiego (r. 1882) i Kazimierza Glińskiego (r. 1896), którzy nie stworzyli arcydzieła, ale sztuki szlachtetnego stylu, szeroko zakrojone, mające sumę zalet scenicznych i literackich. W dramacie Bełcikowskiego biskup występuje, jako karciciel swawoli ugrzęźłego w grzechach despoty. Rzuca klątwę na własną rękę, reprezentując powagę kościoła; tymczasem król w poczuciu swej potęgi, jako wódz i najwyższy sędzia, nie chce się ukorzyć przed „klechą.“ Klątwa jest tu siłą moralną, która druzgocze ziemską potęgę i sprowadza upadek władzy politycznej. Dramat się kończy pokutą króla wygnança w Ossyachu; kontrasty moralne godzą się na tle ascetycznego podniesienia dusz, które przypomina nastrój ostatniego aktu „Tanhäusera.“

Dramat Kazim. Glińskiego opiera się na konflikcie *ideowym*. Król i biskup reprezentują antagonizm władzy świeckiej i duchownej, który wyrażał się wtedy w wielkim dziejowym sporze cesarza Henryka IV z Grzegorzem VII, dążącym do supremacji nad monarchą niemieckim. Utwór Glińskiego przypomina pod tym względem efektowny dramat Wildenbrucha „Król Henryk,“ ze słynnym epizodem pójścia do Canossy, zakończony w duchu pruskim gloryfikacją zasady monarchicznej. Według naszych znawców tej epoki dziejów polskich, do której rozjaśnienia nauka zbyt mało danych posiada, Bolesław Śmiały był raczej druhem niż wrogiem Papieża, a przeciwnikiem cesarza niemieckiego, niechętnie patrzącego na wzrost potęgi młodego polskiego państwa. Biskup krakowski zdaje się bronił interesów miejscowych duchowieństwa, był rzecznikiem możnowładztwa, a nawet prawdopodobnie brał udział w manewrach opozycji, szukającej oparcia w Czechach dla obalenia króla, dla tego Gallus nazywa go zdrajcą. Dopiero po zamordowaniu biskupa, król, którego tyrania i samowola dręczyła naród, uczył, że mu się usuwa grunt pod nogami i porzucił kraj, przenosząc się z synem do Węgier. W utworze p. Glińskiego postaci króla i biskupa są równorzędne, sztuka oparta na walce dwu potęg politycznych, pełna gorącego kolorytu uczuć, kończy się upadkiem Bolesława i jękiem dzwonów krakowskich, żegnających monarchę na drogę tułaczą.

Wyspiański w dramacie tworzy atmosferę legendową. Wskrzesa obraz średniowiecza z jego okrucieństwem, prostactwem barbarzyństwem, łącząc barwność obrazową z nastrojem wizyjnym, posiłkując się własną, jedyną w swoim rodzaju techniką. Król i biskup nie reprezentują w dramacie ludzi dziejowych, ale żywiłowe potęgi. Poeta związał monarchę z tradycją kmiecią, ubrał na scenie Piastów i dworzan w bogate sukmany krakowskie szyte złotem, zdobne guzami z barwnymi szlakami. Stworzył w ten sposób dowolną, ale własną hipotezę archeologiczną wobec braku ścisłych wskazówek historycznych, co do kostiumów panujących na dworcu wawelowym. Instynktami swej bujnej natury tkwi Bolesław w niedawno zamarłej przeszłości. Miłością niedozwoloną wobec nowego chrześcijańskiego porządku związał się z Krasawicą, istotą na poły ludzką, na poły demoniczną, syreną-wiślanką, która go nęci urokiem drgającego ciepłem i pełnego wdzięku ciała niewieściego. Krasawica upaja króla zmysłową rozkoszą, podsyca jego nałogi poligamiczne, pozostałe po starych, pogańskich tradycjach, a potrosze symbolizuje resztkę przywiązania do dawnych wierzeń, skojarzonych z kultem żywej przyrody.

W scenach początkowych król po spędzonej na uciechach nocy, gwarzy z Krasawicą nad ranem. Szepty przyciszone, namiętne, pełne krewkości uczuć pierwotnych. Dyalog przybiera płynną, balladową formę—podobno poeta pierwotnie chciał pisać nie dramat, ale tekst do opery. Gwarzenia miłosne przerywa królowi brat Włodzisław, dobijając się do wrót świetlicy drewnianej wawelskiego zamku. Bolesław z bratem przemawia się ostro, widząc w nim wroga, który czyha na tron i życie. Hardo się królowi stawia także Sieciech, pierwszy dworzanin, piastun, to jest wychowaniec królewskiego syna, młody, butny wielmoża. On reprezentuje opór możnowładztwa, upomina się za krzywdy rycerstwa, które król karci katowską ręką za to, że go opuściło podczas wyprawy kijowskiej, zostawiając bezbronnym na łup wrogów. Swary przerywa przybycie królowej-żony, wyrzucającej mężowi, że w komorze zabawia się z dziewczką z czeladzi. Bolesław nie wiele sobie waży te skargi, łagodzi słowami miłości gniew żony, która go ostrzega przed biskupem, podburzającym lud przeciw jego władzy. Odrazu widzimy, że król stoi na gruncie podminowanym przez wicherzycielski sojusz możnowładztwa i duchowieństwa.

Biskup wkracza na dworzec królewski otoczony tłumem chłopów z kosami. Jestto zuchwała napaść. Dziwna rzecz, że straż puściła na zamek orszak buntowniczy. Zwada dwu mocarzy, świeckiego i duchownego, odrazu wybucha mocno, namiętnie, w zdaniach krótkich i urywanych. Biskup opamiętał się na chwilę, pada z drużyną na kolana, prosi króla, aby się pohamował w srogości, wypuścił jeńców, których katuje. Ale prosząc nawet, nie może się powstrzymać od groźby. Bolesław odpowiada dumnie, z mocnem przeświadczeniem o swem posłannictwie

Bom ja tu na to dan, przez Boga rękę stawion,
 Bym jako Boża różga bił, jak Boża błogosławion...
 Nieprzepomoże mnie, kto się litością wije,
 Komum przeznaczył Śmierć, noc jemu oczy skryje,
 Nieprzepomoże mnie, chocia kosami śmiga,
 Żem król—każę—Bóg ze mną zbrodnię dźwiga!

(Akt I, scena 5).

Przypomina w tem energicznem przemówieniu Bolesław legendowego Popiela z „Króla Duchy,” tyрана mistycznego, który dźwigał państwo i naród przez krew i mordy. Zaostrza spór ukazanie się Krasawicy, zionącej nienawiścią, z gniewem na bi-

skupa za to, że zabił jej ojca, zburzył uroczyska pogańskie. Król okazuje się wobec swej kochanki małodusznym zmiennikiem—nazywa ją pogańską żmiją, każe wiązać w powrósła. Ale Krasawica dumna swym czarem nadludzkim, bluzga obecnym w oczy słowami pychy, wróży biskupowi śmierć i przemyka się swobodnie wśród przerażonej gromady.

W jędrnych zarysach poeta naszkicował te spory, przedstawił akcyę rwącą gwałtownie, mało zważając na konsekwencyę i usprawiedliwienie poszczególnych momentów.

Zasłona na końcu aktu I-go spada i przecina dalszy bieg sporu. Dwie moce rozeszły się nieprzejednane. W akcie drugim poeta w szeregu luźnych, efektownych epizodów, ukazuje moc i butę króla, jego dzielność, zapamiętałe okrucieństwo, szczodrość i fantazyę monarszą. W jednym z epizodów, staje przed królem Rapsod, starzec siwowłosy, wyobraziciel opinii ludu i tradycyi pogańskiej. Rapsod recytuje nadmiernie długą balladę o babce Bolesława Ryhezcie, której syna Mieczysława chciał zdradziecko zgładzić cesarz Konrad. Kończąc pieśń, przypomina królowi, że dłużen jest zemstę Niemcom i wyrzuca mu jego zbrodnie. Trudno wyrozumieć, dla czego stary gęślarz drażni wściekłość tyra-
na, napraszając się o śmierć i ginie przeszyty jego mieczem. Poeta chciał wyrazić zapewne w tej scenie wezbraną nienawiść ludu czy narodu dla króla-okrutnika. Zabiwszy starca, otrząsa Bolesław spokojnie z miecza krople krwi i zabiera się do sprawowania sądów nad niewiernymi żonami, które podczas wyprawy kijowskiej pokumały się ze służbą i zabiły mężów po powrocie z wojny. Król sądzi kapryśnie, dla pierwszych trzech żon okrutny, każe je smagać i wlec na koło. Gdy zaś czwarta skarży się, że mąż zabity przez nią wstał z grobu, że cień jego ściga niewierną, król wybucha śmiechem, maże jej winę i radzi, aby grzeszyła, używając miłości, szafując majątkiem zmarłego. W tych scenach poeta przeskakiwał od jednego do drugiego momentu, nie dbając o artystyczne zcementowanie szczegółów, jakby chciał nagromadzić efektowne kontrasty.

Odbywszy sądy, król każe przyzwać dziewczki z orszaku żony na gody. Zaczyna się ochota, w czasie której każda z tancznic popisuje się piosenką swawolną, wychwalającą nocne gzy miłosne. Nuta erotyczna, bardzo zresztą rzadka w poezyi Wyspiańskiego, łączy się z uciechą zmysłową. Poeta miał widocznie przekonanie, że w owej epoce nasi pra-przodkowie pojmowali miłość, jako zwykły popęd, pragnienie zdrowego ciała.

Po uciesze, w której król się rozochocił na dobre, następuje straszliwe *memento*. Biskup z orszakiem chorągwanym, wkracza do świetlicy, chór śpiewa posępną i dreszczem przejmującą formułę klątwy. Na skinienie biskupa mnichy gaszą gromnice, łamią je i ciskają o ziemię... Król zrywa się z tronu, korona spada mu z głowy. Orszak jego ucieka w popłochu, procesya oddala się, król spiorunowany wrażeniem siedzi zrazu nieruchomy, królowa-matka zbiera do fartucha ułamki gromnic, żegna się i oddala, wlokąc za sobą królową-żonę i dziecko. Ta chwila niema, na teatrze wywiera wrażenie silne, przygniatające. Po śpiewie, brzmącym dźwiękami grobowej powagi, cisza pełna przerażenia, która lodem ścina krew, zamyka usta. Wyspiański dobrze odczuł tę scenę. Zrozumiał, że klątwa w owej epoce była jakby głosem bożych tajemnic i sądów, wobec której kostniały w przerażeniu dusze ludzi-robaków, drżących przed majestatem sądu najwyższego. Nawet matka i żona nie mogły w takiej chwili wyrzec słowa współczucia albo pociechy. Poeta przedstawił ten moment tragiczny zupełnie zgodnie z pięknymi strofami (I—X) na początku Rapsodu o Bolesławie. Znać, że już wtedy wizja tej sceny stała się mu w umyśle skryształizowana w swej przenikającej, niemej dramatyczności. Dopiero jednak na scenie chwila ta przykuwa duszę widza właśnie dla tego, że wszyscy milczą, że z tego milczenia wyłania się lęk mistyczny dusz ludzkich wobec potęgi przeznaczeń.

Następne sceny nie mogą utrzymać się na tragicznej wyżynie. Król osłupiały zbiera myśli, szarpie się w walce uczuć, zamierza kraj opuścić, ale w końcu przemaga trwogę, czuje się w mocy monarszej, wysyła rycerstwo na Skalkę, aby dostawiło mu żywcem buntowniczego biskupa. Wśród męczącego oczekiwania następuje długa rozmowa pomiędzy królem a bratem, który podjudza Bolesława do zemsty. Przeczuwa, że będzie mógł schwycić koronę spadłą z głowy Szczodrego. Król zaczyna się w gniewie i grozi, że zabije biskupa, „bo jest na to od Boga,“ by gładził tych, co mu tamują pochod na drodze przeznaczenia. Wbiega potem niewiadomo dla czego Krasawica, w scenie jaskrawej a nielogicznej drażniąc się z Sieciechem, który nie śmiał wykonać rozkazów królewskich, oczarowany przez wiślankę—i pada na pół szalony do stóp Bolesława. Rycerze wchodzą na zamek i odstawiają miecze, bo lud bezbronny wałem zasłonił kapłana. Król rozwścieczony oporem, dobywa miecza i wybiega z okrzykiem: „Zabiję!! orłom rzucę trupa!“

Katastrofa tak, jak w tragediach greckich, odbywa się za sceną. W akcie trzecim poeta na swój sposób przedstawia samotność króla po zbrodni. Pod względem dramatycznym cały akt zupełnie chybiony, jest szeregiem halucynacyj przeczuciowych. Jest to poezja maligny. Snują się przed królem upostaciowane wieści, które rozwieszają przedzę legendy nad trupem biskupa. Dziwadła pogańskie Świst i Poświst ukazują gromady ludu, tłumy biedaków, procesye głoszące chwałę świętego. W chwilach mijają przed oczyma króla setki lat. Na zaklęcie duchów falują złudne tonie wód z rusałkami, snują się postacie rycerzy, którzy byli świadkami zbrodni. Po tym korowodzie wynurza się z wody posąg świętego. Król chce go ciąć mieczem, posąg zapada się, woda znika, miga majak krasawicy i przepada w komorze. Sztuka zamienia się na widowisko fantastyczno-czarodziejskie; plastyka legendowa ginie wśród mętnych złudzeń, które kolejno mijają z bezładem gorączkowym.

Król zostaje sam, jakby obudzony ze snu po wiekach, koło niego „próchno na węglach drzwi,“ „rdza na mieczu, na zbr...“ W blasku błyskawic zajeżdża w bramę zamku jakiś gość tajemniczy... wkracza w świetlicę *trumna*. Król ścięty w niemoc przerażeniem, przytrzymuje na głowie koronę. Trumna idzie na niego, przygniata go swym ciężarem, a bezsilny Bolesław wybucha bluźnierstwem.

Takim to dziwnie a oryginalnie uplastycznionym symbolem kończy się dramat, przekraczający granice czasu i sięgający lotem fantazyi w przyszłość. Trumna na scenie była wierną kopią ze srebrnego sarkofagu, który na katedrze w Wawelu kryje prochy kanonizowanego biskupa. Poeta nadaje temu symbolowi znaczenie złowrogie i wraca do niego potem raz jeszcze w zakończeniu poematu „Akropolis.“

Niewątpliwie oryginalnem jest pojęcie zasadniczego konfliktu. Nie walczą tu ze sobą ani idee dziejowe, ani potężne realne jednostki, ani interesa lub namiętności polityczne. Mamy tu starcie potęg żywiołowych, wszelkich instynktów, które w naturach prostych, pierwotnych wybuchają z nieposkromioną siłą na zewnątrz. Król bohater, tyran i zdobywca, karczuje prastarą puszcę bytu narodowego dla cywilizacyi, czyni to instynktownie, dogadzając swym popędem despotycznym, jako monarcha z woli bożej, sędzia i karciciel narodu. Reprezentuje on siłę żywą, działającą okrutnie, ale twórczo, walczy z siłą ducha, która przygniata samodzielność młodych barbarzyńskich zapędów. Król zabił biskupa — a jego moc łamie urok świętości męczennika. *Siłę żywą* materialną pokonała

siła ducha, zwycięzka przez Śmierć. Zapatrzonej w ogromne trupie widmo poeta głosi potęgę śmierci, nawet wtedy, gdy się przeciw niej buntuje. Przez długie wieki w Polsce duch grobów, moc śmierci, królującej w krainie pamiątek, gasi blaski żywota, przyćmiewa krasę rzeźkości narodowej.

Z tego punktu widzenia powstaje tragiczny rozłam pomiędzy dążeniami energii czynnej, porywami potęgi żywotnej, a niewolą losu, fatalizmem królującej nad umysłami tradycyi. Cokolwiek można powiedzieć o konkretnej wartości tego poglądu, jest on jednym z zasadniczych motywów twórczości poety, który w sferze artystyżmu dochodzi potem do pogodzenia mistycznie pojmowanego przeciwieństwa.

Cofając się w czasy zamierzchłe, poeta korzystał z prawa twórczej swobody i wskrzesił istotnie przebliski tradycyi pogańskiej. Siedliskiem jej uroczysko, gaj święty obok Skałki, gdzie biskup królował, niszcząc dokoła dawne świątynie i drewniane Lele, wizerunki bogów. Według wskazówek dziejowych, pogaństwo zostało stłumione ostatecznie za poprzedniego panowania Kazimierza Odnowiciela, który pokonał ruchy ludowe związane z reakcją starzyzny i ustalił pokój wewnętrzny, zakłócony w czasie bezkrólewia. Poeta dowolnie przypuścił, że za Bolesława błąkały się ostatki czci i sympatii dla dawnych bogów, podtrzymywanej przez starych wieszczów, jak ów Rapsod, którego zabicie ma znaczenie symboliczne. Czy istotnie resztki starego kultu mogły wtedy podnosić śmiało głowę na zamku królewskim? Poezie wolno było tak przypuszczać, choćby jego hipotezy artystycznej nie potwierdził historyk — albowiem potrzebną była do nadania całości kolorytu legendowego.

Właściwie jednak pogaństwo gra tu rolę dodatkową i niema głębszego znaczenia w dramatycznym konflikcie. W miłosnym stosunku do Krasawicy tkwi węzeł, łączący monarchę z przyrodą jego kraju, tak jak w „Legendzie“ — ale Bolesław szybko rwie te więzy, uważa za przelotną miłość i wyrzeka się dziwożony. Postać jej złośliwa, pół-ludzka, pół-fantastyczna, nie posiada poetycznego uroku, nie reprezentuje głębszych czynników w dramacie, a po akcie pierwszym staje się jedną z figur podrzędnych w zmiennej grze scen i widziadeł. Gdyby poeta pisał bardziej logicznie, mniej szkicowo, i zatrzymał się na wykończeniu szczegółów, dałby w postaci Bolesława figurę może najpełniejszą, najżywszą i najbardziej wypukłą w dziełach swoich. Bolesław ma poczucie swego wielkiego powołania, idei królewskości, jest potęgą czynną, ma temperament despoty, jest nieugięty

i hardy, marzy o zdobywcach i podbojach. Czuć w nim skupioną młodą siłę samodzielnego narodu. Gdy kładzie na głowę koronę, mówi, że tylko „Archanioł może mu ją z głowy zdjąć, jak huragan.“ Jemu co niegdyś bił w bramę złotą Kijowa, „żaden miecz nie straszny,“ nie groźny biskup, do którego mówi dumnie: „moc moja z nieba, a twoja służebna.“ Jak na monarchę, świadomego swej roli, Bolesław ma nadto kapryśnej fantazyi, igra z życiem ludzkim, dla jednych jest miłościwy bez powodu, dla drugich okrutny. Ale posiada rozmach zdobywcy, butę miłościwą władcy i krewkość natury pierwotnej, która pędzi na oślep za porywem uczucia, czy instynktu, bez zastanowienia. Do ostatniej chwili nieugięty, nawet gdy widzi idącą na siebie śmierć i zagładę. Daleko bardziej wyrazisty niż mglista, liryzmem przepojona figura króla-zabójcy w dawniejszym rapsodzie. Szkoda jednak, że rysunek tej postaci rwany i pospieszny, chwilami niekonsekwentny w szczegółach, szkoda, że przy końcu wizerunek duszy przerażonej, rozbitej, szarpanej wyrzutami sumienia, poeta zatarał w gorączkowych i czarodziejskich majakach. Z innych postaci tylko biskup w akcie pierwszym okazuje zarys energiczny uporu, zapamiętałości, pychy dygnitarza kościelnego, której nie może się pozbyć wtedy nawet, gdy uznał za stosowne uderzyć w ton chrześcijańskiej miłości i pokory. Inni, jak brat królewski i Sieciech, żona-królowa, są to manekiny, albo figury dodatkowe, o których wypukłość poeta się nie troszczył, operując dobrze tłumem w scenach zbiorowych.

We wcieleniu artystycznym pomysłów znać to poczucie legendowej tradycyi. W rozwichrzonym obrazie uczuć i porywów barbarzyńskich, w szeregu epizodów jaskrawych i efektownych, stworzył poeta swoistą atmosferę, od której wieje tchnienie zamierzchłej pra-przeszłości. Ludzie jego mają niezwykle wymiary, posuwają się w świecie pełnym dziwów i tajemnic, czują spójnię z żywo uosobionemi siłami przyrody. Sam król z początku jest na poły olbrzymem, a w końcu dramatu na poły widmem. Nie zbyt logicznie w akcie trzecim poeta nadał naturze Bolesława pierwiastek wizyonerski, wiekowe przeczucie losów następnych. Pomimo rzeźkości i ciężzyny aktów pierwszych, w akcie trzecim bierze niestety górę pierwiastek chorobliwy umysłu poety. Pod względem mocy i ekspresyi kształtów zewnętrznych, dramat ten stoi o wiele niżej od celniejszych dzieł Wyspiańskiego, prowadzony jest rzutko, lecz niedbale. W scenie kłątwy poeta bardzo umiejętnie użył niemego wyrazu uczuć, podobnie jak w „Warszawiance“ albo w końcu „Wesela.“ Ale przy wystawianiu dramatu mu-

siał użyć także pantominy, aby niebardzo artystycznie zastąpić nią niewyraźne wiązadła sztuki. Pomiedzy niektórymi scenami brak tu wszelki akordów i motywów przejściowych. W epizodach fantastycznych wyrazistość obrazu zacierza się, linie się plączą, jedne figury żywiej wyskakują z tła, drugie ukazują oblicza zamglone, korowód widziadeł snuje się dziwacznie.

Na scenie wrażenie utworu potęguje się. Staje się on szeregiem obrazów o wielkiem kolorystycznym napięciu, dotykającą wizją przeszłości, działającą kształtami nowemi dla oka współczesnego. Poeta doskonale obmyślił stronę malarską dramatu i jego zewnętrzne akcesorya. Zbudował wielką, z drewnianych, grubo ciosanych kłód, świetlicę królewską z półkolistemi wrotami. Ukazał w głębi widok brzegów Wisły, okolonych gajami, obmyślił swoiste ukostiumowanie, ubrał kobiety w stroje ruskie, biskupa w złotą kapę romańskiego kroju, wprowadził w drugim akcie las chorągwi archaicznych w charakterze danej epoki, efektownie obmyślił fantasmagoryę scen końcowych. Najmniej szczęśliwie wypadł efekt ostatni. Trumna srebrna kroczyła po scenie, kiwając się wedle kroków ukrytego w niej statysty, który musiał drobno postępować, bo nogi miał skrzepowane.

Malarz jednak w całości dopomógł poecie do bardzo wybitnego sukcesu teatralnego, który zarazem był ostatnim. Dramat działał z desek scenicznych głównie efektem materialnym, zewnętrznym, przykuwał uwagę widza dosadnością scen głównych, jaskrawością barwnych epizodów, grą barw i oświetlenia. Wrażenie jednak malało, a nawet rozwiewało się chwilami, przy powtórznem wysłuchaniu sztuki. Tekst nie działał urokiem poetycznej głębi, nie pieścił ucha melodyjnością słowa, schodził na drugi plan wobec szeregu żywych obrazów i efektów zewnętrznych. Powodzenie literackie nie dorównywało dawniejszym sukcesom poety, a przed publicznością wygrał sprawę nie artysta słowa, ale pisarz sceniczny i plastyk, umiejętnie operujący techniką barw i oświetlenia.

*

*

*

W dwu fragmentach poematu „Piaś” drukowanych w krowskim miesięczniku „Krytyka” (zeszyt VI, czerwiec 1903 r.), Wyspiański powrócił do formy rapsodycznej, w tonie i stylu „Kró-

la Ducha.“ Ockniony w bycie zagrobowym duch protoplasty królów naszych opowiada tak samo, jak w eposie mistycznej Słowackiego, o swych powrotach na ziemię. W tragicznym oświetleniu legenda o Piaście przybiera charakter ponury. Opowiadanie ma energię posępną, tonie w jakimś stalowym kolorycie, od którego odbijają dobrze jaśniejsze błyski obrazowania przyrody.

Bogowie dwaj zawitali do chaty Piasta przewoźnika w ciężkiej chwili, gdy spieka wysuszyła ziemię, niszcząc plony. Czuł stary kmieć, że wnieśli w dom jego tajemnicę, która „kłątwą pójdzie przez stulecia.“ Po ich odejściu runęła chata, „zmyta potopem.“ Gdy błogostawili syna Piastowego, ręce ich były chłopcu ciężarem, „bo lica skrzywił i wyciągnął w męce,“ a oczy stały mu się mądre nad wiek, „jakgdyby kres własny widziały.“ Potem poeta przeskakuje do krwawego obrazu rzezi, sprawionej przez chłopstwo pod wodzą syna piastowego, Ziemowita, który sam przeszył strzałą pierś króla Popiela i wycinał rycerstwo królewskie na czele swej drużyny. W drugim fragmencie, zatytułowanym „1846 r.,” duch Piasta ocuca się po wiekowym przeskoku „we wielkiej żywiołowej sił potędze“ na czele chłopstwa podczas rzezi galicyjskiej, gdy kosa z pod Raclawic skalata się krwią szlachką, gdy chłopcy byli „larwami w białych sukmanach, hałastrą gromadzką“ gdy „przysięgali i mordowali dla złota — oni kość z kości lacka!?” I przeklął duch Piasta te pokolenia zbójców, które „marły potem tknięte ręką zarazy.“ Ale kiedyś żał się w nich obudzi, a wtedy zmienią się „ludzie we Furrye piekła,“ „wezmą dowództwo narodu“ i powstaną „z nich mściciele uspiione.“ Stanie się to w przyszłości, niewiadomo, czy w blizkiej, czy odległej. Poeta wygląda niecierpliwie tej chwili wielkich czynów i woła:

Kiedyż zerwiecie się na rzeź krainy
Byście dowiedli, że zmyć chcecie winy?

Chcę rzezi, żeby wszystko krwią spłynęło,
Żeby się podłość Polski w niej obmyła,
By się zbliżyło k'nam spragnione dzieło,
Na którym przyszłość narodu spoczęła;
By krwią i ogniem pożarów objęło
Wszystko, co pamięć w przeszłości przekłęła:
I pokolenia szły za pokoleniami —
Już niepamiętne hańby, co nas plami!

(*Strofa str. XVII.*)

Jestto najdzikszy, najokrutniejszy odzew w całej naszej współczesnej poezji. Pomijając już kulawiznę rymów, ta antypatyczna strofa, kończąca fragmenty rapsodu, wyraża protest przeciw tradycji rodzinnej, przemieniony w szal przewrotowy. Więc przez rzeź masową, przez ruchawkę rozbestwionego tłumu ma się dopełnić jakaś ofiara, zmywająca winy naszej przeszłości! Poezya na usługach najkrwawszego radykalizmu rewolucyjnego! Słyszałem już na wiecach parafrazę tych słów. Widziałem, jak na mównicy pan w czarnym tużurku prawił frazesy o potokach krwi zmywających naszą „małość“, jak to mówił do słuchaczy, wśród których przeważały panie w ładnych kapeluszach — a kilkunastoletnie podlotki były oklaski tym popisom zaperzonego radykalizmu. „I chociaż serce pęka, śmiech mnie zbiera!“ Śmiech gorzki wobec literackiego doktrynerstwa, które przy biurku wśród otoczenia i warunków życia mieszczańskiego szczuje na burżujów, podsycy nienawiści klasowe, apeluje do burzycielskich instynktów tłumu.

A jednak najnowsze ruchy wolnościowe dowiodły, jak wiele można zdziałać dla przyszłości, orężem bezkrwawym, samą siłą moralnego oporu. Przecież nasza konstytucja 3-go maja była wielkim politycznym przewrotem na korzyść mieszczaństwa, dokonany na drodze ustawodawczej bez przelania kropli krwi. Gdy agitator stronnicy, demagog wiecowy, sadzi się na takie frazesy, to jeszcze zrozumiałe do pewnego stopnia, pod wpływem rozgrzanego do czerwoności zapалу rewolucyjnego. Ale powołaniem poezji jest krzewienie najwyższej kultury, synteza duchowego życia. Każda wysoka sztuka wedle pięknej teorii Guyau'a ma w sobie pierwiastek uspołeczniający, kojarzący (*sociabilité*), powołaną jest do wytwarzania najpiękniejszych akordów w symfonii cywilizacyjnego ruchu. Smutną zaprawdę jest rola poety albo człowieka wysokiej kultury artystycznej i umysłowej, jeżeli podsycy niechęć klasową lub stronnictwą, bierze udział w orgii politycznych nienawiści, miesza się do roboty demagogicznej.

Niepodobna było się zgodzić na negatywne stanowisko poety wobec tradycji dziejowej i romantyzmu — a teraz z oburzeniem odepchnąć należy te krwawe inwektywy rzucane społeczeństwu. Prawda, że popełniliśmy wiele błędów, że w upadku politycznym z trudem ledwie ocaliliśmy godność narodową, że naród nasz ma wiele grzechów i ułomności, które mszczą się nad nim samym. Ale pomimo największego liberalizmu i krytycyzmu należy powiedzieć Wyspiańskiemu po prostu: kłamstwo, nie plami narodu dzisiaj żadna hańba. Nie masz prawa poeto mówić o — „podołści

Polski!“ Okupiliśmy upadek ofiarami krwawemi, śmiercią bohaterów wygnańców, niedolą moralną i materyjalną całych pokoleń. Nie upadamy, ale podnosimy się moralnie, wśród najcięższych chwil nie zatracamy poczucia samodzielności narodowej, które w nas tkwi, jako siła ciągle napięta, niewyczerpana. Nawet galicyjskie bankructwo programów wielkiej polityki nie upoważniało do takich wybryków poetycznego szału, do zwałania zarzutu hańby na barki pokoleń, schylonych w moralnym trudzie odrodzenia. W Galicyi pomimo przewagi szlachezczyzny i możnowładztwa, prowadzi się czynna i wytrwała praca nad oświatą ludową, a w całym społeczeństwie robota kulturalna, unysłowa i artystyczna wznaga się, postępuje krok za krokiem. Gdy Słowacki rzucał gromy na szlachezczyznę i smagał w „Grobie Agamemnona“ węzowemi biczami Polskę-niewolnicę, w jego szaleństwie widniał ból wielki i wezwanie do walki twórczej. U Wyspiańskiego chodzi głównie o rzeź—lepszą przyszłość nie może się urodzić bez kąpieli krwawej... W Polsce tak jak wszędzie niebrak podłości i małości, ale „hańba“ narodowa dziś nas nie plami. Niema takiego rozmnożenia się chwastów i nikczemności, aby je trzeba było niszczyć rzezią,—ogniem palącym, jak perz i zielsko wyrwane jesienią z gleby. Dla tego fragmenty „Piasta“ zasługują na potępienie — są one *złym czynem* współczesnej poezyi.

W obu fragmentach pomimo siły wystowienia i piękności obrazowania, pomimo rosnącego napięcia dzikiej energii poetycznej, widnieje zasadnicza ułomność ducha poety—brak sympatycznych uczuć dla widowiska i otoczenia.

Wyraziło się to usposobienie bezpośrednio, w pełnym siły, goryczy i złości wierszu poety pisanym 2-go lipca 1903 r. w Rymanowie, jakby w przeczuciu bliskiego zgonu, a drukowanym w „Nowej Reformie.“

Niech nikt nad grobem mi nie płacze
Krom jednej mojej żony,
Za nie mi wasze łzy sobacze,
I żal ten wasz zmyślony.

W dalszym ciągu poeta nie chce, aby mu nad trumną „wrzeszczały czyje śpiewy,“ chce aby na jego pogrzebie „deszcz płakał i wiatr zawył.“ A kiedyś, gdy mu się sprzykrzy leżeć pod zeschłą gliną, rozburzy ten dom, duch jego poleci w słońce...

Gdy mnie ujrzycie takim lotem,
Że postać mam już jasną. —
To zawołajcie mnie z powrotem
Tą mową moją własną.

Bym ją posłyszał tam do góry,
 Gdy gwiazdy będą mijał,
 Podejmę może po raz wtóry,
 Ten trud, co mnie zabijał.

Jaka przyczyna tych ponurych gniewów? Wyspiański wogóle nie miał prawa się skarżyć na brak uznania dla swojej pracy, która nawet materyalnie mu się dobrze opłacała. Wydania jego poezyj rozchwytywano. Dzięki uprzejmości i poparciu kierownika drukarni uniwersyteckiej, jednego z profesorów wszechnicy, poeta puszczał w świat swe dzieła, bez pośrednictwa wydawców i całkowity zysk z książek zabierał dla siebie. W prasie galicyjskiej nasłuchiwał się dużo hymnów pochwalnych — ale po wydrukowaniu i wystawieniu „Wyzwolenia“ szarpnęło go kilka krytyk z zajądłością niesprawiedliwą. Wśród tej wrzawy oburzonych górował w jednym z felietonów lwowskich głos p. Bartoszewicza. Wyspiański mógł się czuć dotkniętym krytyką namiętną, chwytającą się pozorów, która kierowała się narodowym krzykactwem albo sercowym impetem, nie umiając drogą umiejętniej analizy wydobyć z „Wyzwolenia“ ideowej jego głębi.

Pojawiła się także w tym czasie bezimienna, bardzo cięta i jadowita satyra literacka „Czyściec Słowackiego,“ skierowana przeciw formie i niektórym ustępom dzieł króla modernistów krakowskich. Parodya ta miejscami dowcipna i przenikliwa, chwilkami wykonana nieco trywialnie w stylu zwykłej brukowej humorystyki. Zawiera ona kilka zatrutych i trafnie wymierzonych strzał przeciwko dziwactwom językowym i mętnym, rozwichrzonym pomysłom „Legionu,“ „Wesela,“ wywodząc rodowód Erinnij z „Wyzwolenia“ — wprost ze szpitala waryatów. Autor satyry, przejęty niechęcią do całej modernistycznej poezji, gromadzi w czyścju wybitnych poetów, pokutujących za swe grzechy literackie. Słowackiemu za to, że spłodził cały legion naśladowców, naznaczono za karę czytanie dzieł Wyspiańskiego. Słowacki rozmawia o nich z innymi potentatami polskiego parnasu, dręczy się i gorszy, a w końcu strofowany przez Dantego i skruszony modli się do Boga, prosząc, aby takich poetów nie stwarzał. Jestto bardzo ciekawy dokument literacki, ilustrujący daną chwilę. Wyspiański zdobył ogromną wziętość, a chwałę jego starała się rozdmuchać przesadnie koterya modernistyczna krakowska. „Czyściec“ był małym literackim skandalem, dogadzał krakowskiemu zamiłowaniu do szykany, co więcej, przypadł do gustu wielu umysłom trzeźwiejszym, które buntowały się przeciw mglistej

mistycy i różnym ekstrawagancyom rozwichrzonego modernizmu. W krótkim czasie rozchwytało cały nakład satyry, której koncepty mielono i przeżuwało przez kilka dni we wszystkich kawiarniach, handelkach i salonach krakowskich.

Wyspiański musiał być tem dotknięty do żywego. Bezwzględny dla całego społeczeństwa, zawsze był niesłychanie drażliwy na wszelką krytykę i przyganę. Gdy później jeden z recenzentów zarzucił słusznie w felietonie malarskim jednego z pism krakowskich, że witraż skomponowany dla domu lekarskiego w Krakowie, a przedstawiający system słoneczny Kopernika, ma rysunek poplątany i chaotyczny, poeta nadesłał do redakcyi list poufny, zięjący uniesieniem i pełen przezwisk obelżywych dla krytyka, który zresztą wyrażał się z wielką oględnością i uszanowaniem. Gdy artyści teatru krakowskiego wyjeżdżali w r. 1901 na letni pobyt do Zakopanego, poeta pod tym warunkiem pozwolił grać im swoje sztuki, jeśli wyrzucą z repertuaru jednoaktową satyrę „Smocza jama,” w której autor dość naiwnie i niewinnie przedrzeźniał niektóre sceny z jego dramatów, z utworów Przybyszewskiego oraz dzieł innych modernistów.

Z pewnością więc ów gniew, owa pogarda dla „łez sobaczych“ w cytowanym wyżej wierszu zostały wywołane przez nieprzyjazne krytyki i przez satyrę bezimienną. Poeta zbył je zrazu dumnym milczeniem, ale ulżył sobie w wybuchu skupionej goryczy i niechęci dla wszystkich.

Źródłem tej goryczy było także prawdopodobnie pogorszenie się choroby toczącej organizm poety. Widać to w drugim wierszu, napisanym tegoż roku w Rymanowie, w kilka dni później, bo już 7-go lipca, w liście prywatnym do jednego z przyjaciół, a drukowanym w „Nowej Reformie.“ Znać tu obok przeczcucia zgonu uspokojenie niechęci, pełną poetycznego smętku i słoneczną zadumę nad życiem doczesnem, które mija jak „sen o utraconym raj.“ Poeta pieści się z myślą o śmierci, o wspólnym grobie z „niewiastą której ślubował.“ Będzie spoczywał cicho w tym grobie, „słuchając pluskania deszczu.“

Niechże mi rano słońce świeci,
 Niech świeci jasno, mocno grzeje.
 Nad grób niech przyjdą moje dzieci
 I niech się jedno z nich zaśmieje.

To są jedyne wynurzenia osobiste poety, który wogóle zamykał się w sobie i chował przed ludźmi tajemnice swego wnętrza.

trza. Oba wiersze wyjęte zostały z listów prywatnych, nie przeznaczonych początkowo dla druku. W ostatnim wierszu głęboko rzewna nuta chwyta za serce. Podobnie jak dla Konrada w „Wyzwoleniu“ dom rodzinny był dla poety jedyną ostoją wśród kontrastów i chaosu życia. Na progu domu milknie nienawiść dla świata. Uczucia rodzinne—to jedyny łagodniejszy rys na tragicznym, połamanym w ostre kontury obliczu poezji Wyspiańskiego. Dla duszy zatrutej niewolą narodu, ta miłość rodzinna jest nietylko lekiem w życiu doczesnym, ale i ulgą w marzeniu o śnie zagrobowym.

JÓZEF KOTARBIŃSKI.

UROK OCEANU.

„Cisza głęboka wody zalega
Bez ruchu spoczywa morze,
Z zadumą spogląda żeglarz
Na gładką zewsząd powierzchnię—
Zadnego znikąd powiewu,
Cisza grobowa dokoła...
W nieskończonej morza dali
Niema drgnienia żadnej fali.“

(Goethe).

Dziwny zaiste żywioł to morze! Jakiś czar niezwykły, jakiś inny, jakiś bardziej tajemniczy niż z innych krajobrazów natury, ze stepów, borów lub sinych gór łańcuchów, wionie zeń zawsze, czy w ciszy śmiertelnej jest spowite, czy luczny potęgą olbrzyma, czy gdy się kąpie w dziennego światła promieniach, czy w sennym blasku miesiąca, czy w noc czarną pod zapadającym w nie sklepieniem gwieździstem. Któż z nas, jeśli przebył czas pewien nad morzem, nie tęskni za niem, nie szuka jego widoku i nie lubuje się we wspomnieniach czarownego obrazu?

Morze odgrywało po wsze czasy doniosłą rolę w dziejach kultury ludzkiej. Czy cofniemy się ku czasom przedsiębiorczych Fenicyan, ku zaboryczym zakusom starej Romy, czy przejdziemy do okresu wielkich geograficznych odkryć odważnych Portugalczyków, Hiszpanów lub Włochów, czy wreszcie spojrzymy na olbrzymi rozrost kultury Nowego Świata, na potęgę Anglii współczesnej — morze było i jest wszędzie osią wielkich akcji. A po za tem, w rozwoju myśli i uczuć ludzkich odegrało ono również

rolę potężną. W mitologii wielu ludów pierwotnych spotykamy się częstokroć z wierzeniami ściśle zespolonemi z tajemniczością bezmiarów oceanów; dusze umarłych odjeżdżają na wiotkich barkach w daleki, tajemniczy świat zamorski. W głębiach morza upatrywano siedlisko przeróżnych duchów i bogów, sił demonicznych, wstrząsających światem. W mitologii starej Hellady Posejdon zamieszkiwał wspaniały pałac w nurtach oceanu, a od uderzeń jego groźnego trójzęba, który jeden z poetów francuskich nazwał „berłem świata,“ piętrzyły się fale, powstawały złowrogie burze, lądy z głębi wód się wychylały. A obok niego i liczne inne bóstwa zamieszkiwały morza: Amfitryta, opiekunka żywych stworów morskich, Tryton dmący w trąbę muszlową, co wzburzał i uspakajał fale, Nereus, co w przeróżne przedzierzgał się postaci, chytry, przebiegły i zmienny Proteusz. A nadto ileż innych jeszcze postaci dziwnych zamieszkiwało nurty tajemniczego oceanu? Trytony—pół-ludzie, okryci łuską z dwukończystym ogonem płetwowatym, nimfy morskie Oceanidy, Nereidy lub Dorydy, Syreny, zdradzieckie dziewice, co śpiewem wabiły śmiertelników.

Z piany morskiej zrodziła się też Aphrodyte, piękna i miłości uosobienie (Aphrodyte Pontia, Venus marina).

Poezyi i sztuce morze dostarczało zawsze nieprzebranego źródła motywów. Wszyscy wielcy piewcy świata, stary Homer, Lukrecyusz, Wirgiliusz, Schiller, Goethe, Byron i Mickiewicz prześcigali się wzajemnie w kreśleniu uroków morza, czy to imponującego nam głębokim spokojem, o którym pięknie powiada poeta

„Burza z jej gromów hukiem
Nie wzrusza tak serca mego,
Jak Ty, głęboka ciszy morska!“

czy to porywającego nas dziką potęgą rozszalałych żywiołów. Dla malarza morze przedstawia niewyczerpaną barw skarbnicę. Jasne błękity, ciemne fiolety, szafiry, żywe seledyny, modre zielenie, srebrzyste fal błyski, groźny, ciemno stalowy, niemal czarny koloryt muskanej wiatrem powierzchni, ciepłe, rozkoszne czerwienie o wschodzie i zachodzie słońca, rozlewające się po fal pluskach, sine barwy wybrzeży, z daleka wyłaniające się z wód toni—jakież to nieprzebrane bogactwo kolorów, odcieni, tonów, jakież to wielki, wspaniały świat barw, stanowiący ucztę prawdziwą dla malarza! Kto bawił kiedykolwiek w uroczej zatoce Neapolu, ten nigdy nie zapomni przedziwnej, upajającej gry barw, kiedy o słońca zachodzie zlewają się z sobą ciepłe tony czerwone z zi-

mnemi, sinemi lazurami, kiedy na horyzoncie rysują się prześliczne, omdlewające w błękitnym półcieniu sylwetki skalistych wysp Ischii i Procidy, a zdala unoszą się leniwe dymy Wezuwiusza. Albo któż może zapomnieć, jak cudownie z wyżyn Sorrenta rozpościera się przed wzrokiem naszym niebiański błękit klasycznego morza, upstrzony bielą do mew podobnych żagli rybackich, a to wszystko okolone czystymi zarysami siniejących zdala wybrzeży, od dumnego przylądka Miseno do wysp Procidy i bogatej w zabytki rzymskiego cesarstwa uroczej Capri. Wschód i zachód słońca, cicha noc księżycowa, bogata w srebrzyste blaski — zachwycają zawsze miłośnika przyrody, ale o ileż one cudowniejsze na morzu niż na lądzie! Kiedy przed kilkunastu laty bawiłem w stacyi zoologicznej Roscof na brzegach uroczej Bretanii, skąd roztacza się widok na otwarty ocean Atlantycki, przyglądałem się bardzo często, jak złocista kula słońca zanurzała się na horyzoncie w otchłań oceanu. Widok ten opisać się nie da. Gdy od półkuli słońca szkarłatem lśniące na widnokregu aż do stóp moich ciągnął się po przez ocean szeroki pas złocisty, mieniący się w tysiącznych blaskach i odcieniach karminów, szkarłatów i rubinów, igrających na fal zboczach, zdawało mi się, że przeniesion w jakiś świat nieziemski. A cóż to za pole dla pendzla malarza—widok otwartego morza, oświetlonego srebrzystym blaskiem miesiąca, zwłaszcza z wyniosłego miejsca na brzegu! Wstęga srebra na horyzoncie, po za którą—z dwóch stron czarna niemal przez kontrast linia widnokregu, odcinająca się wyraźnie od szarego błękitu nieba; a od tej wstęgi ku nam biegnąca smuga srebrzysta, to szersza, to węższa, żywa ustawicznym fal ruchem; a w tem świetle bladym—dziwnie czarne i dziwnie ostre sylwetki żagli barrek rybackich. Ileż tu motywów dla twórczej fantazyi artysty!

Ale jeżeli w rozwoju handlu wszechświatowego, polityki, sztuk pięknych morze odegrało tak wybitną rolę, to nierównie większą jeszcze jest jego doniosłość dla rozwoju wiedzy, a zwłaszcza—biologicznej, której zadaniem dociekanie odwiecznych praw życia, owej zagadki nad zagadkami. Morze bowiem, to kolebka życia, w jego bujnym łonie powstały niewątpliwie w zamierzonych, w pomroce czasu gubiących się okresach globu naszego, najniższe, najpierwotniejsze twory żyjące. Jego łono kołysało przez olbrzymie czasu okresy życie niezliczonych istot, zanim jeszcze na lądach wrzeć ono zaczęło. Wszystkie niższe grupy zwierzęce, większość mikroskopowych pierwotniaków (otwornice, promienio-wce), wszystkie niemal tak liczne gąbki, cudowne i różnorodne kształtami i barwy koralce, meduzy i inne jamochłony, dziwaczne

postaci jeżowców, rozgwiazd, węzowideł i wszystkich innych szkarłupni, nieskończona liczba mięczaków-brzuchopełzów o przepysznych różnokształtnych muszlach, małżów oraz potwornych głownogów, olbrzymia ilość robaków i skorupiaków (raków), większa część znanych na świecie ryb, a z tych wszystkie niższe np. chrząstkoskieletowe w rodzaju żarłaczy, niektóre rzędy ssaków (wieloryby, foki) i liczne ptaki—wszystko to wyłącznie zamieszkuje morze lub jego wybrzeża. Wypłastowane na łonie oceanu, liczne formy zwierząt i roślin niższych dały z czasem początek postaciom słodkowodnym i lądowym; morze więc jest prawdziwą życia kolebką. Po dziś dzień zamieszkują je tysiączne postaci, a większość niższych organizmów nie opuściła prastarej swej siedziby. Dla badacza tajników życia morze jest przeto niewyczerpaną skarbnicą; najskrytsze i najdziwniejsze zagadnienia biologiczne wiążą się najściślej z fauną i florą morską. Tu, w tej odwiecznej życia kolebce, gdzie roi się od całych światów istot organicznych, czeka biologa prawdziwa uczta duchowa. Badania nad organizmami morskimi otworzyły nowe widnokreśli umysłowi ludzkiemu, przyczyniły się do wyjaśnienia niezliczonych, doniosłych problemów biologicznych, dotyczących powstawania, płodzenia, rozwoju, bytowania i śmierci ustrojów.

Kto miał sposobność oglądania t. zw. hal rybnych w wielkich miastach portowych, np. w Tryeście lub Marsylii, ten nigdy nie zapomni widoku tysiącznych, przedziwnych postaci ryb, olbrzymich skorupiaków, stosów maław i innych głownogów oraz przeróżnych drobnych zwierząt, służących jako „owoce morskie“ (frutti di mare) za pokarm biedniejszym klasom ludności. Codziennie wyjeżdżają rybacy na wiernych swych barkach po złote runo, codziennie zwożą tysiące ryb, stosy maław; całe miliardy zwierząt wyławia człowiek codziennie z łona oceanu, a on wciąż roi się życiem. Miliardy śledzi, sardynek, tuńczyków, homarów, krewetek, ostryg wyławia nienasycona sieć ludzka, a nowe ich miliardy powstają w życiodajnym żywiole. Miliardy drobnych istot, przezroczystych, jak kryształ, unosi się na powierzchni oceanu, miliardy ściele się wspaniałym, różnobarwnym kobiercem na dnie morza (ukwiały, korale), miliardy wznoszą wspólną pracą wielkie łądy, wynurzające się z oceanu otchłani (polipy koralowe), a wreszcie w owych bezdennych głębiach morskich, sięgających tysięcy metrów, kędy promień słońca przedostać się nie jest zdolny, kędy wieczny chłód, noc wieczna i dziwny, trupi, żadnym powiewem niezamącony bezwład i spokój wód panuje—i tam nawet wre życie w całej pełni, cwszem, tam objawia się ono jeszcze w najfan-

tastyczniejszych postaciach, najdziwniejszych przystosowaniach. Słowem, ocean, to życia bujnego skarbnica nieprzebrana. Nie tylko on sam wydaje nam się jak gdyby olbrzymim organizmem żyjącym — bo nigdy ruch w nim nie zamiera, bo jak krew w ciele naszym, tak w nim tętnią wiecznie jego prądy, a oddycha on igraszką fal swoich i naprzemian okazuje jakby fazy jawy i snu przez peryodycznie powtarzające się przypływy i odpływy — ale nadto w nurtach jego bezdennych życie prawdziwe pełni się niezwykłym bogactwem. Jak nieskończonym wydaje się on oku ludzkiemu przez bezmiar wód swych, tak również wielkim, tajemniczym, bezgranicznym jest on dla nas, jako niewyczerpane życia źródło. Obawa jakaś instynktowa ogarnia nas wobec tej nieskończoności...

„W morza bezmiary
Pozwólcie mi spojrzeć,
Uklęknąć i modlić się,
Bo ciężar pierś mą tłoczy.“

(Faust).

*

*

*

Obok ogromu przestrzeni, koloryt morza najbardziej uderza człowieka, przypatrującego się zwierciadlanej jego powierzchni. Zmienność tego kolorytu jest iście zadziwiająca. Zależnie od geograficznego położenia danego morza, od pory roku, chwilowej aury dnia, od rodzaju i kierunku wiatru oraz wyglądu nieba — barwa powierzchni morskiej zmienia się i przekształca w zadziwiający sposób. Z obrazów naszych mistrzów nie trudno zestawić całkowitą skalę barw morskich ze wszelkimi ich odcieniami, począwszy od czerwonopomarańczowej, a kończąc na ciemnym fiolecie. Od czegoż zależy ten przedziwny koloryt morza?

W ogólności rozpowszechniony jest pogląd, że np. z mórz europejskich Bałtyk jest więcej zielonawy, północne zaś morza są niebieskawe, a Śródziemne najżywszym lśni błękitem. Ale to wszystko jest względne. Kto podróżował po otwartym oceanie i przebywał na niektórych morzach podzwrotnikowych, ten przyzna, że wobec ich przepysznego, czystego, głębokiego szafiru, błękity naszych najpiękniejszych mórz europejskich przedstawiają tylko brudny koloryt: niebiesko-zielony, lub zielono-niebieski.

Do niedawna jeszcze sądzono, że im wyższą jest temperatura i im większą zawartość soli w wodzie morskiej, tem barwa tejże bardziej jest błękitna. Tłómaczono np. przez tę okoliczność różnice w kolorycie Bałtyku i morza Śródziemnego. Ale szczegółowe badania w tym kierunku wykazały błędność takiego zapamiętania. Wprawdzie istotnie morza tropikalne (a zwłaszcza w obrębie passatów) posiadają przedziwnie piękny, silnie niebieski, prawie w czarny wpadający koloryt; ale i w strefie umiarkowanej, a nawet na lodowatej północy, występuje w określonych miejscach przepyszny wód błękit, a z drugiej strony w pewnych okolicach podzwrotnikowych, tam, gdzie temperatura wody jest stosunkowo bardzo wysoka, kolor mórz bywa zielonawy.

Morze Czerwone, odznaczające się obfitą bardzo zawartością soli oraz wysoką temperaturą, jest po większej części barwy silnie błękitnej, ale w środkowych jego okolicach napotkać można rozległe przestrzenie o barwie mniej lub więcej zielonej lub żółtej, a w części nawet żółto-czerwonawej (skąd nazwa). Widzimy zatem, że nie istnieje zależność pomiędzy kolorytem morza, a ciepłotą jego, oraz zawartością soli.

Ale oto przekonano się, że koloryt ten pozostaje przede wszystkim w ścisłym związku z przezroczystością, klarownością, czystością wody. Im większą jest klarowność, im znacznieszą przejrzystość wody, tem barwa powierzchni morskiej bardziej jest błękitna. Jeżeli tarczę blaszaną, biało polakierowaną zanurzać będziemy w wodzie morskiej, to, rzecz naturalna, że im przejrzystość wody większa, tem w znaczniejszej głębokości powierzchnia tej tarczy będzie jeszcze dostrzegalną; im zaś woda będzie mętniejsza, tem w mniejszej głębokości tarcza zniknie już dla oka naszego. I oto przekonano się, że tarcza taka (40 do 50 cm. średnicy) znika dla oka w

morzu Bałtyckiem — w głębokości mniej więcej 15 m.

„ Północnem — „ „ „ 22—25 m.

„ Śródziemnem— „ „ „ 40—45 „

w tropikalnych morzach Oceanu Indyjskiego „ 45—50 „

a więc wynika z tego, że Bałtyk ma wodę najmniej klarowną, morze Północne odznacza się już większą przezroczystością wód swoich, Śródziemne jeszcze większą, a morza tropikalne najbardziej są klarowne i oto, gdy pierwsze jest barwy zielonej, a drugie i trzecie zielonawo-niebieskiej, to ostatnie posiadają żywą, czystą barwę niebieską.

A więc im woda mniej klarowna, im bardziej w zawiesiny obfitująca, tem barwa jej powierzchni mniej jest niebieska, a bar-

dziej zielonawa lub brudno-żółtawa; naodwrot zaś, czysty koloryt kobaltowo-błękitny właściwy jest wodzie bardzo klarownej, przezroczystej.

Owe zanieczyszczenia wody morskiej, zmniejszające jej klarowność, bywają dwojakiego rodzaju. Przedewszystkiem mogą być w niej zawieszane nader drobne, delikatne ciała nieorganiczne, ziarenka kredy, gliny, piasku i t. p., które pochodzą z sąsiednich lądów, a z powodu miążkości i lekkości swojej unoszą się swobodnie w wodzie przez czas długi. Gdy podróżny powraca z Ameryki do Europy po przez ocean Atlantycki, uderza go zwykle zmiana w ubarwieniu wody; piękny błękit oceanu przechodzi powoli w kolor zielony, w miarę zbliżania się do brzegów Europy, gdzie, rzecz naturalna, więcej unosi się osadów mineralnych wskutek bliskości lądów.

Inny rodzaj zawiesin, zmniejszających przejrzystość wody morskiej, to domieszki organiczne, a mianowicie miliardy miliardów drobnych, mikroskopowych przeważnie organizmów roślinnych i zwierzęcych, stanowiących t. zw. florę i faunę pelagiczną, czyli „plankton.“ Organizmy te zmniejszać mogą, rzecz naturalna, klarowność wody także zdala od lądu, a więc na otwartych oceanach. Okazało się, że wszędzie tam, gdzie zjawia się bardzo obfity plankton, zwłaszcza zaś, gdzie występują liczne, roślinne, mikroskopowe ustroje zwane okrzemkami (Diatomaceae) lub t. zw. Peridinie, barwa wody morskiej jest zielonawa, niebiesko-zielonawa, oliwkowa lub nawet brudno czerwona (np. w niektórych okolicach morza Czerwonego).

Im dane morze uboższe jest w plankton i im mniej w niem nieorganicznych zawiesin, tem barwa jego wody jest silniej, ciemniej błękitną. Morze zupełnie niemal pozbawione żywego planktonu najgłębszy okazuje błękit; słusznie przeto wyraża się Schütt w krótkim, lecz dosadnym zdaniu: „Błękit to pustyniowa barwa morza.“ Zjawiska te łatwo objaśnić ze stanowiska optyki, ale w to tu wchodzić nie będziemy.

Barwa morza zależy zresztą i od innych czynników; im ono jest głębsze, tem promienie światła głębiej przenikają i zostają przeto silniej pochłaniane, a przedewszystkiem pochłaniane są przytem promienie czerwone i pomarańczowe widma słonecznego.

Gdy morze jest płytkie, liczne promienie odbijają się od jego dna i powracają znów do atmosfery, a zależnie od natury dna tego i od jakości promieni pochłanianych, odbite nadają rozmaitą barwę powierzchni morza. Natura samej powierzchni, od której zależy refleks promieni, gra tu także rolę wielką; a więc gdy np.

wiatr ją muska, gdy deszcz powoduje jej zaniepokojenie, zmienia się też wnet chwilowo i barwa morza. Kierunek i siła wiatru, a stąd i kąt oraz kierunek nachylenia fal, przez nie powodowanych, nie małe też mają znaczenie dla barwy morza. Wiadomo bowiem, że promienie światła odbijają się pod takim kątem, pod jakim padają; zależnie więc od kierunku i nachylenia czoła fal do nas zwróconych, odbijać się mogą od nich promienie z różnych okolic na nie padające; to więc zielen zamykająca panoramę brzegów, to znów pochyłości gór, lub piasków nadbrzeżnych, albo części nieba odbijać się mogą w tych falach i różne sprawiać refleksy. Że odbicie brzegów, a przede wszystkim obłoków nie mało wpływa na czasową zmianę kolorytu morza, najlepiej to można obserwować podczas wschodu i zachodu słońca, kiedy niebo usiane jest szkarłatnymi lub złocisto-pomarańczowymi chmurami, których piękne odbicia przeglądają się w zwierciadlanej tafli morskiej.

A teraz zachodzi jeszcze pytanie, jak daleko w głąb toni morskiej przenikają promienie słońca, jakie istnieje oświetlenie w znacznych głębiach i gdzie zaczyna roztaczać swe panowanie noc wieczna?

Zanim zaczęto doświadczalnie badać tę sprawę, sądzono przez długi czas, że w znacznych głębokościach morza panuje światło czerwono-purpurowe, coś nakształt ognistego oświetlenia piekieł. U wielu poetów spotykamy się z „purpurową ciemnością“ otchłani morskich, a nawet i niektórzy przyrodnicy, np. słynny zoolog Al. Agassiz oraz Ernest Haeckel sądzili niegdyś, że w pewnej głębokości (około 150 metrów) morza panuje zmierzch czerwono-żółty. Ale pogląd ten okazał się zupełnie błędnym. Badania doświadczalne wykazały co innego.

Jeszcze w r. 1880 podczas wyprawy okrętu marynarki austriackiej „Hertha“ dwaj badacze *Wolff* i *Luksch* wykonywali na morzu Adryatyckim i Jońskim doświadczenia odnośne, lecz w sposób bardzo pierwotny, wskutek czego i wyniki były niezadawalniające. Zapuszczali oni białe przedmioty, np. tafle marmurowe na linach w głąb morza i obserwowali, w jakiej głębokości ginie obraz tychże dla wzroku ludzkiego. Na podstawie odpowiednich rachunków wnioskowali stąd, jak głęboko przedmioty te były jeszcze oświetlone, czyli do jakiej głębi przenikały promienie światła słonecznego. Były to obserwacje bardzo niedokładne, ale interesujące z tego względu, że stanowiły pierwszą próbę naukowego badania tej kwestyi.

O wiele dokładniejszemi były odnośne badania tragiczną śmiercią zaginionego, słynnego zoologa szwajcarskiego *Hermana*

Fola na jeziorze Genewskim, oraz *Sarazina* w okolicy Villa Frauca. Obaj ci uczeni używali płyt fotograficznych, czułych na światło, które umieszczone były w odpowiedniej kasetce tak, iż z uderzeniem o dno kasetka otwierała się i płyta wystawiona była na działanie światła. Zasada tego urządzenia polegała na tem, iż pod kasetką wisiał ciężar, który, ciągnąc ku dołowi, powodował za pomocą szczególnych sprężyn zamknięcie kasetki. Gdy aparat, spuszczonej na linie, dosięgał dna, ciężar przestawał działać, a kasetka wnet się otwierała. W takim stanie pozostawał przyrząd na dnie około 10-iu minut, a klisza była przez ten czas wystawiona na działanie światła. Z chwilą gdy przyrząd zaczęto podnosić, ciężar zamykał znów kasetkę. Okazało się, że w głębokościach, przewyższających 400 metrów, klisze nie reagowały już wcale na światło, w głębokości zaś 390 m. reagowały tak, jak gdyby były wystawione na działanie słabego światła podczas nocy jasnej, ale bezksiężycowej.

Wszelako *Fol* i *Sarazin* odczuwali sami niedostateczność tej metody, albowiem w tym razie klisza mogła być eksponowana dopiero z chwilą, gdy przyrząd dosięgnął dna. Chodziło zaś o to, aby w każdej głębokości dowolnej można było wystawiać płytę na działanie światła, aby w każdej głębokości aparat mógł się otwierać i zamykać w dowolnych odstępach czasu, a dalej, aby całkowicie usunąć klisze z pod wpływu wody morskiej, która mogłaby, rzecz naturalna, niekorzystnie wpływać na nie pod względem chemicznym i zmniejszać ich czułość. Uczni ci pracowali sami nad ulepszeniem aparatu w tym kierunku, a wkrótce potem *C. Chun* i *Petersen* zbudowali udoskonalony przyrząd, który znakomicie odpowiadał wszystkim tym warunkom. Przekonali się oni, posługując się tym ulepszonym aparatem fotograficznym, że w głębokości 500—550 metrów klisze eksponowane przez pół godziny okazują jeszcze wyraźną reakcję na działanie światła. Aż do tej tedy głębokości przenikają promienie świetlne, a przynajmniej te promienie, na które klisza jest czuła (a więc fioletowe, niebieskie, zielone). Zależnie atoli od pory dnia, w jakiej wykonywano doświadczenia, czy rano, czy w południe, czy też po obiedzie, a dalej zależnie od tego, czy za dnia bardzo słonecznego, czy też nieco pochmurnego, a wreszcie zależnie od miejscowości, od mniejszej lub większej przezroczystości i czystości wody w danym miejscu, wyniki dawały pewne wahania. Wszelako nawet w południe podczas dnia bardzo słonecznego, w okolicach morza Śródziemnego o wodzie bardzo klarownej, płyty, zanurzone do głębokości 600 metrów, nie wykazywały już żadnego oddziaływa-

nia na światło. A więc poniżej 600 metrów panuje już niewątpliwie w otchłaniach morskich noc wieczna!

Ale teraz zachodzi jeszcze pytanie, jakie światło panuje w głębi kilkudziesięciu metrów aż do owej granicy nocy wiecznej, czy jest to zmrok zwykły, podobny np. do szarego światła pod wieczór zimowy, czy też zmrok to różny, jakiś swoisty? Na podstawie faktów fizycznych możemy z pewnością twierdzić, że ów zmrok w głębi wód morskich całkiem jest różny od naszego. Wyobraźmy sobie dach nad głowami ze szkła seledynowo-niebieskiego. Jak dziwny koloryt panowałby wówczas dokoła nas? Jakiś zmrok niezwykły, zaczarowany! Przedmioty czerwone lub żółte albo pomarańczowe wydawałyby się nam wówczas całkiem czarne (ponieważ szkło niebieskie nie przepuszcza promieni czerwono-pomarańczowych i żółtych, przedmioty więc np. czerwone, nie mogąc, jak w świetle białym, odbijać od swej powierzchni tych promieni, wydawałyby się czarnymi); tylko seledyny, błękity i fiolety roztaczałyby wokół swe panowanie. Taki oto zmrok przedziwny istnieje w głębiach wód morskich, powyżej granicy wiecznej nocy.

Wiadomo, że cienkie warstwy wody przepuszczają przez się w zupełności zwykłe, białe światło słoneczne. Ale gdy warstwa wody jest grubsza, gdy dosięga już ona niespełna dwóch metrów, wówczas łatwo zauważyć, że fioletowo-niebieskie promienie przechodzą prawie nieosłabione, ale czerwone już w połowie niemal są pochłonięte przez wodę. Im warstwa wody grubsza, tem widoczniejszą jest ta absorbcya promieni czerwonych, tak, że wreszcie przechodzą już częściowo same tylko promienie fioletowo-niebieskie, natomiast czerwono-pomarańczowe w zupełności zostają przez wodę zatrzymane; dla nich jest owa warstwa wody nieprzepuszczalna. Stąd ów zmrok seledynowo-niebieski w pewnej głębokości morza. Że dla promieni fioletowo-niebieskich woda jest znacznie więcej przepuszczalną aniżeli dla czerwonych, wynika to między innymi z dziwnego, a znanego powszechnie oświetlenia, jakie panuje w słynnej grocie „niebieskiej“ na wyspie Capri. Do groty tej wchodzi po nad wodą mały bardzo otwór, przez który zaledwie barka przecisnąć się może, a dno groty, począwszy od tego otworu, znacznie się pogłębia ku wnętrzu. Promienie światła, wpadając ukośnie przez ten otwór, przechodzą przez grubą warstwę wody i odbiwszy się od dna, rozpraszają się po grocie, a że woda pochłania promienie czerwone i w znacznej części żółte, przeto wnętrze groty oświetlone jest wyłącznie przez promienie fioletowo-niebieskie, co stanowi nie do opisania piękne zjawi-

sko, którem tak bardzo zachwycają się wszyscy zwiedzający tę prześliczną grocie. Wszelako nie co dzień i nie o każdej porze dnia warunki oświetlenia są równie dobre i efekt przeto nie zawsze jest jednaki.

Kiedy już mowa o barwach powierzchni morza, oraz o stosunkach oświetlenia w głębiach oceanu, to nasuwa się tu również kwestya fosforescencyi, bo gdy łądy roztaczają swój urok tylko w słońca promieniach, to ocean i w noc czarną, kiedy piękno brzegów zasłonięte jest przed wzrokiem ludzkim, okazuje w całej pełni swą niewysłowienie uroczą grę blasków ognistych.

Fosforescencya czyli świecenie w ciemności jest zjawiskiem bardzo rozpowszechnionem w przyrodzie organicznej. Znany wszystkim światelka naszych „robaczków“ świętojańskich czyli świetlików, podczas ciepłych wieczorów czerwcowych, ukazujące się w trawie lub pośród zarośli. A w krajach podzwrotnikowych jeszcze o wiele silniej i piękniej świecą w nocy Luciole, Cucujosy i inne owady. Znany też i pewne rośliny świecące, np. grzyb kapeluszowy *Agaricus olearius*, pojawiający się często w Europie południowej na pniach drzew oliwnych, lub pewne bakterye fosforyzujące. Istnieją pewne dane, niedostatecznie jednak stwierdzone naukowo, że i ciało ludzkie może niekiedy w szczególnych jakichś warunkach świecić. Anatom *Bartholinus* wspomina np. o pewnej damie włoskiej, którą nazywa „mulier splendens“, a której ciało miało jakoby czasami fosforyzować. Być może, że to bajka.

Ale gdy w ogóle u jestestw lądowych świecenie w ciemności jest zjawiskiem rzadkiem i sporadycznym, to przeciwnie wśród organizmów morskich jest to zjawisko nader rozpowszechnione i występuje w takiej okazałości, jakiej na lądzie nigdy nie napotykamy.

Fosforescencya pojawia się we wszystkich morzach, nawet w okolicach podbiegunowych oraz podczas każdej pory roku. W północnych okolicach morza Śródziemnego bywa ona zwykle słaba, w południowych atoli znacznie silniejsza. Ale w morzach podzwrotnikowych świecenie jest najwspanialsze; jaskrawości palącego za dnia słońca odpowiada tu niejako godnie przepyszny blask płonącego nocą oceanu. *Humboldt*, który tak głęboko odczuwać umiał uroki przyrody, wyraża się w sposób następujący: „Kto nie widział fosforescencyi pod zwrotnikami, ten posiada tylko bardzo niezupełne wyobrażenie o majestatyczności tego wspaniałego fenomenu. Gdy okręt wojenny podczas świeżego powiewu wiatru przecina spienione fale, nie można, stanąwszy na gale-

ryi bocznej, nasycić się dostatecznie widokiem roztrącanych fal, bo co chwila błękitne lub czerwone płomienie, jakby błyskawice, ku górze strzelają. Nieopisanie pięknem jest też zjawisko w morzach podzwrotnikowych, kiedy w ciemną noc stado delfinów prze-wija się po falach, bo spieniona woda znaczący ich drogę iskrami i blaskiem intensywnym.“ Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakiego doznałem przed kilkunastu laty na stacyi zoologicznej Roscoff w Bretanii, kiedy zaszedłszy późnym wieczorem do pracowni, zastałem przygotowane za dnia akwaria ze świeżym połowem morskim, jakby w płomieniach stojące, a gdy bagietką szklaną mąciłem w nich wodę, sypały się iskry snopy, jakby z pod młota, spadającego na rozpalone żelazo.

Światło fosforyczne wydaje nie sama woda morska, ani też dno, lecz jedynie produkują je rozmaite zwierzęta zamieszkujące nurty morza, lub też pływające przy jego powierzchni: „świecenie morza“ jest więc zjawiskiem czysto biologicznem, a pozostaje ono w związku z pewnymi chemicznymi procesami utleniania, zachodzącymi w żyjących ustrojach, jak to wykazały w swoim czasie klasyczne badania obecnego profesora chemii w uniwersytecie lwowskim D-ra Bronisława Radziszewskiego. 1)

Świecące fosforycznie organizmy należą do najrozmaitszych grup świata zwierzęcego. Z pierwotniaków, czyli mikroskopowych zwierząt jednokomórkowych najślyniejszy jest pod tym względem nocoświatlik (*Noctiluca miliaris*), ustrój należący do grupy wiciowców (*Flagellata*), o którym przed laty napisał klasyczną monografię znakomity, a nie żyjący już dziś, uczony polski, Prof. L. Cienkowski (prof. botaniki na uniwersytecie w Odesie). Są to drobniutki, kuliste organizmy opatrzone wicią oraz dwoma innymi wyrostkami u otworu ustnego, który prowadzi do wnętrza plazmy; plazma z jądrem zebrana jest głównie u jednego bieguna komórki, reszta jej ciała obfituje w wodniczki; tęga błonka zewnętrzna otacza kuliste ciało organizmu. Pływają w olbrzymich gromadach, powodujących świecenie morza.

Typ zwierząt jamochłonnych (*Coelenterata*) obejmuje liczne postaci fosforyzujące. Piękna meduza *Pelagia noctiluca* wydaje

1) Prof. Radziszewski zbadał chemiczne warunki, przy jakich odbywa się fosforensceneyca ustrojów żyjących. Wykazał on, że istnieje cały szereg ciał organicznych, które świecą, gdy się łączą z czynnym tlenem w roz-tworach alkalicznych. Ciałami temi są liczne tłuszcze, olejki eteryczne, wę-glowodany i alkohole. Niektóre fosforyzują już w zwykłej temperaturze, inne dopiero po ogrzaniu.

za dotknięciem prześliczne światło zielone: u drobniutkich meduz Oceania świecą się pięknie jajniki. Wielki, wstęgowaty, mieniający się tęczwami barwami *pas Wenerzy* (*Cestum Veneris*) fosforyzuje często wspaniałym blaskiem, a imy żebroplaw, postaci bezczułkowej, *Beroe ovata*, produkuje za podrażnieniem światło niebieskawe.

Nietylko atoli wolno pływające postaci posiadają zdolność świecenia. Niektóre przytwierdzone do podłoża lub po dnie pełzające zwierzęta morskie odznaczają się również tą zdolnością. Tak np. prześliczny ustrój, należący do zbiorowych (kolonialnych) koralu, zwany piórem morskim (*Pennatula*), wydaje jaskrawe światło, a ponieważ liczne polipki osadzone na pniu pióra po kolei zaczynają płonąć blaskiem fosforycznym, sprawia to wrażenie, jak gdyby z gałązek kolonii sypały się iskry pojedyncze lub snopy ich całe. Z mięczaków świecą liczne gatunki, zarówno też pewne szkarłupnie, ale najświetniejsze blaski produkuje pewne pelagicznie żyjące osłonice np. słynna ognica (*Pyrosoma*), która przedstawia się w postaci walca na jednym końcu ślepo zamkniętego, na drugim otwartego, blisko na stopę długiego. W ścianie tego walca mieszczą się liczne pojedyncze osobniki, a całość produkuje piękne światło, u jednych gatunków barwy jasno-niebieskiej, u innych czerwonawej, tu i owdzie z odcieniem żółtym lub zielonym. Światło przenosi się od osobnika do osobnika i tu więc jakby iskry po całym przebiegają ciele. W wielkich głębiach żyją ognice, posiadające przeszło metr długości; zadrażnione czemkolwiek bądź, płoną one prześlicznym blaskiem. Słynny uczestnik wyprawy „*Challenger*“, prof. Moseley, spróbował na złowionej nocy wielkiej takiej ognicy wypisać palcem na jej powierzchni nazwisko swoje i oto zadrażnione w tych miejscach osobniki zapłonęły i nazwisko uczonego pięknie zajaśniało na ciele zwierzęcia, ku zdumieniu całej załogi.

Jeżeli jednak pośród fauny pelagicznej, oraz zamieszkującej nieznaczne głębokości, znajdujemy tak wiele postaci świecących, to nierównie więcej form takich napotykaemy w znacznych otchłaniach. Tam, dokąd, jak wiemy, nie przedzierają się promienie słońca, gdzie wieczna, czarna noc króluje, gdzie wiecznie chłodno, czy w okolicach podzwrotnikowych, czy w krainach polarnych, tam, jak już wspomnieliśmy, bujna roi się fauna, o której dawniej nie miano pojęcia. Sądzono, że w wielkich otchłaniach brak wszelkiego życia. Ale ono nie zna hamulca, dlań niema żadnych szranków, ono wszędzie się pleni, gdzie tylko znajdzie warunki, do których przystosować się jest zdolne. Otóż i w tych otchłaniach,

tysięcy sięgający metrów, krzewi się życie bujne. Śród dziwnych, swoistych warunków, pod olbrzymiem ciśnieniem, w krainie wiecznego chłodu, gdzie ani zmian pór roku, ani różnicy dnia i nocy niema, tam na owym wielkiem cementarzysku, dokąd podążają ostatecznie szczątki wszelkich istot zamieszkujących oceany — tam niezwykle bujna roi się fauna, pełna najdziwniejszych, najoryginalniejszych postaci, różna od fauny płytszych okolic morza, bo do owych swoistych przystosowana warunków. W tych głębiach przepastnych znajdujemy całe gąszcze gąbek najróżnorodniejszych, przeważnie o żółtawo-purpurowych lub czerwonych barwach, ogrody utworzone z zielonych, wielkich liliowców (zwierząt należących do szkarłupni, a których ciało promieniste osadzone jest na długiej, członkowanej łodydze, do podłoża uczepionej), koralu i ukwiałów tworzących klomby, czerwienią i purpurą tryskające, a pośród tych, do dna przytwierdzonych zwierząt, które stanowią jakby żywe kobierce zaczarowane, uwijają się tysiączne postaci przedziwnych ryb, częstokroć o wielkich, uzębionych paszczach i olbrzymich stosunkowo brzuchach, świadczących o ich żarłoczności, tysiące skorupiaków, rozgwiazd, jeżowców, głowonogów i innych mięczaków.

Otóż jedną z najdziwniejszych właściwości wielu organizmów głębinowych jest zdolność wydawania przepysznego światła fosforycznego. Dzięki tym żywym światełkom, tej żywej iluminacji, w wielkich owych otchłaniach oceanu nie panuje z pewnością ciemność absolutna; cienie wiecznej nocy rozpraszane bywają tu i owdzie przez owe jestestwa samoświecące.

Najbardziej interesujące pod tym względem są ryby głębinowe. Nie świecą one całym ciałem, lecz posiadają szczególne narządy, pełniące jakby rolę latarek. Są to najrozmaitszego rodzaju wyrostki, to na głowie w tyle po za oczami (np. w rodzaju *Echiostoma*), to w miejsce oczów, które wyglądają wówczas jakby dwa wgłębione zwierciadła metaliczne, to znów w postaci małego, gruszczykowatego organu, uczepionego na długiej nici u szczęki dolnej (np. w rodzaju *Eustomias*), to wreszcie w kształcie jednego lub kilku rzędów guziczkowatych wyniosłości wzdłuż całego ciała. U niektórych ryb owe lataрки umieszczone na głowie po za oczami są opatrzone mięśniami i mogą się przeto do pewnego stopnia poruszać, zwracać w tę lub ową stronę, na podobieństwo obracającej się latarui morskiej, która na różne strony rzuca snopy światła w dal ciemną.

Niektóre zwierzęta głębinowe posiadają liczne narządy świecące, które u tego samego osobnika produkują światło rozmaitych

barw, co stanowi efekt niezwykle piękny. Słynny jest pod tym względem głowonóg *Enoploteuthis*, który posiada aż dwadzieścia cztery samoświecących organów, rozmieszczonych w szczególny sposób. Każde z wielkich ramion chwytnych zawiera po dwa guziczkowate organy, pod dolnym brzegiem każdego oka jest ich po pięć, a reszta rozmieszczona jest na tułowiu, na brzusznej stronie ciała.

Koloryt tych organów świecących, soczewkowato wypukłych, porównać można tylko z blaskiem dyamentów i drogich kamieni, kąpiących się w blasku słońca; narząd środkowy pod okiem błyszczący niebieską ultramaryną, a boczne świecą blaskiem perłowej masy; z narządów brzusznych przednie wydają blask rubinowo-czerwony, tylne — śnieżno-biały z wyjątkiem środkowego, który daje odcień jasno-błękitny.

Jakie znaczenie biologiczne posiadają te wszystkie objawy samoświecenia dla ustrojów morskich — trudno powiedzieć. Co do zwierząt głębinowych, to zdaje się pewnem, iż owe latarki oświetlają zwierzętom drogę wśród cieniów nocy i pozwalają łatwiej polować na upatrzoną zdobycz. Być może, że służą też do odstraszenia nieprzyjaciół, podobnie jak blask rozpalonego na stepie ogniska odstrasza dzikiego zwierza. A być także może, że u wielu organizmów morskich blaski owe dopomagają do wzajemnego odszukiwania się płci, podobnie jak to stwierdzono dla niektórych lądowych zwierząt fosforyzujących np. dla świetlika świętojańskiego, którego samica ukryta w trawie i świetnie błyszcząca wabi ku sobie samczyków.

*

*

*

Zeglarz musi znać głębokość morza w okolicach przybrzeżnych, gdzie nie jest ona zbyt znaczna, bo płytkie miejsca czyli mielizny dla jego wielkich, obciążonych i znacznie zanurzających się okrętów, nie mało są niebezpieczne. Dla celów praktycznych mniej interesuje człowieka głębokość otwartego morza, bo dla żeglugi wszystko jedno, czy pod pudłem okrętu rozpościera się głębia na kilkaset, czy też otchłań na kilka tysięcy metrów. Wszelako jeden wzgląd praktyczny zmusił człowieka do mierzenia głębokości morza, oraz badania natury dna na otwartym ocea-

nie, a mianowicie, gdy chodziło o przeprowadzanie telegraficznych drutów podmorskich, czyli kabli, które spoczywają, jak wiadomo, na dnie oceanu. Początkowo tedy badania odnośnie, które są możliwe, kosztowne i wymagają odpowiedniego rynsztunku na okrętach, prowadzone były tylko w pewnych okolicach i wyłącznie dla celów praktycznych. Z czasem, z rozwojem wiedzy interes czysto teoretyczny dał pochop do badań odnośnych, które z wielkim nakładem pracy i kosztów przeprowadzono podczas umyślnych ekspedycji naukowych np. „Challenger’a“, „Travailleur’a“, „Waldvii“ i t. d. w najrozmaitszych okolicach mórz i oceanów.

Do mierzenia nieznacznych głębokości (do 100 lub 200 metrów), w nawigacyjnych celach praktycznych, wystarcza zwykła ręczna ołowianka, czyli ciężar ołowiany, ważący zwykle 6 do 20 kilogramów, a uwiązany na lince, na której oznaczone są metry. Linkę spuszcza się wolno do wody, a ręką można wyczuć, kiedy ciężar dosięgnął dna. Zupełnie rzecz inna, gdy chodzi o głębokości bardzo znaczne, dosięgające np. tysiąca lub kilku tysięcy metrów. Tych nie można już mierzyć zwykłą, ręczną ołowianką, bo przede wszystkim ręka nie wyczuje, kiedy ciężar spoczął na dnie, powtóre zaś cienka linewka może być za słaba, a gruba lina okrętowa jeszcze mniej do tego celu się nadaje, bo nie zapominajmy, że musi ona mieć około dziesięciu tysięcy metrów długości; po trzecie nareszcie przy mierzeniu tak olbrzymich głębi należy mieć pewność, iż ołowianka dna dosięgła, musi więc być tak urządzona, aby przynosiła próbki gruntu z dna morskiego, co zresztą bardzo jest ważne i z innych także względów.

Do zapuszczania ołowianek na wielkie głębie używa się więc przede wszystkim linewek czyli drutów stalowych; drut taki daje bardzo małe tarcie w wodzie, a nadto z powodu cienkości swojej zajmuje pomimo kilkutysięczno-metrowej długości nie wiele stosunkowo miejsca, bo nawinięty jest na walec metalowym, a co najważniejsza, jest bardzo mocny i wytrzymały. Na końcu jego zawieszają się ciężary ołowiane, zwykle od 15 do 30 kilogramów wagi, zależnie od przypuszczalnej głębokości mierzonego morza. Drut nawinięty jest, jak rzekliśmy, na walec, a gdy ołowianka spuszcza się w głąb i walec się obraca, obroty jego oznaczane są za pomocą połączonego z nim przyrządu zegarowego, tak, iż w każdej chwili możemy odczytać, do jakiej głębi ołowianka się zanurzyła. Gdyby ciężar ołowiany spuszczał się zupełnie swobodnie, to obroty walca nie ustałyby nawet z chwilą dosięgnięcia przezeń dna, a to raz z powodu bezwładności i nabytego już ruchu obrotowego, powtóre zaś z powodu ciężaru samego drutu.

A więc po osiągnięciu dna przez ciężar ołowiany, drut wciąż się jeszcze odwijał, nie mając zaś ujścia, skręcałby się na dnie morza i mógłby się nawet połamać. Dla tego też stosowany był szczególny linewkowy hamulec dla walca, który znosi zawsze działanie ciężaru samej linki stalowej oraz nabytej przez bezwładność siły obrotowej walca, słowem, stosuje się tu mechanizm, dzięki któremu jedynie tylko ciężar uciepiony na końcu drutu powoduje odwijanie się tego ostatniego oraz obroty walca. Z chwilą przeto, gdy ciężarek spocznie na dnie, ustaje ruch maszyny. W ten sposób można dokładnie odczytać na przyrządzie zegarowym głębokość morza w danym miejscu.

Oprócz właściwego ciężarka przyczepiony jest na końcu drutu przyrząd, który nabiera próbkę łu z dna morskiego. Pod tym względem istnieją najrozmaitsze urządzenia. Każdy widział zapewne zatrask na szczury lub ptaki; zatrask jest otwarty, ale wystarczy dotknąć się odpowiedniego pręcika, a wnet sprężyna, która była przedtem silnie napięta, spowoduje zamknięcie pułdła. Na tej zasadzie urządzone jest pewien system ołowianek; pod ciężarem umieszczona jest jakby skrzynka; zostaje ona na dno spuszczone w stanie otwartym, a w chwili kiedy odpowiedni sztyft uderza o grunt, sprężyna zamyka automatycznie obie rozwarne dotąd połówki skrzynki, przyczem dostaje się do wnętrza tejże sporo mułu z dna morskiego. Inne ołowianki głębinowe urządzone są według odmiennego znów systemu. Gdy np. ciężarek dosięga dna, umieszczona pod nim pionowo otwarta rurka metalowa odcepią się w skutek uderzenia i układa się poziomo, uwiązana do ciężaru za pomocą dodatkowego łańcuszka. Do leżącej poziomo rurki przenika muł z dna morskiego, a gdy ołowianka zaczyna się znów unosić do góry, prąd wody zamyka automatycznie pokrywkę rurki tak, iż zawartość wypaść z niej nie może. Istnieją i inne jeszcze systemy ołowianek głębinowych, a wszystkie tak są urządzone, że przynoszą na powierzchnię próbki mułu z dna morskiego, co daje możność poznania natury tego ostatniego. Wyciąganie ołowianki ze znacznych głębi morskich odbywa się za pomocą maszyny parowej lub elektromotorycznej, przyczem lina stalowa nawija się znów na walec. Podczas odbywania pomiarów za pomocą ołowianek ciężarowych (mierzenie głębokości około 5000 metrów trwa od półtorej do dwóch godzin) okręt musi możliwie na jednym stać miejscu, gdyż tylko wówczas ołowianka opuszcza się w kierunku pionowym; dlatego też prace tego rodzaju odbywać się mogą tylko podczas pory możliwie spokojnej, bezwietrznej. Oprócz atoli wspomnianych wyżej metod

bezpośredniego mierzenia głębokości, istnieje także metoda pośrednia, podana przez *Thomsona*, która może być jednak używaną tylko przy mierzeniu niezbyt znacznych głębokości. Różni się ona od pierwszych tem, że podczas stosowania jej okręt może się poruszać, a nawet w pełni może być biegu. Długa na niespełna metr, lecz wązka rurka szklana zalutowana u góry, otwarta u dołu, wpuszczona zostaje przy pomocy zawieszzonego u jej końca ciężarka na linewce w głąb morza; woda przenika do wnętrza rurki, lecz tylko do pewnego stopnia, bo nie pozwala na to zawarte w rurze powietrze, lecz im większa głębia, a więc im większe ciśnienie wody, tem więcej wody do wnętrza rurki przeniknie, bo powietrze ulegnie zagęszczeniu pod wpływem ciśnienia słupa wody nad nią się znajdującego. Wnętrze rurki pokryte jest czerwoną solą chromianu srebrowego, która bieleje przy zetknięciu się z wodą morską; a więc po wyciągnięciu rurki z morza można wnosić po zbieleńczeniu wnętrza, jak daleko woda przenikła, a stąd też wnioskować można o głębokości, jakiej ołowianka dosięgła. Ponieważ słup wody jednakowo ciśnie na powietrze w rurce zawarte bez względu na to, czy zajmuje ona położenie pionowe, czy też ukośne, ołowianka *Thomsona* może więc być ukośnie zapuszczana w głąb morza, czyli używaną być może podczas najszybszego nawet ruchu okrętu.

Pomiary, w różnych czasach i w rozmaitych okolicach globu naszego, dokonywane na morzach i oceanach, dały nam doskonałe pojęcia o konfiguracyi dna morskiego. Dowiedzieliśmy się, że nie jest ono równe, lecz że znajdują się na niem wyżyny i doliny, przepastne zagłębienia i olbrzymie parowy. Rozmieszczenie i ustosunkowanie tych zagłębi i wyżyn na lądzie i na dnie mórz jest zupełnie inne. Głębokie morskie nie odpowiadają bynajmniej wyżynom na lądach. Na otwartych morzach głębokie, wynoszące przeszło 2000, 4000 a nawet 6000 metrów, zajmują olbrzymie przestrzenie, gdy tymczasem na lądach wyżyny ponad 2000 lub 4000 i 6000 metrów zajmują przestrzeń stosunkowo bardzo małą. Prawie trzecia część powierzchni ziemi (37^o %) zajęta jest przez wielkie zagłębienia oceanów, ponad 4000 m. głębokie, przez olbrzymie jakby kotliny podmorskie, odgraniczone od siebie przez wąskie stosunkowo progi i grzbiety, jakby wyżyny górskie, ponad któremi morze wznosi się jeszcze często na 2 do 3000 metrów, zależnie od ich wysokości. W niektórych miejscach owe zagłębienia na dnie oceanu mają postać jakby olbrzymich rowów przepastnych. Szczególnie w Oceanie Spokojnym charakterystyczne jest występowanie owych rowów. Są one bardzo długie, wązkie i tworzą zna-

czne zagłębienia, które po większej części znajdują się w niewielkiej odległości od lądów, biegnąc równolegle do nich; brzeg wewnętrzny rowu jest wówczas dalszym ciągiem lądu stałego, zapadającego pochyło ku morzu, zewnętrzny zaś, niższy, zwrócony jest ku otwartemu oceanowi. Na te rowy przypadają wogóle największe głębie oceaniczne, jakie dotychczas znamy. W oceanie Spokojnym istnieje sześć takich rowów przepastnych, o głębokości przeszło 7000 metrów każdy! Pomiędzy wyspami Maryańskimi a Karolinami ciągnie się w kierunku wschodnio-zachodnim ów słynny rów, w którego obrębie przypada największa poznana dotąd głębia (pod $12^{\circ} 40'$ szerokości i $145^{\circ} 40'$ długości wschodniej), a mianowicie 9636 metrów, zmierzona przez okręt wojenny amerykański „Nero“ w r. 1899. Najwyższy szczyt Himalajski Gaurisankar, ustawiony w tem miejscu na dnie morskiem, pozostawałby jeszcze przeszło 800 metrów pod powierzchnią morza. Niektóre inne wielkie głębie oceaniczne znajdują się na dnie przepastnych jakby kotłów lub dziur, np. głębia 8341 metrów (największa z poznanych dotąd na oceanie Atlantyckim), przypadająca w odległości 90 mil morskich na północ od brzegów Puerto-Rico.

Jeżeli w ogólności porównamy powierzchnię dna morskiego z powierzchnią lądów, to uderzy nas jedna, wybitna bardzo różnica; na dnie oceanów napróżnobyśmy niemal szukali sfałdowanych gór łańcuchów, na podobieństwo Alp lub naszych Tatrów, napróżnobyśmy silili się widzieć tam często dzikie, spiętrzone skały lub urwiska, strome, przepastne ściany, lub powycinane, siodłowate grzebienie i przełęcze. Gdybyśmy mogli spojrzeć na dno oceanu, osuszonego jakąś siłą czarodziejską, uderzyłby nas całkiem inny krajobraz powierzchni obnażonego lądu. Przeważałyby tu rozległe doliny i zagłębienia o zaokrąglonych, łagodnych brzegach, olbrzymie, lecz łagodne i stopniowe falowania. Ale bo też inaczej być nie może: w nurtach oceanu niema obnażającego, rzeźbiącego, modelującego działania wichrów, deszczów, mrozów, dzikich potoków i rzek, które rysują ustawicznie powierzchnię lądów stałych, łamią i kruszą skały, zabierają z nich miękki materiał, pozostawiając szczeliny, urwiska, jaskinie. Tu w głębiach morza — po większej części spokój grobowy; nietylko nie tu nie unoszą z sobą rzeki lub potoki, lecz naodwrot, w ciągu tysiącleci przybывают wciąż osady różnorodne, na dno oceanu opadające, na to wielkie, przepastne cementarzysko, dokąd wszystko, co w morzu żyje, kiedyś podążyć musi, dokąd też rzeki wielkie wprowadzają ustawicznie olbrzymie ilości namułu, zawierającego szczątki organiczne i mineralne. Z ogólnego prawidła, dotyczącego ukształto-

wania dna morskiego, istnieją też jednak wyjątki. Tu i owdzie potężne gór szczyty, o pochyłych zboczach wznoszą się niemal aż ku powierzchni oceanu, z głębokości bardzo znacznej, a wierzchołki gór tych tworzy zwykle naga, twarda skała. Gdy szczyty takie z morza się wynurzają—powstają wówczas odosobnione wysepki na otwartych oceanach, jak np. wyspa Ś-tej Heleny lub Wniebowstąpienia na południowo-atlantyckim oceanie. Są to wszystko niewątpliwie góry pochodzenia wulkanicznego, które wskutek potężnych sił podziemnych nagle z dna morskiego się wypiętrzyły.

Namuł, zalegający wielkie przestrzenie na dnie oceanu, rozmaitej bywa natury. Za pomocą udoskonalonych ołowianek można, jak widzieliśmy, otrzymać próbki gruntu z największych głębilin morskich i tą drogą poznać bliżej skład i naturę tego ostatniego. Podobnie, jak na lądach znajdujemy grubszą lub cieńszą warstwę gleby rodzajnej, pokrywającą głębiej leżące warstwy, tak i na dnie morza napotykamy gruby pokład namułu pokrywający twardą opokę. Bliższe badanie namułu głębinowego za pomocą mikroskopu jest nie łatwe, albowiem przez długotrwałe działanie wody morskiej, a zwłaszcza soli w niej zawartych, przez wpływ ciśnienia, różnice temperatury i inne czynniki namuł ten ulega znacznej zmianie; niejednokrotnie przedstawia on niezmiernie miękki, delikatny osad, w którym zaledwie rozpoznać możemy pod mikroskopem budowę charakterystyczną i określić bliżej pochodzenie jego. Podobnie jak ziemia rodzajna na powierzchni lądów składa się z części mineralnych oraz organicznych, w rozmaitym stosunku występujących, tak też i namuł dna morskiego zawiera te dwa rodzaje składników. Części mineralne pochodzą przedewszystkiem z brzegów morskich, które potężna fala bezustannie podmywa, kruszy i na coraz delikatniejsze cząstki rozdrabnia. Nadto i rzeki do morza wpadające wnoszą tam przecież olbrzymie ilości cząstek mineralnych, których dostarczają im potoki górskie, podmywające, kruszące i rozdrabniające twarde skały. Wreszcie wulkany w pobliżu brzegów morskich oraz kraterzy podmorskie, wyrzucające z czeluści swoich olbrzymie kłęby popiołów, lawy, kamieni, przekazują ten cały materiał otchłaniom morskim, gdzie podlega on przez działanie wód coraz to dalszemu rozdrobieniu i opada wreszcie na dno oceanu. Rzeki dostarczają nadto morzu olbrzymiej ilości części organicznych. Uprzytomnijmy sobie tylko, że w wielkich miastach, posiadających milion lub kilka milionów mieszkańców, kanały miejskie zabierają wszelkie nieczystości i doprowadzają je do rzek. Ileż miliardów litrów

substancji organicznych wprowadza np. do morza taka Tamiza, unosząca wszelkie odpadki kanałów Londynu. Albo uprzytomnijmy sobie, ile substancji organicznych unoszą do morza na swych falach olbrzymie rzeki południowo-amerykańskie, taka np. Amazonka, która przepływając przez pierwobory, tryskające życiem roślin i zwierząt, otrzymuje, zwłaszcza po wylewach, olbrzymie masy substancji organicznej, którą do oceanu zanoszą. Wreszcie uprzytomnijmy sobie jeszcze, jakie niezliczone ilości zwierząt i roślin zamieszkują morza. Tak zw. morze Sargasowe na wschód od wysp Bermuda pokryte jest w wielu miejscach całymi gąszczami unoszących się na wodzie wodorostów sargasowych. W miejscach płytszych dno morskie usłane jest w wielu okolicach nieprzebytymi gęstwinami najrozmaitszych wodorostów. A ileż miliardów form zwierzęcych zamieszkuje nurty oceanu! Wszystko to żyje, rozmnaża się i zamiera tutaj, a trupy roślinne i zwierzęce tych niezliczonych miliardów stworzeń dostają się ostatecznie do jednego, wielkiego cmentarzyska—zalegającego przepastne dno oceanu, to najwspanialsze, rzecz można, grobowisko życia ustrojowego.

Ta olbrzymia masa martwej substancji organicznej, spoczywającej na dnie oceanu, staje się znów źródłem nowego życia. Zdaje się być rzeczą pewną, że w niektórych okolicach globu naszego, gdzie spotykają się z sobą wielkie prądy morskie, w dwóch różnych płynące kierunkach, powstają tak potężne wiry, że sięgają daleko w głąb oceanu, zakłócają martwość i spokój grobowy otchłani morskich i siłą olbrzymią porywają z dna warstwy namułu, podnosząc je ku płytszym wód sferom, gdzie roi się od miliardów istot morskich, znajdujących tu dla siebie obficie zastawiony stół. Przekonano się, że istotnie w miejscach, gdzie istnieją podobne wiry, jak np. koło brzegów Nowej Fundlandyi, fauna morska niezwykle jest bogata, bo masy substancji organicznej porywane tu zostają z dna przez słupy potężnych prądów pionowych, przez co warunki odżywiania się dla t. zw. fauny pelagicznej są tu niezwykle korzystne. Zarówno też obfita bardzo fauna pelagiczna w okolicy Algieru zawdzięcza swój byt w znacznej mierze przypuszczalnemu prądowi pionowemu, który tu z dna ku górze się wznosi i porywa z sobą namuł organiczny.

Ale w jeszcze większym bez porównania stopniu martwa substancja organiczna, zalegająca dno morskie, stanowi pożywienie dla istot, które zamieszkują wielkie otchłanie oceanu. Z nich to czerpią pokarm najniższe organizmy, drobnoustroje, przedewszystkiem pewne bakterye i obficie rozmnażają się, a same znów

stanowią pożywienie dla ustrojów nieco wyższych, które stają się łupem większych postaci drapieżnych, uganiających się bezustannie za żywym łupem.

W oceanie więc, podobnie jak na lądzie, ciągle odbywa się krążenie materji. Wszystko, co żyje w morzu i co ostatecznie w niem zamiera, opada w znacznej części na dno, a z tego wielkiego, na głębokości tysięcy metrów pod powierzchnią oceanu ścielącego się grobowiska czerpią materję organiczną i nową energję życiową inne znów ustroje, zamieszkujące tajemnicze nurty oceanu.

Dr. JÓZEF NUSBAUM.

Paweł Verlaine.

W roku 1894, po śmierci Leconte'a de Lisle, ogłoszono ankietę literacką tej treści: „Kto w sławie i uszanowaniu u młodych ma zająć miejsce Leconte'a de Lisle?“ Większością głosów oddano było poezyi—Verlaine'owi. Młodzi otoczyli go natychmiast kołem, jako królewska świta, i chodzili z nim po kawiarniach dzielnicy łacińskiej. Biedny król, z wielkim orszakiem dworzan i pochlebców, nie miał cywilnej listy. Wieczny podróżnik i niepoprawny cygan umarł w chwale pośród cierpienia i nędzy. Był jak gwiazda błędząca, co po szalonej wędrówce gaśnie na skłonie widnokregu, zostawiwszy na niebie szlak płomienisty swego przejścia.

Zostało po nim wspomnienie „biednego Leliana,“ który, pozbawiony praktycznego zmysłu życia, ściągnął na się największą biedę i cierpienia, a życie kończył, jak nędzarz, w publicznych szpitalach, i tajemna siła wielkiego poety, który tworzył bez pracy i bez wysiłku, jak drzewo rodzi owoce.

W twórczości Verlaine'a, związanej jak najściślej z jego życiem, można odróżnić trzy okresy: pierwszy od roku 1844 do 1871, drugi do r. 1881, trzeci aż do śmierci w r. 1896.

Pod znakiem Saturna.

Verlaine urodził się w Metz w r. 1844. Po kilku latach przybył z rodziną do Paryża, gdzie skończył nauki średnie w liceum Bonapartego (dzisiaj Condorceta), poczem zapisał się do Szkoły prawa. Kiedy jego ojciec zrujnował się w nieszczęśliwej operacyi giełdowej, Verlaine wstąpił do towarzystwa ubezpieczeń,

l'Aigle, skąd przeniósł się wkrótce, jako urzędnik miejski, do Hôtel de Ville w Paryżu. Nudną pracę biurową wynagradzały mu wesołe wieczory i noce, które spędzał w dzielnicy łacińskiej pośród młodej cyganery literackiej, studentów i kobiet. Bawili się wesoło, pili wiele, rozprawiając, jak najczęściej młodzi ludzie, o kobiecie i sztuce. Verlaine, który nie znał nigdy miary w sprawach życia praktycznego, nadużywał zabaw i napojów. Wcześniej nadwreżył nerwy i zgorzkniał. W wyobraźni roily mu się wizye baudelerowskie, ubrane w trupie prześcieradła. Szukał przeciw nim lekarstwa w odrętwieniu, morfinował się napojem i rozkoszą, a gryzący rozczyń absyntu zaczął ryc pierwsze ślady na nieregularnej masce jego twarzy. Trupia błądź powleka czoło wysokie i mocno sklepienie, a małe, skośne oczki biegały gorączkowo ponad silnie wystającymi kośćmi policzkowemi.

W tym czasie wszedł w stosunki z młodymi Parnasistami i wydał swoje pierwsze utwory w zbiorowej książce: „Le Parnasse contemporain.“ Duchowo żył wtedy wrażeniami z życia i czytania, jak każdy młody artysta, który błąka się w trwodze i niepokoju po brukach wielkomiejskich, szukając twardego gruntu, by na nim oprzeć swoje dzieło, treść żywota i rację bytu. Te szumowiny młodego temperamentu, wczesny przesyt życia i duchowe niepokoje stanowią treść jego książki, wydanej w r. 1866, jako *Poematy saturniańskie*¹⁾. Bo Verlaine przyszedł na świat pod znakiem Saturna, który, według przepowiedni astrologicznych, tworzy temperamenta niespokojne, mrukliwe i ponure.

„Ach! pierwsze kwiaty, jakie woniejące,“ mówi na jednym miejscu w tej książce. Pierwsze to były kwiaty jego poetyckiego kwiatostania, ale wszystkie już przywiędły na upale dusznym i niezdrawym. Wiele pośród nich gorzycy i piołunu, a wydają zapach mocny, odurzający, który członki ubezwładnia, a nerwy zaostrza i pobudza do zmysłowego rozmarzenia. Wspomnienia dnia wczorajszego wiją się leniwie długimi sznurami, jak dymy kadzielne.

„Wspomnienie, wspomnienie, czego ty chcesz odemnie?“ Marzenia błądzą ciągle i natrętnie około jakiejś kobiety wysnionej i nieznannej, dalekiej a ukochanej. Widzi ją gdzieś poprzez mgłę i promienny od szczęścia śpiewa ku niej pieśń tak łagodną, jak muzyka podwieczorna, dyskretna i przyciszona. Ta żywiołowa potrzeba ciszy, niezmierzonej ciszy dla umysłu znużonego i dla znużonego ciała, przenika poezye z pierwszej części.

¹⁾ Poèmes Saturniens, poésies, Paris, Lemerre, 1866.

„De la douceur, de la douceur, de la douceur.“

Marzy, że gdzieś w ciszy letniego wieczoru siedzi para kochanków na miękkich poduszkach z aksamitu. Na dworze szaro i ciepło. Zwierają sobie szeptane wyznania i wyrzuty bez goryczy. Czasem łza spadnie, jakby mimowoli, a wtedy się przytulą i ukołyszą w marzeniach bez początku i bez końca, bez celu i bez echa. W takich chwilach podwieczornych kłębiły się młodzieńcze sny Verlaine'a, zanim melancholia przywaliła je niby mgły ciężkie i szare, które przeszywał od końca do końca syczący, ironiczny poświst.

Oto są „Smutne pejzaże,“ noce jesienne, kiedy księżyc czerwony, jak rozpalona cegła, zawisł pośród tumanów mgły. Dreszcz niepokoju wstrząsa lilie, które rosną pośród ostów. Rzadko jeszcze wśród nocy przejrzystej zawodzi słowik w gęstwinie, a z głębokich błękitów spływają z gwiazdy na gwiazdę obłoki melancholii szarej, niby pieśń pastusza pod jesień.

Les sanglots longs
Des violons
De l'automne...

Na prostych skrzypcach gra smętną muzykę wieczorną, a dźwięki płyną długie, powikłane i rozlewają się po łąkach, ozłoconych blaskami księżyca. Śpiew słowika przerywa rechot żabi. Odzywa się zgrzyt, maci ciszę i sen znużonego i rośnie. W „Akwafortach“ znajdują się fantazyje ponure, jak Zmora, Dziwadła lub Efekt nocny, gdzie wśród ulewy i poświstu wiatrów w ciemną noc kołyszą się szeregi wisielców na skrzypiących szubienicach. Wrony dzióbem im czaszki, wilki rozszarpują nogi, a w dali płoną łuny wielkiego miasta.

Znaki moralnego rozkładu potęgują się w „Kaprysach.“ Słychać w nich świeże echa rozpusty w dzielnicy łacińskiej, rozlega się śmiech tłusty, krótki i trujący, który się kończy najczęściej niesmacznym grymasem. Każdy uśmiech, każde gorętsze uczucie, każdą myśl jaśniejszą gryzie i podcina ironia. Verlaine szydzi z dziecinną lekkomyślnością i pryska koło siebie szumowinami młodego temperamentu. Z chorobliwym upodobaniem rozgrzebuje brudy życia prywatnego, a choć przejmują go wstręt i drży od bolesnego wzruszenia, wyrzuca na widok publiczny trumnę ze swem marzeniem „na pół zgniłem.“ Koło niej kurtyzany o twardych pierśsiach, a ciałach zimnych i połyskujących, jak marmur, tańczą szalonego kankana, wyjąc dziwaczne „De profundis“...

Na „Poematy saturnińskie“ składają się najrozmaitsze elementa: młodzieńcze marzenia, echa pierwszych rozterek duchowych, szumowiny temperamentu, a nadewszystko gorące, przepotężne mrowienie rozkoszy, które pędzi mu we krwi. Po chwilowych wybuchach werwy następuje melancholia anemiczna, którą przerywają piorunowe, wściekłe połyski rozpalonych oczu, gorączkowe ruchy pośród ogólnej niemocy ciała zmęczonego i tej goryczy zeschłego języka... W ciężkiej, dusznej atmosferze grzechu unoszą się opary kliniczne, woń pokoju, z którego co dopiero wyniesiono trumnę... Odurzyły Verlaine'a trupie zapachy, jakie wstają z „Kwiatów złego,“ a dreszcz baudelerowski trząsał nim wtedy, jak febra.

Tu i owdzie znajdują się w tym zbiorze poematy historyczne, napisane pod wrażeniem „Legendy wieków“ Wiktora Hugo i „Poematów barbarzyńskich“ Leconte'a de Lisle. W nich przepływa z łoskotem rozgłośne granie trąb epickich. Wstają różne postaci z epoki Odrodzenia ponure albo w posagowej chwale. Bohaterowie Ramajany pędzą na wojennych rydwanach w lasach palmowych ponad brzegami Gangesu.

Chwilami rodzi się w nim bohaterski rozpęd. Słyszy nad głową poszumy orlich skrzydeł i wielkimi krokami idzie po pagórkach wieczności, aby wszystko zobaczyć, objąć i stworzyć własną syntezę. Z rozmachem i dumą człowieczą rzuca bogom wyzwanie w zakończeniu swojej książki: My, „którzy zwyciężymy bogów, nie wierząc w nich sami.“ Może to teatralny gest młodzieńca, który wspina się na końce palców i grozi najwyższemu potęgom, a jednak czuć w nim jakiś dreszcz heroiczny. Jest on także wyraźną wskazówką nastroju duchowego poety w owym czasie. Bo po pierwszych błędzeniach pośród cieniów znalazł Verlaine chwilową ostoję w pozytywizmie, który w jego oczach budował ogromny gmach wiedzy ludzkiej. Na tych fundamentach chciał oprzeć swoje dzieło, kiedy pisał w przedmowie do „Poematów saturnińskich:“

To, czego nam potrzeba, nam, „Poetom Szczytu.“
Co nie wierząc w ich bóstwo, wielbią jednak bogi,
Którym na czoła nie padł żaden blask z błękitu,
Żadna nigdy Beatrix nie wskazała drogi.

Co cyzelujem słowa, jak złote puhary,
Z chłodów własnych stwarzając wiersz ognia i drżenia!
A nie pójdziem wód brzegiem w wieczór srebrno-szary,
Szukać omdleń rozkosznych w ciszy zapomnienia!

To, czego nam potrzeba—to Wiedzy przepychu
 Moc, co wydarła prawdzie długa noc bezsenna,
 Czoło Fausta skupione gdzieś na zblakłym sztychu.
 To Upór tytaniczny i Wola w czyn plenna.

To, czego nam potrzeba, jest Pracą bez granic,
 Wysiłkiem niezmiernym i Walką bez końca,
 Głuchą nocą chaosu, gdy z za gór krzesanie
 Wznosi się Dzieło-Słońce, jaśniejsze niż słońca. 1)

Moment historyczny sprzyjał rozszerzeniu się idei pozytywistycznych, bo świat po romantycznych płaczach, spowiedziach i potopie sentymentów potrzebował chwili ciszy, skupienia się, choćby nawet kamiennego odretwienia. Dlatego pozytywizm przeniknął we wszystkie gałęzie pracy ducha, a w poezji wyraził się w kilku hasłach: wiedza i niewzruszoność (*l'impassibilité*) w treści, a w formie wiersz klasyczny, o silnie zarysowanych konturach, który w płastyce opisów szedł o lepsze z malarstwem.

Pozytywizm był wręcz przeciwny temperamentowi Verlaine'a, który, słaby z natury i niezmiernie podatny na wpływy zewnętrzne, poszedł za prądem chwili. Stał się zaciętym Parnasistą, obcował tylko z poetami tego grona, odwiedzał salony Leconte'a, Banville'a i znanej wtedy Niny de Calias. Wszędzie przybierał pozę „niewzruszonego,” forsował swój temperament, a po cichu przyginał gwałtem serce i prosił je, szepcząc: „Ucisz się, biedne serce, ucisz się, mój stary współniku.“ Mimo wysiłku, nie stał się nigdy „niewzruszonym,” choć pozostał wiernym parnasyzmowi przez lat kilka. Jeszcze w r. 1869 w liście, gdzie opisuje swoje odwiedziny u Wiktora Hugo, pisze: „A co się tyczy Niewzruszoności, naszego wielkiego słowa, nas Parnasistów...“ Poza linie Parnasu usunął się dopiero po r. 1870. W kilka lat później rzucił w twarz swoim dawnym przyjaciołom literackim: „Drzewo, drzewo i jeszcze raz drzewo!“

*

*

*

1) Tłómaczyła p. A. Kłopotowska.

„Zabawy dworne“¹⁾ spokojniejsze, bez zgrzytów i bez trupiej woni są niemal antytezą „Poematów saturniańskich,“ jako przepiękna igraszka umysłu znużonego, który pragnie odetchnąć w atmosferze wesela, a po cierpieniach poważnych rozerwać się lekko-myślnie i bez troski.

Salony z XVIII wieku, buduary kobiece, ogródki à la Watteau, gaje i ustronia dla sentymentalnych marzycieli, ożywiają pary kochanków i rozbawione erotycznym szczebiotaniem towarzystwa, które wichier rewolucyi zmiotł i rozrzucił, jak naręcza zeschłej trawy. Verlaine, niby chłopak, chodzący z szopką noworoczną, łączy swoje figurki, rozdziela i znów grupuje wśród dwornych ruchów, uśmiechów i gestów. A słowa tak dobrze stosuje do ruchliwej pantominy, że jego figurki żyją, igrają i tańczą rozkosznie niby żywa szopka, ucieszna szopka. Piękne damy o wysokich fryzurach, przysypanych silnie pudrem, w lekkich sukienkach z gazy i koronek, uśmiechają się do grzecznych chłopców w perukach i frakach, kawalerów wyrafinowanych, ale lekkomyślnych pędziwiatrów o mózgach ptasich i sercach motyli.

*Trompeurs exquis et coquettes charmantes,
Coeurs tendres, mais affranchis du serment...*

Rozkoszne łobuzy i trzpioty gonią za białą sukienką i pończoszką ażurową, igrając z życiem i miłością. Przysięgają uczucia pięknym damom, ale wnet zwodzą się wzajemnie, by mieć sposobność do komicznej sceny pojednania, gdzie kochanek całuje panokiec małego paluszka dającego się przyjaciółki.

Oto hrabiny, markizy i młodzi ich wielbiciele zasiedli na polance pośród gaju do pasterskiego śniadania. Otacza ich wonne ciepło i lekki obłok rozkoszy zmysłowej. Rozweselone pary objęły się w pół, szepejąc cicho, i słuchają dwornego kazania, które z kielichem w dłoni prawi ksiądz podochocony. W krzakach szczyrzy zęby stary Faun i chichocze tłustym śmiechem, bo ujrzał po drugiej stronie polanki nagą nimfę, rozciągniętą w cieniu drzewa.

Miłość i śmiech są celem ich życia, a jednak nie znają miłości. Ich serca motyle zdolne są tylko do igraszki i miłostek jednodniowych.

*Des baisers superficiels
Et des sentiments à fleur d'âme.*

¹⁾ *Fêtes galantes, poésies, Paris, Lemerre, 1869.*

Wiodąc rozpustną maskaradę z całym wykwiem salonowej dworności, nie wierzą we własne szczęście. Czasem tylko, wpadłszy w sielankowy sentymentalizm, pasterze i pasterki siadają na łódki, zdobne girlandami kwiatów, i płyną do wymarzonej Cytery przy brzęku gitar i mandolin. Dopiero przy końcu książki zakłada Verlaine tłumiki na swoje muzyki delikatne. Melancholia obejmuje pary, znużone sentymentalnem igraniem i schodzi na nie, jako cienie wieczorne. Drżą ze strachu przed tem, co jutro nadejdzie.

„Zabawy dworne“ są bardzo piękną ilustracją poetycką życia salonowego i sztuki francuskiej z XVIII wieku. Damy sentymentalne i lekkomyślni kochankowie przybierają wyrafinowane miny i grupują się, jakby na obrazach Watteau, po ogródkach w stylu Lenôtre'a i w gajach ponad strumykami, aby przeigrać kilka chwil pasterskiej maskarady. Zalatuje od nich woń paczuli i proszek z pachnących pudrów, a ciągnęła troska o wykwiem i galanterję salonową daje im wdzięk kruchy dziewcząt Greuze'a o twarzyczkach z białej porcelany, poczerwienionej maliną.

*

*

*

„Dobra Pieśń“¹⁾ wyszła w r. 1870 równocześnie z wybuchem wielkiej wojny. Wiktor Hugo nazwał ją bardzo szczęśliwie: „kwiatem w kuli armatniej.“

W międzyczasie Verlaine zmienił się moralnie tak, że mógł powiedzieć o sobie: „Mam od roku wiosnę w duszy.“ Ślubował sobie zupełną zmianę życia, wyrzekł się rozgoryczenia, namiętnych gniewów, a przedewszystkiem „wstrętnych napojów.“ Tę zmianę sprawiła w nim „mała Rusałka,“ którą zobaczył w jednym z dni czerwcowych, kiedy był bardzo „stroskany.“ Przyszła ku niemu w sukience szarej i zielonej z zakładkami,

„Cała z wdzięku i odcieniów
W blasku swoich lat szesnastu.“

„Dobra pieśń“ jest krótką historją jego miłości od pierwszego spotkania się aż do ślubu. Pierwsze westchnienia, szczęście

¹⁾ La Bonne Chanson, poésies. Paris, Lemerre, 1870.

narzeczonego i niespokojne wyczekiwanie dnia ślubu przerywają naiwne wykrzykniki: „Jeszcze piętnaście dni...“ Jest nadto trochę smutku i drżenia z niepewności o jutro, które uspokajają odwiedziny w domu narzeczonej i cicha rozmowa przy lampie w ciepłym pokoiku tak błoga, jak sen na woniejącej trawie. Ukołyszany marzeniami rozmyśla kochanek nad przyszłym życiem spokojnym i cichem.

„Chcę przez życie kroczyć prosto i spokojnie!“

„Dobra pieśń“ jest jako „bukiet, ofiarowany narzeczonej w dzień ślubu.“¹⁾ Bukiet złożony z niezapominajek i konwalij, lilij i stokrotek, ... może trochę naiwny dla widzów, ale wzruszający swoją dziewczczą białością.

Między lilią a różą.

W roku 1870 Verlaine poślubił Matyldę Mautet, siostrę przyrodną kompozytora, Karola de Sivry. Na wschodnich granicach Francji wrzała już wtedy zacięta wojna. Klęski przysły po klęskach. Armie pruskie zajęły północną Francję. Sam dumny Paryż, Ville-Lumière, zaczął się walić w gruzy pośród straszliwego łoskotu pruskich kartaczy. Verlaine pełnił czynną służbę w gwardyi narodowej, a po zdjęciu oblężenia wziął czynny udział w Komunie, jako naczelnik prasy rewolucyjnej. Kiedy Wersalczycy zajęli Paryż, musiał uciekać do Londynu, skąd wkrótce powrócił do żony.

Marzenia kochanka, wesele pierwszych dni małżeńskiego życia—minęły już wtedy bezpowrotnie. Niezgoda wcisnęła się między nich i z każdym dniem budziła niesnaski i żale, jątrzyła ledwie zapomniane urazy, aż z przybyciem Rimbauda rozpalila się w otwartą wojnę. Verlainowie powitali przyjaźnie młodego przybysza i ofiarowali mu gościnny przytułek. Ale ekscentrycznością zraził Rimbaud przychylnie mu umysły i musiał się z domu usunąć, a Verlaine, zagniewany na żonę, zbliżył się prawem kontrastu bardziej jeszcze do przyjaciela. Odtąd żyli przez dwa lata prawie związani mocną przyjaźnią i braterstwem duchowem. Wśród długich przechadzek po Montmartre i dzielnicy łącińskiej,

1) K. Morice, Paul Verlaine, Paris, Vanier, 1888, str. 23.

podczas dalekich wędrówek we Francyi, Anglii i Belgii rozprawiali o nowej sztuce i nowej poezyi, której posiew przyniósł ze sobą ten dziwny a genialny młodzieniec. Rimbaud miał od pierwszej chwili wielki wpływ na przyjaciela przez swoją energię ognistą, ducha buntu o bezkresnym pędzie i bezwiednem prawie jasnowidzeniu ostatecznych celów. Jako chłopiec szesnastoletni napisał już dużą wiązaną utworów, w treści wizyj płomienistych i nowych, a w formie często najzupełniej wykończonych. Miał ogromną siłę woli, systematyczność w logicznym rozwoju poglądów aż do krańcowego paradoksu i jakiś spirytualizm szeroki, graniczący z panteizmem. Posiadał także własne a nowe rozumienie poezyi. A że przychodził jak wichur, porwał za sobą Verlaine'a, który z niezdecydowanego pozytywisty stał się idealistą, a w poezyi przeszedł szybko poza miedze Parnasu na pola sztuki nowej.

W „Romansach bez słów,¹⁾ napisanych między latami 1871 a 1874, niema myśli przewodniej, rozwiniętej systematycznie przez całą książkę. Rozmaite tematy płaczą się kapryśnie, w niedbałym układzie artystycznym. Najwięcej tu jest wrażeń z życia cygańskiego i wspólnych wędrówek z Rimbaudem z kraju do kraju, z miasta do miasta, od gospody do gospody. Pośród pejzaży belgijskich, naszkicowanych kilku mistrzowskimi liniami z okna karczmy przydrożnej, wiją się, niby dymki nikłe a gryzące, wspomnienia z przygód i cierpień, doznanych podczas długiej, cygańskiej tułaczki. Tu i owdzie zaplaczają się reminiscencye literackie z „Zabaw dwornych,“ czasem jasny, jak łąza przezroczyista, i gorzki, jak łąza, poemat, w którym szlocha swoją boleść męża i tęsknotę ojca. Kapryśnie nadał tym wierszom angielskie tytuły: *Birds in the night*, *Green* i *Child-Wife*.

Zresztą nie chodzi o jakąś myśl przewodnią całej książki lub treść wierszy poszczególnych, ale o sposób, w jaki Verlaine urzeczywistnił nowy rodzaj poezyi. Nie znajdzie się w tym zbiorze obrazów, zarysowanych mocno i plastycznie, ani myśli głębokich, ani ognistych wizyj poetyckich. Treść najczęściej jest błaha, czasem naiwna, ale wypowiedziana z jakimś wdziękiem lekkim i czarującym, jak ten wiersz o jarmarcznej, powszedniej karuzeli:

„Kręćcie się, kręćcie dobre koniki drewniane...“

¹⁾ *Romances sans paroles, poésies, Sens*, Typographie de M. l'Hermitte, 1874.

Verlaine — w przeciwieństwie do Parnasistów, opartych na pozytywizmie — uznał wzruszenie za jedyne źródło poezyi, a siłę wzruszenia za jedyne dobro poety. Nie chciał malować plastycznych obrazów, ani rozwijać myśli potężnych a górnych, ale z każdego wrażenia, już przetrawionego wewnątrz, zamykał w wierszu to, co nas do niego pociąga, coś zwykle niejasnego, często nieświadomionego, lotnego jak powietrze, co jednak jest korzeniem i miążgą rzeczy, a snuje się w wyobraźni jako te dymki sine, które z pól i łąk rozgrzanych upałem podnoszą się na wiosnę. Zajmowało go tylko ogólne wrażenie i jego echo, niby ten pogłos, jaki zostawia za sobą piękna muzyka, gdy przebrzmiała. Odrzucił linie ostre, retorykę deklamującą głosem podniesionym, brutalny krzyk i zgrzyty, a wreszcie zamienił w muzyki delikatne i symfonie rozwiewne, które dzierzgał z jedwabistych tonów, półtonów i subtelnych odcieni. Przyciszzone szmery minoro-we wiły się kapryśnie za najśłabszym podmuchem wyobraźni, jak stłumione pogłosy arii, granej leciuchno, z niedbalstwem i w lenistwie ducha znużonego.

Pianino, które dłoń przejrzysta trąca,
 Lśni w wieczora różowo-szarym cieniu.
 A pieśń stara, leciuchna i marząca
 Drży cichutko w rozkosznym półomdleniu
 I lękliwie w mrącem echu się śmieje
 W buduarze, co tchem Jej wonieje. ¹⁾

W harmonijnym układzie wierszy współzawodniczył Verlaine z muzyką. Jak muzyka chciał tylko podniecać nerwy, a wyobraźnię pobudzać do samoistnej pracy twórczej, poddając nastrój, wzruszenie i drogę zawrotną, która miała prowadzić do celu.

Ach odczuwam poprzez szmery tajne
 Subtelne przebrzmiałych głosów brzęki.
 Lśni mi przez te światła dźwiękodajne
 Brzaski blade miłości jutrzeńki.

Dusza, serce w tęsknocie zbląkane
 Patrzą w głąb istnienia, skąd ulata,
 Rozbijając się o mroków ścianę,
 Dźwięk wszystkich smutnych piosnek świata. ¹⁾

Sam przeszedł niejednokrotnie poza granice poezyi tam, gdzie się zaczyna wyłączna dziedzina muzyki. Chwilami współzawo-

¹⁾ Tłómaczyła p. A. Kłopotowska.

dniczył z nią szczęśliwie, ponieważ, jak najczulszy instrument muzyczny posiadał w wysokim stopniu piękny dar odbrzmiewania.

*

*

Dwuletnia przyjaźń z Rimbaudem skończyła się bardzo smutnie. Podczas sprzeczki w Brukseli Verlaine strzelił po dwakroć i zranił przyjaciela. Trybunał belgijski skazał go na dwa lata więzienia i osadził w Mons. Pozostał tam do stycznia roku 1875.

Z początku szybkość wypadków przywalała go ciężkim brzemieniem i oszołomiła na śmierć. Ale wnet pośród czterech ścian celi więziennej pozostawionego samemu sobie, swoim myślom i samotności, tak okrutnej dla więźnia, zgroza chwyciła za gardło żelaznymi szponami i dusiła gwałtem. On... Verlaine, z szanowną przeszłością rodzinną, poeta z bożej łaski... tu, pośród obcych, zamknięty między zbrodniarzy i sam, jako zbrodniarz... Kiedy rzucił oczyma wstecz na całą przeszłość swoją, ujrzał zniemioną młodość, życie szalone bez jutra, zdeptaną miłość żony, zapomniane obowiązki ojcowskie i ten morderczy gest przeciw najlepszemu przyjacielowi. A gdy pomyślał o przyszłości zakolebało nim przerażenie. Słyszał w duszy, jak przechodzącego koło mieszkań ludzkich ścigać będzie szydery śmiech z okien, słyszał za sobą wycie psów!... Uderzyła nań pałaca łuna wstydu.

„Nieszczęsny! ty Francuz, ty chrześciani—co za szkoda!“

Pocieszał się, że najbliżsi może, żona, matka, przyjaciele wybaczą mu i przygarną marnotrawcę. I w biednym sercu swoim błogosławił ich i wdzięczność już przysięgał bezgraniczną. Żonę błagał o przebaczenie za pośrednictwem Wiktora Hugo i w wielkiej trwodze wyczekiwał od niej słów pociechy, choćby jednego słówka: przebaczam. Czekał długo. Aż w kilka tygodni po zapadnięciu wyroku wszedł do jego celi dyrektor więzienia i wręczył mu pismo trybunału cywilnego Sekwany, który zaocznie przychylił się do rozwodu, a syna oddał matce na wychowanie. Cios był gwałtowny i bolesny nad wyraz. „Upadłem we łzach moimi biednymi plecami na moje biedne łożo,“ mówi Verlaine. Uczuł się tak bardzo biedny, opuszczony, sam, samiuteńki na całym szerokim świecie. A gdy wśród murów więziennych rozmyślał o swo-

jem nieszczęściu i o przyszłym, nędznym, szarym żywocie, spłynęły ku niemu po promieniach światła niebieskiego krwawe oblicze Chrystusa i twarz Madonny blada, ale niezmiernie łagodna.

Poprosił kapelana więziennego o katechizm rzymski i czytał go powoli, karta za kartą. Ale dogmaty wiary były dlań jako rzeczy martwe. Dopiero tajemnica Ciała i Krwi pańskiej buchnęła go niby toporem w ciemność, rozdarła w mózgu jakąś zasłonę tajemniczą, a samego zwałała piorunem na kolana. „Nie wiem, co lub Kto podniósł mnie nagle, wyrzucił z łóżka, zanim mogłem się ubrać i powalił krzyżem we łzach, w szlochaniu u stóp Krucyfiksu... Wierzyłem, widziałem, zdawało mi się, że wiedziałem, byłem oświecony światłem bożem. Byłbym poszedł spokojnie na męczeństwo.“¹⁾

Wyspowiadał się przed kapelanem więziennym i odtąd całe dnie spędzał na kolanach w ekstatycznym rozmodleniu. Błagał wśród łez i wśród uśmiechów, trząsał się w mistycznej gorączce, jak dziecko nieletnie, które pierwszy raz padło na kolana przed cudownym obrazem Chrystusa. Te modlitwy i śluby, rozmowy z Bogiem i pobożne rozmyślenia zebrał w „Księgę mądrości,“²⁾ którą nazwał swoją „książką neofity.“

Dobry rycerz zamaskowany, któremu na imię nieszczęście, przebił lancą serce poety. Wypłynęła z serca krew różowa i gorąca, a po dymie, wznoszącym się z niej ku niebu, zesłała śnieżna Pani, Modlitwa. Z pokorą i skrucą grzesznika przyjął wszystkie doświadczenia i ostatnią karę tak ciężką. Kajał się i modlił. Ale pokusy wróciły natarczywe, wróciły tłumem całym niby burza gradowa, by uderzyć po raz ostatni, najsilniej. Wabiły go swobodą dawnej włóczęgi, łechtały zmysły ciepłem kobiecych ciał w omdleniu i upałem warg szkarłatnych od rozkoszy. Odpędzał je ze wszelkiej mocy, szamotał się przerażony, a kiedy mu już sił zabrakło, runął na ziemię przed więziennym krucyfiksem i w zapale walki ofiarował się całej Chrystusowi.

O Panie, przeszyłeś mnie miłości bólem

I rana moja przed Tobą drży otwarta,

O Panie, przeszyłeś mnie miłości bólem.

O Panie, przejął mnie strach Twych sądów święty,

Ogniem jego dusza moja jest przeżarta,

O Panie, przejął mnie strach Twych sądów święty.

.

¹⁾ Mes Prisons, prose, Paris, Vanier, 1893.

²⁾ Sagesse, poésies, Paris, Soc. générale de Librairie catholique, Palmé, 1881.

Oto czoło moje od hańby pobladłe
 Na podnózek weź stóp Twoich uwielbionych,
 Oto czoło moje od hańby pobladłe.
 Oto ręce moje próżne a bezczynne
 Niechaj podsycą żar Twych kadzideł wonnych,
 Oto ręce moje próżne a bezczynne.
 Oto serce moje, co było daremnie,
 Niech pozdziera mi się na cierniach Golgoty,
 Oto serce moje, co było daremnie.
 Oto stopy moje, błędne podróżnice,
 Niech na łaski Twojej wybiegną szlak złoty,
 Oto stopy moje, błędne podróżnice.
 Oto oczy moje żarzące się grzechem,
 Niech zagasną od łez, modlitw i tęsknoty,
 Oto oczy moje żarzące się grzechem...¹⁾

Lecz czy ofiara została przyjęta? Czy, spadłszy tak nisko, zdoła wznieść się aż na górne wysokości, kędy króluje Bóg w całej gloryi i potędze? Lękał się, drżał cały. Bo choć dusza rozmodlona paliła się miłością, jak ten płomień dobrej ofiary, ciało leniwe i ciężkie nie mogło się zwlec z grzesznego barłogu. Wznosił tylko rękę błagalną i wołał:

Podaj dłoń, Panie! abym podnieść zdołał
 Ciało zgnuśniałe i chorego ducha.

Po przesłicznych rozmowach z Bogiem i długich rozmyśleniach, uczuł się wybranym od Pana. Wtedy z powagą bożego pomazańca spojrzął na ludzi i sprawy ich. Wziąwszy z sobą Paryżanina, „swego brata wiecznie zdziwionego,“ poszedł z nim na górę Montmartre. U ich stóp rozciągał się wspaniały widok Paryża. Miasto dyszało gorączką, huczało tłumem tak, że zgiełk dochodził aż do szczytów góry. W dali rozciągały się przed nimi miasteczka, wsi i ustronia. Poeta zstąpił z góry i wyszedł poza bramy miasta, aby, jak mędrzec, znaleźć swoją Tebaidę.

W tej książce dudni żar wiary, buchają przejasne płomienie mistyczne, a pośród dymu kadzideł unosi się sam odrodzony Verlaine między lilią a różą, jak przedstawia go współczesna akwarela w stylu prerafaelickim: Na środku szarego pola stoi Verlaine z głową lekko naprzód pochyloną, a po bokach dwaj aniołowie w lnianych sukniach, złożonych gwiazdami. Długie włosy spina

¹⁾ Tłómaczyła p. A. Kłopotowska.

nad czołem dyadem, otoczony złocistą aureolą. Skrzydła tęczowe złożyli lekko po sobie, a nad głową poety trzymają mistyczną li-lię i różę, od których bije blask świetlisty.

*

*

*

„Księga mądrości“ jest niby jasne słońce, koło którego skupia się całe dzieło poetyckie Verlaine'a. Sama dzieli się na trzy części. Pierwsza z nich obejmuje kajania się grzesznika, modlitwy błagalne, pobożne śluby i pełne zapału pomysły wojującego neofity; druga rozwija się spokojnie i wolno wśród cichych rozmów duszy oczyszczonej z Panem; w trzeciej wieje już miejscami dawny duch światowy i każe przeczuwać nowe zmiany. Bo próżno zbroił się Verlaine na przyszlą walkę z życiem. Podniecał myśl do stworzenia pełnego systemu, przenośił się duchem w wiek XVII, w którym była mocna wiara, a nawet w wiekach średnich szukał tego ognia, co duszę rozpala aż do czerwoności. Potępiał życie współczesne i wiedzę, której przeciwstawiał objawienie, jako jedyne źródło mądrości. Z naiwnym zapałem neofity mieszał się nawet w politykę wolnomyślną, on, który nie miał odrobiny zmysłu praktycznego w sprawach życia. A życie przyszło wnet ogromne, szerokie i brutalnem ramieniem zmiotło jego najczystsze śluby. Próżno się zbroił. Już charakter jego nawrócenia, a raczej gwałtownej ekstazy nie pozwalał ufać w długotrwałość tego stanu. Myśl i przekonanie mocne, które rośnie z trudem, a dojrzewa powoli, miały tu cząstkę najdrobniejszą. Część dogmatyczna chrześcijaństwa była zawsze dla Verlaine'a krajem egzotycznym, a jego wiara błąkała się, jak po stepie bezkreśnym, pośród najogólniejszych formuł: modlitwa, miłość, pokora...

Kiedy znalazł się w więzieniu samotny i potępiony, bez przyjacielskiej podpory, której żywiołowo pożądał, rzuciły go pod stopy krzyża uczucie, nerwy i pewien sentymentalizm religijny, pojawiający się chronicznie w niebezpieczeństwie lub wśród nieszczęść u ludzi słabej woli, przedtem obojętnych dla wiary. Ile takich nawróceń widziały już ściany więzienne! Ten nastrój krótkotrwały ulatnia się najczęściej ze swoją przyczyną. A rodzi go strach przed jutrem życia lub przed jutrem śmierci, lęk przed czemś, co

jak potwór kudłaty o czerwonych ślepiach wali ku nam wśród ciemności. Podobnie dziecko nerwowe, kiedy nagle otworzy drzwi ciemnego pokoju, ucieka z krzykiem do kolan matki.

Dla tego chrześcijaństwo pozostawiło w życiu Verlaine'a tylko bardzo małe ślady.

Katolicy francuzcy różnie się zachowywali względem niego. Bali się niebezpiecznego sprzymierzeńca, przerażały ich barbarzyńskie namiętności i jego ogromne upadki, a jednak nie chcieli odtrącić zupełnie największego może po Dantem katolickiego poety. Nęciła ich myśl wcielenia do swoich zbiorów pięknej części jego dzieła, tej kaplicy wotywniej, zbudowanej pośród śmieci.

R ó w n o l e g l e.

Po gwałtownem nieporozumieniu z matką niezrównanej dobroci, przeżył Verlaine kilka ciężkich chwil w Londynie. Potem mieszkał w północnej Francji zajęty rolnictwem, na którym stracił szczupły już majątek. W r. 1881 wrócił razem z matką do Paryża, gdzie zapomniano zupełnie o autorze „Zabaw dwornych.“ W tym samym roku wydał „Sagesse“ i wnet potem został proklamowany „wodzem i doktorem satanicznym“ przez grupę młodych poetów, Henryka de Régnier, Viélé-Griffin'a, Tailhade'a i Karola Vignier. Śmierć matki w r. 1886 była dla niego klęską moralną i materyalną. Odtąd rozpoczęło się jego nędzne życie cygańskie po hotelach i kuajpach przerywane prawie regularnie w zimie reumatyzmem i kilkomiesięcznym pobytem w szpitalu, gdzie dopiero zajmował się pracą literacką. Tak powstały cykle: Miłość, Szczęście, Równoległe, kilka mniejszych utworów prozą i artykuły literackie. Sława jego rozeszła się szeroko poza granicami Francji. Otrzymywał zewsząd listy, dedykacje, a hojnie i po mistrzowsku szafował święconą wodą sławy młodym poetom, którzy obrali go swoim królem. Umarł w r. 1896. Pochowano go z pompą, wieńcami i mowami na cmentarzu Montmartre. Rząd francuski pokrył część kosztów pogrzebowych. Władysław Loevy zdjął maskę pośmiertną jego twarzy zniszczonej życiem, na której leżały bezładnie długie, wypłowiałe wąsy, jak trawy żółkłe i zamulone po długiej powodzi.

Życie Verlaine'a było bardzo ciężkie z winy własnego temperamentu, którego nigdy nie zdołał ująć w karby. Kierowały

nim zawsze nerwy. Dlatego trudno zarysować jego charakter jedną linią przejrzystą i posagowo. Wynyka się i wyslizguje w każdej chwili z pod ogólnego określenia, a cały będzie dopiero w szczegółach, odcieniach i jaknajdrobniejszych refleksach. Był dobrym synem, ale z matką zaślepioną w miłości macierzyńskiej, postępował czasem brutalnie. Czułym był mężem, a z żoną obszedł się, jak prostytut pijany i prześladował ją później epigramami. Dobry ojciec, ale napady miłości ojcowskiej powtarzały się u niego dość rzadko. Przyjaciół wierny, a miewał odruchy straszliwego egoizmu. Strzegł swego honoru, ale znajdują się u niego chwilowe przyćmienia elementarnej, zdawkowej moralności. Brak mu wszelkiej dyscypliny moralnej, brak trwałej myśli przewodniej żywota, brak mocnej afirmacji, która tworzy charakter człowieka. Chyba jedyna poezya...

Szedł po między odgraniczającą dobre od złego, zataczając się, jak pijany na jedną i drugą stronę, choć z uporem pijanego usiłował powrócić na prostą drogę. Był za leniwy duchem, aby podjąć jakąś myśl wielką i urzeczywistnić ją w walce, chociażby przebojem. Życiem swoim nie kierował. Przyjmował wypadki biernie. Dobrowolnie zgodził się na społeczność dzisiejszą i jej konsekwencye, a na każdym kroku starał się wyłamać z pod dyscypliny konwenansów niemal ukradkiem, jak żak. Brak mu w wysokim stopniu poczucia godności człowieczeństwa. Nawet ta sławiona przez towarzyszy kawiarnianych i literackich satelitów dobroć serca jest raczej bierną, bo rzucił pełną garścią dotkliwie, a tem boleśniesz, że bardzo często niezastużone, strzały złośliwych epigramów.

Zresztą, nie należy oświetlać jaskrawie dobrych lub złych stron jego charakteru, ani rozumieć zbyt tragicznie nieustannej w nim walki ciemności ze światłem, bo na samem dnie jego ducha, głębiej niż uczucia rodzinne, niż miłość chrześcijańska, niż dobroć i złe instynkta, głębiej nawet niż serdeczny nerw poezyi się wkorzenił, leżała jako pokład pierwotny lekkomyślność, naiwna prawie lekkomyślność wisusa brukowego. W życiu był, jak bałdy, wyrosły na przewiewnym pagórku, który rodzi szyszki kołące, ale wśród ciszy wydaje także błękitne kwiaty o mistycznym zapachu.

*

*

*

Zbiór liryczny, „Ongi i Niedawno,“¹⁾ obejmuje wiersze powstałe w różnych okolicznościach, mniej więcej od wyjścia z więzienia do roku 1884, które nie mogły wejść do trzeciej części „Księgi mądrości.“ Niema w nim myśli przewodniej, ani jednolitego nastroju, ale różne wspomnienia, wrażenia i refleksye z włości części po Londynie, życia na wsi i kawiarni literackich, przeplatane rzadko wierszami o poważnej nucie z „Księgi mądrości.“ Świeży wiatr polny owiał go, kiedy mieszkał w Coulommès, jako ziemianin. Odwiedzał wiejskie domy wieczorami i siadał w kole wieśniaków przy ognisku, gdzie pykano z fajek, a stary wyga, weteran z wojny pruskiej, łgał rzeczy tak straszne, że baby płakały cicho po kątach. Na chwilę drżenie marsowe wstrząsnęło synem byłego oficera i wtedy napisał wiersze pełne energii, szumne warczeniem bębnow i graniem trąb wojennych.

Ogólnie—natchnienie opadło tu bardzo w stosunku do „Księgi mądrości.“ Natężenie uczucia i moc ducha zwolniły się, a Verlaine puścił umysł na wiatry przypadków i stał się znowu jak harfa, zawieszona na drzewie przydrożnem, w którą trącają wszystkie poddmuchy codzienne i wałą wichry nieszczęść ludzkich. Życie zbliżyło go bardzo do warunków z pierwszego okresu twórczości. Dlatego wrócił dawny nastrój, a czasem nawet tematy z „Poematów saturnińskich“ i z „Zabaw dwornych.“ Piękne markizy i chłopcy lekkomyślni grają miłą komedyjkę, „Jedni i drudzy,“ w ślicznych kostyumach i wśród dekoracyj à la Watteau. Ale lekki uśmieszek już rzadko rozjaśnia ich twarze, znikły figlarne minki. Nawet Pierrot, lekkomyślny i zawsze wesoly, posmutniał bardzo i z teatralnym tragizmem kroczy pośród błyskawic w ciemną, burzliwą noc. Wiatr podwiewa mu wyszarzałą bluzę i unosi długie, białe rękawy po nocy. Bezradny Verlaine zgubił się znowu pośród szwargotu życia, jako dziecko na jarmarku. Nędza go gniołła, smutek stawał się coraz cięższy, a z nim wrócił dawny zgrzyt saturniński, szyderstwo i sarkazm. Kiedy na ludowych kiermaszach wałęsał się pośród bud jarmarcznych przy muzyce huczących katarynek, patrzył ze wstrętem na tę „cuchnącą kanalicz,“ tłum gapiów, którzy z rozdziawionemi gębami oglądali błazeńskie grymasy kłowna. A gdy tak szydził i prykszał wkoło sarkazmem, sam wyczerpany wpadał w głuchą niemoc, za którą waliła ruina.

„Je suis l'empire à la fin de la décadence...“

¹⁾ Jadis et Naguère, poésies, Paris, Vanier, 1884.

W „Ongi i Niedawno“ przechodziły jeszcze poważne melodie z „Księgi mądrości,“ jak powolne granie organów wśród hałasu jarmarcznych katarynek. W zbiorze „Równoległe“¹⁾ rozlega się nad wszystkim lubieżny chichot satyra. Tu huczy szaf zmysłowy, tu króluje Astarte! Zapalone miedziane kadzielnice po ogrodach arabskich haremów. Ciężkie, duszne kadzidła wałają się kłębami, jątrzą nerwy zapach potów ludzkich, a pary zmysłowych kobiet przesuwały się mileząco, wtulone w siebie gwałtem. Oto pokoik dwu pensyonarek. Wieczór letni, parny, ciężki. Zrzuciły z siebie sukienki, zrzuciły nawet jedwabne, szeleszczące jak bibułka koszule i przeciągają się w rozkosznej niemocy. Jakaś ręka ciepła, aksamitna łaskocze je delikatnie i łechce omdlewające nerwy. Rozpusta, niby drobne, różowe dziewczątka, wciska się do ich sypialni i rozdziela wyrafinowane pieśczoty... Oto ciężkie, rozpalone, pijane od rozkoszy ciała kobiet przewracają się gdzieś po zaroślach... Oto piersi dumne, wyprężone biodra i tłusty, cyniczny śmiech... Młode kobiety z płowym włosom łwice i czarne dziewczki, jurne jak młode jałowice, pędzą tabunem za rozkoszą, a Ruda Księżniczka wabi bezczelnym uśmiechem i wyzywa wszystkie oczy. Potem ulicznice, włóczęgi, wyrzutki społeczne, co po bulwarach wielkich miast wyrastają, jak pokrzywy pod płotem, wałają się w tym zbiorze tłumem, niby brudy cuchnące z kanału. Na ich czele staje Safo, naga cała, o członkach z twardego spiżu — i z rozwianym włosom pędzi jak wilczyca, wyciągnąwszy dłoń przed siebie. Rzy głodna za rozkoszą. Za nią barbarzyńska horda, szalone orszaki bachantek pędzą aż ziemia dudni, wałają galopem tam, kędy na olbrzymim wozie jedzie szeroko władna Astarte i miazdzy pokotem lubieżne gromady... Kupa ciał, dymiąca kupa ciał wtłoczonych, wessanych w siebie przemocą. Nogi poplątane w kłębiące się zwoje, twarze ceglaste od pożaru zmysłów, przeraźliwe oczy i ten fetor ludzkiej posoki!...

Roi się tu od nagich ciał, okrutnych gestów i kurczowych wykrzywień, a z bezbożnych łożnic w wiecznym nieporządku bucha odor ludzkich potów. Zdaje się, jakby te wiersze wyrzuciła z siebie rozwydrzona wyobraźnia starego satyra, bo nie chwilowe zboczenie erotyczne, ani wyrafinowana lubieżność, wyległa w zwyrodniałej wyobraźni wielkowiejskiej, ale rozwała się w nich barbarzyńska, tłusta, cuchnąca rozpusta i zbrodnie przeciw naturze, których miejsce tylko w rejestrach kryminalnych.

¹⁾ Parallèlement, poésies. Paris. Vanier. 1889.

Do opisania takich rzeczy zabiera się ze strachem, aby nie powiedzieć za dużo ani mniej, niż trzeba do scharakteryzowania książki. Sam Verlaine ogłaszał je z pewną trwogą. Czuł potrzebę wytłumaczenia się, ale znalazł tylko zwyczajną u ludzi słabych wymówkę:

Zmarnowałem me życie, wiem snadnie,
 Że przeklnie mię opinia górna.
 Chyba rzeknę gromowi, gdy padnie:
 Cóż poradzę? Jam dziecień Saturna!¹⁾

Nie było to chwilowe zboczenie erotyczne, bo w młodości już ogłosił potajemnie w Belgii mały zbiór sonetów, „Przyjaciółki,” za które ich wydawcę skazano na więzienie i grzywnę. W późnym wieku, złączywszy się wolnem małżeństwem morgantycznym z głupią, cielesną dziewczką, pisał „Pieśni dla Niej,”²⁾ a nakoniec „Ciało.”³⁾ W „Pieśniach dla Niej” sławi piersi, biodra, łono „nigdy nie zmęczone,” bo jego małżeństwo gwałtowne i brutalne było rezultatem jedynie pociągu zmysłowego. Podtusiwały, rogaty kochanek, nadyma się, jak gołąb stoszy pióra i grucha do swojej gołębiczy.

Moralnie—(mam na myśli katolicką moralność Verlaine'a)—jest to również książka zła. Posiada bardzo małą wartość literacką. Od śmiechu broni tylko poetę ironia rozsypana w niej obficie. Ironizuje siebie i ją, kpi bezczelnie w wierszach (nigdy ich nie czytała), które mają być wyrazem uajwiększej czułości.

*

*

*

Oto druga twarz jego dzieła w cyklach: „Miłość,”⁴⁾ „Szczęście”⁵⁾ i „Liturgie duchowe.”⁶⁾ Wraca dawny człowiek z „Księgi mądrości.” Niektóre wiersze z cyklu „Miłość,” napisane jeszcze

¹⁾ Tłómaczyła p. A. Kłopotowska.

²⁾ Chansons pour Elle, poésies, Paris, Vanier, 1891.

³⁾ Chair, poésies, Bibliothèque Artistique et littéraire, 1896.

⁴⁾ Amour, poésies, Paris, Vanier, 1888.

⁵⁾ Bonheur, poésies, Paris, Vanier, 1891.

⁶⁾ Liturgies intimes, Paris, Bibliothèque du Saint-Graal, 1892.

przed rokiem 1880, tętnią żalem i skruchą, wskazując, że gorycz, upamiętanie i wstyd powracały często, ale zawsze chwilowo, jasne lecz krótkie przebłyski uciśnionego ducha pośród nędzy żywota. Odzywa się także dziwna tęsknota za życiem więziennem regularnem i pełnem ciszy, bo tam duch jego oczyścił się, zmęźniał i zapłonął pięknem nabożeństwem. „O bądź błogostawiony zamku,“ woła, wyciągając dłonie ku tym murom i straszliwym kratom. „Była to wolność (jedyna!) bez swych trosk.“ Biedny Lelian lękał się życia, jego przynęt zwodniczych, a nadewszystko wolności niebezpiecznej, która mu była zgubą. Bo potrzebował zawsze twardego wędzidła tak, że dopiero w więzieniu lub szpitalu, ujęty w karby regularnego życia, czuł się zupełnie swobodnym. Odbywała się w nim jakaś wewnętrzna, prawie mechaniczna praca ducha, który usuwał z siebie brud, czyścił się i bielił. Rodziła się w nim gwałtowna potrzeba spokoju sumienia, białej sukienki neofity i niewinności lilij polnych. Chciał, aby jego serce stało się „czyste jak woda, co z pod skały bije,“ chciał stać się podobnym do niewinnych dzieci „w lnianych sukienkach.“ We wszystkich jego marzeniach unosił się symboliczny baranek Chrystusów o miękkiej wełnie, biały baranek, co beczy tak łagodne, a za Panem idzie powolny, oddając mu wełnę i życie. Pokutował pełen skruchy, płakał nad swoją nędzą i padał do stóp krzyża. Potem wznosił oczy nieśmiało i proste jak westchnienie, a żarliwe prośby posyłał ku niebu.

O wysłuchaj mię Panie i naucz, nim zginę.
 Modlić.—Ty, coś mądrością i dobrocią społem!
 Ty, niespokojny o mą ostatnią godzinę.
 Ty, coś mię wpieryw pokochał, nim istnieć począłem!

Wysłuchaj modłów moich. Wdzięczność nieskończoną
 Sam w nie najprzód włożywszy i korne błagania,
 Jak poeta skanduje odę ulubioną,
 Jak matka, co nad synem z pieśczętą się skłania,

Niech ma dusza sługą Ci będzie, o Boże!
 Wpieryw nim oblubienicą gdzieś po wieków końcu.
 Daj jej słodycz modlitwy, jak to mchowe łożę
 Daje ptaszynie malej, co kąpie się w słońcu!

Daj jej głębie skupienia, niby ten żłób świeży,
 Gdzie niewinny baranek igra, skubiąc trawę,

Gdy spada żar południa z słonecznych październików
Lipca i muszki w sianie brzęczą gdzieś złotawe...¹⁾

Modlił się rano, w południe i wieczór, a na cześć Matki Bożej napisał pieśń przesłiczną, którą bał się zaśpiewać skalanemi usty, aby nie zawył, jak wilk, pośród gromady sprawiedliwych.

Tak uciszony i spokojny poeta zwracał się dopiero ku rzeczom ziemskim, a gdy wspominał żonę i syna, błogostawił ich zdala w wierszu, który się zaczyna obrazem wielkim a przemijającym:

Je vois un groupe sur la mer.
Quelle mer? Celle de mes larmes!

Verlaine pokochał szpital tak, jak niegdyś więzienie. Tu, wśród bieli prześcieradeł, wpatrzony w czarną plamę krucyfiksu na pobielonych ścianach, był niemal szczęśliwym, bo wolnym od brzemienia trosk powszednich, jakie życie wkłada na biednych ludzi. W tej otchłani pokutował za grzechy żywota. Ujęty w karby życia regularnego czuł się dopiero swobodnym, ponieważ jego umysł nietknięty żadną dyscypliną a niepraktyczny, jakby umysł dziecka, pragnął żywiołowo jarzma, które dźwigał z rozbijającym uśmiechem szczęścia. Pozostawiony samemu sobie był najnieszcześliwszym z ludzi, bo nie umiał sobą pokierować, jakby wielkie dziecko, któremu za wcześnie zabrakło matki, a brakło także kobiety anielskiej dobroci i delikatnych rąk, aby mocno, prosto i z godnością przeprowadziła go przez życie. W szpitalu odradzał się moralnie i poważniał bardzo. Cieszył i pouczał swoich towarzyszy niedoli. A kiedy wszyscy posnęli i ciszę przerywały tylko rytmiczne oddechy, on siadał na łóżku i, wsparłszy bibełę o kolano, pisał przy świecy na świstkach papieru, na receptach, starych gazetach i kopertach listów.

Tak powstała przeważna część wierszy z książki „Miłość“ i prawie cały cykl „Szczęście“, w którym rodzaj i skala natchnienia są inne niż w poprzednim.

Poważne rozmyślania chrześcijańskie rozwijają się tu powoli, łagodnie, wśród niezmaconej ciszy nocnej. Verlaine załuje życia zmarnowanego lekkomyślnie, rozważa swoje wady, złe skłonności i obiecuje zupełną poprawę na przyszłość. Tyle razy obiecywał!... Cóż, kiedy „krew unosi jego rozum,“ skarży się bezradny, a na

1) Tłumaczyła p. A. Kłopotowska.

kobietę, przyczynę swoich nieszczęść i grzechów, miota namiętne, straszliwe przekleństwo. Wśród takich rozmyślań, smutek i gorycz ludzkiego żywota chwytają go kleszczami za gardło. Wstają gdzieś dalekie zwątpienia, wciska się klinem pomiędzy myśli jakieś niewypowiedziane, a natrętne „czemu,“ które z tępym uporem odpycha, skandując Credo według rzymskiego katechizmu: „Wierzę w kościół rzymski, katolicki, apostołski i jedyny ludzki, który nas wiedzie do celu, wskazanego przez Jezusa.“

„Liturgie duchowe“ są wariacjami na temat różnych obrzędów, modlitw i świąt kościelnych, jak: Adwent, Boże Narodzenie, Święto Młodzianków i Trzech Króli, Wielkanoc i Wniebowstąpienie... Za nimi idą: modlitwa podczas mszy świętej na Kyrie, Credo, Gloria i Sanctus..., opisanie nabożeństwa, wiejskich nieszporów i hymnu do Ducha Świętego... Uroczystości opisywał według tradycji kościelnych w kilku zwrotkach, zakończonych modlitwą lub pobożnem rozmyślaniem. Wiele prośb parafrazował z modłów liturgicznych, a niektóre ułożył w dwuwierszach lub w formie litanij z jednym, monotonnym refrenem.

Nakoniec, jak ostatni szloch organów po odprawionem nabożeństwie, położył ofiarne Finale:

Napisałem te wiersze, choć grzesznik niegodny,
O! jak niegodny, po łaskach, jakie miałem,
A podle, brzydko i chłodno podeptałem
Nogami memi, grzesznik podły i wyrodny.

Napisałem te wiersze, Panie, ku Twojej chwale,
Ku Twojej chwale słodkiej, która jeszcze nęci
Mię zawsze...

*

*

*

Chrześcijańska legenda o pokusach świętego Antoniego w wyobraźni malarza ze szkoły holenderskiej: Ponura jaskinia pustelnicza. W niej dzban gliniany, krzyż czarny na kamiennem podniesieniu i modlitewne księgi. Wychudły pustelnik klęczy pod krzyżem, ręce zaplótł kurczowo, aż wyschłe palce skrzywiły się, podobne do szpon drapieżnego ptaka, i modli się żarliwie, by odpedzić roje natrętych, światowych obrazów. A za nim całe piekło

wali przez otwór do jaskini: Czerwone koguty o krwawych grzebieniach, ropuchy o ślepiach przeraźliwych, powolne żółwie o żabich łapach i obrzydliwych pancerzach, brudne czarownice z haczykowatymi nosami, pokryte secinami żmij, apokaliptyczne potwory o olbrzymich łbach, zbrojnych w kły i długie zębiska, dyabły o grymaśnych pyskach, porośnięte rudą szczecinią... Całe piekło wyje, ryczy i chichocze koło świętego pustelnika, podsuwając mu przed oczy obraz pięknej, nagiej kobiety. On modli się żarliwie wpatrzony w długie ramiona drewnianego krzyża.

Ta legenda streszcza symbolicznie jedną z zasad etyki chrześcijańskiej, która zwie się powszechnie walką ducha z materją. Przemocna energia, krążąca we wszechświecie, tętni z łoskotem w naszej krwi. Bywają u człowieka chwile, kiedy pod jej gwałtownym naporem trzaskają, zda się, stawy naprężone, kości rozrastają się z potworną szybkością w konary drzew stuletnich, pierś rozsadza w drzazgi ściany izby, a człowiek wyrósłszy głową ponad dach domu, wyciąga ręce przez czarne czeluścia okien na szeroki świat i rzezi w nadmiernym przyplywie energii musującej. Wtedy wyrastają mu orle szpony i krwawy dziób ptaka-drapieżcy, a nozdrzami wciąga z rozkoszą daleki zapach ciepłej, dymiącej krwi... Ale naprzeciw olbrzyma-drapieżcy staje nagle wychudła postać chrześcijańskiego ascety, który kroczy ogromny w swoim kamiennem milczeniu. Za nim sunie cicho dziewczę białe, jak papier, w błękitnej sukience Prerafaelitów, ze spuszczonei oczyma i dłońmi złożonemi do modlitwy. Wyrzekła się świata i ciała, a w ekstazy uniesieniu widzi tron boży, miejsce święte Świętych i tam tylko pragnie się dostać za cenę rozkoszy zmysłowych, za spalenie ciała swego na ofiarę. Pokora, zaparcie i wyrzeczenie się wszelkich rozkoszy na ziemi staje tu przeciw bujnej sile młodości, która ludzi popycha gwałtem do używania życia. Ta walka rozpałała się w krwi naszej przed wiekami i rujnuje najtęższe organizmy, bo siła etycznej zasady i gwałt energii naturalnej rozrosły się w ogromne a wrogie potęgi w duszach chrześcijańskich, które nadgryzła smutna poezja wieczności.

Antagonizm ducha i ciała był u Verlaine'a naturalny i żywiołowy, a sama przyroda wyryła go na oryginalnej masce jego twarzy: „Czoło bardzo wysokie i bardzo szerokie panuje jak kopała nad obliczem, osadzonem prostokątnie na potężnych szczękach. Czoło zakonnika-marzyciela, czoło ukształcone do szerokich teologij, a szczęki barbarzyńcy, zdolne nasycić najżarłoczniejsze głody.“¹⁾

1) Ch. Morice, *d'Art moderne*, Bruksela, 6 grudnia 1896.

Verlaine nie miał nic z dawnego ascety, aby zgnieść w sobie nieświadomą energię życia, a wołanie ciała nie było tak mocne, by zdusić rodzące się wyrzuty i trwogę. Obie siły dwuskrzydłowego temperamentu borykały się w nim aż do śmierci. Raz zwyciężał jasny płomień ducha, to znów zmysły rozpałały się takim żarem, że niszczyły najpiękniejsze uniesienia. I tak oba prądy pędziły obok siebie *równolegle*, jakby dwie przeciwne wody w jednym płynące korycie.

W młodości przeniknął go dreszcz baudelerowski i wykrzywił mu usta gorzkim śmiechem, ale nie dotarł do serdecznej głębi. Było to raczej nadgryzienie kryształu kwasem rozczyniającym. Verlaine nie miał w sobie wyrozumowanej, zimnej a upartej namiętności Baudelaire'a do rozdzierania wszelkich śmiertelnych skaz. Tylko jakiś dreszcz mocny, jakby odór z nadgniętych ciał, unosił się w jego wyobraźni kłębam i wargi kurczył do gorzkiego śmiechu. Kobieta i absynt wabiły go nadzieją odwilżenia języka zgorzkniałego i odrętwienia nerwów. Szalał. Ale jak Baudelaire szukał z uporem tego, co już, już zaczyna gnąć i cuchnąć, Verlaine nieświadomionem prawie pożądanem dopatrywał się wszędzie—nawet wbrew wszelkiemu rozumowi—czegoś nieskalanego i białego niby lilie wodne. Brnąc po błocie, marzył o najczystszych błękitach. Marzył o tej dziecinie białej, co cieniem spuszczonej rzes zakrywa lica różowe, a idzie skromna, w prostej sukience, zatrwożona, nieskalana, intacta! Kiedy ją znalazł wybuchnął hymnem uwielbienia w dobrej pieśni, a śpiewał spokojny, rozradowany, oczyszczony. Z naiwną radością śledził w sobie najlżejsze drżenia uczucia, a myślami wykradał najczystsze pieszczoty, jak młodzieniec, gdy raz pierwszy pokocha. Marzył, cieszył się, robił śluby na przyszłość.

„Je veux aller droit et calme par la vie!“

Ale życie popchnęło go znów bezradnego na nowe doświadczenia. Absynt stał się nałogiem, a dreszcze zmysłowe mrowiły po rozpalonem ciełe. Idealny kochanek zamienił się znów w króla cyganeryi. Ogromny zarost zawałił mu wargi i usta, a małe oczka uśmiechały się grymaśnie z pod krzaczastych brwi. Kobieta przytoczyła go do swego wozu straszliwego i włokła jako wojenne trofea. Targał się, złorzeczył i przeklinał, ale musiał pójść, ile razy usłyszał przemożne wołanie ciała. Ogień żądź rozpałił w nim wszystką krew, syczał po żyłach, przewalał się w głowie z łoskotem, a w wyobraźni, niby w mózgu lubieżnego Chińczy-

ka, rodziły się potworne walkiry bachantek, gromady kobiet-wilczyc i mężczyzn-satyków, straszliwa gmatwanina nóg, dyszących piersi i spieczonych twarzy .. Szał zmysłowy go opętał. Furor aphrodisiaca wyła nad spopielonem ciałem swej ofiary.

Tak wybuchnął dymiący gejzer erotomanii, który przelał się poza granice francuskie i pokrył obce literatury cuchnącem namuliskiem.

Ołtarze wotywne, które Verlaine pobudował dla lilii białego kwiatu, zapadły się znów z trzaskiem pod naporem barbarzyńskim życia. Przybity, znęcony, chory chronicznie na reumatyzm szukał przytułku w jednym z paryskich szpitali. Białe, czyste prześcieradła, pobielone ściany, czarny krzyż nad łóżem i życie spokojne a regularne wracały mu równowagę, a z nią wspomnienie nawrócenia więziennego. W bezradnej rozterce, słaby i zmiażdżony, składał ręce do modlitwy.

„Va prier contre l'orage, va prier...”

Wtedy jakie kajania i żale, jaka pokuta, jakie rozmodlenie i śluby, które wnet roznosiła burza życia, zaledwie przekroczył próg szpitalny. Pokutnik, czołgający się z jękiem u stóp krucyfiksu, zmieniał się znów w lubieżnego satyra, który cmoka językiem i kłapie zębami, gdy zobaczy pulchne biodra dziewczyny.

Nieustanną walką dwu przepotężnych sił tłómaczą się gwałtowne przeskoki od „Księgi mądrości“ do cyklu „Równoległe“, od podniosłych nastrojów, rozlewających się w modlitwy błagalne, do wierszy rozwiązłych, napisanych w zmysłowym upojeniu.

Dzieło Verlaine'a ma dwa oblicza: na jednym wykrzywia się grymaśnie twarz starego Fauna, na drugim bucha z kamiennego ołtarza płomień ofiary całopalnej.

*

*

*

Trudna do objęcia różnica duchowa między jestestwami na różnych szczeblach rozwoju stworzyła przepaść między materią a duchem, filozoficzny dualizm, który stał się podstawą wielu systemów religijnych. Bóstwo wschodnie, jak tyran samowładny i krwiożerczy, żądało od człowieka całopalnej ofiary, umartwienia, biczowania, zniszczenia ciała aż na śmierć. Przez pierwszych

pustelników i ascetów wszczepiona zachodniemu światu zasada walki ducha z materją rozrosła się do ogromnej potęgi, która wzniosła ponure mury klasztorów pokutniczych, znalazła dobrowolnych męczenników, wzbudziła sekty biczownicze i przewaliła się wiekami średnimi ogromna i nieprzeparta, jako ten potwór z legendy, który codzień pochłaniał setki młodych, najpiękniejszych ciał.

Ale średniowieczny asceta miał przed oczyma cel jasny, podniebny: oblicze Przedwiecznego, złoty tron na rajskich łąkach, najcudniejsze muzyki i nieprzebrane rozkosze bez końca. Jeżeli się umartwiał, biczował ciało, płonąc w ekstazie jako żywiczna pochodnia, słyszał anielskie granie i szczeblami bólu fizycznego wstępował na rajskie wesele po jasnym, parnym gościńcu aniołów.

Dzisiaj, u spadkobierców długowiecznej oświaty, z jednej strony ciąży na nas jarzmo bezpośredniej przeszłości, z drugiej—rośnie uwielbienie dla pogańskiej energii życia. Zwątpienie w bezcelowość walki wwierca się świadrem i druzgocze uniesienia duszy chrześcijańskiej. Miłość dla szumnej energii wlecze za sobą wszczepiony od dziecka strach przed jutrem śmierci. Tak rodzi się tragizm życia i jego smutek głęboki—dreszcz współczesny—którego nie znały wieki średnie.

W twórczości Verlaine'a jest ten pierwiastek wyższy. Na schyłku walącego się świata u niego wybuchnął najmocniej ów charakterystyczny rys kultury chrześcijańskiej. Takie będzie jego stanowisko w duchowym rozwoju ludzkości. A w poezji?

*

*

*

Jedni zwali go królem dekadentów, inni ojcem symbolizmu. Dekadentyzm, dekadent spowszedniały tak bardzo w codziennem używaniu, że są jako moneta zdawkowa, na której zatarty się zupełnie ślady pierwotnego stempla. Albo może nigdy nie miały jasno określonej treści ideowej i wyraźnego charakteru?

Dziś jeszcze opinia rzuca niemi na prawo i lewo z dziecinną lekkomyślnością. A jak niegdyś w początkach romantyzmu bohater Don-Kiszot o rozwichrzonej czuprynie i szerokim geście, którym obejmował próżnię — szumiącą jego własnym krzykiem, był brukowym przedstawicielem nowego kierunku poetycznego, podo-

bnie teraz unosi się w wyobraźniach jakiś zamglony obraz-symbol dekadencji literackiej: Nad umierającym światem chyli się słońce czerwone i sypie rdzawe iskry na spróchniałą ziemię. Wśród ruin zmurszałych, po głuchych ugorach wlecze się noga za nogą gromada wybladłych efebów i pomrukuje leniwie żałobną pieśń.

Podobne etykiety i łatwe symbole zjawiają się najczęściej, jako białe ptaki jasności, w chwilach wielkiego chaosu idei. Żyjąc pośród ogólnego zamieszania, ludzie nie mogą zdać sobie sprawy z otoczenia ani z własnych dróg. Aż ktoś znajdzie sprytuie takie słowo, wytrych do wszystkich zamków ludzkiego ducha i wypuszcza je na świat. Zadowolona jest żądza klasyfikacyj, stworzona gotowa etykieta i ludzie się cieszą, że przejrzeni wśród ciemności. A słowo leci na lądy i morza, brzęczy na wszystkich wargach, szumi w uszach, pohukuje na powietrzu. Powtarzają je dęby dębom, bukom buki, aż cały las szumi miarowo: dekadent, dekadent!

Próżno zaś pytałyś drzewa, dlaczego szumią?

A przecież zwykle leży tam na dnie jakaś cząstka prawdy, wabiąca satyrycznym zabarwieniem umysł ludzki, skłonny zawsze do złośliwego uśmiechu. Tylko vox populi, który nie lubi odcieni i półtonów, rozszerza zakres słowa do tak kolosalnych rozmiarów, że robi z niego rodzaj ogromnej encyklopedyi, która wszystko obejmuje i wszystko tłumaczy.

W drugiej połowie XIX wieku z ogromnem przyspieszeniem życia umysłowego wzrósł do zatrważających rozmiarów procent cyganeryi artystycznej. Te smutne ofiary, pozbawione twórczego nerwu, pędzi jakaś fatalność poprzez wszystkie nieszczęścia życiowe na spalenie w przedśionkach świątyni sztuki. Trawi ich własny ogień suchotniczy, anemia duchowa sprowadza rozgoryczenie i nudę, a uwiad starczy przygniata ich szybko. Dlatego najgłośniej manifestują swe prawa do życia i chwały. Zaś oko interesowane chwytą bez trudu ich małostki, wszystkie kłamstwa i aktorstwo, a stworzywszy barwny obraz dekadencji rozszerza go na cały zakres literackiego ruchu.

Tymczasem wielkie dzieła rosną powoli, wśród samotności i ciszy.

Zjawisko stare i tak zwyczajne pojawiło się w początkach romantyzmu z wielką siłą. Nawet w wieku XVII, kiedy się tworzył we Francyi typ nowszej literatury klasycznej, żyła w Paryżu liczna grupa cyganów literackich, którzy mieszkali i pisali po knajpach, a zwali się „czerwonymi pyskami.“ Było wśród nich kilku poetów bardzo zdolnych, a jednak przeszli tak szybko, jak

przechodzi życie ludzkie, i czas rozwiął ich wspomnienie, niby wiatr roznosi plewy po omłocie. Pozostały tylko wielkie nazwiska i dzieła. Dziś jedynie historyk literatury spotyka ich na swej drodze i, podumawszy chwilę, powie sobie: Przecież to wszystko było już tak dawno!... A jeżeli pójdzie do końca swej myśli i wyobraźnią podniesie się nad wiekowy rozwój literatur, ujrzy, że mimo chwilowego omdlenia duch odradza się wiecznie, jako ziarno pszeniczne, które jest końcem i początkiem jednej formy bytu.

Słowo dekadentyzm, użyte jako określenie pewnego nastroju duchowego w literaturze, pojawiło się prawdopodobnie poraz pierwszy w „Le Temps“ z dnia 6 sierpnia 1885 roku w kronice Pawła Bourde'a. Niedługo potem Jan Moréas protestował w „Le XIX Siècle“ przeciw użyciu go w krytyce literackiej, szczególnie w stosunku do Symbolizmu. Mimo to słowo rozeszło się z niesłychaną szybkością, zwłaszcza, że słuszność tego określenia zdawał się popierać ustęp z przedmowy Teofila Gautier do „Kwiatów złego“ Baudelaire'a i wiersz Verlaine'a, Omdlałość, z cyklu „Ongi i Niedawno:“

Jam ogromne Cesarstwo u schyłku wielkości,
Które widzi idących Barbarzyńców białość,
Tworząc akrostych pełen przesytu słabości
Złotym stylem; w nim tańczy słoneczna omdlałość.

Dusza samotna nudzi się ciężko, bezmiernie.
I słyszy: gdzieś się muszą krwawe walki niecić.
Nie móż pójść, będąc słabym tak niemilosiermie,
Nie móż nawet przez chwilę istnienia rozkwiecić!

Niechcieć, nie móż tu życiu zamrzeć choć na chwilę!
Kielich pusty — Białdo, czyś się śmiać przestała?
Pusty, uczta skończona, dusza oniemiała!

Nic... wiersz nieudolny, którym płomienie zasię,
Nic... ten niewolnik płochy, co nas zapomina,
Nic... nuda, której wiecznie nieznana przyczyna. ¹⁾

Pewna grupa młodych pisarzy, a nawet sam Verlaine przyjął chwilowo nazwę, dekadent, jako hasło bojowe, podobnie, jak w czasach walk zaciętych wypisywano na sztandarach rzucone

¹⁾ Tłómaczyła p. A. Kłopotowska.

złośliwie przezwiska. W kilka lat później w Ankiecie Hureta tłumaczył sens tego słowa: „Rzucono nam, jako obelgę ten epitet: podniosłem go, jako hasło wojenne. Ale nie oznaczał nic szczęśliwego, o ile mi wiadomo. Dekadent, w gruncie rzeczy nie znaczyło nic.“¹⁾

Zdaje się rzeczywiście, ten epitet jest wyrazem o treści tak obszernej, że właściwie nic nie znaczy, jako literacka etykieta. Bo jakżeż go rozumieć, w stosunku do czasu, do ludzi, czy do dzieł? Jeżeli czasy współczesne uznamy za epokę przejściową, w której świat stary kona, a nowy wyłania się z ogromnym bólem z chaosu, to wszystkich ludzi myślących należałoby rozdzielić na dwa obozy: na tych, którzy tkwią w świecie umierającym, i drugich, co niosą pochodnie nowego porządku. Wtedy Verlaine znajdzie się pośród dekadentów, ale obok niego będzie cały legion szanownych i najbardziej akademickich pisarzy. Czy w stosunku do ludzi? Jeżeli się porównuje siłę napięcia duchowego, dekadentem byłby każdy drobny pisarz wszystkich czasów w stosunku do wielkich mistrzów. Więc może w stosunku do dzieł z przeszłości? Tu porównanie wikła się niezmiernie. Bo jeżeli uwzględnia się treść, gdzie znaleźć miarę absolutną w sprawach ducha? Trzeba być fanatykiem jednej myśli, by potępić wszystko, co jej przeciwne, i głośić zakamieniały dogmatyzm, który jest śmiercią w rzeczach sztuki. Chyba tylko język i forma mogą być najpewniejszym, namacalnym kryterium porównania. A wtedy żadną miarą nie można wliczać Verlaine'a pomiędzy dekadentów.

Jego język składa się z najrozmaitszych elementów. Pierwotnym podkładem jest najczystszy klasycyzm francuski. Rozsiane hojnie wyrażenia powszednie z domu, kawiarni i bulwaru, wykrzykniki, skrócenia, niedopowiedzenia, czasem naiwna gra słów — dają całość bogatą, barwną, lekką i ruchliwą, jak powietrze. Rzadko spotyka się skazy, a niema ciągłej, nużącej doskonałości bez zarzutu. Posiada dwie pierwszorzędne zalety: jasność francuską i muzykalność.

*

*

*

¹⁾ J. Huret, *Enquête sur l'Évolution littéraire*, Paris, Charpentier, 1891.

Po roku 1870 rozwinęły się we Francji dwa wręcz przeciwne rodzaje techniki poetyckiej, parnaska i symboliczna. Parnasiści lubili formy silnie zarysowane, kontury wiersza krochmalne i twarde, jak ściany czary lub puharu. Malowali i rzeźbili słowami. Symboliści zbliżyli się ku granicom muzyki, które przekraczali bardzo często. Szukali słów uskrzydłonych i rozwiewnych, jak powietrze. Zlewali je w harmonijne zdania — akordy, a strofy komponowali niby muzyczne symfonie. Parnasiści zachowali technikę romantyczną, ale zacieśnili jej wolność i niejako ją zamaterializowali, potrzebując wyraźnego konturu rzeźbiarskiego dla swoich form, budowanych z symetrią klasyczną. Symboliści pisali wierszami symfonie rozwiewne i rozbujające. Ich pieśń zmienna, jako wiatru wianie, płynęła rączo z hałasem górskiego potoku albo rozlewała się szeroko i leniwie, aby potem, zacieśniając coraz bardziej liczbę sylab w wierszach, milknąć nieznacznie, jak rzeka gubiąca się pośród piasków. Odrzucili hermetycznie zamknięte formy parnaskie, liczenie sylab na palcach i rym jako konieczną ozdobę. Przyjęli zdanie i rytm za pierwotne elementy techniki poetyckiej i stworzyli wiersz wolny.

W pierwszym okresie twórczości przyjął Verlaine zasady Parnasu bez zastrzeżeń. My, „co cyzelujem słowa, jak złote puhary — z chłódów własnych stwarzając wiersz ognia i drżenia,“ mówił o swoich przyjaciółach literackich i dodawał szumnie brzmiące pytanie retoryczne: „Z marmuru jest czy nie, Milońska Wenus?“ Ale już w „Poematach saturnińskich“ zadaje sobie gwałt, by pozostać spokojnym, jednolitym i niewzruszonym. Często, zaniedbawszy treść wiersza, stara się tylko o muzyczne efekty i rozwija arye smętne, w których łzy, zaklęte w tony, błędzą po jeziennych ugorach.

Idąc za skłonieniem własnego ucha byłby się oddalił od pedantycznej nieco regularności Parnasu. Znajomość z Rimbaudem przyspieszyła ewolucję w tym kierunku, a paradoksalny „Sonet o samogłoskach“ wywarł wpływ wielki na jego późniejszy sposób pisania. „Romanse bez słów,“ najbliższe tego okresu, składają się z samych prawie muzyk. Treść, przeważnie błaża, nie wypowiada się porównaniem lub obrazem, ale ujęta w dźwiękodajne słowa działa na nerwy, jak muzyka. W ramach techniki parnaskiej stworzył Verlaine nowy kierunek, a jego zasady streścił w wierszu „Sztuka poetycka:“

Muzyki, tylko muzyki dla wierszy!
A nadewszystko przenoś Nieparzysty,

Bo jest lotniejszy, swobodny a mglisty,
Bezważki prawie i rozlewnie szerszy.

A strzeż się zbytnio dobrać wyrazy,
Krepując twoje rozsądkiem natchnienie,
Gdyż przez Jasnego z Niejasnem złączenie —
Piosnka szalona — miłsza stokroć razy.

To przez mgłę piękne oczy widziane,
To żar południowych omdleń słońca,
To, gdy jesień ślania się do końca,
Niebiosa, migotem gwiazd usiane.

My nie barwy chcemy, lecz Odcieniu,
Odcieniu,—którego mgławce ząbki
Łączą dźwięki fletni z dźwiękiem trąbki,
Sen ze snem w miłosnem upojeniu.

Retoryce łeb urwij, jak hydrze!
Jeśliś silny, nad wierszem się zmiluj
I kajdany mu rymów przepiłuj,
Niech — wiatr niby — na wolność się wydrze!

Krzywdy rymu czyje zliczy ucho!
Czyż głupie dziecko lub negr szaleniec
Uwiło tych barwnych szkiełek wieniec
Brzękających fałszywie a głucho?

My chcemy muzyki zawsze, wszędzie!
Wiersz twój ma być rzeczą uskrzydloną.
Co z jednego leci w inne łono,
Gdzie nań duch miłości czekać będzie.

Piękną przygodą niech będzie, którą
Na skrzydłach niesie wietrzyk poranku,
Zbierając woń mięty i tymianku...
Wszystko inne jest literaturą! ¹⁾

„Biedny Lelian“ nie miał organizatorskiego talentu starego prawodawcy Boileau'a, choć wiersze lepiej od niego pisywał. Prócz kilku cennych, ale drugorzędnych wskazówek, nie znajdzie się w jego „Sztuce“ żadnej podstawowej i praktycznej zasady nowego sposobu wierszowania, tylko mistrzowskie igranie na temat poezyi i wiatr niosący zapach tymianku i mięty. Verlaine nie miał konsekwentnie rozwiniętych i ustalonych zasad w dziedzinie kryty-

¹⁾ Tłumaczyła p. A. Kłopotowska.

cznej techniki poetyckiej. Przyparty do muru przez Symbolistów, pracujących nad stworzeniem wolnego wiersza, wywinął się najzwyklejszymi ogólnikami w liście do Henryka de Régnier: „Rzeczywiście długo się namyślałem na prośbę Griffin'a nad wyłożeniem zasad w sprawie pisania wierszy i t. d. Z mojej świadomości wyciągnąłem ten tylko wniosek: Wszystko jest piękne i dobre, co jest piękne i dobre, skądkolwiek pochodzi i w jakikolwiek sposób zostało stworzone. Klasycy, romantycy, dekadenci, symboliści, asonujący albo — jakby to powiedzieć? — umyślnie ciemni, byleby mi zakołatali nerwami albo tylko sprawili przyjemność, nawet a może szczególnie — jak Dindon Floriana — bym nie wiedział z jakiego powodu, wszyscy mi się podobają.“¹⁾ Sam pozostał zawsze w granicach techniki parnaskiej, ale zachował z niej tylko szkielet, a odrzucił to wszystko, co było właśnie jej cechą charakterystyczną. Do wiersza wolnego nie skłonił się nigdy. Jego wiersz jest tylko „zwolniony“, a technika, prócz zasady muzykalności, jest w rezultacie swoim negatywna. Zgadza się to wybornie z jego temperamentem. Potrzebował koniecznie jarzma, aby je dźwigać, i nic nie było dlań gorszego, niż zupełna wolność rządzenia swem życiem lub myślą. A ponieważ nie mógł nigdy utrzymać się długo w granicach ściśle zakreślonych, więc łamał i rozluźniał podrzędne zasady tej techniki. Nie umiał pójść do końca swej myśli z logiczną konsekwencją, to też nie przyjął wolnego wiersza. Renegat parnasyzmu, a niepewny przyjaciel Symbolistów zajmuje niewyraźne miejsce na przełęczu między poetyką parnaską a wierszem wolnym.

*

*

*

Inni zwali go ojcem symbolizmu.

Kiedy około roku 1885 grupa młodych poetów rozpoczęła otwartą walkę przeciw starej szkole, Leconte de Lisle, „wielki lama“ królestwa poezji, rzucił na nich kłutwę, jako na rewolucjonistów, burzących fundamenta starej świątyni sztuki. Z poetów parnaskich jedni występowali przeciw nim dosyć zawzięcie, inni

1) K. Donos, Verlaine intime, Paris, Vanier, 1898, str. 158.

usunęli się dyskretnie poza koła swej poezji. Były to heroiczne czasy symbolizmu, czasy poszukiwań, ulotnych pisemek i ciągłych utareczek. Naturalnym popędem zwrócili się młodzi ku Verlaine'owi, który już dawno zerwał był z Parnasem. Okrzyknęli go „wódzem i satanicznym doktorem,“ a on brał udział w zebraniach i dyskusjach, gdzie kształciły się poglądy na język i nową formę. Dla nich również napisał swoją „Sztukę poetycką,“ z której do techniki Symbolistów przeszło kilka cennych wskazówek, jak: wielka troskliwość o muzyczną budowę wierszy i zwrotek, upodobanie w niedopowiedzeniach, wyrażeniach niejasnych, tajemniczych i pogarda dla rymu, tego klejnociku jarmarcznego, który ściągnięto z królewskiego tronu i włączono między asonancję dla wzmocnienia harmonii międzywierszowej.

Kiedy młodzi stworzyli wiersz wolny i wydali własne rymy, oziębły się nieco ich stosunki z Verlainem, który pozostał w pół drogi. Ale się nigdy nie zerwały. Opuszczony wódz kpił z nich czasem dobroliwie. W Ankiecie Hureta wyrzekał się ich ojcostwa, jak „uczniów zbuntowanych,“ ale wszystkie żartobliwe docinki nie zaszkodziły mu wcale, bo młodzi obrali go swoim królem. Nowy król znalazł bardzo wygodną maksymę: „Wszystko jest piękne i dobre, co jest piękne i dobre...“ i przysyłającym, jako haracz poddańczy, książki z szumnemi dedykacyami rozdzielał hojnie wieńce sławy poetyckiej. Prócz tych zagadnień technicznych łączyły Verlaine'a z nimi silne węzły duchowego pokrewieństwa, bo chociaż częścią swego dzieła tkwi w przeszłości, większą jego połową należy już do przyszłości i tworzy pomost między Parnasem a Symbolizmem.

Parnasiści, oparci na pozytywizmie, patrzyli na życie jasno i spokojnie. Wstępowali na górę wiedzy poważni i ogromni, wpatrzeni w przestworza nieskończoności i w te miliony światów, pędzących po kołach płomienistych. Z tej wysokości powszednie przypadki tego życia, drobne tragedye i drobne nędze wydawały się czemś tak małym, jeżeli się je oglądało pod kątem wieczności, sub specie aeternitatis. Wzruszał ich ogrom wszechświata, niezgłębione tajemnice jego celów i początków, ale wypowiadali się dyskretnie i bez narzekań. W ich dziełach tętni wzruszenie mocne, choć przytłumione, wbrew legendom o niewzruszoności parnaskiej. Spokój, kamienny spokój możliwym jest tylko u ludzi, których mózg wiecznie głuchy i twardy, jak ubite z ziemi boisko. Nawet zimny Leconte de Lisle przechodził chwile bardzo ciężkie, kiedy go przywalały opary wspomnień z młodości. Może rozchylił usta do bolesnego krzyku, może jęknął po cichu, ale wnet się

otrząsnął i skłoniwszy głowę śpiewał sobie wzruszony, powołał. A ból i smutek z niedoli ludzkiej opętał go na śmierć. On kroczył, jak stary mędrzec i arcykapłan, Pontifex maximus: Potężnie sklepione czoło, oczy przynknięte na długiej, żółtej, pergaminowej twarzy, a ogromna szrama smutku skrzywiła mu usta od końca do końca. Ręce założył na długiej todze i sunął z głuchą pompą, bijąc drewnianymi podeszwami sandałów o kamienne płyty ogromnych, klasztornych korytarzy. Taki smutek ma w sobie wielką powagę człowieczeństwa. Najlepsi z Parnasistów o temperamentach ludzi nauki mieli jakieś zacięcie epickie. Nie znajdzie się u nich dziecinnego lęku, ani dziecinnych łez, bo ich wzruszenie przechodziło najprzód przez zwoje mózgowie tam, kędy przebywa myśl. Tu przetworzone, później poprzez długą pracę techniczną, wypowiadało się w poezji. Dlatego brak im bezpośredniej szczerości lirycznej, a ich wiersze szeleszczą miarowo i nieco sztywnie, jak krochmalna szata kobieca!

Kiedy zachwiała się ogromna budowa pozytywizmu i skurczyła wiara w potęgę ludzkiego rozumu, młode pokolenia około r. 1880 odwróciły się od nich, aby pójść w stronę przeciwną. Szli ku idealnemu celowi po drogach ubitych z pokolenia na pokolenie, gdzie wiara tylko przyświeca. Ale przygniotła ich wnet tyrania niezgłębionej tajemnicy. Szukali tego, co jest treścią rzeczy, wszędzie władą, a nigdzie nie jest widzialne. Co wionie w zapachu róż, dudni w poszumie wody, woła w śpiewie słowików i głosem ludzkim przemawia. Przemóżny, królewski, nieuchwytny Dech! Wpatrywali się w gorączce i trwodze w przeraźliwą wielkość tajemnicy. Szukali jej po omacku, by ją uchwycić tysiącami rąk drżących, milionami szeroko rozwartych oczu, wstrzymać żarem wewnętrznego pożądania. Szukali jej w chrześcijaństwie średniowiecznym, w systemach idealizmu, w dziełach mistyków wszystkich czasów i w księgach magów wschodnich. A ona wymykała się wszędzie, jak woda z pomiędzy palców, i płynęła nad nimi, koło nich i przez nich zawsze królewska i zawsze nieujęta.

Uczucie prowadzi wierzących na stopnie ołtarzy modlitewnych. Oni drogą rozumowania w zakresie idealistycznych systemów doszli najczęściej tam, kędy władą lęk i w wiecznym niepokoju błędzili po zaklętych kołach. W poezji prawem duchowego pokrewieństwa oparli się na Verlaine, bo idealizm był również najwyższym celem i prawem jego życia. A choć Verlaine szedł tylko ubitymi ścieżkami katolicyzmu, drogi ich wiodły równoległe, a nastrój duchowy był ten sam. Po jego śmierci jeden z młodych Symbolistów pisał bez wielkiej przesady: „Był naszym

ojcem, nas wszystkich, dobrym, kochanym, starym dziadkiem, którego kochaliśmy i przebaczały mu wszystko; on kochał nas także, rozgrzewał się przy naszym zapale i współpracował w naszym dziele.“¹⁾

*

*

*

Poezya Verlaine'a jest szczerym wyśpiewem jego życia. A życie było bezładne i bez planu, burzliwe i kręte tak, jak powikłane są ścieżki przypadków. Krew go niosła, a w krwi dudniał żarliwy przeddźwięk jego śpiewów. Słuchał przemożnej energii życia, a pisał zwyczajnie z prostotą i naturalnym popędem, jak źródło wypływa z pod buka. Wypowiedział się cały aż do najskrytszego drżenia nerwów ze szczerością, wprawiającą często w zakłopotanie, a chwilami niemal cyniczną. Nic nie przyćmił, na nic zasłony nie rzucił, tylko trzęsło się przed światem to ciało nagie i ta „naga dusza,“ takie żywe... Raz gwałtowny i burzliwy aż do szaleństwa, znów rozlewny, poważny i górny, jak symfonia pastoralna, lub delikatny, jak najłżejsze szelesty i podmuchy — bo tak kazała krew — był barbarzyńcą z subtelnościami scholastycznego doktora. Dlatego, jako poeta, jest tak wiele człowiekiem, a tak mało literatem.

JAŃ SZAROTA.

¹⁾ L'Ermitage, luty, 1896.

PIŚMIENNICTWO.

KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI. *Dwór w Ferrarze*. Lwów, nakładem H. Altenberga. 1907.

Polskie dzieje, polska sztuka i literatura, polski obyczaj i cywilizacya pochłaniają niemal wyłącznie naszych badaczy przeszłości—nie prostrszego, ani słusniejszego. Dobrze jednak, że miewamy także pisarzy, którzy stając na obcej niwie, wzmacniają tem samem i odświeżają nasz bezpośredni związek duchowy z całym europejskim światem i podtrzymują godnie najlepsze tradycye naszej odwiecznej kultury zachodniej.

Z pomiędzy wszystkich dziedzin obcych, Włochy i historia ich umysłowego rozwoju, to—rzecz jasna—pole najbardziej nęcące dla każdego, kto, jak my, czerpał soki ożywcze z potężnego pnia łacińskiej cywilizacyi. I dobrze o nas świadczy, że tam właśnie zwracają się najczęściej nasi badacze, o ile nie pracują na rodzinnych polach. Tego rodzaju działalności polskiej najświetniejszym przykładem, na długo, może na zawsze, pozostaną *Wieczory Florenckie* i *Juliusz II* Klaczki; w ostatniej dobie do najcelniejszych prac takich należą *Sacco di Roma* F. Morawskiego i *Siena* K. Chłędowskiego, który najnowszą swoją książką, *Dworem w Ferrarze*, niemałej przysporzył ozdoby polskiemu piśmiennictwu.

Sam przez się wybór przedmiotu był już nad wyraz szczęśliwy. W tej słonecznej i świetnej epoce Odrodzenia na całym obszarze ziem italskich, obok Florencyi, Rzymu i Wenecyi, niema chyba płodniejszego i ważniejszego gniazda sztuki i poezyi, nad Ferrarę i dwór jej książęcy.

Hier war Petrarck 'dewirtet' und gepflegt,
Und Ariost fand seine Muster hier;

Italien nennt Keinen grossen Namen,
Den dieses Haus nicht seinen Gast genannt;

woła Goethe w *Torquacie Tassie* przez usta Eleonory San Vitale.

Bo też stąd wyszła, z wyjątkiem Sulciogo, cała wielka poezya epicka włoskiego Renesansu, w osobach najwybitniejszych swoich przedstawicieli, autorów *Orlanda Zakochanego*, *Szalonego* i *Jerozolimy Wyzwolonej*; tu rozkwita osobna szkoła malarska, uświetniona imionami Cosimy Tura, Lorenza Costa, Garofala, Dossa Dossiego, szkoła zajmująca obok tylu innych kierunków sztuki włoskiej, odrębne i niepoślednie miejsce; tu pod rządami siedmiu z kolei światłych i znamienitych władców z rodu Esteńskiego rozwijały się wszelkie nauki i umiejętności i wyłaniały się nowożytny prądy umysłowe; tu dwór książęcy stał się typem i szkołą towarzyskiej ogłady i wytwornego obejścia i przyświecał pod tym względem, jako wzór i przykład, całemu Włochom i całej ówczesnej Europie.

Dzieje Ferrary i panującego jej domu mają zatem osobliwsze i ogólniejsze znaczenie historyczno-kulturalne, a dzieło Kazimierza Chłędowskiego jest przeto istnym słupem światła, padającym na jedno z głównych źródeł europejskiego Humanizmu i Odrodzenia.

*

*

*

Kto chodził po prostych, cichych, gdzieniegdzie trawą zarastających ulicach Ferrary; kto po moście zwodzonym wstępował w dumną bramę potężnego jej zameczyska; kto z podziwem i zachwytem patrzył na biały, lekki, koronkowy fronton jej katedry, kto z czcią i rozrzewnieniem przekraczał progi skromnej kamieniczki Ariosta, komu w pamięci podzwaniają Tassowe „l'armi pietose,” a nie obce są dzieje i dzieła Herkulesów, Alfonsów i Hipolitów Esteńskich—ten na kartach tej książki odnajduje godzinę po godzinie i krok za krokiem swoje własne wrażenia i wzruszenia tutaj doznane i przeżyte, spotyka się z postaciami znajomymi, z duchami sławnych władców i sławniejszych jeszcze twórców ferraryjskich, zbliży się do nich, jak nigdy może przedtem, i na barwnem, szeroko a szczegółowo malowanym tle całej epoki, zrozumie ich głębiej, odczuje żywiej niż dotąd.

Odmienne, acz nie mniej silne muszą być wrażenia czytelnika, dla którego Ferrara, Esteńczycy, ich otoczenie i czasy były dotąd nieokreślonym i niewyraźnym ogólnikiem. Ta książka nagle otworzy przed nim świat nowy przepychów i blasków, zapału i namiętności, dumy i potęgi, arcyzmu i wiedzy. Wtajemniczony w najwewnętrzniejsze sprężyny, poruszające ówczesnymi ludźmi, pojmie odrazu, jak wyjątkową rolę odegrali oni w dziejach cywilizacji, a ślady ich wpływu będzie mógł sam odszukać i wskazać w kulturze renesansowych pokoleń, choćby u nas, na dalekiej północy.

*

*

*

Jedną z największych zalet *Dworu w Ferrarze* jest jasna i przejrzysta budowa dzieła. Przedmiot sam przez się rozpadałby się z natury rzeczy na trzy części: średniowiecze, rozkwit i schyłek Odrodzenia ferraryjskiego. Wszelako dzieje średniowiecznych Esteńczyków, zbyt skąpego wątku dostarczyły autorowi: pierwszym zupełnie wyraźnym i psychologicznie określonym typem prastarego rodu okazał się ostatni z prawdziwie średniowiecznych władców ferraryjskich, Mikołaj III, współczesny z naszym Jagiełłą i Warnieńczykiem, ów tragiczny ojciec i mąż, który bezlitośnie oddaje pod topór katowski piękne, młodzieńcze głowy swego syna Hugona i żony Parasiny Malatesta, by przeciąć węzeł ich kazidorcej miłości (1418). Niccolò III zajmuje cały jeden rozdział, ale ani jego krwawa i dramatyczna historia, ani skrzętnie zebrane po kronikach pobieżne wiadomości o jego średniowiecznych przodkach nie mogły wypełnić całej jednej części książki, musiały być raczej przedstawione, jako prolog renesansowej doby. Tej pierwszy brzask przypada na krótkie rządy Leonella, syna Mikołaja; to pierwszy humanista na ferraryjskim tronie (Rozdz. III). Dwaj młodsi jego bracia i następcy, Borso, który pierwszy uzyskał w Rzymie godność księcia Ferrary (Rozdz. IV) i Herkules I (Rozdz. V) żyją za czasów Kazimierza Jagiellończyka, Olbrachta i Aleksandra; panowanie ich jest w Ferrarze okresem wczesnego Renesansu. Architektura, malarstwo, poezya dochodzą pod ich rządami do niebywałego przedtem rozkwitu, a szczytem ówczesnej twórczości poetyckiej jest *Orlando Inamo* Bojarda, któremu autor poświęca

osobny rozdział (IV) kreśląc w nim wybornie zarówno twórczą psychologię poety, jak stosunek jego dzieła do francuskich „Chansons de geste“ i rycerskich powieści fantastycznych. Pełny rozwój odrodzenia przypada dopiero na następne pokolenie, któremu panuje syn Herkulesa, Alfons I. „Młoda Ferrara“ — jak autor w rozdziale VII nazywa to niezwykle bujne i świetne pokolenie, obfitowała w umysły tak wyjątkowe, jak tragiczny i genialny Pico de la Mirandole, albo jego przyjaciel uczony drukarz i wydawca starożytnych klasyków, Aldus Manucyusz, jak niepospolity humanista Alberto Pio, jak petrarkizujący sonetysta a zarazem platonik Pietro Bembo, twórca słynnych *Asolanek*; obok nich pełni wytworności poeci dworscy Ercole Strozzi, Piotr Calcagnini, lub najoryginalniejszy z wszystkich i najszczerzy talent, nawpół poeta, nawpół błazen, biedny Antonio Camelli, znany na ferraryjskim dworze pod przezwiskiem Pistoï. Alfonso I, owdowiawszy rychło po Annie Sforzy pojął w drugie małżeństwo sławną Lukrecyę Borgię, której do niedawna historia nie mogła darować, że była córką Aleksandra VI. Młoda, piękna, dobra i nieszczęśliwa Lukrecya, za życia i po śmierci długo jeszcze za zbrodnie ojca szarpana, doczekała się tutaj — zgodnie z wynikami najnowszych badań — sprawiedliwszego wizerunku (Rozdz. VIII). Wśród takiego środowiska, skreślonego z ścisłością historyka, a barwnością powieściopisarza, występuje Lodovico Ariosto. Charakterystyka jego rodziny i otoczenia, zwłaszcza zaś odpychającej figury ojca jego, Mikołaja, poprzedza wyczerpujący żywot poety; jego dzieje sercowe, jego służby na dworze, naprzód kardynała Hipolita d'Este, książęcego brata, a potem u księcia samego, później wielkorządztwo w napół dzikiej prowincyi Garfagnanie i ostatnie lata spędzone pod własnym dachem, w miernym lecz spokojnym bycie, przy pracy własnoręcznej na grządkach ulubionego ogródka. Na tak podmalowanem tle występuje dopiero w całej wyrazistości jasna, prosta, szlachetna dusza nieśmiertelnego piewcy *Orlanda Furiosa*. Trafnie i przejrzyście przedstawiona geneza poematu, jego rozbiór i ocena, napisana zwięźle, z przedziwnem odczuciem poetycznych piękności — to najkrótszy zarys tych kilkudziesięciu stronic, które stanowią rozdział IX, poświęcony Ariostowi, a zamykający I część książki.

Powolny zmierzch Odrodzenia datuje w Ferrarze od czasów Herkulesa II, syna Alfonsa I i Lukrecyi Borgii. Szczególniejsze piętno dworowi Esteńskiemu nadaje małżonka Herkulesa, Renata królewna francuska, z latami coraz bardziej zagorzała krzewicielka i opiekunka reformacyi kalwińskiej. Do Ferrary ściągają się

za nią prześladowani i uciskani przez jej brata Franciszka I wyznawcy nowinek religijnych. Sam Kalwin i znany później także i w Polsce ex-kapucyn i apostoł wielożeństwa, Bernardochino, przewijają się cichaczem przez dwór ferrarski, znajdując w kłopotach i trudnościach pomoc i przytułek u księżny Renaty. Przez pewien czas bawi tu również uchodzący z Francyi Clement Marot, jeden z najwybitniejszych poetów doby Odrodzenia. Pomiedzy Herkulesem, katolikiem z przekonania, a w dodatku lennikiem Państwa Kościelnego i Renatą, wybuchają na tem tle religijnem nieporozumienia, których nigdy nie zdołała wyrównać pozorna zgoda, zawarta raczej dla oka ludzkiego, niżli z wewnętrznej potrzeby małżonków. Oczywiście, że ruch reformacyjny, popierany i szerzony uporczywie przez księżnę, nie mógł wpływać korzystnie na literacką i artystyczną atmosferę dworu ferraryjskiego. Zresztą w całych Włoszech Odrodzenie przesilało się i chyliło do upadku.

Alfons II, syn Herkulesa II i Renaty, zamyka długi i wspinały szereg ferraryjskich dynastów; ostatni, bezdzietny potomek panującej linii Estońskiej, jest on zarazem ostatnim typem renesansowego miłośnika sztuk, nauk, umiejętności na tronie włoskim. Podobnie, jak współczesny jemu Zygmunt August, wstępował Alfons trzykrotnie w związki małżeńskie, łącząc się kolejno z domami Medyceuszów, Habsburgów i Gonzagów, a jednak nie pozostawił po sobie następcy, skutkiem czego państwo ferraryjskie przejść miało kiedyś, po jego zgonie, z powrotem do papieży, jako lennodawców.

Dla nas może najciekawszym epizodem jego życia są jego zabiegi o koronę polską po ucieczce Henryka, naprzeciw którego wyjechał do Wenecyi, aby wziąć udział w niebywałych uroczystościach wyprawianych na cześć przyszłego władcy Francyi. Gościł go Alfons i u siebie w Ferrarze, a równocześnie zwykły poseł ferraryjski w Polsce, cavaliere Bottone wraz z nadzwyczajnym „orATOREM“ Alfonsa, poetą i uczonym Battistą Guarinim zjednywać mieli księciu stromników na niebawną elekcję. Dwukrotnie przedsiębrał tę niefortunną legację do Polski wymowny i zręczny autor *Wiernego Pasterza*: prawie nieoczekiwany, a tak szczęśliwy wybór Batorego, położył ostatecznie koniec ambitnym zamysłom Alfonsa.

Najważniejszą postacią całego tego panowania jest oczywiście Torquato Tasso. Poetę *Jerozolimy Wyzwolonej* zdaje się autor cenić znacznie niżej od Ariosta. Poświęca mu wprawdzie w tej części II obszerny rozdział, ale mówi o nim bez tego ciepła

i uwielbienia, którem nacechowane było każde słowo napisane o twórcy *Furiosa*. Może i słusznie: Tasso, ani jako człowiek, ani jako bujny, samorzutny talent, nie porywa tak, jak tańten. Autor *Dworu w Ferrarze* składa mu bądź co bądź należyty hołd, roztrząsając szczegółowo burzliwy żywot nieszczęśliwego poety. Rozumie się, że w tej smutnej biografii najciekawszą stroną musi być sprawa obłędu poety i analiza psychologicznych warunków, na których tle szaleństwo Tassa wzrosło do takich groźnych rozmiarów. Poetyczna legenda o miłości Tassa do Leonory d'Este, siostry X. Alfonsa, ma wprawdzie tę zasługę, że posłużyła Göthemu za tło dramatu, a Byronowi natchnęła *Zale Tassa*, wszelako nie mogła się ostać wobec najlżejszej naukowej krytyki. Wcale inny, o wiele głębszy, wewnętrzny powód, zwicznął duchową równowagę poety: człowiek przesiąknięty na wskrós kulturą Renesansu stanął w sprzeczności ze swoją epoką, w której po upadku reformacyi wystąpiła reakcja kościelna. Słaby i wrażliwy charakter nie umiał w tej rozterce wewnętrznej, między skrupułem religijnym a natchnieniem artystycznym, znaleźć spokoju i harmonii i złamał się w zamęcie duchowym.

„Finis Ferrariac,” taki ponury nadpis nosi rozdział następny. Alfons II nie miał dożyć ostatnich lat XVI w. Starzejąc się bezpotomnie, upatrzył następcę po sobie w Cezarze d'Este, pochodzącym w bocznej linii od Alfonsa I., i poczynił wszystkie starania by mu zapewnić rządy po sobie. Zemsta kobieca pokrzyżowała wszystko. Siostra Alfonsa II, Lukrecya, kochała się za młodu w Herkulesie markizie dei Contrari; wydana później za Franciszka Maryę Ks. d'Urbino, starsza od męża i przezeń sromotnie zaniebawiana, przesiadywała najczęściej u brata w Ferrarze i tu nawiązała na nowo stosunek z przyjacielem lat dziecięcych. Alfonso, wpadłszy na trop miłostek siostry wezwał Contrarię do swych komnat i w obecności swojej kazał go udusić, poczem nagłą śmierć markiza upozorował apopleksją. Było to jeszcze w r. 1575. Odtąd Lukrecya zaprzysięgła zemstę bratu i całemu Estońskiemu rodowi. Czekwała długo. Dopiero gdy w r. 1597 bezdzietny Alfons II leżał na śmiertelnej pościeli, wdąła się w tajne układy z Watykanem, by wyzuć Esteńczyków z księstwa ferraryjskiego. Jakoż po zgonie Alfonsa, gdy Cesare obejmował właśnie rządy, Lukrecya podpisała w Faenzy traktat, mocą którego Klemensowi VIII odstępuje wszelkich swoich praw do Ferrary, jako ostatnia przedstawicielka panującej dotychczas linii Esteńskiej. Cezar nie utrzymał się wobec tego na książęcym tronie, zachował jedynie

dziedziczny Markizata Mantuy — Ferrara weszła w skład Państwa Papieskiego.

Ostatnie dwa rozdziały odnoszące się do życia dworskiego i do sztuki, mają najogólniejsze znaczenie pod względem kulturalno-obyczajowym; są one poniekąd jakoby streszczeniem całego dzieła, zwłaszcza przedostatni. Kto ciekaw, jak i za jakie olbrzymie sumy budowano książęce wille i pałace we Włoszech Odrodzenia, jakie około nich zakładano przepyszne ogrody i zwierzyńce pełne najrzadszych okazów fauny nie tylko europejskiej, ten znajdzie szczegółowe w tej mierze wiadomości zaraz na wstępie tej zajmującej części *Dworu w Ferrarze*. O niesłychanym zbytku w strojnych pochodach i uroczystościach w czasie zjazdów, godów ślubnych, pogrzebów, można się było nacytać do woli w ciągu dzieła; tu wychodzi na jaw inna nie mniej ciekawa strona ówczesnego życia: oto na codzień panowała prostota niemal uboga na takim wspaniałym dworze, jak ferraryjski. Dawniejsi książęta sami sobie łątali przenoszone odzienie, pościel była, w stosunku do naszych wymagań, wręcz nędzna, a czystość mieszkania i bielizny pozostawiała bardzo wiele do życzenia. Tłumaczy się to w części niemożnością utrzymania w porządku olbrzymiego dworu, złożonego z setek osób i na różnych stopniach hierarchii dworskiej. Oprócz niższej i wyższej służby męskiej i żeńskiej, były tłumy pokojowców i towarzyszków książęcej rodziny na żołdzie i utrzymaniu dworskiem. Nie mało też pieniędzy pochłaniała potrzeba dokładnych informacyj z innych państw i dworów; służyli do tego korespondenci przesyłający z najdalszych stron polityczne i prywatne nowiny, często z podziwu godną szybkością i dokładnością. To co się stanie było także przedmiotem żywej ciekawości, którą zaspakajali wróżbici i astrologowie, typy nieraz nader oryginalne, a na każdym dworze niezbedne.

Piękne damy i wykwintni panowie lubili wówczas poważne, moralne rozmowy—przynajmniej tak możnaby wnosić z ówczesnej literatury przedstawiającej stosunki towarzyskie. Szczególnie modne były rozprawy o platonicznej miłości, których klasyczną próbką są *Asolanki* Bemba. Po za tem kryła się w rzeczywistości rozwiązłość wolna od wszelkich skrupułów i względów. Cierpiano ją nawet w związkach małżeńskich, gdzie zwłaszcza mężowie pozwalali sobie jawnie na niezliczone miłości. Charakterystyczne jest w tej mierze rodowe drzewo samych d'Estów, gdzie połowa dzieci przychodzi na świat po za małżeństwem. Przykład książęcy działał na dwór i na wyższe warstwy społeczne. Jako reakcja przeciw nazbyt brutalnej zmysłowości występuje deklama-

cyjna czułośćkowość, która w literaturze wytwarza poezję pasterką w najróżnorodniejszych odmianach, od wiersza lirycznego do dramatyzowanych pastorałek, jak *Aminta*, Tassa lub Guariniego *Pastor Fido*. Dodałbym, że nie bez wpływu na powstanie i wejście w modę sielankopisarstwa renesansowego był przykład aleksandryjskiej literatury sielankowej, a zarazem *Bukolik* Virgiliusza. Osobny, a bardzo zajmujący ustęp odnosi się do mód kobiecych, wprowadzanych przez samą księżną i jej panny dworskie t. zw. damigelle. Pochodziły one z pierwszych rodzin w państwie, a przyczyniały księżnie częstokroć wiele kłopotów, osobliwie jeśli która z nich odznaczała się nadzwyczajną urodą. O natarczywości mężczyzny w takich razach umie autor opowiedzieć nie jedną śmieszłą anegdotę. Najlepszym polem do popisania się wyszukanyim strojem i modą bywały tak częste w owych czasach bale i maskarady. Rozumie się, że we fraucymerze księżnej kwitły wszelkie miłosne intrygi. Damigelle nie gardziły czarami i zaklęciami, by sobie pozyskać serca mężczyzn. Wierzono także święcie, że są środki na zachowanie lub uzyskanie piękności. Stąd na dworach zjawiali się szarlatani wszelkiego rodzaju, wydłużający pieniądze za swoje magiczne recepty. Ziola przeróżne, jak np. rozmaryn, drogie kamienie, jak brylant lub szmaragd, miały szczególniejsze symboliczne znaczenie i uchodziły za najpewniejsze i najlepsze środki magiczne.

Do ulubionych rozrywek należała muzyka. Na dworze feryaryjskim była zawsze stała kapla pod kierownictwem nielicznych wybitnych artystów. Śpiewali chórally i wprawdzie z prawdziwym zamiłowaniem. Muzykalne usposobienie towarzyszywało wierszom i dawało się niejednokrotnie w doznaki pisarzy i dramatyzym, którzy musieli zusić dodatkami i wklećki muzyki, wstawiane w tok swoich utworów: scenicznych i tańców i wielokrotnie w opery ryjskiej, obok arii i muzyki symfonicznej, był w niej najwzrosty i najswawolniejszy. Nie poprzestawano na l. tańcach i maskaradach w obrębie pałacu. Maskowane paktody tanieczym krokiem wyleżały się na ulicę i impieszały z tłumem. Sami książęciu nie gardzili tą zapośną rozrywką i zmuską nadstawy. Wznieśli imiastoino do teatrów przychodzili nieraz między młodzieżą dworską a szluzkami tak, w obłiskarady i kończyły się czasem bijtylem. Jak w dziełach południowych i stronach, tak i tutaj skazywał występowałow alegorycznej postaci (Don Garheate), usprze di wazek jego stała była Donna Quaresima. Post. W ostatni wroiek staczali oni z sobą, każde na czale swoich dworskich i nacieku bitwą. Nie o rzeczy będzie dodać tutaj że w literaturze hiszpańskiej istnie-

je poemat o Amorze, napisany przez Juana Ruiza († 1351), gdzie jako sprzymierzeniec Amora występuje don Carnal w wojnie z Donną Quaresimą. Ta, podobnie jak w Ferrarze, ciągnie na czele śledziów i jarzyn, gdy don Carnal prowadzi hufce kurcząt pieczonych, kielbas i szynek. Kuchnia książęca na codzień obfita, lecz nie zanadto wymyślna, popisywała się wprost niesłychanym przepychem i wystawnością podczas uroczystych przyjęć. Zachowały się Libri della Grassa, czyli rachunki kucenne dworu ferraryjskiego, prowadzone bardzo szczegółowo, a tem samem nader wymowne. Znamiennym rysem epoki jest to, że potrawy niemniej obliczone były na dogodzenie podniebieniu i żołądkowi, jak na wprawienie w podziw oczu biesiadników. Podczas uczt w Ferrarze wnoszono do jadalni po kilkadziesiąt pawłów pieczonych czy gotowanych bez uszkodzenia głowy i ogona. Stały one na półmiskach, roztaczając pierzaste swe wachlarze i zięjąc z dzioba ogniem. Złocenie potraw i przyozdabianie świecidlami, uchodziło za szczyt wytworności kulinarnej. O ilościach dań, których nadmierna liczba przechodzi nasze najbujniejsze wyobrażenie, trudno się rozpisywać. Warto jednak dodać, że gościom i ich orszakowi posyłano codzień do mieszkań i kwater takie mnóstwo jedzenia i wina, iż ci zapasy owe, jako jałmużnę, rozsyłali po klasztorach lub rozdawali ubogim. Rodzajem ochmistrza stołu książęcego był Senescalco, pod którego zarządem znajdowały się srebrne i złote zastawy, nieraz bezcennej wartości tak, iż w razie ciężkiej potrzeby dane w zastaw ratowały zagrożone położenie dworu. Do najcięższych obowiązków Senescalca należało, w razie podróży książęcej, przygotowywać naprzód popasy i noclegi dla niezliczonego orszaku. Podróżowano naogół bardzo wiele, przeważnie jednak wierzchem. Damy dosiadały rumaków umyślnie na ten cel ujeżdżonych, rzadziej odbywały drogę w lektykach—pojazdy należały do wyjątków, co się tłumaczy przedewszystkiem złym stanem dróg ówczesnych. Jazda konna była w powszechnem i ciągłym użyciu, zaprawiano do niej chłopców od małości, to też każdy szanujący się człowiek był wyborynym jeźdźcem. Stajnia Esteńska słynęła na całe Włochy z nieporównanych rumaków, a książęta odznaczają się bez wyjątku znanstwem i zamiłowaniem do koni. To, co w tej mierze pisze p. Chłędowski, utwierdza mnie w przypuszczeniu, które nasuwa mi się zawsze ilekroć brałem do ręki *Furioza*: owe Rabicany, Brigliadory i jak się zowią rumaki ariostowych rycerzy, opisywane z przedziwnym, pełnym życia realizmem, stały chyba rzeczywiście u książęcych żłobów, żywcem takie, jak je nam poeta szczegółowo maluje, nosiły może

nawet i te same imiona, co w *Orlandzie*, a książę Alfons I, kowal zapalony, jak wszyscy Estowie, musiał promienieć z radości na widok swoich ulubionych wierzchowców, unieśmiertelnionych w strofach wiekopomnego dzieła. To przypuszczenie tylko, lecz więcej niż prawdopodobne.

Turnieje i łowy odgrywały w życiu ferraryjskiem niemałą rolę, a sokolnictwo stało na wysokim poziomie i w Ferrarze, podobnie jak we Francyi, gdzie sam Lorenzo Magnifico pisze swój poetyczny traktat o łowach sokolich: *La caccia col falcone*.

Obraz dworu w tej epoce byłby niezupełny, gdyby w nim brakowało postaci tak znamienitych, jak trefnisie i wesółkowie. Mnóstwo charakterystycznych szczegółów pod tym względem znaleźć można w rozdziale o „Życiu dworskiem:“ jak sobie błaznowi nawzajem wypożyczali sąsiedni księżęta, jak obok trefnisiów męskich pojawiały się i błaznice, które miały za zadanie bawić księżną i jej danigelle. Z właściwym wesółkiem, nieraz ścisłym i dowcipnym, idą w parze istoty upośledzone umysłowo; ten rys brutalny nie może nas dziwić w ludziach XV i XVI wieku, skoro jeszcze i w XVII można go stwierdzić na dworze hiszpańskim, czego najlepszym dowodem są niektóre portrety błaznujących idiotów i wesółków, malowane przez Velasqueza. Niemniej od karłów i karlic poszukiwani są i kupowani za znaczne ceny—murzyni. Nabywa się ich dziećmi i chowa dla osobliwości i ozdoby dworu.

Wiele światła na stosunki dworskie rzuca zwłaszcza jedna uwaga autora: „Renesans uszlachetniał błazna, wieki bowiem XV i XVI były zanadto literacką epoką, aby błazeństwo nie miało wówczas nosić pewnej cechy artyzmu. To przeobrażenie błazna średniowiecznego w trefnisia humanistę już na zewnątrz w tem się przebijało, że błazen odrodzenia rzadko kiedy przywdziewał dawną czapkę z dzwonekami, suknię arlekina, ale ubierał się, jak każdy inny dworzanin.“ To poniekąd wpływa na pomieszanie stanowisk dworskich i obniża rolę dworzanina. Wbrew pochlebnemu wizerunkowi stanu dworzańskiego, który kreśli Castiglione, był to uciążliwy a częstokroć wręcz upakarzający stosunek. Dworzanin zależny jest od humoru, od łaski i niełaski pańskiej, zmuszony pochlebiać i łasić się, zatracą niekiedy godność osobistą i szczerość. To też skargi na dworską niewolę, na pańskie kaprysy, na bolesne naginanie się do cudzej woli i upodobań, są na porządku dziennym. Jęczy na to Ariost, który woli mierność prawie ubogą w domu niż dworskie dostatki. Dla poety i artysty— a tych przecie poszukuje się najbardziej na dworach—życie dwo-

raka jest ustawiczną męczarnią, gdyż musi on tworzyć na zamówienie, uświetniać swoim talentem najbliższe okoliczności z zaniedbaniem swej istotnej twórczości. Ta zależność literatury i sztuki wytwarzała gorycz i nienawiść, a reakcją przeciw takim stosunkom było wystąpienie Aretina w *Dialogo delle Corte*, który jest gwałtownym protestem przeciw dworszczyźnie i dworactwu.

Ostatni rozdział stanowi sam dla siebie zamkniętą całość. Opowiada on o tem, jak z kościelnej sztuka staje się świecką. Przeobrażenie to dokonywa się przez malarstwo portretowe. Cały ten powolny, stopniowy proces przedstawiony jest z prawdziwie umiejętą ścisłością. Jestto sprawa artystyczna ogólniejszej natury, bo wszędzie, a przynajmniej w całej włoskiej sztuce dzieje się w tym czasie to samo, co tu pokazane jest szczegółowo na twórczości ferraryjskiej. Po za tem rozdział ten jest zwięzłą i bardzo trafną monografią szkoły ferraryjskiej w ciągu całego jej rozwoju. Oczywiście nie tu miejsce na drobiazgowy streszczenie takiej ścisłej rozprawy z dziedziny historii sztuki. Była ona niezbędna, jako dopełnienie obrazu cywilizacyjnego. Czytając ten rozdział bogaty w jędrne i wyraziste charakterystyki artystów ferraryjskich, odświeżyłem sobie żywo w pamięci wrażenie dzieł ich widzianych tam na miejscu. I ponownie jęło mi się nasuwać pytanie, które sobie zadałem po raz pierwszy, stojąc w Castello ferraryjskiem przed plafonem Dossa Dossiego w sali Aurory. Malowidło to, przedstawiające Jutrzenkę wybiegłą na niebo w orszaku amoretów i nimf z wozem słońca, który w trop za nią wytacza się na błękity, malowidło to treścią swoją, pojęciem przedmiotu i układem, dziwnie odpowiada zupełnie podobnym wschodom słońca w *Orlandzie* Ariosta. Opisy takie powtarzają się u niego kilkakrotnie (Pieśń XII 68, XIII 43, XV 37 i t. p.). Ta zgodność poematu z dziełem malarskiem, tem więcej daje do myślenia, gdy się porówna daty życia i pobytu na dworze Estońskim obu twórców (Dosso * 1479 † 1542 Ariosto * 1474 † 1533). Czy nie było tu jakiego wewnętrznego związku, wpływu malarza na poetę, odwrotnie?

Nie ujmie chyba wartości tak poważnego, a z takim wdziękiem pisanego dzieła, jeśli sprawozdawca przez miłość i cześć dla polskiego języka nie przemilczy bardzo rzadkich i drobnych usterek. I tak: zamiast „gronostaje,” „gronostajowy“ używał autor stare „hermelin“ i „hermelinowy.“ Na str. 57 znalazł się imiesłów od nieistniejącego czasownika „wartać“ — „wartująca“ — zamiast żeńskiego przymiotnika „warta“ i na stronie 59 „zastaw stołowy“ zamiast „zastawa stołowa.“ Oto wszystko. Jak na gruby tom liczący przeszło pół tysiąca stron, to chyba niewiele, zwłaszcza w naszych czasach, kiedy coraz mniej dba się o czystość i piękność polszczyzny.

Po za tem język i styl p. Chłędowskiego jest nietylko poprawny, lecz wprost wyborny. Niezwykły dar opowiadania, ujmujący tem szczególnie, że najtrudniejsze rzeczy przedstawia w sposób łatwy, barwność opisu, plastyka zewnętrzna głównych postaci, godna ich wyrazistej charakterystyki psychologicznej, wykwintna swoboda i prostota, przechodząca często w lekki i pogodny dowcip — oto zalety, które przykuwają czytelnika do tej ślicznej książki.

Szczegółowy spis licznych źródeł podnosi wartość naukową dzieła, staranny wykaz nazwisk jest niepomniernem udogodnieniem przy korzystaniu z książki, dokładna tablica genealogiczna rodu Esteńskiego przyczynia się do lepszego zrozumienia rzeczy. Wyborny druk i cała strona zewnętrzna, równie piękna jak poważna, potęguje korzystne wrażenie całości. Ale najcenniejszą ozdobą *Dworu w Ferrarze* jest mnóstwo rycin wykonanych z iście artystyczną doskonałością; perłą wśród nich jest jednak portret Ariosta, malowany przez Tycyana, a znajdujący się w londyńskiej Galeryi Narodowej.

Zamykając ocenę tej pięknej pracy, sprawozdawca może z całym przekonaniem zwrócić do autora *Dworu w Ferrarze* słowa największego z ferraryjskich poetów:

vostro atto

Ho sempre con ragion laudato e laudo...

LUCYAN RYDEL.

Kronika miesięczna.

Polityka Koła Polskiego w Izbie rosyjskiej i wniosek autonomiczny. — Rocznica Konstytucyi 3 maja. — 25-lecie Kolonij letnich.

Dwa miesiące obraduje już Izba w Petersburgu i do tej pory nie można jeszcze dać odpowiedzi na dwa najbardziej palące pytania, a mianowicie, czy zdolna jest ona do pracy pozytywnej i czy byt jej jest pewny. Prasa rosyjska wypowiada co do tego zdania rozmaite i rozmaite stawia horoskopy na przyszłość najbliższą. Nie przesądzając wszakże tych wróżb, można i należy stwierdzić, że Izba druga jest znacznie ostrożniejsza od pierwszej, więcej liczy się z realnym układem stosunków, mniej skłonna jest do wycieczek w krainę fantazyi rewolucyjnej, aczkolwiek ulega jeszcze po dawnemu hypnozie frazesu i traci wiele czasu na jałową dyskusję, nieprowadzącą do żadnego celu.

Dla nas, oczywiście, najważniejszą rzeczą w tej Izbie jest stanowisko i rola, jakie przypadły w niej w udziale reprezentacyi polskiej.

Dotychczasowa polityka Koła zyskała sobie aprobatę większości narodu, jako polityka nie obieczonej na efekty i fajerwerki demonstracyjnej, ale zmierzająca jasno do celu, którym jest pozyskanie autonomii.

Projekt autonomii został też wniesiony do Izby przez Koło polskie na posiedzeniu w dniu 25 kwietnia r. b.

Tak czy inaczej ułożą się stosunki w najbliższej przyszłości, czy pozyskamy autonomię szybko, czy też walczyć o nią będziemy musieli całe lata — zawsze dzień, w którym żądania polskie zostały poraz pierwszy jawnie wobec narodu i rządu rosyjskiego sformułowane i zadeklarowane — pozostanie dniem historycznym.

Żądania te nie są wygórowane. Projekt jest umiarkowany i bardzo polityczny. Liczy się on z rzeczywistością, nie mówi o rzeczach nieosiągalnych, nie jest walką, wypowiedzianą państwowości rosyjskiej ale rozważnym aktem, uwzględniającym interesy tej państwowości w granicach dla obu stron koniecznych.

Pewien zgrzyt w opinii kraju wywołało jedynie, jak dotąd, głosowanie w sprawie kontyngensu rekrutów.

Z jednej strony stanowisko w tej sprawie Koła, które oświadczyło przez usta deputowanego Konica, iż Polacy, nie bacząc na to, że stoją w bezwzględnej opozycji do dzisiejszego rządu, będą głosowali za wnioskiem rządowym, mając na widoku „dobro Rosyi i bezpieczeństwo państwowe” — zyskało sobie uznanie, jako krok wysoco polityczny.

Z drugiej — powiedziano, że głosowanie za rekrutami, to ze strony polskiej kapitulacya, że „metodami kapitulacyjnymi” nie można przełamać uporu biurokracyi, a za pomocą „białych chorągwi” nie zdobywa się posterunków autonomicznych.

To drugie stanowisko jest zupełnie nieuzasadnione i mógł je umotywować tylko temperament gorący, nigdy zaś rozum polityczny.

Dla nas nie ulega wątpliwości, że droga, jaką w tym wypadku obrało Koło Polskie, była jedyną drogą, po jakiej polityka nasza mogła pójść, nie narażając na szwank ani sprawy polskiej, ani — co było rzeczą zupełnie możliwą — istnienia samej Izby.

Gdyby Polacy głosowali przeciw wnioskowi rządowemu o rekrutach — wniosek ten byłby przepadł, gdyż w głosowaniu przeważyły szalę właśnie głosy polskie, istnienie zaś Izby po odrzuceniu tego wniosku byłoby wprost niemożliwe. Głosując natomiast za wnioskiem reprezentacya polska przyczyniła się do utrzymania Izby, co z każdego stanowiska, oczywiście wyjąwszy tylko stanowisko rewolucjonistów *quand même* — musi być poczytane mu za zasługę. Tak też oceniły to zgodnie wszystkie dzienniki polityczne w Europie.

Zupełnie inna rzecz, że nasze uczucia mogłyby żądać czego innego, że może byłoby nam o wiele przyjemniej, gdyby rząd biurokratyczny, którego mamy już zupełnie na tej ziemi dosyć, nie otrzymał ani jednego w Izbie głosu za swoim wnioskiem. Nie należy jednak do polityki wprowadzać uczuć. Decyduje w niej jedynie i wyłącznie interes, a interes ten, trzeźwo pojęty, wskazał właśnie Kołu Polskiemu drogę, po której poszło.

Nie przyniosło też głosowanie Koła żadnej ujemy naszej godności narodowej. Po oświadczeniu posła Konica, które było jasne i wyraźne, nie może być o tem mowy. Zresztą, Koło Polskie, niewątpliwie zdaje sobie dobrze sprawę z tego, iż dla narodu tak uci-

śmonego jak nasz, tak ograbionego ze wszystkich dóbr, ta godność pozostała jedynem niemal dobrem. którego nikomu bezkarnie uszczuplać, ani nadwężyć nie wolno.

Zostawiając na stronie dalsze na ten temat uwagi, wracamy do wniosku autonomicznego, jako najwybitniejszego faktu politycznego w ubiegłym miesiącu.

Znamienne i charakterystyczne jest stanowisko, jakie wobec wniosku tego zajęła publicystyka rosyjska. Sprawdziło się tu poniekąd to, co przed kilku miesiącami wypowiedzieliśmy na tem miejscu, omawiając pansłowania marzenia p. Kurnatowskiego, zamieszczone w *La Revue Slave*.

Najpierwszy zabrał w tej sprawie głos p. Nestor, znany i sympatycznie dla nas usposobiony referent spraw polskich w dzienniku *Ruś*. Przeciw projektowi autonomicznemu Koła ma on pewne zastrzeżenia. Przedewszystkiem więc razi go „niedostateczne zabezpieczenie praw“ języka rosyjskiego w sądzie i w urzędzie, radby on mianowicie, aby nietylko były przyjmowane sprawy i podania w języku rosyjskim, ale żeby w tymże języku wydawane były wyroki i odpowiedzi oraz, aby na życzenie stron cała procedura odbywała się w języku rosyjskim. Jest to na ogół głos miękki i względnie przychylny sprawie polskiej. Inne natomiast dzienniki wypowiedziały się jeżeli nie wprost wrogo, to w każdym razie, z małemi wyjątkami, bez śladu jakiegokolwiek życzliwości dla nas. Odrzucają one autonomię *a limine*.

Wyczerpujące zestawienie tych opinij prasy rosyjskiej o projekcie autonomicznym Koła zajęłoby nam zbyt wiele miejsca, streścimy je więc tylko w sposób najkrótszy, w ogólnych barwach, malujących nastroj polityczny prasy i społeczeństwa w Rosyi.

Motywy, jakie przytacza prasa rosyjska, występując wrogo przeciw autonomii, są rozmaite. I tak — organy demokratów konstytucyjnych (K. D.) zwracają uwagę na niewłaściwie wybraną chwilę wniesienia projektu i niemożność przyjęcia go w jego obecnym kształcie. Inne pisma mówią wyraźniej o „zuchwałym zamachu Polaków na całość państwa“ i zaznaczają dumnie, że czas „rozczłonkowania Rosyi jeszcze nie nadszedł.“ *Rossija* i *Nowoje Wremia* rozdzierają szaty. Nawet organ liberalizmu rosyjskiego — *Riecz*, szarpie za dzwon alarmowy.

Gdzie są przyczyny takiego usposobienia? Są one przemijające, czy też źródła ich szukać należy głębiej?

Na pytanie to wychodząca w Warszawie *Mysł Polska* odpowiada bez zastrzeżeń w sposób następujący:

„Nie przemijające względy chwilowej taktyki politycznej dyktują Rosyjanom takie stanowisko. Przeciwnie, te przemijające względy dyktowały przed dwoma laty kadetom umieszczenie w programie swoim autonomii polskiej, pojętej znacznie szerzej. Przyczyn zjawiska szukać należy gdzieindziej. Znajdziemy je w nienawiści wiekowej Rosyjan do Polaków, zaostrej przez przeszło stulecie ucisku narodowego, nienawiści, która jest klątwą złego czynu, która wybuchła historycznie w każdej chwili, kiedy naród polski, w zmieniony już przez warunki sposób upomina się o prawa do samodzielności dalszego rozwoju...“

Być może, że jest to nienawiść. Obok niej jednak wchodzi tu także w grę zupełne niezrozumienie nie tylko interesów państwowości rosyjskiej, ale także i interesów narodu rosyjskiego. Wpływy polityki berlińskiej sięgają prawdopodobnie bardzo daleko i podlegają im nie tylko osobistości ze świata biurokratycznego, trzymające obecnie władzę w swych rękach, ale podlega im także społeczeństwo, a nawet prasa, walcząca o wolność.

W Rosyi nie rozumieją jeszcze zupełnie tego, że autonomia Polski — to początek nowej, wielkiej ery w rozwoju państwa i narodu rosyjskiego, to wyzwolenie Rosyi z pod dyktawy pruskiej, a wprowadzenie jej na szeroki gościniec polityki słowiańskiej, polityki, która prędzej czy później musi być śmiałą i silną ręką prowadzona.

Przy sposobności należy stwierdzić z przyjemnością, że opinia polska, na ogół biorąc, w zapatrywaniu się na stosunki polsko-rosyjskie w chwili obecnej, jest o wiele szersza, że rządzi się ona nie ciasną nienawiścią, nie zamkniętym w sobie egoizmem narodowym, ale trafną i rozumną oceną stosunków politycznych i ich układu w niedalekiej przeszłości.

Rozum polityczny każe nam też zachować się obojętnie wobec namiętnych wystąpień prasy rosyjskiej przeciw autonomii. Nie myślimy przekonywać nikogo. Bieg wypadków dziejowych idzie zresztą obecnie w tempie tak szybkim że może prędzej, niż się tego w Rosyi spodziewają, życie dostarczy argumentów, wskazujących na stronę, z której może grozić państwu Piotra Wielkiego i Katarzyny II — rzeczywiste „rozczłonkowanie.“ Autonomia Królestwa Polskiego nie sprowadzi go z pewnością.

Jest ona dzisiaj koniecznością dziejową, koniecznością polityczną. Spokojnie też podejmuje naród polski walkę o nią. Nie będzie bezpożytecznie demonstrował, nie będzie wywieszał jaskrawych sztandarów ani w Izbie petersburskiej, ani tutaj w kraju, nie będzie się gorączkował i niecierpliwił, ale nie ustąpi ani na krok, nie zejdzie z drogi, na którą wstąpił, nie wyrzeczy się słusznych praw swoich.

Czeka nas może walka długa i uparta, ale ją przeprowadzimy. Czeka nas może zawody gorzkie i rozczarowania, ale je przetrwamy, ufni w to, że słuszność jest po naszej stronie. Jeżeli wypadki tak się ukształtują, że będziemy musieli punkt po punkcie zdobywać dla kraju prawa autonomiczne, to będziemy je zdobywali i w ten sposób, aż w końcu zdobędziemy wszystkie. Inaczej być nie może i jest błędem politycznym to, że ani rząd, ani nawet społeczeństwo rosyjskie nie rozumieją tego lub zrozumieć nie chcą.

*

*

*

Każdy naród ma w swoim pochodzie dziejowym momenty, ku którym obraca się jego pamięć i szuka w nich pokrzepienia na dalszą drogę. Momenty takie, czczone, jako rocznice wielkich wydarzeń historycznych, mają słusznie miano świąt narodowych.

W Polsce takich świąt o rozmaitym nastroju, często może bolesnym i smutnym, ale zawsze podniosłym, jest ilość spora. Naczelne jednak miejsce wśród nich zajmuje dzień 3 maja, jako dzień, w którym w r. 1791 ogłoszona została konstytucya, dająca mądre i szerokie podstawy dla przyszłego rozwoju odrodzonej Polski. Niestety — tragiczny splot warunków zewnętrznych, polityka zaborcza mocarstw ościennych i słabość wewnętrzna naszej ojczyzny nie pozwoliły już na to, aby po zorzy, jaka błysnęła w dniu 3 maja, nastąpiły dni pogodne i słoneczne. Światło, rozpalone przez najlepsze umysły i przez serca, najgoręcej kochające kraj, zostało zgaszone przemocą. Nadeszły dni mroku i niedoli. Niemniej jednak fakt dziejowy pozostał faktem dokonany, dającym po wszystkie czasy świadectwo siły twórczej i żywotności, tkwiącej w narodzie. I tu jest przyczyna, dla której święto majowe stało się najprzedniejszym naszym świętem narodowym. Jest to święto życia, święto iskier, tłących pod popiołami, święto nadziei i wiary w przyszłość, która idzie ku nam, zapowiedź tego odrodzenia, które prędzej czy później nastąpić musi. Ku temu świętu zwracaliśmy się też w najcięższych chwilach naszego istnienia, szukając pokrzepienia w ideach, które nam przekazała konstytucya, uchwalona przez Sejm czteroletni.

Zapewne, z dzisiejszego punktu widzenia konstytucya ta zawiera niejedną uchwałę, która teraz nie wytrzymałaby już krytyki; jeżeli jednak uwzględni się epokę i chwilę dziejową, w której powstała, trzeba pochylić głowę przed nią i przyznać bez zastrzeżeń,

że mógł na nią zdobyć się tylko naród, mający zupełne prawo do życia, na wskroś cywilizowany i przodujący innym narodom w pojmowaniu swobód obywatelskich.

Tego prawa i tej roli w rodzinie ludów cywilizowanych odmówiła nam przemoc. Zatrzaśnięto przed nami wrota, prowadzące ku jasnej i zdrowej przyszłości, wtrącono nas w lochy omroczone, gdzie nie wolno było nawet myślał wybiegać po za obręb, zakreślony bezprawiem. Siła jednak żywotna, która tkwiła w narodzie, potrafiła nawet w tych opłakanych warunkach trwać i krzepić się, rosnąć i wzmacniać się, podnosić się i rozszerzać.

Konstytucya 3 maja była kartą, wykreśloną z naszych dziejów przez obce rządy. Niewolno nam było myśleć o niej, wspominać jej, obchodzić uroczystości dnia, w którym ujrzała ona światło. A kiedy w r. 1891, w setną rocznicę pamiętnej uchwały sejmowej, młodzież uniwersytecka polska urządziła w Warszawie cichą i skromną manifestacyę na rzecz wiecznie żywej idei — spotkała ją za to surowa kara. Rzucenie kilku kwiatów na melancholijne ruiny kapliczki w ogrodzie botanicznym, smętnie symbolizującej losy konstytucyi, trzeba było opłacić więzieniem i deportacyą. Wszystko to jednak nie przeszkadzało narodowi czcić w skupieniu dnia pamiętnego. Był on przez cały ciąg wieku ubiegłego świętem i będzie niem zawsze.

Otwarcie obchodzić go możemy dopiero dzisiaj. Nie dziw też, że z chwilą, kiedy kajdany nasze rozluźniły się chociaż cokolwiek, naród polski zapragnął uczcić dzień konstytucyi 3 maja i uczcił go w sposób istotnie godny i pełen powagi.

Stało się to z inicjatywy zarządu Macierzy Polskiej, w której imieniu zabrał głos Henryk Sienkiewicz, ogłaszając swój piękny list, wzywający do złożenia „daru narodowego“ na rzecz oświaty. List Sienkiewicza znalazł szeroki oddźwięk w kraju i dzięki tej inicjatywie dzień 3 maja w r. b. był dniem Macierzy. Szerokim strumieniem popłynęły zewsząd ofiary, a skarbona naszej pierwszej, publicznej, na szerokich podstawach opartej instytucyi oświatowej, została zasilona poważnie.

Trudno było zaiste o lepszą myśl, o trafniejsze nawiązanie nastrojów chwili do idei, zawartej w konstytucyi 3 maja.

Oświata, ta potężna dźwignia, podnosząca narody na szczyble wyższego rozwoju, była u nas do ostatniej chwili upośledzona w sposób, nie mający równego sobie przykładu w całym świecie. Wszelkie ogniska światła gaszono u nas. Do szkoły wprowadzono nietylko język obcy, nietylko zakażono ją duchem obcym, demoralizującym nasze dzieci i naszą młodzież, ale nadto nie pozwolono nawet złym szkołom powstawać w dostatecznej ilości. Podkreślaliśmy to już na

tem miejscu przy innej sposobności, podając statystykę szkół ludowych w naszym kraju według zestawień cyfrowych p. Suligowskiego. Nie będziemy więc bliżej uzasadniali oskarżenia, które, zresztą, wypadki lat ostatnich cisnęły z całą bezwzględnością w twarz rządowi biurokratycznemu, panującemu u nas pod hasłami ucisku i rusyfikacyi. Większość tych wypadków, świadczących o rozpasaniu najniższych instynktów w człowieku, o zdziżeniu mas robotniczych, o barbarzyństwie jednostek — to wynik bezpośredni tej ciemnoty, o której utrzymanie w naszym kraju starano się tak usilnie.

Krzywdą, wyrządzaną nam przez długie lata jest wielka, jest wprost olbrzymia, chęci zaś zadośćuczynienia jej dotąd są prawie żadne. Zresztą, nie krzywdziciele będą odrabiali to zło, które się tak bujnie rozrosło. Musimy je wypłenić sami, musimy stanąć o własnych siłach do tej pracy, jaka czeka najbliższe pokolenia w Polsce, zanim ta Polska odrodzi się naprawdę i wejdzie na swoje dawne drogi.

Ogniskiem najważniejszym tej pracy jest na razie Macierz — instytucya, która potrzebuje olbrzymich środków na to, aby najważniejsze i najpilniejsze zadania swoje wykonać mogła zadawalająco. Stąd dbałość o zgromadzenie tych środków jest najpierwszym naszym obowiązkiem.

Dzień 3 maja, dzień, zawierający w sobie jutrznię naszego odrodzenia, dający świadectwo naszej zdolności do pracy pozytywnej, twórczej, rozwojowej — powinien nam ten obowiązek uświadomić i połączyć nas w jeden hufiec, sprawnie idący ku wspólnemu celowi. I miejmy nadzieję, że to już uczynił w roku bieżącym.

Ten sam dzień powinien jednak i w innym kierunku działać na nas otrzeźwiająco i uświadamiać nam w całej doniosłości potrzebę łącznego działania tam, gdzie wchodzi w grę ideały ogólnonarodowe — te ideały, które muszą podporządkowywać sobie wszystkie partie i zacierać różnice programowe stronnictw.

Dzisiaj jesteśmy rozbici. Chwila przełomowa rozdarła nasz naród na stronnictwa, które stanęły do walki z sobą. W walce tej, zgodnie zresztą z ogólnymi prawami, wyzwoliły się namiętności, które w niejednym wypadku doprowadziły do zaślepienia strony walczące. Oczy jednostek, stojących na czele rozmaitych ruchów i oczy całych grup społecznych, przysłoniło jakieś fatalne bielmo, nie pozwalające im jasno patrzeć na rzeczy i bez uprzedzeń oceniać wypadki! Stworzyło to zamęt, zatargi, niesnaski, ciskanie sobie wzajemnych oskarżeń, wzajemne odmawianie sobie niemal prawa do istnienia. Zaciętrzewienie to rosło i wzmagało się w ciągu ostatnich dwóch lat bez przerwy, aż doszło do swojego punktu kulmi-

nacyjnego, wypowiadając się w szeregu walk bratobójczych, których widownią była Łódź, Warszawa i wogóle większe ogniska naszego życia. Nadto niezgoda panowała nie tylko w dziedzinie poglądów i zapatrywań politycznych. Wniesiono jej płomień także i w dziedzinę pracy kulturalnej. Kiedy powstała Macierz szkolna, a założyciele jej pragnęli uczynić z niej instytucję bezpartyjną o zabarwieniu jednak narodowym, bo *nie narodową* Macierz być nie mogła, podniosły się przeciw niej zarzuty, że służy stronnictwu demokratyczno-narodowemu. Wówczas żywioty, grupujące się pod sztandarami t. zw. postępu i socjalizmu zaczęły bojkotować szkoły Macierzy i wszystko, co nosiło na sobie jej stempel, obrzucać błotem. Powstało rozdwojenie, powstały nowe, równoległe instytucje oświatowe, siły społeczne najniepotrzebniej w świecie wyczerpywały się na podwójną pracę, prowadzącą bądź co bądź do jednego i tego samego celu. Ciągłe rozterki i niesnaski paraliżowały najlepsze wysiłki ludzi, dla których nie istniały stronnictwa i partye, ale dla których istniał jeden biedny, upośledzony, pogrążony w otchłani ciemnoty i nędzy naród. Kto w duszy miał słowa Mickiewicza i stawał do pracy społecznej z tem jednym, naczelnem, górującem nad wszystkim pragnieniem, które mówi o *podniesieniu i uszczęśliwieniu* całego narodu, ten nie mógł bez goryczy patrzeć na to, co się dookoła niego działo, ten musiał chwilami bardzo pesymistycznie patrzeć na stosunki, rozwijające się z tajemniczego kłębka losów.

Obecnie — może jesteśmy już w dobie pewnego otrzeźwienia. Wrzawa walki partyjnej przycicha, aczkolwiek tu i owdzie jeszcze do uspokojenia daleko. W każdym jednak razie zastęp ludzi, którzy rozumieją potrzebę i siłę jedności, zwiększa się stopniowo i stale.

Jedność — ten cement dla narodów, wywalczających sobie lepszą przyszłość, — niezbędną, ta kłamra, bez której wszystko rozpada się i kruszy — musi stać się ideałem naszym na przyszłość najbliższą. Naturalnie — nie należy się tu bawić w mrzonki utopijne, nie należy mniemać, że będzie „jedna owczarnia i jeden pasterz“ — bo w polityce są to rzeczy niemożliwe, możliwe natomiast jest porozumienie stronnictw i partyj pomiędzy sobą i możliwe są kompromisy, ustępstwa, chwilowe zawieszenia broni.

Gorące przejęcie się ideałami konstytucyi 3 maja, jej podniosłym nastrojem i dobrą wolą, tkwiącą w jej aktach, powinno nas prowadzić na tę właśnie drogę porozumiewania się wzajemnego i wysuwania na czoło nie różnic partyjnych, ale ideałów narodowych, które mogą wszystkich nakarmić i wystarczyć wszystkim.

Zapewne — niema w Polsce stronnictwa, któreby nie pragnęło dla tej Polski przyszłości lepszej, zupełnego zdrowia i mocy. Są

tylko różne zapatrywania na drogi, które do tego jednego, wspólnego wszystkimi celami prowadzą. Możemy po tych drogach maszerować osobno, możemy nawet surowo krytykować ideowy kierunek jednej lub drugiej — byleśmy tylko uderzali razem i nie tracili sił na małożydne walki wewnętrzne i spory *de lana caprina*.

Narodowi naszemu brak zgody, rozbieżność dążeń, waśni i prywatna, ambicje osobiste i hyperkrytycyzm wyrządziły już dość krzywdy i czas wielki na to, abysmy nauczyli się karności i umieli wyrzekać się na rzecz sprawy ogólnej wszelkich osobistych zadowoleń. Inaczej — nawet te stronnictwa, które dziś istnieją i które zdołały zaznaczyć istnienie swoje pożyteczną i rozumną pracą polityczną dla kraju, zanim osiągną cele zasadnicze, rozpadną się i rozprysną na nowe frakcje, czego złą wróżką jest już do pewnego stopnia fałszywy dźwięk, odzywający się w niektórych organach prasy demokratyczno-narodowej przy omawianiu zachowania się Koła Polskiego w Petersburgu podczas głosowania nad kontyngensem rekrutów. Nie odmawiamy bynajmniej prasie prawa do krytyki, sądzimy jednak, że bez względu na to, czy kto jest więcej, czy też mniej zadowolony ze składu obecnej reprezentacji polskiej w Izbie rosyjskiej, każdy — kto ma dobre poczucie swoich obowiązków obywatelskich i narodowych — powinien reprezentację tę darzyć zaufaniem, gdyż na tem zaufaniu oprzeć się musi i opierać się będzie cała działalność Koła Polskiego w Petersburgu.

Ogromna większość deputatów na Sejmie czteroletnim, deputatów, reprezentujących tylko jedną część narodu, tylko szlachtę, rozpierającą się jeszcze wówczas dumnie na swoich przywilejach i uważającą się za naród, umiała zdobyć się na czyn wielki i doniosły w swoich następstwach — umiała wyrzec się swojej wyłączności i swoich przywilejów stanowych i uchwalić ustawę, z gruntu zmieniającą strukturę społeczno-państwową Polski. Na owe czasy była to niewątpliwie ofiara obywatelska, świadcząca wymownie zarówno o rozumie politycznym tych głów, które obradowały na Sejmie, jak i o miłości gorącej tych serc, które zgodnie były jednym uczuciem dla ziemi ojczystej.

Sto szesnaście lat minęło od owej pamiętnej chwili dziejowej, lat ciężkich doświadczeń, bolesnych zawodów, twardej szkoły nie-szczęść. Czyżby więc dzisiaj, po przebyciu drogi krzyżowej, jaką naród nasz przeszedł, miało nam zbraknąć takich samych głów i takich samych serc? Czyżbyśmy nie potrafili czynić nawet znacznych ustępstw ze swoich osobistych przekonań i wierzeń społecznych i politycznych, jeżeli wymagać tego od nas będzie *salus populi*? Czy nie potrafimy zapomnieć sobie uraz, wybaczyć błędów

i na terenach wspólnej pracy stanąć wspólnie do roboty, która pod tym czy pod innym sztandarem partyjnym, jest robotą, podjętą dla odrodzenia Ojczyzny? Czy *jednością silni*, zbratani jedną, gorącą chęcią służenia Polsce, nie potrafimy wyteńczyć wszystkich naszych zdolności i sił w kierunku twórczym? Czy zamiast hasła rozkładu i zamętu nie zdobędziemy się na hasła porządku, ładu i karności, przy których jedynie możliwe jest budowanie naszej przyszłości?

Dzień Święta narodowego, dzień konstytucyi 3 maja, który w tym roku zespolił nas po raz pierwszy, wzywając do złożenia daru narodowego instytucji Macierzy, nie powinien także zostać bez wpływu i w innych kierunkach. Idee konstytucyi 3 maja światłem swoim powinny rozniecić w całym narodzie zdolność jasnego i rozumnego widzenia rzeczy w smutnej teraźniejszości i w bliskiej przyszłości, połączyć go w *jedno* i zahartować do walki o zasadnicze prawa swojego bytu.

*

*

*

Kolonie letnie — jedna z najbardziej pożytecznych instytucyj społecznych u nas — ukończyły świeżo 25 lat istnienia. Były to lata ciężkiego bojowania. Warunki, w jakich rozwijała się u nas do niedawna wszelka praca zbiorowa, składały się na to, aby pracę nawet tak filantropijną, jak praca w koloniach — utrudnić i uzależnić od pierwszego lepszego widzimisię czynników policyjno-biurokratycznych. A jednak — pomimo wszystkie przeszkody, kolonie letnie potrafiły nie tylko istnieć, nie tylko zadzierzgnąć pomiędzy sobą a społeczeństwem węzeł trwałej sympatii, ale nadto dokonać dzieła ogromnego. Oto w przeciągu ubiegłych lat 25-ciu kilkadziesiąt tysięcy dzieci korzystało w lecie ze świeżego, wiejskiego powietrza, leczyło swoje wątłe płuca i krzepiło siły dzięki zabiegom i niezmqordowanej pracy szczupłego grona osób, skupionych dokoła tej instytucji, nie rozporządzającej ani wielkimi środkami, ani też nie mającej specjalnego poparcia ze strony miasta lub rządu.

Niewątpliwie w przyszłości Warszawa samorządna zupełnie innym okiem będzie patrzyła na cele i potrzeby Towarzystwa Kolonij letnich i szczerze zajmie się dalszym rozwojem instytucji, która czuwa nad zdrowiem ubogich dzieci warszawskich. Zanim to je-

dnak nastąpi, należy obejrzyć się za siebie i w kilku chociaż słowach dać ocenę tej pracy, jaka jest już za Towarzystwem, a jaka stanowi trwale podwaliny jego istnienia dalszego, tak niezbędnego dla wielkiego ogniska miejskiego, jakim jest Warszawa. Ułatwia nam to obejrzenie się wstecz obszerna broszura dr. Klemensa Łazarowicza, podająca zarys 25-letniej działalności Towarzystwa Kolonij letnich. Dowiadujemy się stamtąd, że sprawę tych kolonij po raz pierwszy poruszył u nas w r. 1879 dr. Stanisław Markiewicz, człowiek, który następnie całe życie swoje poświęcił pracy w tym kierunku i z którego imieniem ściśle wiążą się losy i dzieje instytucji, jego wiara, woła i wytrwałością zdźwigniętej z niczego.

Pierwsze początki nie były łatwe. Idea dr. Markiewicza, który opierał się na przykładach i wzorach zagranicy, znalazła przeciwników, powątpiewających o tem, czy czterotygodniowy pobyt dziecka na wsi może wyrzucić jakikolwiek wpływ dodatni na jego rozwój. Obawiano się przytem, że dzieci, zakosztowawszy lepszego bytu na wsi, z tem większą goryczą i niezadowolaniem będą patrzyły na otaczające ich w domu ubóstwo. Podkreślano wreszcie brak środków, pozwalających na utworzenie choćby jednej, próbnej kolonii.

Wszystko to jednak bynajmniej nie zniechęcało inicjatora. W r. 1881 dr. Markiewicz rozpoczął na nowo kampanię, umieszczając w *Gazecie Warszawskiej* artykuł p. t. „Chcemy mieć kolonie dla dzieci ubogich.“

Czy opinia publiczna oswoiła się już z ideą kolonij, czy też moment był szczęśliwszy, dość, że tym razem sprawa nabrała rozgłosu i odezwała się sympatycznym echem w społeczeństwie. Z rozmaitych stron kraju zaczęły napływać od ziemian polskich oferty z wyrażeniem gotowości przyjęcia na lato pewnej liczby dzieci.

Na tej podstawie w kwietniu 1882 r. utworzył się prowizoryczny komitet instytucji i z energią, jaka cechowała głównego inicjatora kolonij, zabrał się do urzeczywistnienia planów i nakreślenia programu na przyszłość najbliższą.

Przedewszystkiem należało jednak ulegalizować się — i tu spotkano się zaraz z pierwszą przeszkodą i to zupełnie nieoczekiwaną. Towarzystwo Dobroczynności, pod którego skrzydła chciano oddać nowopowstającą instytucję, odpowiedziało odmownie. Nadto wyszły na jaw rozmaite przeszkody natury policyjnej, krępujące szybkość i swobodę działania komitetu. Okazało się mianowicie, że każde dziecko, które miało wyjechać na kolonię, musi mieć ze sobą pasport lub specjalną kartę od magistratu, wydaną na podstawie piśmiennego oświadczenia rodziców, że zgadzają się na wyjazd dzie-

cka. Oświadczenie to musiało być zlegalizowane przez rządę domu i następnie poświadczone we właściwym cyrkule policyjnym.

Podziwiać też należy wytrwałość i energię komitetu prowizorycznego, który pomimo tylu utrudnień, działających na zwłokę, potrafił już 24 czerwca 1882 r., a więc w niespełna 3 miesiące po zorganizowaniu się, zakwalifikować 54 dzieci i wysłać je w 5-iu gromadkach na wieś.

Wyniki pobytu tych dzieci na koloniach były bardzo zadowalające. Wygląd i cera wszystkich znakomicie się poprawiły, objawy niedokrwistości zostały albo usunięte całkowicie, albo wyraźnie złagodzone.

Ta pierwsza próba rozbroiła też nawet dotychczasowych przeciwników kolonij letnich. Zyskały one odtąd stały grunt u nas i stały się instytucją dla Warszawy niezbędną.

Egzystencya jednak kolonij letnich, jako instytucyi, nie była ustaloną. Grono osób, które były inicjatorami kolonij, przy współudziale sił nowych, kierowało w dalszym ciągu sprawami instytucyi, co rok jednak musiało uzyskiwać specjalne pozwolenie od General-gubernatora warszawskiego na prawo wysyłania dzieci na wieś. O zatwierdzeniu instytucyi przez władze długo niemogło być nawet mowy. Dopiero w r. 1896, a więc po 14 latach istnienia prowizorycznego, co doskonale maluje stosunki, panujące w Królestwie Polskiem—wystąpiono do ministeryum spraw wewnętrznych o zatwierdzenie ustawy Towarzystwa Kolonij letnich w Warszawie i po upływie roku, dn. 23 marca 1897 r. zatwierdzenie to uzyskano. Od tej pory zaczyna się prawidłowa i coraz szersza działalność tyle pożytecznej instytucyi.

Poważna liczba 30485 dzieci, które w ciągu ostatnich lat 10-iu korzystały z kolonij, są najwymowniejszem świadectwem korzyści, jaką instytucya przynosi społeczeństwu. Niepodobna jednak, przyglądając się tablicom statystycznym, patrzeć okiem obojętnem na rubrykę, której nagłówek opiewa: *odmówiono wyjazdu z powodu braku miejsca*. W rubryce tej w r. 1896 zapisano cyfrę 69, a w r. 1903 już 2130, poczem w latach następnych cyfra ta nieco spadła, jest jednak wciąż bardzo wysoka. Smutne to świadectwo dla Warszawy, która pozwala na to, aby Towarzystwo dla *braku miejsca* odmawiało swej pomocy corocznie 1½ tysiącowi dzieci słabowitych, tem smutniejsze, iż rozwój kolonij w ostatnich czasach nietyle jest dziełem społeczeństwa, ile wynikiem wspaniałej fundacyi im. Wilhelma Raua, którego spadkobiercy ofiarowali tej instytucyi kwotę 200.000 rb. na jej cele najpilniejsze, co umożliwiło założenie dwóch własnych, wzorowych kolonij—Zofiówki i Wilhelmówki.

Niedostateczność środków sprawiła również, że dotychczas z kolonij letnich korzystały tylko dzieci słabowite, dzieci zaś zdrowe, dla których kilkotygodniowy pobyt na wsi byłby przecież nie mniej pożądanym — dotychczas nie mogły być wysyłane.

Omawiając tę sprawę, dr. Łazarowicz zaznacza słusznie, że społeczeństwu powinno przecież zależeć nietylko na tem, ażeby leczyć to, co jest chore, ale także i na tem, ażeby podtrzymać to, co jest dzielne i zdrowe. Dotychczas dziecko dobrze rozwinięte fizycznie i zupełnie zdrowe otrzymywało przy oględzinach lekarskich stopień „4.” Ponieważ zaś przy segregowaniu pierwszeństwo miały dzieci, otrzymujące przy oględzinach stopień niższy, więc stopień „4” był niejako wyrokiem, pozbawiającym dziecko wyjazdu na kolonie. Dziecko takie mogło wyjechać w latach następnych tylko w takim razie, jeżeli stan jego zdrowia *przestał być dobrym*.

Aby tę kwestyę wagi pierwszorzędnej rozwiązać chociaż częściowo, należałoby, zdaniem d-ra Łazarowicza, zorganizować t. zw. półkolonie, t. j. wyjazdy dzieci w lecie na cały dzień do okolic podmiejskich. Obecnie jednak organizowanie półkolonij napotyka poważne przeszkody z powodu braku wygodnej komunikacji podmiejskiej i braku odpowiednio przygotowanych miejscowości. Urządzenie parków ludowych, koło czego krząta się obecnie zarząd miejski, a szczególnie parku w Sielecach i w Młocinach, i utworzenie dogodnej komunikacji z tymi parkami, pozwoli może przystąpić do urzeczywistnienia tej myśli.

Drugą, również pożądaną, nowością byłoby przyjmowanie na kolonie letnie dzieci młodszych, niż 8-10 letnie. Takie kolonie miałyby specjalne znaczenie dla dzieci, dotkniętych krzywicą, których, niestety, jest u nas tak dużo. Kolonie takie musiałyby być urządzone na inną modłę, stosownie do charakteru opieki, jakiej wymagają dzieci młodsze.

Dla urzeczywistnienia jednak tego wszystkiego potrzeba, aby kolonie letnie rozporządzały większymi środkami, niż obecnie, i dla tego, kończąc ten pobieżny przegląd 25-10 letniej działalności instytucji, musimy podkreślić potrzebę większego zainteresowania się nią ogółu mieszkańców Warszawy.

Dotychczas Towarzystwo borykało się ciągle z brakiem funduszy. Co rok, na wiosnę, Zarząd kolonij dzwonić musiał na alarm i odwoływać się do ofiarności publicznej, która płynęła wprawdzie zawsze, ale rozmaitemi strumieniami. Raz były one szersze, drugi raz węższe, stosownie do nastroju chwili i usposobienia. Dzisiaj, kiedy ofiarność ta jest niemal już wyczerpana, należy raczej pomy-

sleć o tem, aby przysporzyć Towarzystwu jaknajwiększą ilość członków zwyczajnych, stałych, płacących skromną, ale z góry określoną składkę roczną. Te składki bowiem dadzą Towarzystwu najlepszą podwalinę do dalszego rozwoju, a rozwoju tego pragnąć powinni wszyscy, dla których nie jest obojętną przyszłość społeczeństwa polskiego, opierającego wszystkie swoje najlepsze nadzieje na pokoleniu, które dopiero dorasta.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza na rok 1907/8 następujące konkursy:

Konkurs na stypendyum im. Śniadeckich z fundacji ś. p. Seweryna Gałęzowskiego, w kwocie 2500 franków.

Celem powyższego stypendyumu jest dopełnienie studiów naukowych za granicą.

Kandydat mogący otrzymać to stypendyum, jeśli nie jest przy jakimkolwiek krajowym lub zagranicznym uniwersytecie docentem lub asystentem, winien posiadać wyższy stopień naukowy i być znanym z pracy w zawodzie, któremu pragnie się poświęcić.

Tym razem o stypendyum powyższe mogą ubiegać się kandydaci, którzy poświęcają się naukom matematyczno-przyrodniczym.

Podania wnosić należy do Akademii po dzień 15 czerwca 1907 r. i dołączyć do nich następujące załączniki:

1) Dowody, że kandydat według warunków powyżej określonych może ubiegać się o powyższe stypendyum; jeżeli zaś jest docentem, powinien wykazać, co dotychczas wykładał i ilu miał słuchaczy.

2) Prace naukowe drukiem ogłoszone albo też rękopiśmienne.

3) Dokładny program studiów, które w ciągu roku zamierza odbywać.

Stypendyum powyższe wypłaci kasa Akademii w dwóch równych ratach półrocznych.

Konkurs na stypendyum im. ś. p. Zenona Pileckiego w kwocie 2400 koron.

Kandydatem może być, według woli ś. p. Zenona Pileckiego, tylko rodowity Polak, katolik obrządku rzymskiego lub grecko-unickiego, który ukończył kurs nauk uniwersyteckich ze stopniem doktora, lub też na jednym z uniwersytetów rosyjskich ze stopniem naukowym kandydata, i pragnie udać się

za granicę, celem dopełnienia studyów w obranym zawodzie naukowym. Kandydat powinien władać biegle językiem ojczystym i ma we własnym interesie postarać się o wszelkie dowody, świadczące nie tylko o jego uzdolnieniu, wytrwalej pracowitości i zamiłowaniu w naukach, lecz o jego moralności i poczuciu narodowem. Pomiedzy kandydatami, zarówno pod każdym względem zasługującymi na otrzymanie stypendyum, pierwszeństwo dane będzie kandydatowi, pochodzącemu z prowincyj zostających pod panowaniem rosyjskiem.

Tym razem o stypendyum to ubiegać się mogą kandydaci, którzy poświęcają się naukom humanistycznym.

Podania wnosić należy do Akademii po dzień 15 czerwca 1907 r. i dołączyć do nich następujące załączniki:

1) Dowody, że kandydat, według warunków powyżej określonych, ma prawo ubiegać się o powyższe stypendyum.

2) Dokładny program studyów, które w ciągu roku zamierza odbywać.

Stypendyum powyższe wypłaci kasa Akademii w dwóch równych ratach półrocznych.

Konkurs na 2 stypendya im. ś. p. Maryi Jankowskiej po 900 koron rocznie, płatnych w dwu ratach z góry. Ubiegać się o te stypendya mogą młodzieńcy niezamożni, pochodzenia polskiego, stanu szlacheckiego, rel. rzym.-kat. (przezem pochodzący z Królestwa Polskiego mają pierwszeństwo), a którzy pragną się kształcić w wyższych zakładach naukowych w Krakowie lub po za obrębem Krakowa. Zarząd Akademii może zamiast dwu stypendyów po 900 koron, nadać jednemu kandydatowi jedno wyższe stypendyum w kwocie 1800 koron. Z reguły stypendyum można pobierać tylko przez jeden rok, ale może być także przedłużone, nawet kilkakrotnie.

Podania z załącznikami (świadectwo dojrzałości, metryka chrztu, dowody szlachectwa, ewentualnie prace naukowe) należy wnosić do Kancelaryi Akademii najpóźniej do dnia 15 czerwca 1907 r.

— Prof. Maryan Sokołowski obdarza naszą literaturę naukową, odnoszącą się do historii sztuki średniowiecznej, nową, a nadzwyczaj ciekawą pracą: „Ścibor ze Ściborzyc i Pippo Spano, tudzież kilka słów o kronice Ulricha v. Richental.“ (Osobne odbicie z VIII tomu Sprawozdań Komisji do badania historii sztuki w Polsce. Kol. 24). Ścibor ze Ściborzyc jest fundatorem kaplicy t. zw. węgierskiej w kościele św. Katarzyny na Kaźmierzu w Krakowie,—stąd szczególnie interes prof. Sokołowskiego dla Ścibora i jego towarzysza, florentczyka, Filipa Scolari Buondelmonte, zwanego Pippo Spano. Obaj, zarówno Pippo Spano jak Ścibor, mimo że jeden był Włochem, drugi Polakiem, piastowali wysokie godności w Królestwie węgierskiem za Zygmunta Luksemburczyka: Pippo był obergespanem Temeszwaru, Ścibor obergespanem Preszburga, obaj byli kawalerami pierwszej klasy orderu Smoka, obaj posiadali magnackie dobra i odgrywali pierwszorzędną rolę w dziejach Węgier i Zygmunta. O Pippo Spano przechowało się dość wiadomości, przechował się we Florencyi nawet jego portret malowany przez Andrea del Castagno, o przyjacielu jednak jego, Ściborze, jest ich znacznie mniej. Rodzina dalsza Ścibora przeszła z Polski

na Węgry jeszcze za czasów Łokietka, nasz Ścibor jest, zdaje się, synem Sędziwoja, wojewody kaliskiego, i od r. 1386 znajduje się w służbie Zygmunta, gdzie nie długo doszedł do najwyższych zaszczytów: został obergeszpanem preszburskim i wojewodą siedmiogrodzkim, odwdzięczając się Zygmunтови wiernością, walecznością, sprytem i zręcznością w układach dyplomatycznych, które mu Zygmunt powierzał. Pippo Spano i Ścibor odgrywają wybitną rolę na soborze w Konstancyi między r. 1414 a 1418, co pozwala prof. Sokołowskiemu rozwinąć szereg uwag nad kroniką soboru, napisaną przez Ulricha Richental, który zarówno Pippa, jak Ścibora, wymienia. Autor w jednym z rysunków, które ozdabiają kodeks petersburski tej kroniki, dopatruje się podobizn obu bohaterów; inmemu, przedstawiającemu tura, przesłanego Zygmunтови darem od Jagielly, obszerny poświęca wywód. Jest to jedno z najbardziej interesujących badań ostatniej doby.

— Nieliczne prace na temat medalierstwa w Polsce powiększyła praca p. Maryana Gumowskiego, p. t. „Medale Jagiellonów“ (Kraków, druk W. K. Anczyca i Sp., 1906, in 8-o, str. 112 i 29 tablic). Autor opisał 117 medali, robionych dla osób, należących dla rodziny Jagiellonów, nadto podał opis 30 medali, które są utworami późniejszymi w znacznej części falsyfikatami, które dla zysku w obieg puszczono. Sto piętnaście wybornie wykonanych drogą fototypijną reprodukcij medali, prócz kilku podobizn w samym tekście, zdobi tę ceną i piękną pracę. Wśród powodzi prac, które w ostatnich czasach ukazały się o XVI w., nie powinno zabraknąć dzieł, odnoszących się do historii sztuki — jedną z takich jest praca p. Gumowskiego, oparta na doskonałej znajomości numizmatyki i medalierstwa i na przeglądnięciu najważniejszych muzeów i zbiorów zagranicznych, jak w Wiedniu, Pradze, Peszcie, Monachium, Berlinie, Paryżu, Dreźnie i t. d., gdzie jednak znalazł autor przeważnie materiały do medali Jagiellonów czesko-węgierskich; polskich znacznie mniej, ale za to należą one do bardzo rzadkich i cennych okazów. Po za tem znalazł wszystko na miejscu, t. j. w Krakowie, w bogatym muzeum E. hr. Hutten Czapskiego, muzeum ks. Czartoryskich i w jednym z najbogatszych i najcenniejszych zbiorów prywatnych, w zbiorach numizmatycznych Andrzeja hr. Potockiego, namiestnika Galicyi. Prócz tych trzech bogatych zbiorów krakowskich, wyzyskał autor piękną kolekcję medali Zakładu narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. Znaczna część medali Jagiellońskich była lana, niewielka tylko liczba była bita, ta ostatnia bowiem strona techniki medalierskiej trudna bardzo i ciężka, nie była pojęta dla artystów, scieśniała ich działanie i ściągala cugle twórczości artystycznej. Częściej też spotykamy medale bite wśród Jagiellonów czeskich niż polskich, ale też i medalierstwo pod względem artystycznym stało wiele wyżej w Polsce niż w Czechach. W Czechach od XIV w. starano się bardzo o wydoskonalenie mennictwa, to też medale modelują tam urzędnicy mennicy, zdolni rzemieślnicy, ale bez wyższych aspiracyj artystycznych. Przeciwnie w Polsce, jako medalierzy występują artyści pierwszorzędni, jak Jan Marya Padovano, Jan Jakób Caraglio z Werony, Dominik z Wenecyi, a po za Polską Pastorino z Sienny i Stefan van Holland.

„Medale Jagiellonów polskich — mówi autor — są wynikiem tej samej kultury, która stworzyła najwspanialszą perłę renesansu po za Alpami, Kaplicę Zygmuntowską na Wawelu, co więcej, najpiękniejsze z nich są dziełem tych samych artystów, którzy przy budowie tej kaplicy byli zatrudnieni.“

— Do skąpej naszej literatury o ex-libryсах przybywają dwa dzieła nowe i pięknie zapełniające dotychczasowe braki. P. Wiktor Wittyg wydał właśnie drugą swego opracowania p. t. *Ex-libris'y bibliotek polskich XVI—XX wieku* (str. 95—202, Warszawa, 1907). Poprzednia praca p. Wittyga o ex-libryсах zwróciła uwagę na tę sprawę, wytworzyła, co prawda, zastęp zbieraczy, którzy sprawie bibliotekoznawstwa więcej lub mniej szkody przynieśli nieracjonalnymi sposobami zbierania, w każdym jednak razie dała możność p. Wittygowi powiększyć znacznie zasób znanych mu ex-librisów i uzupełnić część I-ą zarówno pod względem nowych odmian ex-librisów, jak i pod względem rzeczowym i nowe szczegóły, albo historyczne dane o losach bibliotek, które z czasem przeszły drogą kupna lub spadku, a o których autor skrzętnie zebrał wiadomości, znalazły szerokie w tym tomie zastosowanie. Jednym słowem, dzieło nadzwyczaj pożyteczne dla bibliotekarstwa, dla znajomości dawnych i nowych bibliotek, dawnych i nowych zbieraczy. Równocześnie ogłosił p. Franciszek Jaworski drugą pracę w tym kierunku o zakresie specjalnym p. t. „*Lwowskie znaki biblioteczne*“ (zebrał Franciszek Jaworski. Z 29 rycinami w tekście. Lwów. Nakładem „Kuryera Lwowskiego,“ 1907, 8-o, str. 104. Odbitka w 100 egzemplarzach z „Tygodnia,“ dodatku literacko-naukowego do „Kuryera Lwowskiego“). Zbiorek p. Jaworskiego obejmuje zarówno ex-librisy autografowane, jak i tak zw. super-ex-librisy, czyli wyciski znaków bibliotecznych na okładkach. Podaje szereg ex-librisów w reprodukcjach, z których najpiękniejsze, nadające pewien „ton“ lwowski ex-librisom, są liczne i piękne znaki biblioteczne, wykonane przez znakomitego artystę, jakim był K. W. Kielisniński. Bogate bardzo i dokładne wiadomości o zbiorach bibliotecznych i ich właścicielach czynią pracę p. Jaworskiego cennym nabytkiem dla nowej literatury.

— Ukazał się zeszyt 2-gi tomu IV-go „Przeglądu historycznego,“ wydawanego przez Towarzystwo miłośników historii w Warszawie. Na treść tego zeszytu składają się następujące prace: Posła do Dumy A. Parczewskiego rozprawa p. t. „*Prohor i Prokulf w katalogach biskupów krakowskich.*“ Chodzi tu p. Parczewskiemu o dwu rzekomych biskupów krakowskich X-go w., przy czem autor stara się udowodnić, że wkradli się oni do katalogów krakowskich ze spisu dyecezyi w Auch. Jako dalsze ciągi drukują się dwie bardzo interesujące i głęboko pomyślane prace p. M. Handelsmanna: „*Przywilej piotrkowski z roku 1386*“ i p. I. T. Baranowskiego: „*Z dziejów feudalizmu na Podlasiu, o państwie rajgrodzko-goniądzkiem Radziwiłłów.*“ Drobną i krótką pracą p. H. M. o „*Aryanach polskich i Dymitrze Samozwańcu*“ przynosi szereg bardzo ciekawych i nowych wiadomości na podstawie dotąd nie wyzyskanych źródeł, z czego wynika, że Dymitr był w bliższych stosunkach z Aryanami polskimi, któ-

rzy Dymitra za syna Iwana Groźnego uważali, wysłali w tym celu nawet w listopadzie r. 1604 poselstwo do Moskwy, aby Dymitra na swą stronę przeciągnąć. Ks. Tadeusz Trzeciński daje interesującą pracę z zakresu historii sztuki p. t. „Miniatury w antyfonarzu katedry gnieźnieńskiej,“ p. I. Zakrzewski zaś dalszy ciąg swej pracy o „Wydawnictwach Awignionskich (1832 — 1833). Charakter polemiczny noszą dwie prace: p. G. br. Manteuffel'a p. t. „Pierwotni krajowej prowincyj nadbaltyckich,“ polemika z kilku uczonymi petersburskimi, i p. Aleksandra Jabłonowskiego rzecz o „Zasiedleniu Ukrainy,“ wytworona i pouczająca polemika z historykiem kijowskim Budanowem. Całość zamyka praca z zakresu historii higieny p. d-ra Fr. Giedroycia o „Wodociągach i kanalizacyach miejskich w Polsce“ i obszerna recenzja p. Ign. Chrzanowskiego o pracy ks. Ignacego Warmińskiego o Seklucyjanie, która właśnie uzyskała nagrodę im. Barszczewskiego Akademii Umiejętności w Krakowie.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

— ARCHITEKT. Marzec. Powidok kształtowy;—Najdawniejsza architektura kościelna Słowian zachodnich;—Restauracya w Starym Teatrze w Krakowie;—Ikropka: Rozwagi pokonkursowe z bieżącej chwili;—Protokóły posiedzeń sadu konkursowego na projekt fasady domu l. 4 w rynku gł. w Krakowie położonego, w dniach 17, 19 i 20 grudnia 1906 r.;—Rozmaitości;—Nowe książki;—Złote myśli.

— Eos. Sinko Th: De Nicephoro Xanthopulo Gregorii Nazianzeni imitatore;—Sinko Th.; O rękopisach mów św. Grzegorza z Nazianzu w bibliotekach włoskich;—Kruczkiewicz Br.: Obvia III;—Homme St.: Owidyusza Ibis;—Młodnicki M.: O stosunku dwóch pierwszych ksiąg Tacyta Historji i Plutarcha Żywotów Galby i Othona;—Blat G.: O głównych kierunkach gramatyki naukowej i o stosunku tejże do gramatyki szkolnej;—Recenzye;—Sprawozdania;—Zapiski;—Bibliografia filologii klasycznej i literatury humanistycznej w Polsce. Zesz. VI. Zestawił dr. Wiktor Halm.

— HOMILETYKA I PRZEWODNIK SPOŁECZNY. Luty. Ks. Arcyb. J. Teodorowicz: O sprawie szkolnej w Poznańskim;—W. E. Ketteler: Doniosle zagadnienia społeczne obecnych czasów;—Pojęcie chrześcijańskie o małżeństwie i rodzinie;—Skarbczyk kaznodziejski;—Ćwiczenia duchowne;—Nabożeństwa na miesiąc maj;—Kazania o Męce Pańskiej;—Kazania na uroczystości;—Wiadomości teologiczno-pasterskie.

— KOSMOS. Dr. B. Dybowski: O nowych badaniach nad fauną Bajkału;—O przeszłości tego jeziora, a także nieco szczegółów o badaniach dawniejszych i niektórych faktach z niem związanych, część I, II i III z 7-ma rysunkami;—F. Hortyński: Znaczenie kosmiczne radu;—Dr. J. Trzebiński: Myxomonas betae Brzez. Nowy pasorzyt buraczany;—B. Hryniewiecki: Bogumir Eichler (Wspomnienie pośmiertne);—W. Eriedberg: Dodatek do fauny sarmackiej okolicy Tarnobrzegu;—S. Rudnicki—E. Romer: Polemika w sprawie historii doliny Dniestru;—Sprawozdania z literatury przyrodniczej.

— KRYTYKA. Marzec. (f.) Kryzys w sprawie polsko-ruskiej; Jan Kasprowicz: Mróz, droga. Dzwonki sanek. Sonety;—Artur Górski: Człowiek wolny u A. Mickiewicza;—Wilhelm Feldman: Ruch chrześcijańsko-społeczny w Galicyi;—Józef Jediec: Dajmon;—Tres: Poezye i wiersze;—Wacław Grubiński: Bunt;—A. Grzymała Siedlecki: Jan Stanisławski (dok);—Z miesiąca;—Sprawozdania naukowe i literackie.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

BIBLIOTEKA NOWA KAZNODZIEJSKA, r. I, zes. 4, 1907. Kazania ks. ks. biskupa Janiszewskiego, dr. Kopycińskiego, proboszcza w Gwałszowicach (2), Sindy z Żabna, Tadeusza Styczyńskiego, proboszcza z Wytomyśla, Karola Kielczewskiego, proboszcza w Czempinie, Koterbskiego, proboszcza w Kamionce Wielkiej. W dodatku kazania pasyjne II — VI.

BOGDALSKI CZESŁAW O.: Misye w Królestwie Polskiem, odprawione w r. 1906, przez Ojeów z Zakonu Braci Mniejszych, prowincyi galicyjskiej. Zestawił... Kraków, 1907. Nakł. zakonu Braci Mniejszych. 8-o, str. 101.

GROSZ ROZKRZEWIANIA WIARY ŚWIĘTEJ. Kraków, 1906. Nakł. Stow. św. Ksawerego. 16-o, str. 12.

HOMILIE: Krótkie... i nauki wydano z polecenia najprzewielebniejszego arcybiskupa X. Floryana Stablewskiego. Część II. Od Wielkanocy do Adwentu. Poznań, 1907. Nakł. księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 546.

INSTRUKCYA. Krótka... dotycząca założenia i prowadzenia żywego różańca. Poznań, 1907. Nakł. księgarni św. Wojciecha. 8-o, str. 15.

KAZANIA o męce i śmierci pana naszego Jezusa Chrystusa, ułożone po siedm na każdy rok z przydaniem siedmiu kazań o współbolesciach N. M. P. T. VI. Poznań, 1907. Nakł. księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 338.

MISZ WINCENTY, KS. DR. PRAWA KANONICZNEGO: Czy małżeństwo jest nierozdzielne? Stanisławów, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 75.

ODPOWIEDZI KATOLICKIE. Kraków. Nakł. ks. Jana Baranowskiego. 8-o, str. 4.

PLATON: Fedon. Dyalog o nieśmiertelności duszy. Przełożył z greckiego Stefan Okołów. Pod redakcją Henryka Goldberga. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 104.

POPIEL JAN: O reformie kościoła. Kraków, 1907. 8-o, str. 17.

PROKOP KAPUCYN O.: Żywot Matki Bożej przez... Wydanie trzecie. Wilno, 1907. Nakł. Józefa Zawadzkiego. 8-o, str. 361 + III.

RADZISZEWSKI I. KS. DR.: Polska bibliografia filozoficzna w układzie dziesiątym — ideologicznym. Odbitka z „Przeglądu Filozoficznego“ № 3. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. od 79—120.

STRAUSS FRYDERYK DAWID: Stara i nowa wiara. Z 15 wydania niemieckiego przetłómaczyła Iza Moszczeńska. Warszawa, 1907. Biblioteka Naukowa. 8-o, form. duży, str. 203.

MATEMATYKA. — NAUKI PRZYRODNICZE.

BÖLSCHÉ W.: Szkice zoologiczne część II. Opracował dr. Paweł Janowski. I. Z dziejów świata zwierzęcego pod biegunem. II. Ichtyosaurus (Rybojaszczur). Warszawa, 1907. Książki dla wszystkich № 360. Nakład M. Arcta. 16-o, str. 133.

BRZEZIŃSKI J.: W sprawie recenzji p. Raciborskiego w „Kosmosie.” Kraków, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 35.

CZARNOWSKI S. J.: Paleolit na zboczu Góry smardzewskiej (z 2 rycinami i 2 tablicami). Lwów, 1906. G. Gebethner i Sp. w Krakowie. 8-o, str. 297-312.

HIRSCHLER JAN, DR.: Spostrzeżenia nad rozwojem zarodkowym motyli. Z 9 figurami w tekście i 4 tablicami. Lwów, 1907. Nakł. Tow. dla pop. nauki pol. Gubrynowicz i Schmidt. Kraków, Spółka Wyd. Pol., Warszawa, E. Wende i Sp. Poznań, J. Leitgeber i Sp. 8-o, str. 84.

NATANSON WŁADYSŁAW: Szkice z dziedziny fizyki elektro-nowej. Przez... Kraków, 1907. 8-o, str. 15.

NUSBAUM JÓZEF: Wiadomości początkowe z biologii czyli nauki o istotach żyjących. Przeznaczone dla uczącej się młodzieży. Z 48 rysunkami w tekście. Wydanie drugie popr. i rozszerzone. Warszawa, 1907. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 194.

POCHWAŁSKI T.: Zasługi Staszica na polu geologii i górnictwa w Polsce. Odczyt, wygłoszony w Stow. Techn. w Warszawie na posiedzeniu w d. 12 i 26 stycznia 1906. Odbitka z „Przezl. Techn.” r. 1906. Warszawa. 1906. Skł. gł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 29.

PRZEDBORSKI L., DR.: Zmysł słuchu i dźwięk. Jak poznajemy świat czyli kilka słów o zmysłach. Napisał... Warszawa, 1907. Nakładem M. Arcta. Książki dla wszystkich № 358. 16-o, str. 58.

SZAJNOCHA WŁADYSŁAW, DR. PROF.: W sprawie krajowego zakładu geologicznego. Kraków, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 13.

WAIS KAZIMIERZ, DR.: Kosmologia czyli filozofia przyrody. Napisał... Część I. (Kosmologia ogólna). Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. Bibl. Dzieł Chrześcijańskich. zesz. 74. 8-o, str. 270 + II.

